

Thomas Lane

**Ofiary
Stalina i Hitlera**

Słowo wstępne

MOJE ZAINTERESOWANIE migracjami ludności poza granice państwowe zrodziło się z badań nad historią ruchu związkowego w Stanach Zjednoczonych, ponieważ był w awangardzie działań na rzecz zaostreżenia przepisów imigracyjnych w USA w XIX wieku i na początku XX wieku. Zgłębiając przyczyny tego zjawiska, siłą *rzeczy* zająłem się imigracją z południa i wschodu Europy, skąd pochodziło około osiemdziesięciu procent przybyszów do Stanów Zjednoczonych w ostatnich dwóch dekadach przed pierwszą wojną światową. Później miałem okazję spotkać wielu „imigrantów” przybyłych do Wielkiej Brytanii z Europy Wschodniej, głównie Polaków i Litwinów. Ludzie ci pochodzili z obszarów, które jeszcze w XVIII wieku nazywano Rzeczpospolitą Obojga Narodów. W drugiej połowie tego stulecia Rzeczpospolita została podzielona i wchłonięta przez trzy zaborcze państwa na jej granicach - Rosję, Prusy i monarchię Habsburgów. Po niecałych stu pięćdziesięciu latach obcych rządów narody Polski, Litwy, Łotwy i Estonii odzyskały niepodległość, ale, niestety, cieszyły się swoim niepodległym statusem zaledwie przez dwie dekady. Poczynając od 1939 roku i paktu Ribbentrop-Mołotow, państwa te stały się ofiarami nazistowskiej i radzieckiej zмовy i znowu zniknęły z mapy. W rezultacie tych wydarzeń miliony obywateli owych krajów zostały przesiedlone.

Niektórzy, znikoma mniejszość, pod koniec drugiej wojny światowej *znaleźli* się w Wielkiej Brytanii. Odrzucali termin „imigranci” jako nie-mający do nich zastosowania. Nie opuścili ojczyzny, jak podkreślali, z powodów ekonomicznych, aby szukać lepszego życia gdzie indziej. Woleli nazywać się wygnańcami lub uchodźcami politycznymi (dzisiaj moglibyśmy ich nazwać azylantami, choć bez współczesnych pejoratywnych konotacji). Był to odpowiedni termin, ponieważ zostali przemocą wyrwani ze swojego kraju przez radzieckich bądź niemieckich okupantów, deportowani lub uwięzieni podczas drugiej wojny światowej. Skończyli w obozach karnych lub pracy na dalekiej Syberii, za kręgiem polarnym lub w radzieckiej Azji Środkowej. Inni uciekli przed Armią Czerwoną wkraczającą do państw bałtyckich i do Polski w 1944 roku, kiedy szala wojny przechyliła się na niekorzyść Hitlera. Kilka lat później niewielki odsetek deportowanych, za sprawą szczęśliwego przypadku lub uwarunkowań polityki międzynarodowej, znalazł się w Wielkiej Brytanii, by pozostać tam przez resztę życia. Nie chcieli wracać do ojczyzny zdominowanej przez komunistów, a gdy w 1989 roku komunizm upadł, byli już za starzy albo zbyt związani ze swymi rodzinami w Wielkiej Brytanii, żeby zdecydować się na powrót.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, wiedząc o moim rosnącym zainteresowaniu losami owych uchodźców, kolega historyk poprosił mnie, abym pomógł mu przygotować nowe wydanie klasycznej pracy na temat deportacji Polaków, książki Zoe Zaidlerowej *The Dark Side of the Moon*, opublikowanej w 1946 roku z przedmową T.S. Eliota. Kolejna prośba jeszcze bardziej wzmogła moją chęć, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o społeczności uchodźców. Poproszono mnie, abym dokonał redakcji wspomnień polskiego emigranta, który, po aresztowaniu przez Rosjan, spędził jakiś czas w osławionym więzieniu na Łubiance w Moskwie, został przewieziony do obozu pracy w północnej Rosji i, dzięki niewiarygodnemu szczęściu graniczącemu z cudem, uciekł przez granicę do Afganistanu, skąd przedostał się do Wielkiej Brytanii, a tam został spadochroniarzem i kurierem polskiego rządu na uchodźstwie w Londynie.

Mniej więcej w tym samym czasie, pod koniec lat osiemdziesiątych, mój kolega John Hiden i ja założyliśmy pierwszy Ośrodek Studiów Bałtyckich w Wielkiej Brytanii, działający przy Wydziale Studiów Europejskich na uniwersytecie w Bradford. To pozwoliło nam nawiązać kontakty ze społecznościami estońskich, łotewskich i litewskich imigrantów w tym mieście. Ich doświadczenia były pod wieloma względami różne od doświadczeń Polaków, ale równie znamienne. Obywatele państw bałtyckich, podobnie jak Polacy, znaleźli się w Wielkiej Brytanii pod koniec drugiej wojny światowej, poszukiwali pracy lub zostali do niej skierowani i wytrwale oszczędzali, żeby kupić sobie domy. Zarówno Polacy, jak i Bałtowie wykształcili własne instytucje społeczne i dokładali wszelkich starań, aby zachować swoją kulturę i tożsamość w całkowicie obcym środowisku. Utrwalone na taśmie magnetofonowej relacje niektórych

z nich znajdują się w archiwum Ośrodka Dokumentacji Dziedzictwa w Bradford, gdzie przechowywane są nagrane wywiady (czasem przepisane na maszynie, czasem nie) z mieszkającymi w tym mieście imigrantami z Europy Wschodniej. Materiały te stanowią cenną pomoc dla każdego, kto interesuje się społecznością polską i społecznościami bałtyckimi w Wielkiej Brytanii. Niestety, nie zawierały one odpowiedzi na pytania, które szczególnie mnie nurtowały.

Stopniowo idea napisania historii polskich i bałtyckich uchodźców w Wielkiej Brytanii zaczęła nabierać kształtu. Istniało oczywiście trochę książek i artykułów na ten temat, lecz nie w takiej formie, jaka chodziła mi po głowie. Ja zamierzałem przedsięwziąć, w mniej więcej równych proporcjach, przymusowe oderwanie imigrantów od ojczyzny, ich dramatyczny exodus i okoliczności ich osiedlenia się w Wielkiej Brytanii. Moja książka miała się również, w znacznie większym stopniu niż inne, opierać na wywiadach z uchodźcami i ich dziećmi. Postawiłem sobie za cel, aby część tej historii została opowiedziana ich słowami. Pociągało to za sobą konieczność przeprowadzenia szczegółowych wywiadów z tymi, którzy zgodziliby się nagrać swoje wspomnienia na taśmę. Ostatecznie około czterdziestu osób uczestniczyło w wywiadach, trwających od półtorej godziny do trzech godzin każdy.

Jestem im wszystkim ogromnie zobowiązany, że podzieliły się ze mną czymś, co dla wielu z nich było niezwykle bolesnymi doświadczeniami: utratą domów, rodzin i przyjaciół, niewyobrazalnie ciężkimi warunkami życia w radzieckich i nazistowskich obozach i miejscach zsyłki, katastrofą Powstania Warszawskiego, poczuciem zdrady, jakiej alianci dopuścili się wobec nich w Teheranie i w Jałcie, utratą nadziei po powrocie z wojny i trudnościami - w niektórych przypadkach skrajnymi, lecz do pewnego stopnia wspólnymi dla nich wszystkim - w przystosowaniu się do brytyjskiego stylu życia i pracy. Wielu musiało imać się prostych zajęć, poniżej swoich kwalifikacji zawodowych. Znosili obojętność i niechęć, okazywane im przez większość Brytyjczyków, które czasem przeradzały się w otwartą wrogość, zwłaszcza ze strony różnych odłamów politycznej i związkowej lewicy. Składałem im wszystkim gorące podziękowania.

Szczególnie wdzięczny jestem za zyczliwą pomoc i współpracę, jaką przy zbieraniu materiałów i pisaniu książki okazali mi członkowie Towarzystwa Brytyjsko-Bałtyckiego, zwłaszcza Gunars Tamsons, Lia Ottan i Erica Sar-

kanbardis, a także członkowie łotewskich, estońskich i litewskich klubów w Bradford. Jestem nie mniej zobowiązany członkom polskiej społeczności w mieście oraz członkom Polskiego Klubu Byłych Kombatantów i Klubu Parafialnego. Dziękuję również Michaelowi Krupie, W. Krzystowskiemu i Józefowi Wojciechowskiemu za pouczające rozmowy. Wielkiej pomocy i wsparcia udzielił mi doktor K. Stoliński, prezes Fundacji Polskiego Podziemia w Ealing Common w Londynie, archiwista K. Bozeje-wicz i sekretarka S. Żarek. Pani Schmidt, starszy bibliotekarz Biblioteki Polskiej w Hammersmith, łaskawie zapewniła mi dostęp do papierów doktora Józefa Retingera. Jestem również wdzięczny Archiwum Dokumentacji Publicznej w Kew za dostęp do papierów różnych departamentów rządu brytyjskiego. Gorące podziękowania należą się mojemu synowi, Nickowi Lane'owi, i synowej, Anie Hidalgo, którzy przeczytali cały rękopis w czasie, kiedy sami byli bardzo zajęci pisaniem, i udzielili mi wielu cennych wskazówek dotyczących zarówno treści, jak i stylu. Elżbieta Stadt-muller uprzejmie podzieliła się ze mną swymi fachowymi komentarzami, zwłaszcza na temat pierwszej części rękopisu, i uchroniła mnie przed wieloma błędami, za co jestem jej ogromnie wdzięczny. Jej rodzice, Ludwik i Elżbieta Stadtmullerowie, którzy przeżyli zarówno radziecką, jak i niemiecką okupację, dali mi relację z pierwszej ręki o życiu we Lwowie w latach 1939-1944. Dzięki kilku długim rozmowom z Kazimierzem Mochlińskim uzyskałem wiele cennych informacji na temat polskich emigrantów w Wielkiej Brytanii. Jak zwykle mogłem liczyć na skuteczność i zaradność pracowników Biblioteki J.B. Priestleya na uniwersytecie w Bradford, zwłaszcza Grace Hudson, bibliotekarki Wydziału Studiów Europejskich. Moi redaktorzy w wydawnictwie Palgrave Macmillan, Luciana O'Flaherty i Daniel Bunyard, służyli mi bezcennymi radami i szybkimi odpowiedziami na moje pytania, jak również narzucali nieprzekraczalne terminy, co było dla mnie korzystne. Na koniec chciałbym gorąco podziękować Jean Lane, zarówno za wsparcie, jak i za wyrozumiałość dla moich długich nieobecności, kiedy przesiadywałem w bibliotekach albo przy klawiaturze komputera. Rozumie się samo przez się, że pełną odpowiedzialność za ostateczny kształt książki ponoszę wyłącznie ja.

Wprowadzenie

LICZBA OFIAR Stalina i Hitlera sięga dziesiątków milionów. Znalazło się wśród nich kilka milionów obywateli państw niepodległych w okresie międzywojennym, takich jak Polska, Litwa, Łotwa i Estonia. Zostali oni deportowani, przesiedleni lub uwięzieni przez podwładnych Hitlera i Stalina we wczesnym okresie drugiej wojny światowej lub uciekli przed Armią Czerwoną wkraczającą do Europy Środkowej pod koniec wojny. Po wojnie wielu Polaków wróciło do ojczyzny, wielu jednak nie zdecydowało się na powrót i znalazło dla siebie nowe domy w Wielkiej Brytanii i innych krajach zachodnich. Bardzo niewielu Estończyków, Łotyszy i Litwinów (czyli Bałtów, jak będziemy ich zbiorowo określać) powróciło do domu, a ci, którzy pozostali, też stworzyli nowe społeczności na Zachodzie. Ta książka jest historią - opowiedzianą niekiedy ich własnymi słowami - oderwania od ojczyzny, wędrówek, bolesnych doświadczeń w więzieniach i obozach pracy oraz prób zapuszczenia korzeni na obcej ziemi.

Rok 1939 przyniósł klęskę i rozczłonkowanie państwa polskiego, co zwykle się nazywać czwartym rozbiorem Polski. Wyzaczył również początek końca niepodległych państw bałtyckich, Estonii, Łotwy i Litwy. Każde z tych państw podpisało traktaty o nieagresji z Niemcami i Związkiem Radzieckim, lecz dla ludzi na Kremlu i w Berlinie traktaty nic nie znaczyły. To, co się wydarzyło, było demonstracją oportunistów, głębokiego cynizmu i pogardy dla słabych. Owa zsynchronizowana agresja pociągnęła za sobą tragiczne konsekwencje dla jej ofiar, ale ponieważ w oczach nazistów były one *untermenschen*, podludźmi, istotami niższymi, a w terminologii radzieckiej wrogami ludu, nowi władcy nie przejmowali się ich cierpieniami.

Te dwa światopoglądy przypisywały ludzi do całkowicie sztucznych kategorii, rzekomo na podstawach naukowych, ale często arbitralnie i na chybił-trafił i, by posłużyć się w tym kontekście znanym eufemizmem, eliminowały kategorie, które nie cieszyły się względami historii. Polskie i bałtyckie ofiary Stalina nie były jednak wrogami ludu, były zwykłymi ludźmi. A ludzie byli wrogami zarówno stalinowskiego komunizmu, jak i nazizmu. Zgodnie z leninowskim schematem wzajemnych stosunków opartych na sile - kto kogo? - musieli zostać ujarzmieni. Moskwa i Berlin mogły się z nimi rozprawić, ponieważ liczyła się siła, a nie przyzwoitość. Rozprawiając się z nimi, przekształciły ich w ofiary i zapoczątkowały niezwykle łańcuch wydarzeń, którego kulminację stanowiło osiedlenie się znacznej ich liczby w różnych częściach Europy i reszty świata.

Nazistowskie represje wobec narodów podbitych są dobrze znane na Zachodzie. Wymuszenie europejskich Żydów podczas Holocaustu było jedynym w swoim rodzaju przykładem ludobójstwa dokonanego na jednej grupie etnicznej przez inną. Ci, którzy wiedzą o Holocaustie, a więc praktycznie wszyscy, są wstrząśnięci jego skalą, strasliwym celem i pogardliwym odrzuceniem ludzkich wartości. Holocaust to nie żarty, jak zauważył Martin Amis. Polacy i bałtyccy uchodźcy w Wielkiej Brytanii z pewnością z niego nie żartują. Ale nie śmieją się też z bolszewizmu, ideologii obowiązującej do niedawna na „niehumanitarnej ziemi” za ich wschodnimi granicami. Pod tym względem nie zgodziliby się z twierdzeniem Amisa, „że trudno powstrzymać śmiech w przypadku ZSRR” i że późny bolszewizm Breżniewa i Czernienki był „boleśnie, nieodparcie komiczny”. Choć możemy się zgodzić, że Polska żyła dowcipami o komunistycznych władcach na Kremlu, była to odmiana wisielczego humoru w sytuacji stałego zagrożenia ze strony Moskwy. Stan wojenny w 1981 roku został wprowadzony prawdopodobnie po to, aby zapobiec bezpośredniej interwencji radzieckiej przeciwko „Solidarności”. Ale nawet gdyby Rosjanie nie zamierzali interweniować militarnie, Polacy wierzyli, że mogliby to zrobić, i ta groźba była zawsze obecna w ich świadomości. Jeśli niektórzy ludzie na Zachodzie mogli uważać zgrzybiałych starych na Kremlu, którzy rządzą Związkiem Radzieckim przed Gorbaczowem, za śmiesznych, na pewno nie znajdą nic humorystycznego w Józefie Stalinie.

Istniejąca na Zachodzie skłonność, aby, na przekór wszystkiemu, drwić z bolszewizmu - w połączeniu z

wypieszczonymi wspomnieniami o młodzieńczym idealizmie, zabarwioną sympatią dla sprawy komunistycznej -

stworzyła barierę, która uniemożliwia uświadomienie szerokim rzeszom czytelników represyjnej natury systemu radzieckiego. Trzeba jednak przyznać, że głośne prace Roberta Conquesta i innych zachodnich historyków, demaskatorskie rewelacje Aleksandra Solżenicyna *vi Archipelagu GULag* oraz wnikliwe felietony dziennikarza Bernarda Levina nakreśliły charakterystyczne cechy terroru w stylu radzieckim. Mimo to trudno byłoby się upierać, iż wspomniane prace, choć dobrze udokumentowane i przekonujące, miały taki sam wpływ na zachodnią opinię publiczną jak masowa produkcja na temat Holocaustu, obejmująca liczne książki, popularne artykuły w gazetach, filmy, programy telewizyjne i sztuki teatralne. W tym miejscu nasuwa się proste pytanie: dlaczego kolejne rządy niemieckie kajały się za zbrodnie przeciwko ludzkości popełnione przez swego nazistowskiego poprzednika i wypłacały odszkodowania ofiarom tych zbrodni, natomiast Rosja, samozwańcza sukcesorka Związku Radzieckiego, zachowywała uparte milczenie. Jak zauważył David Pryce-Jones, setki tysięcy funkcjonariuszy KGB żyje spokojnie na państwowej emeryturze i nie ma żadnej dokumentacji podobnej do tej, jaką zaczęto gromadzić na temat nazistów w Niemczech po drugiej wojnie światowej¹. W grudniu 2003 roku Zgromadzenie Bałtyckie złożone z posłów do parlamentów Estonii, Łotwy i Litwy uchwaliło rezolucję potępiającą totalitarny komunizm, „ponieważ niewielu ludzi zostało za to ukaranych”. Wielu bałtyckich przywódców ubolewa nad tym, że zbrodnie Związku Radzieckiego są mniej znane niż zbrodnie reżimu hitlerowskiego i próbuje przedłożyć Parlamentowi Europejskiemu rezolucję potępiającą komunistyczny totalitaryzm. Wielu postrzega to jako pierwszy krok w kierunku wystąpienia o zadośćuczynienie finansowe za okupację i deportacje narzucone państwu bałtyckim przez Związek Radziecki².

To prowadzi do drugiego pytania: dlaczego Zachód nie wymaga od Rosji takich samych standardów skruchy i zadośćuczynienia, jakich oczekuje od Niemiec? Odpowiedź jest dosyć złożona i obejmuje kwestie polityki światowej, kalkulacje na temat bezpieczeństwa nuklearnego i korzyści ekonomicznych oraz rolę różnych grup interesów. Nie da się jednak zaprzeczyć, że zachodnia opinia publiczna nie pogodziła się jeszcze w pełni z okrucieństwami, które stanowiły nieodłączną cechę rządów radzieckich. Komunizm pozostał, ujmując rzecz słowami Pryce-Jonesa, „potwornością zbyt wielką, żeby przejść nad nią do porządku”. Dwie najnowsze prace, *Guiag* Anne Applebaum i *Koba the Dread* Amisa, próbują

się zmierzyć z tą potwornością, systematyzując i podsumowując dotychczasowe ustalenia. Po upadku komunizmu prasa radziecka przyznała, że Stalin w okresie swoich dyktatorskich rządów rozkazał wymordować około pięćdziesięciu milionów obywateli radzieckich. Pogodzenie się z tą zbrodnią jest wystarczająco trudne, a dodatkowo przeszkadza wdzięczność Zachodu za heroiczne wysiłki militarne Związku Radzieckiego podczas drugiej wojny światowej. Jak zauważył Solżenicyn, Zachód wybaczył Stalinowi czystki „z wdzięczności za Stalingrad”. Ta wdzięczność sprzyjała idealizacji radzieckiego komunizmu przez zachodnią lewicę i przez całe dziesięciolecia po wojnie nie pozwalała na obiektywną ocenę radzieckiej historii³.

Mówiło się często, że bolszewicy prowadzili wojnę z narodem rosyjskim. Równie prawdziwe jest twierdzenie, iż prowadzili wojnę z nierosyjskimi grupami etnicznymi, które miały nieszczęście zamieszkiwać Związek Radziecki. Co więcej, prowadzili wojnę z sąsiednimi narodami, którym narzucili zwierzchnictwo Moskwy. Wschodnia Polska została przyłączona do państwa radzieckiego w konsekwencji radziecko-niemieckiego paktu z sierpnia 1939 roku. Państwa bałtyckie stały się częścią Związku Radzieckiego latem 1940 roku, a później znowu w 1944 roku, po krótkim okresie okupacji niemieckiej. Averell Harriman, amerykański ambasador w Związku Radzieckim podczas drugiej wojny światowej, zanotował swoją rozmowę ze Stalinem na temat odsetka ludności, jaki trzeba poddać eksterminacji, aby wyniszczyć naród. Radzieccy naukowcy, oświadczył Stalin, obliczyli, że jeśli wyeliminuje się pięć procent populacji, naród zginie. Deportacje ludności ze wschodniej Polski i z państw bałtyckich były obliczone na wyniszczenie tych narodów⁴. Historycy pisali o tych wydarzeniach, znowu jednak należy spytać, jak szeroko znane są ich prace? „Muszę w tym miejscu uczynić kłopotliwe wyznanie - powiedział kanadyjski premier do Polonii kanadyjskiej w sierpniu 2000 roku. - Aż do [niedawna] nie wiedziałem, że półtora miliona Polaków zostało oderwanych

od swojej ojczyzny i wywiezionych w głąb Związku Radzieckiego. Pytałem o to innych ludzi i jest rzeczą zdumiewającą, jak niewiele o tym wie [...]. Musimy wyciągnąć z tego naukę i nie pozwolić, aby o tym zapomniano"⁵. Tego rodzaju niewiedza nie jest zapewne niczym niezwykłym.

Jednym z celów niniejszej książki jest dodanie kolejnej cegiełki do pomnika ofiar radzieckiego totalitaryzmu. Ale książka, jak Aynnik z jej tytułu, ma też bardziej konkretny cel. Rzadko naoczni świadkowie ra-

dzieckiego systemu represji przedostawali się na Zachód, aby opowiedzieć o swoich przeżyciach. Udało się to jednak niektórym Polakom i Bałtom. Istnieje wiele relacji o ich doświadczeniach, sporządzonych niedługo po ucieczce z radzieckich więzień. Nie są to książki naocznych świadków, jakich ukazało się w języku angielskim niemało, lecz niepublikowane wspomnienia, spisane w okresie, kiedy pamięć była jeszcze świeża i bolesna. Są też inne relacje, zarejestrowane na taśmie magnetofonowej po kilku dziesiątkach lat spędzonych na Zachodzie, w których rozmówcy próbowali nadać sens dramatycznym i okrutnym doświadczeniom, jakie ukształtowały ich życie. Miałem szczęście nagrać na taśmę około czterdziestu takich opowieści. Mogłem również wykorzystać nagrania przechowywane w Ośrodku Dokumentacji Dziedzictwa Miasta Bradford, który w latach osiemdziesiątych zarejestrował wspomnienia znacznej liczby uchodźców z Europy Wschodniej. Nagrania mają różną długość; niektórzy ludzie są bardziej rozmowni, inni lakoniczni, jeszcze inni wyrażają się niezwykle obrazowo. Niektóre relacje nadają się do cytowania bardziej niż inne, nieuchronnie zatem będą się wyróżniać spośród przytoczonych wyjątków. Ale te bardziej prozaiczne, nawet jeśli nie pojawiają się w tekście zbyt często, pozwalają zweryfikować wiarygodność innych relacji. Nagrania te, zebrane razem, umożliwiają historykom zrekonstruowanie doświadczeń wąskiej grupy ludzi, którzy ucierpieli pod rządami Stalina i Hitlera i którzy zostali wygnani lub, mówiąc bardziej precyzyjnie, sami wybrali wygnanie, ponieważ nie mogli znieść życia w systemie radzieckim ani dnia dłużej.

Owe relacje nie są wspomnieniami przedstawicieli inteligencji i klas wyższych, takich jak polscy uchodźcy w Paryżu po nieudanych powstaniach przeciwko caratowi w latach 1830-1831 i 1863, czy uciekinierzy z Rosji bolszewickiej w Paryżu, Londynie i Berlinie jak Władimir Nabokov czy Isaiah Berlin. Ani nawet polskich grup przywódczych w Londynie po drugiej wojnie światowej. Odzwierciedlają raczej koleje losu zwykłych ludzi: muzyków, chłopów, studentów, inżynierów, farmaceutów, księży, strażników granicznych, kierowców, leśniczych i żołnierzy. Także koleje losu ich rodzin, ponieważ mężczyźni, kobiety i dzieci byli w równym stopniu ofiarami totalitaryzmu. To z kolei mówi wiele o reżimie radzieckim. Wybierał on swoje ofiary z różnych klas społecznych, często zupełnie arbitralnie, aby wykonać narzucone normy, zwykle w zgodzie z pokrętną logiką stalinowskich dogmatów, zawsze po to, aby zasiać terror w sercach tych, którzy jak

dotąd uniknęli represji. Wieda Skultans napisała o swoich łotewskich rozmówcach, iż niektórzy z nich pamiętają, dzień po dniu, swoje przeżycia w radzieckich więzieniach i miejscach zsyłki, rodziny i przyjaciół, których tam utracili, i nadal ich oplakują. Ale wśród uchodźców zdarzały się osoby, które przyznawały, że pogrzebały wspomnienia, aby przystosować się do życia w nowym kraju i założyć nowe rodziny. A niektóre z nich podczas wywiadu otwierały swoje dusze, „ożywiały wspomnienia" po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat. Mogło to być bardzo bolesne. Zapewne pogrzebanie wspomnień było związane z przystosowaniem się do życia. Ale mógł to być również sposób na pogodzenie się z losem, strachem, wyobcowaniem i rozwianymi nadziejami. Przedstawiciele drugiego pokolenia często przyznawali, że ich rodzice nigdy nie opowiadali o swoim życiu w Polsce i w krajach bałtyckich. Jest to najzupełniej zrozumiałe, jak bowiem urodzone w Wielkiej Brytanii dzieci lub brytyjskie albo włoskie żony mogłyby

zrozumieć ich przeżycia w radzieckich bądź niemieckich więzieniach i obozach pracy. Niektórzy oczywiście podejmowali takie próby, a porozumienie było łatwiejsze, jeśli oboje rodzice mieli podobne doświadczenia.

Z opowieściami tak już jest, że chcemy wiedzieć, co wydarzyło się potem. W następnych rozdziałach będziemy mogli prześledzić doświadczenia tych ludzi w obozach i miejscach zesłania, w pociągach deportacyjnych lub w polskiej, niemieckiej bądź rosyjskiej armii, w Warszawie podczas powstania 1944 roku, na statkach i w obozowiskach w Iranie, w II Korpusie Polskim, w węgierskich ośrodkach dla internowanych, pod Monte Cassino lub Arnhem i w obozach dla przesiedleńców (dipisów, od *displaced person*) w Niemczech. Ale co było potem? Dlaczego wielu z nich przyjechało do Wielkiej Brytanii i jak ułożyli tam sobie nowe życie? Jak znaleźli pracę? Gdzie mieszkali? Jak budowali swoje społeczności? Czego pragnęli dla swoich dzieci? Czy obywatele polskiego i bałtyckiego pochodzenia zasymilują się w końcu pod presją otoczenia, czy też poczucie odrębnej tożsamości i wspólnoty przetrwa do trzeciego, czwartego lub jeszcze późniejszych pokoleń? Ta książka opowiada zatem o wysiedleniu, wędrówkach, wygnaniu, ponownym osiedleniu i wreszcie o budowaniu wspólnoty. Zanim jednak rozpoczęły się dramatyczne przeżycia lat wojny, niemal niepojęte zarówno dla samych uchodźców, jak i dla czytelników na Zachodzie, nastąpiły bardziej prozaiczne zakłócenia zwykłego biegu życia ludzi, którzy stanęli w obliczu wojny i inwazji. Książka zaczyna się więc od rozdzia-

łu o ostatnich dniach pokoju w Polsce i w państwach bałtyckich tuż przed okresem powszechnego zamętu.

Książka nie pretenduje do tego, żeby być „historią ustną”. Wykorzystuje wprawdzie techniki tego rodzaju, takie jak zarejestrowane na taśmie wywiady i liczne rozmowy z uczestnikami tamtych odległych wydarzeń. W takim samym stopniu opiera się jednak na konwencjonalnych źródłach pisanych, artykułach naukowych, opracowaniach, wspomnieniach i dokumentach rządowych. Jest to absolutnie niezbędne, aby pokazać wydarzenia nie tylko z jednej perspektywy i umieścić indywidualne relacje w szerokim i, w miarę możliwości, precyzyjnym kontekście. Zarazem skala tych wydarzeń, dotyczących milionów ludzi, straszliwy los, jaki stał się udziałem wielu z nich, przytępią wrażliwość i przekraczają granice pojmowania. Relacje osobiste są zatem konieczne, jeśli chcemy zrozumieć wpływ tych wydarzeń na poszczególne jednostki. Jak na przykład mamy się uporać z następującą statystyką: w czterech masowych deportacjach w latach 1940-1941 około miliona obywateli polskich zostało zesłanych do północnej Rosji, na Syberię lub do Kazachstanu. Mniejsze deportacje, aresztowania, egzekucje i ewakuacje na wschód polskich jeńców wojennych objęły kolejne kilkaset tysięcy ludzi, do których należy doliczyć około dwustu tysięcy polskich poborowych w armii radzieckiej. Ogółem straty ludności na ziemiach polskich pod okupacją radziecką sięgały około 1,6 miliona w ciągu niespełna dwóch lat - od wkroczenia wojsk radzieckich 17 września 1939 roku do niemieckiej inwazji na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku. Wśród deportowanych 560 tysięcy stanowiły kobiety, 380 tysięcy dzieci, a 150 tysięcy osoby starsze lub chore. Z ogólnej liczby 1,6 miliona co najmniej połowa zmarła zapewne na skutek ciężkich warunków w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1942 roku. Zaledwie 100 tysięcy mogło opuścić Związek Radziecki przez Iran w 1942 roku na mocy porozumienia między Stalinem a polskim rządem na uchodźstwie, wspieranym przez rząd brytyjski. Jednocześnie na okupowanym przez Niemców obszarze zachodniej Polski około 900 tysięcy Polaków i 600 tysięcy polskich Żydów zostało przesiedlonych do Generalnego Gubernatorstwa ze stolicą w Krakowie, wywiezionych do Niemiec jako przymusowa siła robocza (dotyczy to Polaków) bądź zamkniętych w gettach i obozach koncentracyjnych (dotyczy to Polaków pochodzenia żydowskiego). Całkowita liczba robotników przymusowych wywiezionych z Polski do Niemiec podczas wojny wynosiła około 2,8 miliona, a liczba polskich jeńców wojennych wziętych do

niewoli przez wojska niemieckie około 400 tysięcy (byli oni niekiedy bezprawnie wykorzystywani jako siła robocza). Należy do tego dodać około pół miliona ludzi wywiezionych do Niemiec po stłumieniu Powstania Warszawskiego w 1944 roku⁶. Radziecką kampanię przeciwko ludności na terytoriach okupowanych przerwała niemiecka inwazja, w przeciwnym razie byłaby ona kontynuowana, dopóki „problem” polski nie zostałby rozwiązany. Toczyła się również podobna, wspólna, radziecka i nazi-stowska wojna z ludnością państw bałtyckich, o proporcjonalnie niszczycielskich skutkach. Wymowa tych liczb, ich znaczenie w kategoriach ludzkich, są trudne do przyswojenia. Aby to zrozumieć, potrzebujemy

pomocy relacji osobistych.

A wreszcie nie możemy ignorować pytania, które się niewątpliwie pojawi, o wiarygodność pamięci. Jak możemy być pewni, że to, co słyszymy, jest dokładne i „prawdziwe”, zwłaszcza kiedy wywiady zostały przeprowadzone kilkadziesiąt lat po opisywanych wydarzeniach? Krótka odpowiedź jest taka, że nie możemy. Opisywane wydarzenia były jednak do tego stopnia traumatyczne, do tego stopnia kształtujące, do tego stopnia wryły się w młodych umysłach, iż wydaje się mało prawdopodobne, aby nie zostały szczegółowo zapamiętane. Jeśli wkradły się jakieś nieścisłości lub powstały luki w pamięci, nagrane relacje można zweryfikować, zestawiając je z wieloma innymi świadectwami lub dokumentami zebranymi przez rządy i ich przedstawicieli. Czasem odnosi się wrażenie, jakby pamięć zbiorowa została wchłonięta przez jednostkę, która powtarza ją jako własne wspomnienia, chociaż nie była naocznym świadkiem konkretnych wydarzeń. Niekoniecznie dyskwalifikuje to źródło jako zafalszowane, ale znowu potrzebna jest jego weryfikacja przez zestawienie z innymi świadectwami. Jedną z najbardziej uderzających cech owych wywiadów był rzeczowy, nacechowany rezerwą, beznamiętny ton, jakim większość ludzi opowiadała o niezwyklej, „nie z tego świata” doświadczeniach, jakby rozmówcy byli świadomi swoich zobowiązań wobec potomności. Potwierdza to estoński, wydany poza zasięgiem cenzury dokument upamiętniający czterdziestą rocznicę deportacji 1941 roku, który dotarł na Zachód w 1981 roku. Czytamy w nim: „Jest podstawowym obowiązkiem wszystkich ludzi starszych i w średnim wieku - wobec przeszłości i wobec młodego pokolenia - po wiedzieć prawdę o swoich doświadczeniach [...] szczerze i bez przemilczeń”. Dalej tekst głosił: „Nie ludźmy się. Nawet jeśli spróbujemy zapomnieć o niesprawiedliwości, jaką wyrządzono nam za naszego życia, KGB nigdy nie wymaże jej ze swoich akt personalnych i teczek i nigdy nie zapomni, że ci młodzi ludzie są naszymi dziećmi...”.

Jest także możliwe, co należy wziąć pod uwagę przy ocenie świadectw ustnych, że tok narracji został ukształtowany pod wpływem pytań zadawanych przez osobę przeprowadzającą wywiad, a co za tym idzie, uległ zniekształceniu. Innymi słowy, pytający uzyskuje takie odpowiedzi, jakie chce usłyszeć lub jakie w przeświadczeniu rozmówcy chce usłyszeć. Niewiedza przeprowadzającego wywiad może doprowadzić do krótkich i mało treściwych odpowiedzi. Ale dobrze postawione pytania, uzupełnione inteligentnymi pytaniami dodatkowymi, mogą być bardzo owocne. Oczywiście nie można wykluczyć, że na odpowiedzi miało również wpływ wyczulenie rozmówcy na narodowość, pochodzenie społeczne i wiek osoby przeprowadzającej wywiad. Ja jednak odniosłem nieodparte wrażenie, że często rozmówcy przekazywali to, co chcieli powiedzieć, i nie pozwalali, aby temat ustalała wyłącznie osoba przeprowadzająca wywiad. Ostatecznie musimy się zgodzić na interpretację wspomnień przez rozmówcę w świetle całości jego lub jej doświadczeń życiowych. Innymi słowy, rozmówca próbuje nadać sens dramatycznym i okrutnym doświadczeniom swego wcześniejszego życia, doświadczeniom, które uczyniły go takim, jakim jest obecnie. Jeśli występuje gdzieś utrata lub zniekształcenie pamięci, da się to zweryfikować przez porównanie z innymi wspomnieniami i świadectwami. Przede wszystkim jednak, jeśli mamy zrozumieć społeczność uchodźców w Wielkiej Brytanii, ich motywy, wartości, ideały, musimy wiedzieć, jak postrzegają wydarzenia, które ukształtowały ich osobowość, uczyniły ich takimi, jakimi są⁷. Rozpocniemy więc w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej i w kolejnych rozdziałach będziemy podążali przez kataklizmy wczesnych lat i mniej obfitujący w wydarzenia okres pokojowego życia w Wielkiej Brytanii.

ROZDZIAŁ I

„Ponadczasowy i magiczny świat”?

BYŁOBY RZECZĄ NATURALNĄ, gdyby ludzie, którzy tyle wycierpieli pod rządami bolszewików i nazistów, idealizowali swoje wcześniejsze życie, żeby zdystansować się od chaosu i przemocy, które nastąpiły później. Na podstawie swoich wywiadów z obywatelami łotewskimi, którzy zostali deportowani do Związku Radzieckiego podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu i, dużo później, powrócili do ojczyzny, Vieda Skultans doszła do wniosku, że rozmówcy przywołują „ponadczasowy i magiczny świat” dzieciństwa i młodości, stanowiący dla nich wzorzec, według którego oceniają wszystkie późniejsze wydarzenia¹. Natomiast trudno odnaleźć te cechy w wypowiedziach rozmówców polskiego i bałtyckiego pochodzenia w Wielkiej Brytanii, których opisy przedwojennego życia są przytłumione i na ogół niewyidealizowane. Mimo to z beznamiętnego charakteru relacji wciąż przebija świadomość utraconego stylu życia i zaprzepaszczonej możliwości. Wywiady oddziałują albo przez skojarzenia, albo, pośrednio, przez otwarte wyrażenie emocji. Fakt, że uchodźcy w Wielkiej Brytanii musieli opisywać swoje doświadczenia w drugim języku, angielskim, natomiast Łotysze mogli mówić w swoim ojczystym, częściowo tłumaczy różnicę w tonie. Co więcej, Łotysze, po powrocie na Łotwę po wielu latach, musieli znosić rygoru narzucone przez reżim radziecki i obserwować przygnębiające przeobrażenia swego kraju, demograficzne, ekonomiczne i ekologiczne. Ich codzienne doświadczenia nieuchronnie wyostrzyły kontrast pomiędzy współczesną a przedwojenną Łotwą ich młodości. Ci, którzy żyli na wygnaniu za granicą, mieli mniej powodów, aby idealizować swoją młodość; widzieli, że życie w Wielkiej Brytanii jest ogólnie zadowalające i zapewnia

ich dzieciom, jeśli nie im samym, możliwości co najmniej porównywalne z tymi, jakie miałyby w świecie przedwojennym. Prawdopodobnie również rozmówcy mogli myśleć, że nieuprzejmie byłoby wychwalać zanadto swoje kraje ojczyste, ponieważ mogłoby to tym samym wydawać się niewdzięcznością wobec kraju, który ich przyjął. Z drugiej strony ta okoliczność nie przeszkodziła części pamiętnikarzy w stworzeniu obrazu idyllicznego życia w przedwojennej Polsce, które zniszczyła wojna².

Jeśli świat w przededniu wojny nie był idylliczny, to był przynajmniej pokojowy i zwyczajny, z normalnymi oczekiwaniami i nadziejami, a także szansą na realizację własnych aspiracji. Był to również świat rozwoju ekonomicznego, choć ów rozwój postępował nierównomiernie, rosnących możliwości edukacyjnych i żywiołowej działalności kulturalnej. Sytuacja międzynarodowa mogła napawać niepokojem, zwłaszcza w latach trzydziestych, co wiązało się z dojściem do władzy Hitlera i stopniowym wcielaniem w czyn jego rewizjonistycznych ambicji. Pod tym względem jednak nie występowała znacząca różnica pomiędzy ludnością państw bałtyckich a mieszkańcami Europy Zachodniej, ponieważ wszyscy żywili podobne obawy, różniące się co najwyżej stopniem natężenia.

Świat Polaków i narodów bałtyckich był również niejednorodny etnicznie, ponieważ ludność Polski i krajów bałtyckich składała się z wielu narodowości. W Polsce zaledwie dwie trzecie populacji stanowili etniczni Polacy, natomiast resztę tworzyli głównie Ukraińcy, Białorusini, Żydzi i Niemcy oraz niewielki odsetek Litwinów. W Estonii i innych krajach bałtyckich mieszkała ludność autochtoniczna, a prócz tego Żydzi, Niemcy bałtyccy, Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini oraz inne mniej liczne grupy etniczne. Był to świat, w którym każda z grup wiedziała, lub uważała, że wie, bardzo dużo o innych narodowościach żyjących na tym samym obszarze. Przede wszystkim jednak ludność tych krajów, niezależnie od przynależności etnicznej, aż za dobrze znała obce panowanie czy to Rosji, czy to Niemiec, czy też Austro-Węgier. Walka tych niepodległych od niedawna krajów o ekonomiczne i polityczne przetrwanie w otoczeniu wrogich i rewizjonistycznych sąsiadów zdominowała okres międzywojenny. W miarę jak zbliżała się wojna, państwa te miały nadzieję, że otrzymają pomoc od mocarstw zachodnich, Francji i Wielkiej Brytanii, i dokonywały kalkulacji, która z wielkich potęg, Niemcy czy Związek Radziecki, będzie bardziej niebezpieczna dla ich interesów. Były to zwykłe tematy rozmów. Ale wojna, kiedy wreszcie wybuchła, przybrała całkowicie nieoczekiwany obrót. Większość respondentów w Wielkiej Brytanii wspominała zaskoczenie, a nawet zdumienie swoich rodzin i lokalnych społeczności, kiedy się dowiedziały, że dwie wielkie potęgi, Związek Radziecki i Niemcy, zawarły sojusz, aby wykroić sobie strefy wpływów na obszarze bałtyckim. Tak pokrótce wyglądała sceneria, w której ludzie wiedli swoje zwyczajne życie. W wymiarze jednostkowym wojna i późniejsze wydarzenia oznaczały nie tylko chaos i zniszczenie, lecz także krach oczekiwań. Kiedy w 1945 roku wojna dobiegła końca, ludzie w większości walczących krajów mogli określić, jak chcą kształtować swoje zbiorowe i indywidualne życie. W

krajach bałtyckich i w Polsce nie mogli tego zrobić przez dwa pokolenia. Dla nich druga wojna światowa skończyła się dopiero w chwili upadku reżimów komunistycznych.

Opowieści bałtyckich i polskich uchodźców w Wielkiej Brytanii, podobnie jak wiele innych, które opisują początek wojny, są opowieściami

O utraconym życiu. Najbardziej przejmującą cechą owych relacji jest poczucie nieodwracalności straty. Porównajmy na przykład położenie uchodźców z sytuacją poborowych z Europy Zachodniej. Ci ostatni, jeśli przeżyli wojnę, mogli oczekiwać, że wrócą do domu i poprzedniego życia, do krewnych i przyjaciół, do dawnej pracy i zawodu. Polscy i bałtyccy uchodźcy, przeciwnie, nie mogli podjąć na nowo tego, co przerwali, ponieważ za wody, których się wyuczili, lub możliwości edukacyjne, których poszukiwali, w zasadzie były dla nich niedostępne w nowych krajach osiedlenia. Musieli *zaczynać* od nowa i w pocie czoła zarabiać na swoje utrzymanie, aby zbudować nowe życie dla siebie i swoich dzieci. Jeśli chodzi o ścisłość, przez kilka lat po wojnie żywili nadzieję powrotu do domu, ale radziecki monolit nie pękał, tak jak się spodziewali, i zmiana stawała się nieodwracalna.

Jedna z relacji szczególnie dobrze ilustruje ostateczny charakter zmiany, jaka się dokonała. Pewien nauczyciel muzyki w Warszawie nosił się z zamiarem otwarcia własnej szkoły muzycznej. Powołany do rezerwy, kiedy we wrześniu 1939 roku Niemcy uderzyli na Polskę, powiedział żonie i trójce małych dzieci, że za dwa-trzy dni wróci, „aby zapewnić im wszystko, czego potrzebują”. Dostał się do niewoli, został deportowany i nigdy więcej go nie zobaczyli³. Podobnie pewien policjant, który dorabiał sobie jako muzyk, również z Warszawy, postanowił uciec wraz z nastoletnim synem, kiedy zbliżały się wojska niemieckie. Po wielu przygodach znalazł tymczasowe schronienie na Litwie, został aresztowany, kiedy Rosjanie wkroczyli na Litwę w czerwcu 1940 roku, wywieziony na Półwysep Kolski

w północnej Rosji, zwolniony po układzie polsko-radzieckim z lipca 1941 roku i ostatecznie opuścił Związek Radziecki przez Iran z armią polską w 1942 roku. Jego syn, któremu nie udało się przekroczyć granicy rumuńskiej, wrócił do Warszawy, aby zamieszkać z matką, i wstąpił do polskiej armii podziemnej⁴.

Pewien Estończyk opowiedział o własnej przerwanej karierze. Kształcąc się na farmaceutę w małym miasteczku w centralnej Estonii, uczęszczał na kursy wieczorowe, a jednocześnie pracował w aptece. Stracił pracę, kiedy Rosjanie wkroczyli do Estonii w czerwcu 1940 roku i znacjonalizowali aptekę. Otrzymał gorszą posadę w sklepie spożywczym. W przededniu niemieckiego ataku na Estonię został powołany do armii radzieckiej, ale ukrył się i uniknął poboru. Kiedy Niemcy zajęli Estonię latem 1941 roku, miał nadzieję, że podejmie naukę zawodu, ale musiał się zatrudnić jako sprzedawca ziemniaków. Nigdy nie zdobył kwalifikacji. Znacznie gorszy los spotkał jego ojca, który w chwili wybuchu wojny służył w policji. Aresztowany na początku okupacji radzieckiej, zdołał uciec, ale po roku 1943 słuch o nim zaginął. Jego syn przypuszczał, że Rosjanie schwyтали go i deportowali albo zabili, kiedy ponownie wkroczyli do Estonii w 1944 roku.

Inny uchodźca, którego życie wywróciło się do góry nogami, był mieszkańcem Cieszyna, leżącego na obszarze spornym pomiędzy Polską a Czechosłowacją. Ukończył technikum włókiennicze w południowej Polsce, a później pracował w branży tekstylnej. Kiedy wybuchła wojna, wrócił do okupowanej przez nazistów Czechosłowacji, gdzie zatrudnił się w pracowni krawieckiej. W końcu został wysłany do pracy przymusowej w stalowni w Niemczech, a później powołany do armii niemieckiej. Przerzucony do południowej Francji, zdezerterował z wojska i przyłączył się do francuskiego ruchu oporu, a w 1944 roku przekradł się przez granicę do Włoch, gdzie wstąpił do II Korpusu Polskiego generała Andersa⁵.

Znaczna liczba uchodźców wywodziła się z rodzin chłopskich mieszkających we wschodniej Polsce. Czasami rodziny gospodarowały tam od pokoleń, często jednak byli to osadnicy wojskowi, ludzie, których ojcowie walczyli w armii polskiej przeciwko bolszewikom podczas wojny 1920 roku i w nagrodę za

swoją służbę otrzymali przydziały ziemi na wschodnim pograniczu, czyli na kresach. Owi weterani byli szczególnie narażeni na represje, kiedy Rosjanie zajęli wschodnią Polskę w 1939 roku, ponieważ klęska Armii Czerwonej pod Warszawą w 1920 roku wciąż przepełniała Stalina zapiekłą urazą. To, co Polacy nazywali „cudem nad Wisłą”,

wspominano w Moskwie z goryczą i rozdrażnieniem, gdyż bitwa warszawska położyła kres bolszewickiemu pochodowi na zachód w imię światowej rewolucji. Karą dla weteranów, a także dla ich rodzin, była deportacja na mroźne pustkowia północnej Rosji. Pewien młody człowiek mieszkał w gospodarstwie rodziców na wschodnim pograniczu. Jego ojciec miał dwa gospodarstwa, jedno odziedziczył po swoich rodzicach, a drugie otrzymał w nagrodę za służbę w wojsku polskim podczas wojny z bolszewikami. Rodzina żyła więc dostatnio. Kiedy we wrześniu 1939 roku Rosjanie zajęli wschodnią Polskę, ojciec uciekł przez linię demarkacyjną na obszary pod okupacją niemiecką i pozostał tam aż do inwazji Niemiec na Związek Radziecki w 1941 roku. Bał się Rosjan nie tylko dlatego, że walczył przeciwko nim, lecz również dlatego, że zdezerterował z armii carskiej podczas pierwszej wojny światowej. Do czasu był bezpieczny, ale w 1944 roku Rosjanie ponownie zajęli wschodnią Polskę. Napisał do syna, przebywającego wówczas w Niemczech w alianckiej strefie okupacyjnej, prosząc go o radę. Zachęcany do ucieczki, nie mógł się jednak zdecydować na opuszczenie gospodarstwa i oczywiście został aresztowany. Trafił do więzienia w Grodnie, około dwudziestu pięciu kilometrów od domu, i wszelki śluch o nim zaginął - prawdopodobnie został zamordowany, jak wielu ludzi na tych obszarach. Jego syna i żonę deportowano w 1940 roku, ale siostra zdołała uciec i ukrywała się aż do końca wojny. W 1946 roku jednak została aresztowana i wyjechała w długo unikaną podróż na Syberię, gdzie spędziła dziesięć lat w obozach pracy. Wróciła do Polski w 1956 roku, wyczerpana ciężkimi przeżyciami, i niedługo potem doznała wylewu krwi do mózgu, co uczyniło z niej kalekę na resztę życia.

W represjach przeciwko osadnikom wojskowym występował przynajmniej element racjonalizmu, ale radzieckie działania nigdy nie były w pełni wolne od piętna przypadkowości i arbitralności. Pewien młody człowiek, siedemnastolatek, prowadził wraz z matką niewielkie gospodarstwo w południowo-wschodniej Polsce, zaledwie pięć kilometrów od granicy radzieckiej. Jego ojciec, który umarł kilka lat wcześniej, służył podczas pierwszej wojny światowej w armii austro-węgierskiej, nigdy natomiast nie służył w polskim wojsku ani policji. W lutym 1940 roku młody człowiek i jego matka zostali wywiezieni podczas pierwszej masowej deportacji do Rosji. Jego trzech bracia gospodarowali w tej samej okolicy. Jeden uciekł do Rumunii, kiedy wkroczyli Rosjanie, ponieważ miał jakieś powiązania z policją i bał się aresztowania. Drugi wstąpił w Warszawie do Armii Krajowej

i zginął w 1944 roku. W ten sposób zniszczono życie całej rodzinie⁶. Człowiek ów zadawał sobie później pytanie, dlaczego jego dwaj bracia, którzy posiadali gospodarstwa na tym samym obszarze, uniknęli aresztowania, chociaż mieli ten sam status i należeli do tej samej grupy społecznej, co on. Wyjaśnienie było kuriozalne, lecz częściowo ukazuje kryteria, jakimi kierowały się władze radzieckie, dokonując selekcji ludzi przeznaczonych do deportacji. Jego ojciec i matka kupili ziemię z majątku polskiego hrabiego w 1920 roku. W momencie zakupu mieszkali sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód i dlatego miejscowa społeczność ukraińska uznała ich za intruzów na obszarze przygranicznym. Jego siostra, która poślubiła członka rodziny mieszkającej na tym obszarze od pokoleń razem z Ukraińcami, była traktowana inaczej. To samo odnosiło się do starszego brata, który ożenił się z ukraińską dziewczyną. Był również inny czynnik, który brano pod uwagę przy podejmowaniu decyzji, kogo deportować. Odkrył go jego starszy brat, przesłuchiwany później w Charkowie w związku z podejrzeniem o szpiegostwo. Radziecka bezpieka dowiedziała się w jakiś sposób, iż w trakcie przedwojennej rozmowy jego ojciec oświadczył, że jeśli przyjdą komuniści, on wyrznie swoje bydło. Ten planowany „sabotaż”, uważany przez stalinowców za działanie typowe dla kulaków, przesądził o losie jego żony i najmłodszego syna.

Kolejną grupą ludzi, której nadzieje zniweczył rozwój wydarzeń, byli studenci. Wygnanie zwykle kładło kres ich oczekiwaniom na zdobycie dobrego zawodu. Kiedy zjawili się w Wielkiej Brytanii, sześć lub siedem lat po opuszczeniu domów, trudności językowe i zwyczajna konieczność przystosowania się do nowych warunków były głównymi przeszkodami na drodze do wznowienia wyższych studiów. Poza tym osiągnęli oni wówczas wiek, gdy priorytetem stało się zarabianie pieniędzy, aby utrzymać rodzinę, i osiągnięcie jakiejś

stabilizacji ekonomicznej. Weźmy przypadek pewnego dziewiętnastoletniego człowieka, który w chwili wybuchu wojny mieszkał w Wilnie w północno-wschodniej Polsce. W 1938 roku uzyskał stypendium od związanej z wojskiem organizacji i miał się kształcić na inżyniera. Po wkroczeniu Rosjan stało się to niemożliwe. Podobnie było z piętnastoletnim chłopcem, który uczęszczał do szkoły średniej w Narwie w północno-wschodniej Estonii, kiedy zaczęła się wojna. Zaraz po jego narodzinach rodzice wykupili polisę ubezpieczeniową, aby sfinansować jego wyższe studia, ale rozwój wydarzeń przekreślił te rachuby i piętnastoletnie składki rodziców przepadły.

Dwaj młodzi Łotysze również stracili szansę na zdobycie wyższego wykształcenia. W chwili wybuchu wojny jeden z nich studiował architekturę na uniwersytecie w Rydze. Kontynuował studia podczas pierwszej okupacji radzieckiej i późniejszej niemieckiej. Ale zanim je ukończył, w 1943 roku został powołany do tak zwanego Legionu Łotewskiego walczącego u boku armii niemieckiej. Zaliczywszy zaledwie trzy lata z pięcioletniego programu, stracił możliwość pracy w wybranym zawodzie. Drugi chciał studiować leśnictwo i pójść w ślady ojca, państwowego leśniczego, lecz ta możliwość została mu odebrana.

Inni rozmówcy mieli ambicje zostać prawnikami, inżynierami elektrykami, ekonomistami i politykami, i wszyscy utracili swoją szansę. Był wszakże jeden wyjątkowy przypadek, młodej Estonki, która studiowała medycynę na uniwersytecie w Tartu (d. Dorpat). W pierwszym roku wojny warunki na wydziale medycyny prawie się nie zmieniły. Pod okupacją radziecką musiała chodzić na obowiązkowe zajęcia z marksizmu-leninizmu i zdać egzamin z języka rosyjskiego, ale zdołała uniknąć uczestniczenia w masowych wiecach i paradach. W istocie, jak wspomina, władze radzieckie traktowały studentów medycyny bardzo pobłażliwie i z tego, co wie, tylko trzech jej kolegów zostało deportowanych, chociaż żaden nie studiował na tym samym wydziale. Ukończyła studia w 1943 roku, pod okupacją niemiecką, i została skierowana do pracy w szpitalu w północnej Estonii. Opuściła Estonię w 1944 roku, tuż przed wkroczeniem Rosjan, spędziła jakiś czas w obozie dla przesiedleńców w Niemczech, przyjechała do Wielkiej Brytanii i w końcu uzyskała uprawnienia lekarza⁷.

Większość tych ludzi miała jakąś wiedzę, bezpośrednią lub pośrednią, na temat innych grup etnicznych w swoich krajach i na temat sąsiednich państw. Zdawali się wiedzieć dużo o Rosjanach, zarówno tych mieszkających w Rosji, jak i etnicznych Rosjanach w państwach bałtyckich, którzy albo uciekli przed rewolucją bolszewicką, albo osiedlili się tam jeszcze w czasach carskich. Brakowało im natomiast wiedzy o tym, co działo się w latach trzydziestych w Związku Radzieckim, który skutecznie izolował się od świata zewnętrznego z wyjątkiem przypadków, kiedy chciał urządzić całkowicie fałszywy spektakl na użytek łatwowiernych cudzoziemców. Niektórzy rozmówcy przyznawali, że nie ufali Rosjanom z zasady - czy to carskiej, czy to radzieckiej, czy jakiegokolwiek innej proveniencji. Jeden z polskich rozmówców nienawidził Rosjan z powodu doświadczeń ojca, który, jako prawnik, przez wiele lat mieszkał i pracował w Sankt Petersburgu,

gdzie prowadził fabrykę, ale nie mógł wybaczyć Rosjanom cierpień, jakich przysporzyli jemu i jego rodzinie. Inni, dezercerzy z armii rosyjskiej podczas pierwszej wojny światowej i weterani wojen z bolszewikami o niepodległość, obawiali się odwetu po zajęciu ich kraju przez Rosjan.

Rodzice kolejnych rozmówców mieszkali i pracowali w Rosji, a niektórzy poślubili Rosjan lub Rosjanki. Jeden został nauczycielem i poszedł do pracy w Sankt Petersburgu, gdzie poznał swoją przyszlą żonę. Pewna kobieta została ewakuowana z rejonu Dźwińska, który stał się częścią utworzonej na początku pierwszej wojny światowej Łotwy, i pracowała jako nauczycielka języka w Rosji, gdzie poznała swego męża, również ekspatrio-wanego Łotysza, służącego wówczas w armii carskiej w Kazaniu. Kolejny z respondentów urodził się w Rosji, gdzie jego ojciec, dyrektor fabryki, został ewakuowany na początku pierwszej wojny światowej. Można zatem mówić o dobrej znajomości Rosji i Rosjan wśród starszego pokolenia, które dorastało w czasach carskich. Pewien człowiek pochodzenia łotewskiego wspominał, jak jego rodzice (ojciec, Łotysz, poznał matkę, Czeszkę, w Rosji podczas pierwszej wojny światowej), którzy mieszkali w Rydze, urządzali przyjęcia dla swych rosyjskich przyjaciół. O ile mógł więc stwierdzić, nie tylko nie występowały żadne tarcia pomiędzy narodowościami, ale, w odróżnieniu od okresu po drugiej wojnie światowej, wielu Rosjan mówiło płynnie po łotewsku⁸.

Co więcej, dzieci dorastające w niepodległej Łotwie, jeśli chodzi o wiedzę na temat Rosjan, nie były całkowicie uzależnione od wspomnień rodziców. W niektórych rejonach Łotwy i Estonii, takich jak Narwa, Dźwińsk, Ryga i Lipawa, znaczna liczba Rosjan mieszkała i pracowała razem z Łotyszami i Estończykami. W przygranicznym rejonie Narwy w północno-wschodniej Estonii na wschodnim brzegu rzeki przeważała ludność rosyjska, z wyjątkiem samego miasta, gdzie było nieco więcej Estończyków niż Rosjan. Ponieważ Estonia wprowadziła system autonomii kulturalnej, społeczność rosyjska miała własne szkoły, toteż dzieci obu grup etnicznych raczej się ze sobą nie mieszały, chyba że na zawodach sportowych. Nawet w rejonach przygranicznych takich jak ten niewiele wiedziano o warunkach panujących w Związku Radzieckim; na skutek narzuconej przez Stalina izolacji radzieckie wioski leżące w pobliżu granicy zostały ewakuowane, co wykluczało możliwość wzajemnych kontaktów. Na innych obszarach państw bałtyckich i Polski dzieci z różnych grup etnicznych uczęszczały jednak do tych samych szkół, ponieważ żadna z grup nie była dostatecznie liczna, by tworzyć dla niej odrębne szkoły. W Lipawie młody Łotysz chodził do tej samej szkoły co dzieci z rodzin niemieckich i rosyjskich. Estończyk mieszkający w Voru stykał się w szkole z dziećmi rosyjskimi i żydowskimi, ale nie z niemieckimi, ponieważ miały one własną szkołę. W szkole państwowej we wschodniej Polsce dzieci polskie, ukraińskie i żydowskie mieszały się ze sobą w każdej klasie, ale każda grupa miała oddzielne lekcje religii jedną godzinę w tygodniu, rzymscy i greccy katolicy w jednej sali lekcyjnej, Żydzi w drugiej, a prawosławni w trzeciej⁹.

Ponieważ większość polskich respondentów pochodziła ze wschodniej Polski, na ogół nie stykali się oni z etnicznymi Niemcami. W państwach bałtyckich jednak, zwłaszcza w Estonii i na Łotwie, Niemcy bałtyccy mieszkali od stuleci. Mimo to kontakty pomiędzy owymi Niemcami a etnicznymi Łotyszami, Estończykami i Litwinami były ograniczone - głównie dlatego, jak się wydaje, że Niemcy mieli odrębne szkoły i kościoły. Można było spotkać dzieci niemieckie w organizacjach międzyrodowiskowych, takich jak skauti i harcerze. W kurortach, jak na przykład w południowej Estonii, sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Tam wczasowicze z różnych społeczności - niemieckiej, rosyjskiej, żydowskiej - mieszały się z ludnością miejscową. Pewien Estończyk wspominał, że ludzie z różnych grup etnicznych zatrzymywali się u niego w domu, bawili się i pływali razem.

Tylko dwaj respondenci poruszyli kwestię stosunków ze społecznością żydowską przed wojną. Żydzi na Łotwie byli „bardzo poważani”, powiedział jeden, było wśród nich wielu przedstawicieli wolnych zawodów: lekarzy, prawników, nauczycieli akademickich i tak dalej, a lekarze rodzinni cieszyli się wielkim szacunkiem. Ale, i jest to znamienne zastrzeżenie, „młodszy Żydzi przyjęli Rosjan z otwartymi ramionami”. To stwierdzenie daje do myślenia i w następnych rozdziałach będzie o tym mowa szerzej. Druga wzmianka o Żydach jest bardziej zawołowana. Pewien młody człowiek, który w chwili wybuchu wojny studiował w Warszawie nauki polityczne, wstąpił do młodzieżowej organizacji katolickiej. Zainteresował się ruchem spółdzielczym, którego celem było pomaganie polskim chłopom w zakładaniu spółdzielni, zarówno handlowych, jak i produkcyjnych. Nie powiedział tego wprost, ale można odnieść wrażenie, iż chciał pomagać w zakładaniu spółdzielni, aby wyrwać handel z rąk Żydów, którzy byli właścicielami wielu sklepów i zakładów usługowych w miasteczkach i na wsiach. Dodał, że katolicy i Żydzi żyli ze sobą dobrze „przed Hitlerem”,

lecz ta uwaga zdaje się nosić znamiona refleksji z perspektywy czasu. Ogólnie rzecz biorąc, chociaż istniały kontakty pomiędzy różnymi grupami etnicznymi, nie były chyba zbyt rozległe ani zażyłe, a jeżeli już, to raczej w większych miastach. Kontakty pomiędzy Niemcami a społecznościami bałtyckimi urwały się niemal całkowicie po roku 1939, ponieważ większość rodzin Niemców bałtyckich opuściła Estonię i Łotwę pod naciskiem Hitlera. Niektórzy starsi ludzie pozostali i stosunki pomiędzy nimi a Łotyszami i Estończykami były zasadniczo dobre¹⁰.

Opinie na temat Związku Radzieckiego były kwestią domysłów, gdyż brakowało aktualnych informacji. Pamięć o postępowaniu bolszewików w czasie wojen o niepodległość po pierwszej wojnie światowej miała nieprzyjemny posmak. Polacy i Białorusini mieli nadzieję, że w ciągu dwudziestu lat komuniści stali się mniej brutalni. Nie mogli jednak zweryfikować swoich przypuszczeń, nawet gdy w państwach bałtyckich na mocy

układów o wzajemnej pomocy z października 1939 roku zainstalowały się radzieckie garnizony. Żołnierze radzieccy byli ściśle odizolowani od miejscowej ludności i nie pozwalano im się fraternizować. Ale obywatele państw bałtyckich mogli wyciągnąć własne wnioski z wkroczenia Armii Czerwonej do wschodniej Polski i dowiedzieć się jeszcze więcej od ogromnej liczby polskich żołnierzy i cywilów, którzy szukali schronienia na Litwie i Łotwie. Obserwowali też żołnierzy radzieckich wkraczających do swoich baz w państwach bałtyckich i przy różnych późniejszych okazjach. Respondenci nie byli szczególnie poruszeni tym, co zobaczyli, a ich wrażenia zdawały się potwierdzać skuteczny opór Finów w obliczu radzieckiej agresji od grudnia 1939 do marca następnego roku.

W oczach jednego z obserwatorów słynna Armia Czerwona prezentowała się bardzo nędznie i nie dorównywała karnością, jakością mundurów ani stylem maszerowania armiom bałtyckim. W rzeczywistości, powiedział inny, wyglądała jak motłoch. A radzieccy żołnierze strasznie śmierdzieli, kiedy maszerowali raz w tygodniu do łaźni publicznych. Ich wyposażenie też nie budziło zaufania, ponieważ na poboczach dróg stało mnóstwo zepsutych ciężarówek. Inny obserwator był wstrząśnięty niskim standardem życia nie tylko zwykłych żołnierzy, którym płacono bardzo mały żołd, lecz również oficerów. Kilku respondentów przytoczyło często powtarzane historie o żołnierzach radzieckich, którzy używali klozetów jako misek do mycia, i o żonach oficerów, które kupowały koszule nocne w błędnym przeświadczeniu, że to suknie balowe. Te obserwacje dawały asumpt do

spekulacji na temat tego, czy uda się stawić skuteczny opór w razie inwazji ze strony Związku Radzieckiego. Ostatecznie przeważały inne opinie. Przez jakiś czas Rosjanie wypełniali swoje zobowiązania wynikające z układów o wzajemnej pomocy, że nie będą ingerować w wewnętrzne sprawy państw bałtyckich. Ale niemiecka inwazja na Francję w maju 1940 roku zmieniła sytuację. Wykorzystując kryzys międzynarodowy, Stalin przedstawił rządowi bałtyckim ultimatum i rozpoczął proces inkorporacji państw bałtyckich do Związku Radzieckiego. Późniejsza okupacja pokazała wyraźnie, iż charakter radzieckich represji faktycznie się zaostrzył od czasu wojen

o niepodległość dwadzieścia lat wcześniej. Polacy przekonali się już we wrześniu 1939 roku, że lampart nie zmienił swoich nawyków¹¹. Temat ten zostanie rozwinięty w następnym rozdziale.

Wielu ludzi podejrzewało, iż ustanowienie baz radzieckich w październiku 1939 roku oznacza, że dni niepodległości państw bałtyckich są policzone. Ewakuacja Niemców bałtyckich również sugerowała, iż Hitler zgodził się na włączenie państw bałtyckich do radzieckiej strefy wpływów, przynajmniej tymczasowo. Z pewnością tempo niemieckiego podboju Polski i późniejszy podział polskiego terytorium pomiędzy Stalina a Hitlera wstrząsnęły bałtycką opinią publiczną. Niektórzy z bałtyckich respondentów byli zbyt młodzi, żeby orientować się w kwestiach polityki międzynarodowej, inni zaś doskonale zdawali sobie sprawę, że ich rodziny

i przyjaciele dyskutują o tym, co może przynieść przyszłość. Niektórzy w jednakowym stopniu obawiali się Niemców i Rosjan. Inni, prawdopodobnie większość, bardziej niepokoił się radziecką aneksją, ponieważ pamiętali zachowanie bolszewików w okresie wojen o niepodległość. Niemniej część Łotyszy wolała Rosjan od Niemców, ponieważ czuła się im bliższa kulturowo i potrafiła mówić ich językiem. Co więcej, kilkusetletnia dominacja Niemców bałtyckich w polityce i gospodarce państw bałtyckich zrodziła ogromną niechęć i nieufność. Niemieccy obszarnicy i urzędnicy, jak zauważył jeden z rozmówców, byli bardzo okrutni wobec Bałtów. Większość respondentów podkreślała jednak, iż wszystko sprowadzało się do wyboru pomiędzy dwoma zagrożeniami totalitarnymi¹².

Niektórzy żywili niezachwianą pewnością, że w przypadku napaści Brytyjczycy przyjdą im z pomocą. Anglofilia nie była niczym niezwykłym - w jednej ze szkół obchodzono nawet urodziny brytyjskiego króla. Ale jeśli niektórzy uważali Wielką Brytanię za swego rodzaju anioła stróża, mając w pamięci pomoc, jakiej udzieliła ona państwom bałtyckim w czasie

ich wojen o niepodległość po pierwszej wojnie światowej, głosy bardziej realistyczne wąpiły w możliwość jakiegokolwiek odsieczy z tamtej strony. Bądź co bądź, jakiego wsparcia Brytyjczycy i Francuzi udzielili Polakom w godzinie ich ciężkiej próby? Inwazja na Polskę była wstrząsem dla bałtyckiej opinii publicznej między innymi dlatego, że Polska cieszyła się sympatią w dwóch północnych państwach bałtyckich, chociaż nie na Litwie. Znaczna liczba Polaków pracowała w państwach bałtyckich jako robotnicy rolni, robotnicy budowlani lub górnicy w kopalniach łąpków olejowych w Estonii, a niektórzy z bałtyckich rozmówców znali polskich robotników osobiście. Polska literatura i filmy również były popularne wśród wykształconych Bałtów. Kiedy polscy żołnierze szukali na Łotwie schronienia przed Armią Czerwoną, nie zwracano ich do Polski, a czasem nawet pomagano im w ucieczce¹³.

Te wywiady nie sugerują zatem, że świat bałtycki był w okresie międzywojennym „ponadczasowy i magiczny”. Ale nie był również, przynajmniej dla większości respondentów, nieszczęśliwy. Był to złożony, wielonarodowy świat, rozwijający się gospodarczo, lecz ciężący politycznie ku autorytaryzmowi, twórczy społecznie i postępowy edukacyjnie, pragnący pokoju i bezpieczeństwa, ale boleśnie świadomy zewnętrznych zagrożeń. Państwa bałtyckie chciały zachować własną niepodległość, a nie *zagrozić* suwerenności innych. Ogólnie rzecz biorąc, większość ludzi prowadziła zwyczajne życie i doświadczała wszystkich przemian, które towarzyszą normalności. Okres międzywojenny nie był złotym wiekiem, ale zapewniał możliwość zaspokojenia własnych ambicji i życia w pokoju. Pierwszym z serii wydarzeń, które położyły kres temu normalnemu światu, była agresja dwóch sąsiednich wielkich mocarstw, a następnie okupacja i inkorporacja poszczególnych terytoriów na mocy układu Stalina z Hitlerem. Chaos i zamęt wojny wyznaczyły przejście od normalności do świata GUŁagu i obozów koncentracyjnych¹⁴. Jeden z ocalałych, który był podporucznikiem rezerwy w wojsku polskim, opisał swoje doświadczenia podczas tej transformacji. Otrzymał rozkaz stawienia się w jednostce, a kiedy w końcu dotarł do koszar, atakowały je właśnie niemieckie samoloty.

Koszary i pobliska wioska przypominały piekło. Rozkazano nam zameldować się trzydzieści kilometrów dalej, w innych koszarach. Znowu wsiałem na rower, a kiedy dojechałem do tego drugiego miasta, tam też trwał ciężki nalot lotniczy. Rozkazano mi pojechać jeszcze dalej na wschód, do Kowla, gdzie wreszcie zostaiem zmobilizowany. Ale problem polegał na tym, że nie mieli dla nas umundurowania ani żadnej broni, a mój mundur był niekompletny. Żeby dostać to, czego potrzebowaliśmy, musieliśmy zabrać się pociągiem towarowym, złożonym z około pięćdziesięciu wagonów, z powrotem na południe, gdzie mieliśmy otrzymać pełny ekwipunek [...]. Powierzono mi pieczę nad trzema wagonami w tym pociągu. Pociąg zatrzymał się niebawem z powodu kolejnego nalotu, ale byliśmy częściowo ukryci pod osłoną drzew. Wokół spadały bomby. Wreszcie zjawił się wyższy oficer, wezwał wszystkich oficerów, w tym również mnie, i oznajmił: „Panowie, jesteście w trudnej sytuacji. Ten pociąg nie może jechać dalej. Przed nami jest armia sowiecka, za nami Niemcy. Musicie sobie radzić, jak potraficie. Proponuję, żebyście się rozproszyli. Nie twórzcie grup. Jeśli możecie ukryć swoją rangę, zróbcie to”. Byłem w kiepskim stanie, głodny, zmęczony; miałem za sobą bardzo długą drogę. Byłem wyczerpany i chory. Odkąd wyjechałem z Warszawy, spałem w lasach i na brzegach rzek. Na pośladkach zrobiły mi się czyraki - to było bardzo nieprzyjemne! Zatrzymałem się na jakiś czas w pobliskiej wiosce. Potem nasza grupa, sami oficerowie, postanowiła pewnej nocy wyruszyć pieszo do Lwowa, gdzie według naszych informacji znajdowało się polskie wojsko. Aleja od pierwszej chwili rozumiałem, że inwazja *oznacza* koniec państwa polskiego. Wiedziałem, czym są Rosjanie, i wiedziałem, czym są Sowoci¹⁵.

To tylko jedna z wielu podobnych relacji. Nastąpił kataklizm, który zniszczył normalne życie, oferując w zamian tylko ponurą i niepewną przyszłość. Polacy i Bałtowie nie mogli kształtować własnego przeznaczenia, o którym od tej pory decydowano za nich w Moskwie i Berlinie.

ROZDZIAŁ 2

Klęska

LIKWIDACJA NIEPODLEGŁEGO państwa polskiego i państw bałtyckich rozpoczęła się od tajnych klauzul paktu o nieagresji pomiędzy hitlerowskimi Niemcami a Związkiem Radzieckim, podpisanego 23 sierpnia 1939 roku. Klauzule owe przewidywały podział Polski i państw bałtyckich na „dwie strefy wpływów”, niemiecką i radziecką. Chociaż wojna ze Związkiem Radzieckim była częścią dalekosiężnych planów Hitlera, wolał nie mieć Rosjan przeciwko sobie podczas zamierzonego podboju Polski. Zdawał sobie sprawę, że przez całe lato 1939 roku toczyły się negocjacje pomiędzy Wielką Brytanią, Francją i Związkiem Radzieckim, dotyczące trójstronnych gwarancji dla Polski i państw bałtyckich. Gdyby zakończyły się sukcesem, powodzenie niemieckiego ataku na Polskę stałoby się bardziej problematyczne. Fiasko tych rozmów można przypisać zastrzeżeniom Polski i państw bałtyckich co do niektórych żądań radzieckich, podwójnej grze Brytyjczyków, szukających porozumienia z Hitlerem, oraz niechęci Brytyjczyków i Francuzów do wyrażenia zgody na radzieckie warunki, zagrażające niepodległości Polski i państw bałtyckich. Ale czynnikiem decydującym był oportunizm Stalina i Hitlera, którzy rozumieli, że krótkoterminowy sojusz z dotychczasowym wrogiem leży w ich wspólnym interesie.

Kiedy układ został zawarty, los Polski i państw bałtyckich był przesądzony pod warunkiem, że wojska niemieckie zdołałyby pokonać Polaków. Z perspektywy czasu wydaje się to nieuchronne, wówczas jednak nie było to wcale takie oczywiste, jak się dzisiaj uważa. Wiara części Polaków, że zdołają zorganizować skuteczną obronę, nie opierała się wyłącznie na złudzeniach, chociaż był w niej element samooszukiwania się. U podstaw tej

wiary leżało przekonanie, że ich sojusznicy zachodni, Wielka Brytania i Francja, zdołają zapewnić adekwatne wsparcie militarne. Bądź co bądź, złożyły gwarancje, iż przyjdą Polsce z pomocą w razie niemieckiego ataku i będą bronić polskiej niepodległości. Polakom wydawało się zatem, że muszą się utrzymać tylko przez krótki okres, aby dać Brytyjczykom i Francuzom czas na zmobilizowanie swoich sił na zachodniej flance Niemiec.

Kolejną przesłankę dla takiego przekonania stanowił fakt, że Polska była największym i najludniejszym krajem spośród tych, które stały się jak dotąd przedmiotem agresji Hitlera. Dysponowała znacznymi siłami zbrojnymi i miała świetne tradycje militarne. Jej zwycięstwo w wojnie polsko--bolszewickiej 1920 roku, choć niecałkowite, utwierdzało Polaków w przeświadczeniu, że zdołają stawić skuteczny opór Hitlerowi i zadać ciężkie straty jego siłom zbrojnym. Chociaż armia polska sprawiła się gorzej, niż oczekiwano, kiedy 17 września 1939 roku wojska radzieckie przekroczyły wschodnią granicę Polski, jednostki polskie nadal stawiały zacięty opór siłom niemieckim, które wkroczyły do Polski 1 września, a rząd polski wciąż funkcjonował. Broniła się Warszawa, a w północno-wschodniej części kraju, w rejonie Lublina i Lwowa, były jeszcze zdolne do walki siły polskie. Polacy zadali wojskom niemieckim znaczne straty i faktycznie wykonali zadanie, które przed sobą postawili, to znaczy utrzymali się do momentu, kiedy Zachód mógłby im przyjść z pomocą - co, na nieszczęście dla nich, nigdy nie nastąpiło. Zamiast tego Armia Czerwona zaatakowała od tyłu, przez niemal niebronioną granicę wschodnią, udaremniając jakąkolwiek możliwość dalszego oporu.

Na początku wojny były jeszcze podstawy do przekonania, że polska strategia może się powieść, ale tylko jeśli Brytyjczycy i Francuzi zapewnią wsparcie militarne. Niewiara Berlina, że będą oni walczyć w obronie Polski w 1939 roku, okazała się bardziej uzasadniona niż polski optymizm, co zniweczyło wszelkie nadzieje na sukces polskiej strategii militarnej. Fakt, że Zachód nie interweniował zbrojnie, kiedy Polska walczyła o swoje istnienie, był dla Polaków wstrząsem. Francuzi nie chcieli opuszczać swoich umocnionych pozycji na Linii Maginota. Brytyjczycy nie byli gotowi do prowadzenia wojny na kontynencie europejskim i musieli się dozbroić. Brytyjskie gwarancje dla Polski rozumiano w Warszawie i Londynie zupełnie inaczej. Polacy wierzyli, iż będą one miały natychmiastowy skutek, w Londynie uważano, że znajdą one zastosowanie, kiedy Hitler zostanie pokonany. Co więcej, Brytyjczycy nie zamierzali gwarantować przywrócenia przedwojennych granic Polski. Był to aksjomat ich polityki¹.

Analitycy wojskowi podawali wiele powodów niemieckiego zwycięstwa nad Polską, niezależnie od braku woli Zachodu, aby zmusić Niemcy do wojny na dwa fronty. Nie chodziło bynajmniej o to, że wojska niemieckie dysponowały przewagą liczebną. Polska mogła wystawić około półtora miliona wyszkolonych

żołnierzy, mniej więcej tyle samo, co Niemcy, chociaż większość z nich stanowili rezerwiści. Wojska niemieckie były jednak lepiej wyposażone, lepiej uzbrojone, miały lepsze wsparcie lotnicze i znacznie więcej pojazdów pancernych, w tym czołgów². Ponadto stosowały taktykę wojny błyskawicznej, która okazała się wyjątkowo skuteczna w bezchmurne słoneczne dni na początku września w Polsce. Niemcy wykorzystali jeszcze tę przewagę, że mogli przeprowadzić atak z trzech kierunków: z Niemiec od zachodu, od południa przez Słowację i od północy z Prus Wschodnich. W dodatku, jak zobaczymy, polska mobilizacja rezerwistów była mało skuteczna, chociaż sprawiła to głównie szybkość niemieckiego natarcia i brak osłony powietrznej. A wreszcie rząd polski nie uzbroił odpowiednio swoich sił zbrojnych, toteż żołnierze jednostek liniowych mieli za mało nowoczesnej broni i wyposażenia, żeby stawić skuteczny opór. Chociaż jest prawdą, że polska gospodarka była słabiej rozwinięta niż niemiecka, a dochody na głowę ludności znacznie niższe, dostępne środki można było wykorzystać bardziej racjonalnie, aby zapewnić Polskim Siłom Zbrojnym więcej nowoczesnego uzbrojenia i wyposażenia. Tymczasem polski Sztab Główny trzymał się uparcie staromodnych koncepcji taktycznych, które sprawdziły się w roku 1920, ale dwadzieścia lat później były już przestarzałe.

W kategoriach ludzkich konsekwencje owej wojny na dwa fronty były niezwykle doniosłe. Po pierwsze, ogromne masy ludności zachodniej Polski uciekały na wschód przed nacierającymi wojskami niemieckimi. Większość tych uchodźców pozostała na terytoriach pod okupacją niemiecką po upadku państwa polskiego. Około 300 tysięcy cywilów szukało schronienia w Warszawie, lecz znaleźli się w pułapce, kiedy stolica wreszcie skapitulowała. Po drugie, około 200 tysięcy Żydów i 100 tysięcy cywilów innej narodowości zdołało uciec do wschodniej Polski przed wkroczeniem na te obszary Armii Czerwonej lub niedługo potem. Inni przekraczali polskie granice - początkowo około 70 tysięcy uchodźców przeszło do Rumunii i na Węgry, około 14 tysięcy na Litwę i niewielka liczba na Łotwę³.

Ci, którzy pozostali na terenach polskich zajętych przez Niemców, często decydowali się na powrót do domów. Pewien mężczyzna, urodzony w pobliżu Gdańska, miał dwadzieścia lat, kiedy zaczęła się wojna. Ukończył szkołę zawodową i pracował jako mechanik. Na początku niemieckiej inwazji uciekł do Warszawy.

Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach. Z powodu ciągłych niemieckich nalotów lotniczych panował całkowity chaos. Kiedy Niemcy dotarli do Warszawy, uznałem, że nie ma sensu pozostawać tu dłużej, i ruszyłem z powrotem do domu. Tydzień później odzyskałem swoją pracę.

Nie był to jednak koniec jego historii, ponieważ niedługo potem został powołany do armii niemieckiej. „Ponieważ grozili, że powieszą rodzinę, jeśli ktoś się nie zgłosi, nie było wyboru”.

Pewien jedenastoletni chłopiec w momencie niemieckiej inwazji mieszkał w Warszawie. Jego ojciec, który pracował w banku, został powołany jako rezerwista na początku wojny i dostał się do niemieckiej niewoli. Chłopiec już nigdy nie zobaczył ojca, chociaż rodzina wiedziała, że przybywa w obozie dla jeńców wojennych w Niemczech, i posyłała mu paczki żywnościowe. Z niewyjaśnionych powodów jego ojciec został przewieziony do Auschwitz, gdzie zginął.

Inna typowa historia z tamtego okresu dotyczy szesnastoletniego chłopca i jego ojca, którzy postanowili uciekać z Warszawy przed zbliżającymi się wojskami niemieckimi. Jechali samochodem, ale zanim zdążyli opuścić miasto, jazda stała się zbyt niebezpieczna z powodu bombardowania i ostrzału artyleryjskiego. Porzucili więc samochód i przeszli przez most na Pragę, gdzie stracili się z oczu. Chłopiec, wiedząc, że jego ojciec zmierza ku granicy rumuńskiej, ruszył wraz z kilkoma towarzyszami w tamtą stronę. Szli nocami, aby uniknąć dziennych bombardowań, i zatrzymywali się w wioskach, żeby kupić coś do jedzenia.

Szliśmy, dopóki nie znaleźliśmy się w pobliżu rumuńskiej granicy, gdy nagle zobaczyliśmy mnóstwo ludzi idących w przeciwnym kierunku. Zapytaliśmy, co się stało, a oni powiedzieli, że nie ma szans na przekroczenie granicy, ponieważ wojska niemieckie połączyły się i zamknęły granicę, ruszyliśmy więc z powrotem do Warszawy.

Tymczasem jego ojciec dotarł do granicy rumuńskiej inną trasą i stwierdził, że jest zamknięta, zdołał się jednak

dostać do pociągu jadącego na Litwę, gdzie znalazł schronienie.

Kolejną relację z takiej chaotycznej i przymusowej podróży złożył człowiek, który w chwili wybuchu wojny miał osiem lat. Jego ojciec był zawodowym wojskowym, a rodzina mieszkała w Krakowie. Rodziny wojskowych planowano ewakuować do wschodniej Polski. Pociąg, którym jechali, został zbombardowany i wuj chłopca zginął. Kiedy zapadła noc, tłumy ludzi opuściły swoje kryjówki i wróciły do pociągu. Panowało całkowite zamieszanie:

Wszyscy wsiadali i wysiadali, nikt nie wiedział, co robić, ale wszyscy krzykali: „Wsiadać do pociągu, wsiadać do pociągu”, wskoczyłem więc do niego. Myślałem, że jest ze mną mama, ponieważ były tam wagony pasażerskie i zwykle wagony dla żołnierzy, a ja wsiadłem do jednego z wagonów i ktoś powiedział: „Mamy możesz poszukać rano, a na razie połóż się gdziekolwiek i zdrzemnij”. Pociąg jechał przez całą noc, a rano zatrzymał się z powodu nalotu lotniczego, więc znowu wszyscy wysiedli. Bez przerwy pytałem: „Gdzie jest moja mama?” i ktoś mi powiedział, że została z ciotką, ponieważ wuj zginął. Ale byli tam inni ludzie, zostałem więc z nimi, a oni zaopiekowali się mną, dopóki nie dotarliśmy do wschodniej Polski⁴.

W zamęcie odwrotu rząd polski rozważał możliwość kontynuowania obrony kraju z południowo-wschodniego krańca Polski lub zwrócenia się do rządu rumuńskiego o zgodę na przejście przez Rumunię do Francji. Wiść o wkroczeniu Armii Czerwonej przyspieszyła decyzję opuszczenia kraju, zanim wojska radzieckie i niemieckie połączą się i ostatecznie zamkną granicę. Po przekroczeniu granicy ministrowie i urzędnicy państwowi oraz wyżsi oficerowie wojska polskiego zostali jednak internowani przez władze rumuńskie.

Wojska radzieckie w gruncie rzeczy nie napotykały oporu. Z początku Polacy nie wierzyli, że Moskwa sprzymierzyła się z Berlinem, chociaż niektórzy ludzie na Kresach Wschodnich przewidywali, iż Rosjanie mogą zaatakować. W jednostkach wojskowych przez krótki czas panowała niepewność zamiarów Armii Czerwonej, ponieważ przypuszczano, że przychodzi ona z pomocą Polsce⁵. Granica wschodnia była praktycznie pozbawiona

obrony, z wyjątkiem trzech brygad Korpusu Ochrony Pogranicza, liczących zaledwie około 11 tysięcy ludzi. I łatwo ją było przekroczyć. O szóstej rano lub nawet wcześniej gospodarz mieszkający pięć kilometrów od granicy radzieckiej usłyszał strzały z broni maszynowej, a później zobaczył maszerujących Rosjan. Granica na tym odcinku przebiegała wzdłuż małej rzeczki, toteż żołnierze radzieccy przeszli na drugi brzeg bez trudu. Ponieważ główna szosa omijała wioskę, gospodarz nie widział czołgów, tylko oddział kawalerii podążający w ślad za piechotą.

W tych okolicznościach dalszy opór mijał się już z celem, zwłaszcza wobec braku rozkazów od naczelnego dowództwa. Żołnierze rozproszyli się po całej wschodniej i centralnej Polsce, niektórzy próbowali dotrzeć do domów, inni woleli zejść do podziemia, niż dostać się do niewoli jednego bądź drugiego agresora. Szybko przekształciło się to w grę o przeżycie według zasady „ratuj się, kto może”.

Ponieważ skończyła się nam żywność, o zmroku zbieraliśmy rzepę i ziemniaki z pól i jedliśmy je na surowo. Całe nasze wyposażenie stanowiły mundury, które mieliśmy na sobie, karabiny, garść naboju i konie. W ciągu dnia kryliśmy się w lasach, wychodziliśmy dopiero wówczas, kiedy wiedzieliśmy, że jest bezpiecznie. Większość gospodarstw po drodze była opuszczona, ich właściciele uciekali przed niemieckim natarciem w takim pośpiechu, że zostawili zwierzęta i część dobytku [...]. W końcu dotarliśmy do gospodarstwa, gdzie gospodarz i jego żona doglądali swoich kur i gęsi. Kiedy zapadła noc, poszliśmy do nich [...]. Wyjaśniłem, że potrzebujemy tylko cywilnych ubrań i trochę żywności w zamian za nasze konie i ekwipunek. Gospodarz był zbyt przerażony, żeby się zgodzić, ale w końcu jego żona przysłała nam z pomocą. Znaleźli dla nas dwie pary spodni, płaszcz, marynarkę i dwie stare koszule. Natychmiast wykopaliśmy dół w ogrodzie i zakopaliśmy nasze mundury i ekwipunek w wielkiej skrzyni. Na polu pod lasem, który Niemcy przeczesali kilka dni wcześniej, stał stóg siana [...]. Przez tydzień odpoczywaliśmy w

stogu, a pod osłoną ciemności gospodarz przynosił nam gotowane ziemniaki i jajka. Czuliśmy się jak żebracy⁶.

Do 21 września Rosjanie zajęli Grodno, opanowali linię kolejową z Wilna do Grodna i obstawili granicę rumuńską. Następnego dnia polskie jednostki wojskowe oblężone we Lwowie skapitulowały na mocy porozumienia z Rosjanami. Zgodnie z nim żołnierze mieli bez przeszkód wrócić do domu, a oficerowie udać się za granicę. Jak opisał to generał Władysław Anders, późniejszy dowódca II Korpusu Polskiego podczas kampanii włoskiej, Rosjanie zdradziecko złamali porozumienie i po wkroczeniu do Lwowa aresztowali tysiące polskich oficerów i wywieźli ich na wschód wraz z wieloma innymi, wziętymi do niewoli na różnych odcinkach frontu⁷. Ostatecznie trafili oni do trzech osławionych obozów, Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Na początku 1940 roku przewieziono ich na miejsca egzekucji, z których najbardziej znanym jest Katyń, gdzie wszyscy zostali zamordowani strzałem w tył głowy. Zginęło w ten sposób około 15 tysięcy oficerów, podchorążych i podoficerów.

Większość szeregowych żołnierzy, około 230 tysięcy, została uwięziona na okupowanym terytorium polskim w skleconych naprędce barakach, dopóki nie zbudowano dla nich regularnych obozów⁸. Wiadomo, że na Ukrainie Zachodniej (czyli w Małopolsce Wschodniej, jak nazywali ten obszar Polacy) istniało prawie sto takich obozów. Część więźniów wykorzystywano do ciężkich prac fizycznych, na przykład w budownictwie, przy wyrębie lasów lub w kamieniołomach. Innych pod koniec 1939 roku wysłano na wschód, na radziecką Ukrainę, gdzie zatrudniano ich w przemyśle i górnictwie. W maju 1940 roku jednak zostali przewiezieni do obozów pracy, czyli łagrów, w arktycznych i podbiegunowych rejonach Rosji, takich jak okolice nad Morzem Białym i Republika Korni, gdzie pracowali przy wyrębie tajgi oraz budowie linii kolejowych i następnych obozów. Tego rodzaju praca w straszliwym klimacie i niezwykle uciążliwych, zagrażających życiu warunkach była rażącym pogwałceniem porozumień międzynarodowych dotyczących traktowania jeńców wojennych, lecz Stalin odmówił podpisania owych porozumień, a sposób, w jaki traktował Polaków, nie różnił się specjalnie od tego, jak traktował własny naród⁹.

Polski oficer rezerwy, którego relację przytoczyliśmy w rozdziale poprzednim, postanowił wyjść z ukrycia i razem z innymi oficerami próbował pieszo dotrzeć do Lwowa, położonego mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie się znajdowali. W pewnym momencie udało im się wsiąść do pociągu, lecz kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, radzieccy żołnierze kazali im wyjść na peron. Przed opuszczeniem pociągu oficer podał i wyrzucił przez okno swoje dokumenty, mógł więc podawać się za kogo chciał. Wypytywany na stacji przez funkcjonariusza NKWD (głównym celem tych przesłuchań było zidentyfikowanie polskich oficerów),

odpowiadał płynnie po rosyjsku, ponieważ uczył się w rosyjskich szkołach. Tym razem pozwolono mu wsiąść do pociągu jadącego do Krakowa, gdzie, jak skłamał, oczekiwała go rodzina. Wysiadł z pociągu we Lwowie i zobaczył, że w całym mieście są radzieccy żołnierze, a Polacy płaczą na ulicach. Jakaś kobieta dała mu pieniądze. Ona też płakała. Powodowało nim jedno pragnienie - za wszelką cenę dostać się do rumuńskiej granicy. Kupił bilet do przygranicznej stacji, wsiadł do pociągu i bacznie obserwował innych pasażerów:

Wszyscy byli podejrzani. Sowiecka bezpieka w asyście uzbrojonych Ukraińców zaczęła przeszukiwać pociąg. Wypytywali mnie, świecąc mi latarką w twarz. Ktoś pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, mnóstwo ludzi wyskoczyło z pociągu i pobiegło pod osłonę lasu. Ja nie znalazłem okolicy i postanowiłem tego nie robić. Aby uwolnić się jednak od funkcjonariuszy bezpieki w pociągu, wspiąłem się na dach. Padał ulewny deszcz. Zamierzałem dostać się do lokomotywy i wejść na pomost w nadziei, że odczepiąją na stacji granicznej, pozostawiając na stacji sam pociąg. Skacząc i biegnąc po dachach wagonów, dotarłem wreszcie do lokomotywy. Ale odległość pomiędzy pierwszym wagonem a lokomotywą była za duża, a tender bardzo wysoki, zbyt wysoki, żeby skakać, zwłaszcza w czasie deszczu. Wreszcie dojechaliśmy do stacji, ostatniej na polskim terytorium. Były tam lampy łukowe i dobrze oświetlone perony. Wszędzie stali żołnierze, głównie ukraińska milicja współpracująca z Sowiecami. Ukryłem się, dosyć głupio, w wagonie straży, lecz szybko mnie

znaleziono. „Wszyscy wysiadać! Kto tam jest? Odpowiadaj, bo strzelam”. Nie miałem wyboru. Podałem się Ukraińcom, którzy przekazali mnie Sowietom¹⁰.

Zarówno Hitler, jak i Stalin chcieli zniszczyć niepodległe państwo polskie. Hitler od dawna deklarował swój zamiar zdobycia przestrzeni życiowej dla Niemców na obszarach zamieszkiwanych przez narody słowiańskie na Wschodzie. Stalin nie mógł wybaczyć Polakom klęski Armii Czerwonej w 1920 roku, czego rezultatem było przesunięcie polskich granic na wschód i przyłączenie do Polski obszarów, do których Rosja Radziecka rościła sobie pretensje, a mianowicie Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej. Stalin nie chciał jednak, aby postrzegano go jako agresora, i postanowił usprawiedliwić w jakiś sposób pogwałcenie swego paktu o nieagresji z Pol-

ską. Powód zerwania paktu, jak poinformowano polskiego ambasadora w Moskwie we wczesnych godzinach rannych 17 września, jest taki, że państwo polskie przestało istnieć i dlatego wszystkie porozumienia i traktaty, których było sygnatariuszem, stały się martwą literą. Co więcej, sytuacja wymaga, aby Moskwa zapewniła opiekę swoim „braciom krwi, Ukraińcom i Białorusinom zamieszkującym Polskę, pozostawionym obecnie własnemu losowi i bezbronny”¹¹.

Po zniszczeniu państwa polskiego Moskwa i Berlin musiały podzielić się łupami, nie tylko Polską, lecz także państwami bałtyckimi, choć te ostatnie nie znalazły się jeszcze pod okupacją. Pierwotny podział, wytyczony w tajnych klauzulach paktu Ribbentrop-Mołotow, przewidywał, że granicą pomiędzy niemiecką a radziecką strefą wpływów w państwach bałtyckich będzie północna granica Litwy. Porozumienie stanowiło: „W przypadku nowego układu terytorialnego i politycznego na ziemiach należących do państwa polskiego strefy wpływów Niemiec i ZSRR winny być rozgraniczone w przybliżeniu wzdłuż linii Narwi, Wisły i Sanu”. To twierdzenie było arcydziełem eufemistycznego stylu, a jego zimny cynizm nigdy nie przestanie zdumiewać. Już po wybuchu wojny Stalin postanowił włączyć Litwę do swojej strefy wpływów, ofiarowując w zamian Hitlerowi większy kawałek terytorium polskiego. I tak 28 września został podpisany „układ Orzyjaźni i granicy”, przesuwający granicę radziecko-niemiecką dalej na wschód, na linię Bugu i Sanu¹². Niemcy podzieliły swoją zdobycz na dwie części. Polskie ziemie zachodnie, to znaczy Górny Śląsk, Pomorze, Łódź i Poznań oraz Wolne Miasto Gdańsk przyłączyły do Rzeszy. Reszta Polski pod niemiecką okupacją stała się odrębną jednostką administracyjną pod nazwą Generalne Gubernatorstwo dla Okupowanych Obszarów Polskich (GG), składającą się z terenów wokół Warszawy, Lublina, Kielc, Radomia i Częstochowy i podlegającą bezpośrednio rządowi niemieckiemu w Berlinie. Cały obszar państwa polskiego na wschód od linii podziału został zagarnięty przez Moskwę i włączony do Związku Radzieckiego po dwóch sfałszowanych plebiscytach na Ukrainie Zachodniej i Białorusi Zachodniej¹³.

W ten sposób niepodległe państwo polskie przestało istnieć, a jego terytorium wchłonęli dwaj agresorzy. Obszar okupowany przez Związek Radziecki miał trzynaście milionów mieszkańców w porównaniu z dwudziestoma dwoma milionami w strefie niemieckiej. Cena w postaci ofiar i cierpień ludzkich była ogromna. Szacuje się, że Polska straciła w kampanii

wrześniowej 200 tysięcy ludzi zabitych bądź rannych, 400 tysięcy wziętych do niewoli przez Niemców i 230 tysięcy - przez Rosjan. Kolejne 85 tysięcy zostało internowanych, w niektórych wypadkach jedynie tymczasowo, w Rumunii, na Węgrzech, Litwie i Łotwie. Jeńcy wojenni nie byli traktowani zgodnie z porozumieniami międzynarodowymi, lecz kierowani do pracy przymusowej lub przetrzymywani w straszliwych warunkach zarówno w Związku Radzieckim, jak i, rzadziej, w Niemczech¹⁴. Przytoczona niżej relacja daje niejakie pojęcie o doświadczeniach wielu spośród jeńców wojennych przebywających w radzieckiej niewoli. Po schwytaniu narrator trafił do obozu w Skole, a później został przewieziony do Dniepropietrowska na Ukrainie, bez jedzenia i wody. Tam jego i jego towarzyszy niedoli uwięziono w starym monasterze, przesłuchano, a następnie postawiono przed „sądem” składającym się z kilku oficerów w zaimprovizowanej sali sądowej w więzieniu. Przed skazaniem na osiem lat obozu pracy zmuszono go do

podpisania zeznań. Następnie został przeniesiony do innego więzienia, gdzie panowały znacznie gorsze warunki. W celi wielkości zwyczajnego pokoju przebywało czterdziestu mężczyzn. Nie było łóżek. Spali na podłodze, stłoczeni tak ciasno, że nie mogli leżeć na plecach, tylko na boku, wszyscy zwrócenii w tę samą stronę. Kiedy się zmęczyli i zdrętwieli, musieli się odwracać jednocześnie.

Połowę z nas stanowili Polacy, a połowę Ukraińcy. Dochodziło do kłótni i bójek. Dawano nam zupę, kawę (czyli brudną wodę) i grudkę chleba, straszego chleba, małego jak pięść. Lizaliśmy ten chleb. Chleb był świętością. Towarzysz mógł ci ukraść wszystko, ale chleb był nietykalny. Przenoszono nas z jednego więzienia do drugiego. Wszystkie były tak samo okropne. Wszyscy musieliśmy leżeć na podłodze i tylko raz dziennie wypuszczano nas do latryny. Ludzie umierali przez cały czas. Trzeba było być silnym, żeby przetrwać, silnym fizycznie i duchowo. Próbowałem sobie przypominać nazwiska przyjaciół i kolegów, ale mi umykały. Próbowałem przypominać sobie muzykę. I nie tylko muzykę, pisałem wiersze. W Polsce napisałem całkiem sporo wierszy i niektóre zostały wydrukowane. Pewnego dnia w więzieniu zacząłem układać w pamięci poezję. Długie, długie wiersze, wkładałem w nie wszystkie swoje uczucia. Nadal je pamiętam. Pamiętam je wszystkie. Kiedy wyszedłem na wolność, zapisałem je. Byłem też człowiekiem bardzo religijnym. Bez najmniejszych wątpliwości religia była dla mnie wielką pomocą duchową, pomogła mi przetrwać. Modliłem się. Za każdym razem, kiedy się uratowałem, nazywałem to cudem¹⁵.

Znacząca mniejszość polskich żołnierzy uniknęła niewoli i deportacji, czy to na wschód, czy do Niemiec. Byli to ci, którym udało się przekroczyć granicę rumuńską, węgierską lub litewską, zanim zamknęły je wojska niemieckie i radzieckie. Pod koniec września 1939 roku około 90 tysięcy polskich żołnierzy zdołało uciec za granicę. Około 40 tysięcy znalazło się na Węgrzech, około 32 tysięcy w Rumunii, mniej więcej 14 tysięcy na Litwie i niewielka liczba na Łotwie. Wśród jednostek, które przekroczyły granicę, była jedna z dwóch polskich brygad pancernych, stawiająca opór Niemcom w rejonie Lwowa, kiedy wkroczyli Rosjanie, i resztkę Polskich Sił Powietrznych - około stu samolotów bojowych. Do Rumunii dotarło 6-9 tysięcy członków personelu sił powietrznych. Liczba ta wzrastała w miarę przybywania kolejnych uciekinierów, z których wielu przekroczyło granicę szlakami górnymi, i powiększyła się jeszcze o 17 tysięcy cywilów, którzy uciekli do Rumunii, oraz kolejne 15 tysięcy - na Węgry. Jest możliwe, iż część spośród owych „cywilów” stanowili żołnierze, którzy pozbyli się mundurów. Rząd francuski zaoferował się przyjąć ewakuowanych żołnierzy i dlatego większość starała się dotrzeć do Francji lub do francuskich kolonii i terytoriów mandatowych. Z początku zostali internowani w obozach, ale z pomocą misji dyplomatycznych, a w niektórych wypadkach z własnej inicjatywy znaczna ich liczba zdołała opuścić Rumunię i Węgry. Około czterdziestu procent ewakuowanych dojechało podobno pociągami przez Jugosławię i Włochy do granicy francuskiej. Kiedy Mussolini *zaczai* utrudniać przejazd przez terytorium Włoch, ewakuację kontynuowano drogą morską. Pozostałe sześćdziesiąt procent ewakuowanych wypłynęło z portów w Rumunii, Grecji lub Jugosławii do Marsylii, zanim i ta trasa została zablokowana. W ten sposób dotarło do Francji około 43 tysięcy ludzi, inni dokonali tego, podróżując na własną rękę, lecz około 23 tysięcy pozostało w obozach dla internowanych. Dla porównania, zaledwie około 500 osób ewakuowało się z państw bałtyckich drogą morską do Szwecji i Norwegii, ponieważ Morze Bałtyckie kontrolowała niemiecka marynarka wojenna i statki z uchodźcami były przechwytywane. Trasa do Helsinek została zamknięta na początku wojny fińsko-radzieckiej w grudniu 1939 roku. Dlatego przeważająca większość internowanych na Litwie pozostała tam aż do aneksji tego kraju przez Związek Radziecki w czerwcu 1940 roku, kiedy

wywieziono ich do obozów pracy. Podobnie, kiedy w 1941 roku wojska niemieckie wkroczyły na Węgry i do Rumunii, przebywający tam jeszcze internowani oficerowie polscy zostali uwięzieni, a szeregowi żołnierze wysłani do Generalnego Gubernatorstwa do pracy przymusowej. Część pozostała w węgierskich obozach¹⁶.

Pewien dziewięcioletni chłopiec uciekł przed wojskami niemieckimi do wschodniej Polski, ale odłączył się od rodziny. Przekroczył granicę rumuńską na krótko przed jej zamknięciem przez wojska radzieckie. Ponieważ błakał się sam, zaopiekowała się nim grupa około dwudziestu żołnierzy pod dowództwem

oficera i dwóch sierżantów. Oficer miał mapy i przeprowadził ich przez granicę. Kiedy dotarli do Rumunii, chłopca dołączono natychmiast do jakiegoś cywilnego transportu. Kilka dni później został wysłany na Węgry i umieszczony w obozie dla internowanych, a po kilku miesiącach przewieziony do innego obozu w pobliżu granicy austriackiej, gdzie przebywał do 1944 roku. Z początku chodził do węgierskiej szkoły, ale później władze węgierskie pozwoliły internowanym Polakom otworzyć polską szkołę podstawową, gdzie uczniowie dostawali polskie świadectwa. Na ogół Węgrzy traktowali internowanych Polaków bardzo dobrze. Większość z nich uciekła do Francji.

Ponieważ z racji młodego wieku chłopiec nie budził podejrzeń, powierzono mu zadanie śledzenia patroli wojskowych w rejonie obozu, a następnie, kiedy teren był czysty, przeprowadzania zbiegów do granicy, która znajdowała się zaledwie o dziesięć kilometrów dalej. On sam próbował uciec w listopadzie 1939 roku, lecz został schwyty w Zagrzebiu, gdy siedział w kawiarni wraz z czterema żołnierzami i oficerem w cywilnych ubraniach. Zbiegowie wrócili na Węgry, gdzie władze traktowały ich bardzo pobłażliwie aż do nazistowskiego przewrotu w 1944 roku, kiedy wszystkich wywieziono do Niemiec. Chłopiec miał zaledwie czternaście lat, gdy posłano go do pracy w fabryce produkującej aluminiowe części samolotów. Jak zauważył, dzieci dorastały w tym czasie bardzo szybko¹⁷. Inny z polskich uchodźców studiował inżynierię w Wilnie, kiedy Niemcy najechali Polskę. Po wkroczeniu Armii Czerwonej żołnierze polskiego garnizonu w Wilnie i funkcjonariusze policji uciekli na Litwę, a on razem z nimi, ponieważ jako członek umundurowanej organizacji paramilitarnej był uznawany za wojskowego. Polacy z Wilna zostali internowani w dwóch obozach na Litwie, gdzie spędzili dziewięć miesięcy, aż do radzieckiej okupacji. Później wywieziono ich na Syberię¹⁸.

Polacy, którzy uciekli do Francji, a po jej upadku do Wielkiej Brytanii, znaleźli się we względnie szczęśliwym położeniu. Przynajmniej mieli możliwość służyć w Polskich Siłach Zbrojnych, znowu walczących z Niemcami pod dowództwem francuskim i brytyjskim. Byli jednak oddzieleni od rodzin i przyjaciół. Co gorsza, w większości przypadków nie wiedzieli, gdzie są ich bliscy. Czy zostali wcieleni do jednej lub drugiej armii okupacyjnej? Wywiezieni na roboty przymusowe do Rzeszy? Aresztowani i uwięzieni? Rozstrzelani? Czy przebywali teraz na Syberii? Wstrząs owej rozłąki był ogromny. Większość uchodźców stanowili młodzi ludzie, którzy nigdy nie wyjeżdżali z Polski, a może nawet nigdy nie opuszczali rodzinnych wsi i miasteczek. Niektórzy z nich byli prawie dziećmi, oderwanymi od rodzin i żyjącymi w niepewności losu. Ponieważ jednak byli młodzi, nie łączyły ich z Polską silne więzi materialne. A życie na uchodźstwie było lepsze od życia pod okupacją lub egzystencji w niemieckich i radzieckich więzieniach i obozach pracy. Poruszające, choć niepełne opisy okupacji radzieckiej i niemieckiej, zawarte w następnych rozdziałach, tłumaczą, dlaczego wygnanie - chociaż dla większości ludzi bardzo bolesne - stanowiło mimo wszystko chętniej wybieraną możliwość.

ROZDZIAŁ 3

Niemieckie kolonie

„NIENAWIŚĆ nie jest dostatecznie mocnym słowem, żeby opisać moje uczucia wobec Niemców w tym czasie. Gdybym ja lub gdyby moi rodzice mieli środki, żeby zabić Niemca, zrobilibyśmy to, bez wahania". Furia tego stwierdzenia była nieoczekiwana, przyszła w środku spokojnej i beznamiętnej rozmowy z polskim uchodźcą na temat wojennych przeżyć w zachodniej Polsce pod niemiecką okupacją. Przypomniawszy sobie jeden epizod i nagle przywołało to wspomnienia, które rozświeciły go i upokorzyły, a zadawnione, długo tłumione uczucie nienawiści natychmiast wypłynęło na powierzchnię. Człowiek ów, w odróżnieniu od setek tysięcy innych Polaków, nie został wysłany do obozu koncentracyjnego, jego dom i majątek nie zostały skonfiskowane, jego rodzina nie została zamordowana ani deportowana. Był bity od czasu do czasu, to prawda, lecz nie w tym tkwiła główna przyczyna jego gwałtownych emocji. Tym, co zdawało się go ranić i gniewać najbardziej, była pogarda, jaką jego i innych Polaków darzyli niemieccy zdobywcy, wyrażająca się w

uwłaczających i często powtarzanych komentarzach, że Polacy są mierzwą tej ziemi.

Niemieckie nastawienie do Polaków odzwierciedlało w zasadzie poglądy samego Hitlera. Słowianie byli ludami niższymi rasowo, przeznaczonymi do tego, żeby być niewolnikami, podludźmi, zwykłymi wołami roboczymi, wykorzystywanymi do najcięższych prac i żyjącymi na łasce swoich niemieckich panów. Kiedy zachodnia Polska znalazła się pod niemiecką okupacją, etniczni Niemcy, którzy żyli tam i pracowali, którzy chodzili do szkoły razem z Polakami, często pokazywali, gdzie leżą ich prawdziwe sympatie.

Przedwojenni niemieccy mieszkańcy tego regionu nigdy nie okazali nam współczucia, mówiąc, że im przykro z powodu niemieckiej inwazji. Nie okazali solidarności. W rzeczywistości działali ręką w rękę z wojskiem. Ale przed wojną młodzi Niemcy, z którymi chodziłem do szkoły, byli traktowani normalnie, jak ludzie, jak istoty ludzkie pod rządami polskimi. Chociaż Polska była w większości katolicka, istniały synagogi, zbory luterzańskie i inne miejsca kultu. Dzieci z niemieckich rodzin, które wyznawały luteranizm, były zwolnione z lekcji religii w szkole. Ale zaraz na początku okupacji polskie szkoły zostały zamknięte, polscy księża byli prześladowani, a Niemcy, zarówno tutejsi, jak i nowo przybyli, okazywali zadowolenie z oficjalnej niemieckiej polityki rasowej¹.

W swoim dążeniu do panowania niemieccy zdobywcy byli porównywani do właścicieli niewolników na południu Stanów Zjednoczonych przed wojną secesyjną. Ale inaczej niż w przypadku południowców, prawie nic nie ograniczało ich swobody działania. Jeśli chodzi o ścisłość, praca fizyczna była cenną wartością dla obu tych grup rządzących i nie mogła być beztrudno marnotrawiona. Istniała jednak różnica. Plantatorzy z południa zainwestowali znaczne sumy w swoją ludzką siłę roboczą i chcieli, żeby inwestycja im się zwróciła. O niewolników trzeba było dbać, aby mogli wykonywać niezbędną pracę fizyczną z minimalną przynajmniej wydajnością. Co więcej, zważywszy na dysproporcję między liczebnością białych panów a czarnych niewolników, właściciele musieli uważać, żeby nie sprowokować niewolniczego powstania na szeroką skalę. W konsekwencji ich postępowanie było pragmatycznym połączeniem przemocy i ustępstw². W przypadku zaś niemieckich panów występowała mniejsza powściągliwość, w praktyce prawie żadna. Siła robocza była względnie tania, a możliwości stosowania represji znacznie większe. Dlatego, chociaż praca fizyczna była cenna, nie była aż tak cenna, żeby nie dało się stosować wobec podbitej ludności brutalnych środków odwetowych, prowadzących do śmierci tysięcy niewinnych ludzi. Nie była aż tak cenna, żeby robotnicy przymusowi wywiezieni do Niemiec nie mogli być głodzeni niemal na śmierć, zanim odesłano ich do domów w strasznym stanie fizycznym i niezdolnych do pracy. Nie była aż tak cenna, żeby nie można było wymordować sześciu milionów Żydów.

Zrozumienie procesu oderwania od ojczyzny i ponownego osiedlenia, w wyniku którego powstały społeczności polskich i bałtyckich uchodźców

w Wielkiej Brytanii, jest głównym celem tej książki. Ponieważ większość tych uchodźców uciekła przed systemem radzieckim, ich relacje siłą rzeczy będą się koncentrować na terrorze stalinowskim. Lepiej jednak zrozumiemy ten represyjny system, jeśli umieścimy go w kontekście porównawczym. A czy można znaleźć lepszy punkt odniesienia niż współczesne mu państwo totalitarne, hitlerowskie Niemcy, zwłaszcza że niektórzy uchodźcy polscy i prawie wszyscy bałtyccy doświadczyli również nazistowskiej okupacji? Łatwo powiedzieć, że między tymi dwoma systemami nie ma zasadniczej różnicy, że jeden był brunatnym komunizmem, a drugi czerwonym faszyzmem. Ale wnikliwi obserwatorzy systemu radzieckiego, którzy ubolewali nad jego nieludzkim okrucieństwem i znajdowali bliskie związki pomiędzy nim a jego nazistowskim odpowiednikiem, mimo to czuli „w kościach”, iż system nazistowski był gorszy. Nie jest naszym zamiarem wdawać się w porównanie tych dwóch przykładów fizycznego i duchowego ucisku i orzekać, który z nich był bardziej dotkliwy. Chcemy raczej ocenić charakter represji radzieckich w porównaniu z polityką, postępowaniem i postawą nazi-stów w ich dwóch koloniach, w Polsce i w państwach bałtyckich.

Naziści postawili sobie za cel zniszczyć na zawsze niepodległą Polskę i państwa bałtyckie. Byli przekonani, że ludy niższe rasowo nie mają prawa do odrębnych państw. Należało je włączyć do państwa zdobywców i zatrzeć wszelkie ślady ich istnienia. Dlatego polskie ziemie zachodnie zostały inkorporowane do Rzeszy jako trzy nowe prowincje: Kraj Warty, Gdańsk-Prusy Zachodnie i Górny Śląsk, obejmujący dawne terytoria polskie i niemieckie o tej nazwie. Na obszarach położonych dalej na wschód w niemieckiej

strefie okupacyjnej powstało Generalne Gubernatorstwo, nie-będące częścią Rzeszy, lecz podlegające jej za pośrednictwem niemieckiego gubernatora. Polacy zostali całkowicie wykluczeni z udziału w rządach na jakimkolwiek szczeblu. W ten sposób ponad połowa przedwojennego państwa polskiego znalazła się pod niemiecką dominacją, a mniej więcej połowa z tego została bezpośrednio przyłączona do Rzeszy³. Podobnie po niemieckiej inwazji na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku, państwa bałtyckie weszły w skład ogólnej jednostki administracyjnej na obszarze bałtyckim, *Reichskommissariat Ostland*, funkcjonującej pod generalnym zarządem Berlina. Każde z dawnych państw otrzymało status dystryktu generalnego. W każdym z nich ustanowiono dyrektoriaty złożone z etnicznych Bałtów, lecz miały one jedynie uprawnienia doradcze, a ich celem było po prostu wspomaganie okupantów w realizowaniu ich polityki⁴.

Posunięciom administracyjnym towarzyszyła polityka germanizacji, w wyniku której nowe nabytki miały się stać kulturowo i językowo niemieckie. Językiem urzędowym stał się niemiecki, używanie polskiego w życiu publicznym było zakazane, a wszelkie przejawy polskiej kultury i tożsamości bezlitośnie tępieno. Nie wychodziły polskie gazety, czasopisma ani książki oprócz prasy tzw. gadzinowej, kolaborującej z okupantem. Nazwy miast i miejscowości zostały zmienione, a nazwy ulic zmienione. Zamknięto polskie szkoły, a ich los podzieliły też muzea, teatry, uniwersytety i biblioteki. Wiele polskich książek przeznaczono do zniszczenia. Nie wolno było wykonywać muzyki polskich kompozytorów, a dzieła sztuki wystawiane w galeriach publicznych lub znajdujące się w rękach prywatnych zostały zrabowane i wywiezione do Niemiec. W sensie oficjalnym polska kultura przestała istnieć i mogła trwać jedynie dzięki działalności podziemnej. Oto jeden z przykładów, jak się to odbywało.

Kiedy zaczęła się wojna, chodziłem jeszcze do szkoły. W pierwszym roku okupacji Niemcy zamknęli szkoły, a przynajmniej szkoły ponadpodstawowe, powyżej szóstej klasy. Chodziłem do szkoły prywatnej, ale po zamknięciu nie było żadnego oficjalnego nauczania. Wszyscy młodzi ludzie w Warszawie stawiali sobie jednak za punkt honoru uczestniczyć w czymś, co nazywano „kompletami”, w grupach, które zbierały się wieczorem w prywatnych domach i uczyły pod kierunkiem polskich nauczycieli. Była to kwestia utrzymania polskości.

Celem polityki niemieckiej, jak ujął to zwięźle Albert Forster, gauleiter Gdańska-Prus Zachodnich, było „wykorzeniecie w ciągu najbliższych kilku lat wszelkich przejawów narodowości polskiej”, co oznaczało zniszczenie polskiej kultury i tożsamości oraz jej głównych obrońców, inteligencji i duchowieństwa katolickiego. Naziści trafnie uznali Kościół rzymskokatolicki za potężną opokę narodu polskiego i, w sensie historycznym, zasadniczy składnik jego tożsamości. Ich atak na przedstawicieli Kościoła miał szczególnie brutalny charakter. Księża byli usuwani ze swoich parafii, wywożeni i rozstrzeliwani.

Proboszcz we wsi mojej siostry został zabity. Jeden z Niemców, którzy tam mieszkali, przyszedł, żeby go ostrzec. Powiedział: „Ojcie, błagam cię, uciekaj, bo przyjdą po ciebie wieczorem”. A proboszcz odparł po prostu: „Niech przychodzą, jeśli taka jest wola Boga. Nie opuszczę swojej trzody”. I tak to było⁵.

Aby doprowadzić do całkowitej demoralizacji, naziści próbowali przeciąć wszelką łączność ze światem zewnętrznym i ustanowili zakaz posiadania odbiorników radiowych. O znaczeniu utrzymania kontaktów ze światem świadczą wspomnienia polskiego uchodźcy, który mieszkał na obszarze przyłączonym do Rzeszy:

Mój ojciec przejeżdżał na rowerze kilka kilometrów, żeby posłuchać nielegalnie radia. Za słuchanie groziła kara śmierci. Radio było u jego kuzyna, który mieszkał na pełnym odludziu. Nabraliśmy otuchy, ponieważ Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę i nie byliśmy już sami⁶.

Podczas gdy Polacy nie mieli żadnych złudzeń co do charakteru nazistowskich rządów, narody bałtyckie przyjęły z nadzieją wkroczenie wojsk Hitlera latem 1941 roku. Spodziewano się, że Niemcy nie tylko zastąpią znenawidzonych Rosjan, którzy okupowali państwa bałtyckie przez ostatni rok, lecz także przywrócą

niepodległość. „Przeważająca większość [...] postrzegała Niemców jako wyzwolicieli. Takie szczere sympatie, z jakimi spotkali się Niemcy natychmiast po zajęciu państw bałtyckich, z pewnością występowały po raz pierwszy od chwili, kiedy Hitler doszedł do władzy. Nikt nie mógł wątpić w spontanizację tych serdecznych uczuć". Tak napisał szwedzki dziennikarz Arvid Fredbord w 1944 roku. Wspominając wydarzenia w Rydze, łotewski wydawca Helmars Rudzitis napisał w 1984 roku: „Góry kwiatów leżały u stóp pomnika Wolności. Każdy chciał położyć przynajmniej jeden kwiat pod tym symbolem wolności Łotwy [...]. Tego dnia nikt nie zdawał sobie sprawy, że przeszliśmy spod jednej okupacji pod następną”⁷. Pewien Estończyk, który wraz z wieloma swoimi rodakami obserwował wkroczenie Niemców, uważał, iż wyznacza ono koniec ciężkich czasów i powrót „do dawnych dni niepodległości”.

Kiedy przyszły wojska niemieckie - wspominał - wszyscy mieli w rękach kwiaty i nieśli flagi narodowe, a nasi chłopcy szukali w spizarniach butelek spirytusu czy czegoś podobnego, i wszyscy wychodzili i mówili: bierście, co chcecie, czekaliśmy na was.

Ale radość była krótkotrwała i wielu etnicznych Bałtów doznało rozczarowania. Niemcy traktowali ich jak ludzi drugiej kategorii i „zamierzali ujarzmić”. Dawali też wyraźnie do zrozumienia, przynajmniej do klęski pod Stalingradem, że nie potrzebują bałtyckiej pomocy⁸. Podobnie jak w Polsce, rozpoczął się proces germanizacji, niemiecki stał się językiem urzędowym, a wiele instytucji przemianowano. Ale uniwersytety zostały ponownie otwarte dla tych studentów, którzy wykazali się odpowiednim stopniem znajomości języka niemieckiego. Bałtowie nie mieli złudzeń, że naziści zamierzają ich zniewolić, choć na podstawie różnych relacji można odnieść wrażenie, iż formy owego zniewolenia były mniej brutalne niż w Polsce, a ludzie mogli żyć we względnym spokoju, przynajmniej do momentu, kiedy wojska niemieckie zaczęły się cofać przed nacierającą Armią Czerwoną. Nie może być jednak najmniejszych wątpliwości, że w dziedzinie kultury cele nazistów w Polsce i w państwach bałtyckich były podobne. Jak ujął to T.S. Eliot w przedmowie do pierwszego wydania *The Dark Side of the Moon* w 1946 roku słowami, które odnoszą się zarówno do nazistów, jak i do Rosjan, celem okupacji totalitarnej było zniszczenie kultury, czyli modelu życia, i zastąpienie go innym modelem. „Nie wiemy jeszcze, w jakim stopniu tego rodzaju transformacja może być skuteczna; nie wiemy, w jakim stopniu ludzi można zmienić siłą planowej ignorancji [...]. To, czy kultura może przetrwać systematyczne niszczenie od zewnątrz, zależy [...] od uporu nieświadomych mas, wytrwałości, z jaką trzymają się swoich nawyków i zwyczajów, instynktownego oporu przed zmianą”⁹.

Nie wystarczyło zatem wyniszczenie inteligencji, duchowieństwa oraz elit politycznych i społecznych. Trzeba było przypuścić gwałtowny atak na masy, żeby złamać ich opór, ukarać dla przykładu wielu ludzi, żeby zdemoralizować resztę. Próbowano to osiągnąć w arbitralny i irracjonalny z pozoru sposób, oddziałując terrorem na umysły i paraliżując je strachem. Ponieważ na polskich terytoriach inkorporowanych mieszkało prawie dziesięć milionów Polaków i zaledwie niewielki odsetek etnicznych Niemców, skuteczność germanizacji i narzucania własnych rządów zależała od zmiany proporcji na korzyść Niemców. To oznaczało wysiedlenie i deportację ogromnej liczby etnicznych Polaków. Deportacje odbywały się z krótkoterminowym powiadomieniem i często nocą. Deportowanych upychano w wagonach towarowych i wysyłano do Generalnego Gubernatorstwa. Ponieważ po przyjeździe często nie mogli znaleźć zatrudnienia, byli zdani na łaskę tamtejszych mieszkańców. Tymczasem ich ziemię i własność zajmowali etniczni Niemcy z różnych części Europy. Do 1944 roku na terenach przyłączonych do Rzeszy osiedlono w ten sposób około 800 tysięcy etnicznych Niemców.

Znaczny procent tych osadników stanowili Niemcy bałtyccy, którzy jesienią 1939 roku uciekli z państw bałtyckich pod presją Hitlera i zostali skierowani na świeżo inkorporowane polskie ziemie zachodnie. Przez pierwsze dwa lata okupacji około półtora miliona obywateli polskich -1,2 miliona etnicznych Polaków i 300 tysięcy Żydów - wysiedlono z inkorporowanych prowincji do Generalnego Gubernatorstwa¹⁰. Wśród przeznaczonych do wysiedlenia, a w niektórych wypadkach do uwięzienia w obozach koncentracyjnych, znalazło się wielu ludzi zamożnych i wpływowych, takich jak właściciele ziemscy, przedsiębiorcy czy intelektualiści. Wysiedlonych zmuszano do pozostawienia domów, gospodarstw,

majątków i przedsiębiorstw bez odszkodowania i pozwalano im tylko zabierać ze sobą rzeczy osobiste i niewielką ilość gotówki, ale żadnej biżuterii, akcji i papierów wartościowych ani innych kosztowności¹¹. Pewien człowiek wspominał, jak jego siostra straciła wszystko, piekarnię i sklep spożywczy.

Powiadomiono ich z dwunastogodzinnym wyprzedzeniem, że muszą się wynieść, ale nie wolno im było zabrać niczego - pokoje zostały opieczątowane - z wyjątkiem ubrań, które mieli na sobie, i łóżeczek dla dzieci

Wielu Polaków werbowano do pracy w Niemczech, albo działając perswazją, albo stosując przymus. Pewien dorastający chłopiec, który w chwili wybuchu wojny miał czternaście lat, zgłosił się na ochotnika do grupy obserwatorów przeciwlotniczych. Z tego właśnie powodu, jak przypuszczał, niemieccy okupanci wywieźli go do Prus Wschodnich do pracy w polu. Wśród robotników rolnych było trochę polskich jeńców wojennych, trzy dziewczyny i cała rodzina wysiedlona z Pomorza, gdzie ich gospodarstwo zajęli etniczni Niemcy. Wszyscy musieli nosić literę P naszytą na ubraniu, aby było wiadomo, że są Polakami¹².

W Generalnym Gubernatorstwie wszyscy niezatrudnieni Polacy podlegali obowiązkowi rejestracji, a od kwietnia 1940 roku zmuszano ich, by zgłaszali się do pracy w Niemczech, głównie w rolnictwie. Za uchylenie się od tego obowiązku groziły surowe kary. Ponadto ustawiczne łapanki, niespodziewane aresztowania uliczne i obławy zwiększały liczbę robotników przymusowych, kierowanych do pracy w Niemczech. Zasoby siły roboczej

uzupełniało 400 tysięcy polskich jeńców, których niekiedy zmuszano do pracy w Rzeszy z pogwałceniem międzynarodowych porozumień o traktowaniu jeńców wojennych. Wspominając poczynania Niemców w Warszawie, pewien człowiek zwrócił uwagę na całkowicie arbitralny charakter wszystkich zarządzeń. Podjął pracę w wieku trzynastu lat, aby nauczyć się jubilerstwa, ale to zajęcie nie zapewniało mu niemieckiego pozwolenia na pracę.

Potem Niemcy *zaczęli* blokować ulice, zamykając je z obu stron, a wszystkich schwytych w łapance ładowali do wagonów i wywozili do Niemiec. Na roboty. Jedyłą szansą było zdobycie pracy, która zapewniała dokumenty, zatrudniłem się więc jako mechanik, chociaż wcale nie miałem na to ochoty. I jakoś przetrwałem¹³.

Inny młody człowiek nie miał tyle szczęścia. W wieku siedemnastu lat został wywieziony do Niemiec, wraz z innymi chłopcami w jego wieku, pozostawiając w Polsce rodzinę. Początkowo on i jego koledzy pracowali w gospodarstwie rolnym, a później SS skierowała ich do kopania okopów dla wojska we Francji. Po mniej więcej sześciu miesiącach chłopak uciekł i wstąpił do francuskiego ruchu oporu. Kiedy go schwytano i odesłano do Niemiec, spodziewał się, że zostanie rozstrzelany.

W marcu 1940 roku na terytoriach przyłączonych do Rzeszy wprowadzono przymusową służbę wojskową, również z pogwałceniem konwencji haskiej. Alternatywną dla służby w armii niemieckiej była praca przymusowa w Niemczech¹⁴. W ostatnich miesiącach 1940 roku przymusową rekrutację Polaków do pracy w Niemczech przerwano, ponieważ zasoby siły roboczej w niemieckim rolnictwie były wystarczające. Niemcy nie chcieli również nadmiernie redukować liczby robotników rolnych na terytoriach zaanektowanych w obawie przed pozbawieniem niemieckich właścicieli gospodarstw rąk do pracy. Jeden z polskich uchodźców opowiadał, że uniknął deportacji do Niemiec, ponieważ pracował w niemieckim gospodarstwie na terenach okupowanych. Okupanci zmuszali również polskich obywateli, którzy mieli niemieckich przodków, do wpisywania się na *Volks-liste*, co było równoznaczne z wystąpieniem o niemieckie obywatelstwo. Dawało to pewne przywileje, wiązało się jednak z możliwością powołania do armii niemieckiej. Ci, którzy nie chcieli się wpisywać, byli wysyłani do obozów koncentracyjnych.

Mój brat miał być zabrany do jednego z lokalnych obozów koncentracyjnych, jeśli nie podpisze listy - wspominał pewien człowiek. - Postanowił podpisać, ponieważ czuł, że umrze w obozie, a jego rodzice nie będą traktowani lepiej. Podpis był równoznaczny ze zgodą na przyjęcie niemieckiego obywatelstwa. Brat

podpisał w ostatniej chwili. Był już w pociągu w drodze do obozu. Strażnicy powiedzieli mu, żeby nie był głupi - że będzie mógł wrócić, jeśli podpisze. I w końcu to zrobił¹⁵.

Proces kolonizacji charakteryzował się zatem deportacjami, werbunkiem robotników przymusowych, konfiskatą własności, poborem do wojska i łapankami. „Każdy, kto należał do narodu polskiego”, co oznaczało niższych rasowo dawnych obywateli polskich, był albo wysiedlany ze strefy okupowanej, albo sprowadzany do poziomu niewolnika. Jako podstawową metodę utrzymywania ujarzmionej ludności w posłuchu stosowano terror i przemoc fizyczną. Priorytetem było zniszczenie elit politycznych, ekonomicznych i intelektualnych, najbardziej wykształconych i wpływowych warstw społeczeństwa. Gestapo, podobnie jak NKWD na obszarach pod radziecką okupacją, sporządziło listy członków tych elit. Zostali oni aresztowani i rozstrzelani bez sądu zaraz na początku okupacji. Na nowo przyłączonych terytoriach ten los spotkał ponad 16 tysięcy ludzi. Wielu innych aresztowano i wysiano do obozów koncentracyjnych. Niektórych zwolniono i pozwolono im wrócić do domu, często jednak w strasznym stanie fizycznym. Jak wspominał jeden z respondentów:

Stykałem się z ludźmi, którzy byli w obozach koncentracyjnych i /ostali zwolnieni. A potem skierowani z powrotem do pracy w gospodarstwie rolnym. Nigdy nie widziałem nikogo tak chudego i wycieńczonego, jak pewien mężczyzna, który wrócił. Po prostu wrzucili go do rowu; był tak wygłodzony i zmaltretowany, że nie mógł iść¹⁶.

Wobec ludności często stosowano brutalną przemoc, czasami w odwecie za działalność podziemną, czasami po to, żeby zasiać strach i niepewność.

Codziennie widywało się takie rzeczy. Na przykład w drodze do pracy. Jeśli się dało, wsiadałem do tramwaju, lecz tramwaje były straszliwie

zatłoczone. Nagle tramwaj się zatrzymywał, otaczali go niemieccy żołnierze, wybierali stu, dwustu, pięciuset ludzi, ustawiali ich pod ścianą i rozstrzeliwali. Działo się to bez żadnego uzasadnionego powodu, ci ludzie albo szli do pracy, albo byli zwykłymi przechodniami. Raz zostałem zatrzymany w jednej z takich łapanek. Pokazałem pozwolenie na pracę, a żołnierz tylko spojrzał, chwycił karabin, uderzył mnie kolbą w twarz (ciągle mam bliznę), kopnął mnie w siedzenie i na tym się skończyło - miałem szczęście. Uratowała mnie zapewne praca mechanika¹⁷.

Kolejny autor relacji wspominał, że kilka razy pobili go esesmani. Odwiedził przyjaciela, który mieszkał około pięciu kilometrów od gospodarstwa rolnego, gdzie pracował.

Późną nocą na zewnątrz zrobiło się zamieszanie, drzwi otworzyły się i weszło kilku esesmanów. Mieli ze sobą owczarka alzackiego, pistolety u pasa i byli pijani. Postanowili zabawić się trochę kosztem Polaków. Wyciągnęli mnie z łóżka, a także mojego przyjaciela i jego ojca. Zaczęli nas bić. Oberwałem pięścią tak mocno, że aż pokazały mi się gwiazdy. W okolicy, gdzie mieszkałem, zginęło wielu ludzi¹⁸.

Inny rozmówca przyznał, że jako dorastający chłopiec nienawidził Niemców, chociaż nie z powodu przemocy, jakiej dopuszczali się wobec niego, jego rodziny lub przyjaciół. Powodem było poczucie całkowitej bezsilności w obliczu brutalnej siły, brak możliwości zdobycia wykształcenia lub urzędu sobie życia w inny sposób.

Niemcy nie byli okrutni wobec mnie czy mojej rodziny. Zabrali mnóstwo Żydów, ale nie wybierali Polaków na rozstrzelanie czy do obozów w naszej okolicy (pod Krakowem). Zapędzili Żydów z naszego miasteczka do synagogi i spalili ich tam. Może i rozstrzeliwali Polaków, ale nigdy nie słyszałem, żeby to robili. W naszej okolicy i w naszym miasteczku działał ruch oporu, ale ja do niego nie przystąpiłem. Nie znałem nikogo, kto należał do podziemia. Wielu ludzi w moim wieku nie miało pracy i nie mogło chodzić

do szkoły. Czasami Niemcy brali nas, żebyśmy budowali dla nich baraki. Kiedy czegoś chcieli, po prostu przychodzili i zabierali nas.

W wieku siedemnastu lat został wyznaczony do pracy w niemieckim gospodarstwie rolnym¹⁹.

Liczba Polaków zatrudnianych w niemieckim rolnictwie zaczęła stój: niowo rosnać, od kiedy po mobilizacji mężczyzn na wojnę ze Związkiem Radzieckim w 1941 roku coraz większe były niedobory siły roboczej. W ciągu pierwszych dwóch lat po inkorporacji polskich ziem zachodnich wielu polskich robotników przemysłowych wysłano do pracy w gospodarstwach rolnych. W wielu wypadkach zastępowali oni polskich jeńców wojennych, którzy nie byli już zdolni do pracy i wracali do domów. Z równo oficjalne źródła niemieckie, jak i dokumenty polskiego rządu na uchodźstwie potwierdzają zgodnie, że pod koniec 1941 i na początek 1942 roku do pracy przymusowej w Niemczech było wykorzystywane około miliona polskich cywilów, w tym nieco mniej niż połowa z terenów inkorporowanych, a reszta z Generalnego Gubernatorstwa. Mniej więc jedną czwartą tej liczby stanowiły kobiety.

Pewna kobieta opisała swoje ówczesne przeżycia. Miała dwadzieścia trzy lata w 1942 roku, kiedy Niemcy nasilili aresztowania młodych ludzi do pracy w Niemczech. Przez jakiś czas rodzice ukrywali ją w lesie, lecz niedługo potem została schwytana w łapanie w pobliskim miasteczku i wślana do obozu. W końcu wywieziono ją do Bawarii, gdzie miejscowi gospodarze wybierali robotników do pracy przymusowej. Została skierowana do pracy w gospodarstwie, gdzie pracowali również francuscy jeńcy wojenni.

W niektóre dni musiałam pracować od piątej rano do jedenastej wieczorem. Nie przywiozłam ze sobą żadnych ubrań, chodziłam więc w łachmanach. Chodziłam w wojskowych butach, a żona gospodarza robiła mi na drutach skarpety. Ale mój pracodawca był rzymskim katolikiem i przyzwoitym człowiekiem; był zadowolony, że ja też jestem katoliczką. Jego starszy syn służył w SS, a młodszy był oficerem w wojsku²⁰.

Odsetek robotników zatrudnionych w przemyśle również wzrasta w miarę jak na skutek poboru do wojska zaczynała brakować niemieckiej siły roboczej. W późniejszym okresie wojny niemal wszyscy robotnicy przemysłowi pracowali w przemyśle lub na budowach. Wielu wykorzystywało Organizację Todta, budującą fortyfikacje nadbrzeżne od północnej Norwegii do południowej Francji²¹.

Największa zapewne wywózka Polaków do Niemiec nastąpiła po klęsce Powstania Warszawskiego, kiedy ci, którzy przeżyli długie tygodnie zaciętych walk, poddali się armii niemieckiej. Istnieje wiele relacji o życiu w Warszawie pod hitlerowską okupacją, zwłaszcza podczas powstania. Jeden z polskich uchodźców w Wielkiej Brytanii, który brał czynny udział w tym dramatycznym i tragicznym zrywie zbrojnym, dołączył swój głos do wspomnień.

Wszyscy, wszyscy młodzi ludzie w moim wieku należeli do ruchu oporu. Ja zaczynałem jako łącznik, a wieczorami chodziłem na różne kursy organizowane przez podziemie i Armię Krajową. W 1944 roku byłem twardym chłopakiem z ulicy. Kiedy wybuchło powstanie, miałem szesnaście lat. Spośród moich szkolnych kolegów nie znam ani jednego, który przeżył. Miałem mnóstwo przyjaciół. W niedzielne poranki,

0 dziewiątej, szliśmy do kościoła - wszyscy szli. Później zwykle chodziliśmy na spacer, latem nad rzekę, a zimą na łyżwy albo na sanki. I tak grupa przyjaciół dorastała. Nie pamiętam ani jednego, który przeżył. Nie myślało się o tym wówczas - ważne było, żeby dożyć jutra. Spaliśmy w piwnicach. Kilka razy mnie zasypało, dwa dni tkwiłem pod ziemią, zastanawiając się, czy mnie odkopią, czy nie. Myślę, że to nie była kwestia świadomego wysiłku, żeby spróbować przeżyć, chodziło po prostu o to, żeby się trzymać, bo nic innego nie można było zrobić. Pod koniec powstania musieliśmy skapitulować, głównie z powodu braku jedzenia i wody. I amunicji. Nie dołączyłem do swojego oddziału, ponieważ walczyłem na Starym Mieście, a ja nie mogłem się tam dostać, posze

dłem więc do najbliższego oddziału i wyjaśniłem, kim jestem, a oni powiedzieli: „Dobra, idziesz z nami”. Braliśmy udział w kilku słynnych walkach w powstaniu, o elektrownię i Poczta Główną. Niemcy ściągnęli kilka doborowych dywizji, największych sukinsynów w armii niemieckiej. Wiedzieliśmy, że jeśli powstanie nie zacznie się w odpowiednim momencie i Rosjanie zajmą Warszawę, zaprowadzą swoje porządki i narzucą nam swoją politykę. Patrząc z perspektywy, jestem bardzo źle nastawiony do Niemców. Zabili mi ojca i zniszczyli mi życie. Sześć lat mojego życia zostało zmarnowane²².

Inny uchodźca, który w czasie wojny mieszkał w Warszawie, wspominał, jak wstąpił do armii podziemnej, gdzie nauczył się rozkładać i składać karabin maszynowy. Ale ponieważ studiował grafikę, był bardziej użyteczny ja ko drukarz podziemnych gazetek.

W szkole graficznej była bardzo stara prasa drukarska. Mój brat składał czcionki, a ja drukowałem. Drukarnia była dosyć zapuszczona. Było tam mnóstwo słomy i kurzu. Mogliśmy zejść do piwnicy przez klapę w podłodze. Kiedy Niemcy przychodzili węszyć, zeskakiwaliśmy do piwnicy, a im nigdy nie przyszło do głowy, żeby szukać na dole, ponieważ wszędzie był brud i kurz, mówili więc: „Nie, nic tam nie ma”. Była specjalna grupa, która słuchała radia i pisała gazetki.

Chodzenie po ulicy zawsze wiązało się z ryzykiem, ponieważ w pobliżu byli zwykle niemieccy żołnierze, którzy obserwowali wszystkich i zatrzymywali ludzi, żeby sprawdzić im dokumenty.

Pewna kobieta szła przez miasto z małym pieskiem i natknęła się na niemieckiego żołnierza, a pies zaczął warczeć. Ostrzegła żołnierza, żeby go nie dotykał, bo pies może ugryźć. A Niemiec odwrócił się i powiedział: „Pójdiesz ze mną”. I zabrał tę kobietę. Nie można było nic powiedzieć do Niemca. Kiedy rano szło się do pracy albo do szkoły, każdy się zastanawiał, czy zobaczy jeszcze matkę albo dom. Nigdy nie było wiadomo, czy się wróci, ponieważ Niemcy często łapali ludzi na ulicach i wywozili ich do Niemiec.

Ten sam człowiek wspominał, że podczas powstania, które trwało sześć dziesiąt trzy dni, „Rosja nie zrobiła nic, w ogóle nam nie pomogła, a przez cały ten czas Niemcy spychali Polaków i wypierali ich z poszczególnymi dzielnicami Warszawy”. W końcu poddał się wraz z bratem i został jeńcem we jennym²³.

Chociaż istniały duże podobieństwa pomiędzy niemiecką okupacją Polski a okupacją państw bałtyckich, występowały też znaczące różnice, zwłaszcza w rekrutacji Bałtów do armii niemieckiej lub do bałtyckich formacji zbrojnych pod niemieckim dowództwem. Dalekosiężny cel Niemców nie odbiegał jednak od ich planów wobec Polski, czyli inkorporacja terytorium do wielkiego imperium niemieckiego i wysiedlenie dwóch trzecich miejscowej ludności na rozległe obszary na wschodzie. Pozostała ludność uznano za nadającą się do germanizacji pod wpływem aryjskich lub nordyckich

osadników z innych części imperium. Opracowany przez Himmlera *Generalplan Ost* z 1942 roku przewidywał, że połowę Estończyków, ponad połowę Łotyszy i osiemdziesiąt pięć procent Litwinów trzeba będzie deportować, chociaż owe deportacje na wielką skalę miały się rozpocząć dopiero po kapitulacji Związku Radzieckiego²⁴.

Na razie nazisci aresztowali i uwięzili wiele tysięcy ludzi podejrzanych o wrogi nastawienie do nowego reżimu. Czasem byli to przedstawiciele elit, często członkowie, kandydaci na członków lub sympatycy partii komunistycznej, którzy nie mogli bądź nie chcieli uciec do Związku Radzieckiego wraz z wycofującymi się wojskami. Podobno około 50 tysięcy Łotyszy zostało aresztowanych i osadzonych w więzieniach i miejscowych obozach koncentracyjnych. Połowę z nich zwolniono po przesłuchaniu, ale reszta została w 1943 roku wysłana do obozów koncentracyjnych w Niemczech, gdzie wielu z nich zmarło. Z ludźmi, którzy sprzeciwiali się polityce nazistowskiej lub byli podejrzani o zachęcanie innych do oporu, rozprawiano się w trybie doraźnym. Frank Gordon szacuje, że podczas niemieckiej okupacji rozstrzelano około 10 tysięcy

Łotyszy. Kiedy na skutek apeli litewskiego podziemia Niemcom nie udało się zwerbować dostatecznej liczby młodych ludzi do formowanego Legionu Litewskiego, zastosowali represje wobec ludzi o wysokim statusie społecznym, takich jak działacze społeczni i przedstawiciele inteligencji, których podejrzewano o wspieranie ruchu oporu. Wielu z nich wywieziono do obozów koncentracyjnych w Niemczech. Większość placówek szkolnictwa wyższego została zamknięta, a resztę opodatkowano i obłożono innymi sankcjami²⁵.

Chociaż masowe deportacje miały się rozpocząć dopiero po niemieckim zwycięstwie, znaczną liczbę dawnych obywateli państw bałtyckich wywieziono mimo to do pracy przymusowej w Niemczech. Na początku okupacji rekrutacja siły roboczej miała charakter dobrowolny, a młodych Litwinów zachęcano do pracy w Prusach Wschodnich. Pod koniec 1941 roku jednak naziści wprowadzili obowiązek pracy, domagając się, aby cała ludność od osiemnastego do czterdziestego piątego roku życia zarejestrowała się w odpowiednim urzędzie pod karą więzienia lub wysokiej grzywny. Ustanowili również normy siły roboczej dla gospodarstw rolnych, a nadwyżki siły roboczej musiały być wysyłane do regionów, gdzie występował ich niedobór. Już to samo w sobie było formą pracy przymusowej, chociaż stosunkowo łagodną. Na Litwie istniał silny opór przeciwko obowiązkowi pracy i w urzędach zarejestrowało się stosunkowo niewielu młodych ludzi.

W Estonii i na Łotwie postępowanie Niemców cechowała większa pę błażliwość, ale opór wobec ich polityki stopniowo narastał i musieli się uch kac do coraz bardziej bezwzględnych metod. Często stosowaną praktyk było otaczanie wsi i przewożenie wszystkich zdolnych do pracy dorosłych na pobliską stację kolejową, skąd transportowano ich do Niemiec. Na Ł otwie niemal co tydzień obstawiano kościoły podczas niedzielnej mszy i z i bierano wiernych do obozów pracy. Podczas niemieckiej okupacji około 75 tysięcy Litwinów schwytanych w takich i podobnych ł apankach został wywiezionych do pracy przymusowej w Niemczech. Wielu innych wysłań do obozów koncentracyjnych. W lipcu 1944 roku Himmler otrzymał rapor z którego wynikało, że z trzech państw bałtyckich wywieziono łącznie 126 tysięcy ludzi do pracy przymusowej w Niemczech. Znamionym prz; kładem takich metod było zatrzymanie w 1944 roku około 10 tysięcy Ł (tyszy, których najpierw stłoczono na arenie cyrkowej w Rydze, a później wywieziono do Niemiec. Ich rodziny nie zostały poinformowane²⁶. Nie t< go oczekiwali Bałtowie, kiedy w 1941 roku armia niemiecka przepędził Rosjan.

W 1943 roku chodziliśmy jeszcze do szkoły - wspominał pewien Estoń-czyk - kiedy w marcu dostarczono nam do domów imienne wezwania, abyśmy na początku kwietnia zgłosili się do służby wojskowej [...]. Ale mniej więcej dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem władze powiadomiły nas, że jeśli zgłosimy się do pracy, nie będziemy musieli iść do wojska, a do pracy pójdziemy dopiero w październiku. Większość z nas zgłosiła się do pracy. Pojechalśmy pociągiem do Niemiec i trafiliśmy na lotnisko pod Berlinem. Przez cały czas dostawaliśmy przyzwoite jedzenie. Początkowo pracowaliśmy przez jeden dzień, a jeden dzień mieliśmy wolny. Praca polegała na kopaniu rowów odwadniających na lotnisku albo naprawianiu dróg [...]. W lipcu 1944 roku jednak odesłano nas z powrotem do Estonii i od razu wcielono do wojska [...] i zostaliśmy skierowani do szkoły podoficerskiej w Niemczech²⁷.

Kiedy czyta się o ł apankach, deportacjach i transportach do obozów koi centracyjnych, można odnieść mylne wrażenie, iż takie wypadki stanowi część codziennego życia we wszystkich państwach bałtyckich. Tak jedm nie było. Z przeprowadzonych przez nas wywiadów wynika, że najbardzi uderzającym aspektem życia pod okupacją hitlerowską, przynajmniej w j

pierwszym okresie, był brak żywności, który wydawał się bardziej dotkliwy niż za wcześniejszych rządów radzieckich. Administracja nazistowska żądała od rolników ogromnych ilości artykułów żywnościowych w ramach przymusowych dostaw. Mieszkańcy miast nie mieli co jeść, ponieważ raczej żywnościowe były bardzo małe, niemal głodowe, i wynosiły około siedmuset kalorii dziennie.

Żeby zdobyć dodatkowe zaopatrzenie, trzeba było pojechać na wieś i zabrać ze sobą coś, na przykład parafinę, do wymiany za jedzenie. Miałem krewnych na wsi, ale kiedy wracało się do miasta, policja sprawdzała bagaże. W Rydze brakowało wszystkiego. Nie można było dostać jedzenia. Być może ludzie mieszkający na wsi nie widzieli większej różnicy, ale ludzie w miastach z pewnością tak. Rolnicy mieli

niewielkie zapasy wszystkiego, masła, mięsa, jajek i zboża.

Kiedy zaczęła się niemiecka okupacja, uniwersytet [w Tartu] został zamknięty na sześć miesięcy. Musiałem więc pojechać do domu, a pięć kilometrów za miastem mieliśmy małe gospodarstwo, gdzie trzymaliśmy krowę, świnie i kury. Podczas rosyjskiej okupacji w Estonii było tyle jedzenia, że nawet oni nie zdołali wszystkiego zabrać. Ale Niemcy re-kwirowali ogromne ilości dla wojska i dla nas zaczęło brakować. Kiedy wróciłem na uniwersytet, to chociaż matka przysyłała mi trochę jedzenia, bywały dni, że musiałem się zadowalać kawałkiem suchego czarnego chleba i herbatą²⁸.

Jednakże fizyczny strach nie był tak dotkliwy pod niemiecką okupacją:

Mogliśmy mówić, co chcemy, i robić, co chcemy, dopóki nie działaliśmy na szkodę Niemców. Nie baliśmy się donosicielei tak jak przy Sowietach. Wiedzieliśmy, że [Niemcy] mają swoich donosicielei, lecz interesowali się oni głównie komunistami i Żydami.

Na Łotwie działał ruch oporu, jak przyznał jeden z rozmówców, ale:

nieotwarcie, ponieważ ludzie chcieli po prostu spokojnie żyć. Nie było masowych aresztowań, ale mieliśmy silną organizację podziemną, która była antyniemiecka, zdarzały się więc aresztowania, lecz nie na taką skalę jak za Rosjan. [Niemcy] byli bardziej cywilizowani niż Rosjanie, którzy wywozili ludzi w strasznych warunkach. Mimo to system był zasadniczo taki sam²⁹.

Chłopi zaś, których pozbawiono części gospodarstw pod okupacją *n* dziecka, odzyskali swą własność po wkroczeniu Niemców.

W naszym gospodarstwie było miejsce, gdzie mieszkał szewc. Dostał ziemię obok swojego domu i uprawiał ją przez rok, ale w następnym roku wrócił i znowu naprawiał buty. Tylko dwaj ludzie otrzymali ziemię z naszego gospodarstwa, ale nie dbali o nią. Musieliśmy więc zaczynać od nowa, uprawiać ziemię, która leżała odłogiem³⁰.

Interesującą relację na temat życia w sąsiedztwie frontu leningradzkiego złożył były mieszkaniec Narwy, która leżała nad dawną granicą radziecką; w pobliżu Leningradu:

Szkoły zostały przekształcone w szpitale wojskowe, chodziliśmy więc do szkoły w mieszkaniu dyrektora, młodsze klasy rano, średnie po południu, a starsze klasy wieczorem. Szkoła nie została zamknięta, ale ponieważ nasze miasto było bombardowane przez całą zimę, mieliśmy tylko około dwóch miesięcy prawdziwej nauki. Niedaleko przebiegał front. Wiedzieliśmy o blokadzie Leningradu, ale to było około trzydziestu kilometrów od Narwy. Główna linia zaopatrzeniowa frontu leningradzkiego prowadziła przez Narwę. Rosjanie każdej nocy bombardowali dwa mosty na rzece, drogowy i kolejowy, a my mieszkaliśmy zaledwie sto pięćdziesiąt metrów od jednego z tych mostów. Musieliśmy odesłać matkę, ponieważ nie mogła tego wytrzymać³¹.

Bałtyckim ofiarom nazistowskiego terroru stawiano uparcie poważne zarzuty, zwłaszcza po upadku komunizmu. Bałtowie, jak można często usłyszeć, nie byli wcale ofiarami, lecz kolaborantami i zgłaszali się dobrowolnie, aby walczyć i pracować dla sprawy niemieckiej. Co więcej, niektórzy z tych kolaborantów brali czynny udział w masowym mordowaniu ludności żydowskiej w swoich krajach. Trudno w tym miejscu rozpatrzyć szczegółowo te zarzuty, ale nie sposób ich również zignorować, ponieważ stały się ważnym czynnikiem we współczesnej polityce i historiografii tych krajów.

Bardzo interesujące są pod tym względem wywiady z członkami społeczności bałtyckich w Wielkiej Brytanii. Nasuwają się co najmniej trzy istotne pytania: po pierwsze, czy Bałtowie zgłaszali się ochotniczo

do batalionów policyjnych i jednostek Waffen-SS, formowanych przez nazistów w państwach bałtyckich? Po drugie, jeśli zaciąg był dobrowolny, jakimi pobudkami kierowali się Bałtowie, wstępując do tych jednostek? I wreszcie, jaką rolę odgrywały bataliony policyjne i jednostki Waffen-SS? Z wywiadów wynika, że zaciąg do batalionów policyjnych miał zwykle charakter dobrowolny, chociaż opornym „ochotnikom” można było zagrozić pracą przymusową, jeśli nie chcieli się zgłaszać. Na Litwie zaciąg wynosił około 8 tysięcy ludzi, na Łotwie sięgał 15 tysięcy, a w Estonii 10 tysięcy. Zgłaszającym się obiecywano, że bataliony będą wykorzystywane tylko w granicach dawnych niepodległych republik bałtyckich do identyfikowania i zwalczania sympatyków władzy radzieckiej, zbiegłych jeńców wojennych i partyzantów zrzuconych na spadochronach ze Związku Radzieckiego. W praktyce jednak były używane do zadań policyjnych za niemiecką linią frontu, czyli do „oczyszczania rejonów wiejskich, gdzie działali partyzanci”, jak ujął to eufemistycznie jeden z bałtyckich uchodźców. Później powszechną praktyką stało się posyłanie ich na linię frontu. Najpoważniejszy zarzut wysuwany przeciwko nim jest taki, że zwalczały partyzantów z niesłychaną brutalnością i współdziałały z nazistami w obławach na Żydów przeznaczonych do eksterminacji. Najnowsze badania historyczne potwierdzają, iż niektórzy członkowie tych jednostek - dokładna liczba nadal nie jest znana, ale prawdopodobnie większość - brali udział w identyfikowaniu, wyłapywaniu i mordowaniu Żydów na rozkaz nazistów.

Jakie motywy powodowały ochotnikami, którzy się zaciągali? Niektórzy szukali zemsty na Rosjanach za zabicie członków rodzin podczas okupacji radzieckiej, inni byli autentycznymi zwolennikami nazistów, jeszcze inni mogli się zaciągać dlatego, żeby uniknąć oskarżeń o kolaborację z Rosjanami. „Znałem człowieka - opowiadał jeden z rozmówców - który służył w jednostce obrony terytorialnej i jego rodzina została deportowana do Rosji, a on chciał się przyłączyć do Niemców, żeby zabić tylu Rosjan, ilu zdoła”³².

Jeden z tych, którzy się zaciągnęli, wspominał:

W październiku kilku chłopaków z naszej szkoły zgłosiło się na ochotnika do jednostki estońskiej w armii niemieckiej, w tym również ja.

Chcieliśmy mieć swój udział w zniszczeniu Armii Czerwonej, jednym z motywów mogła być zapewne zemsta [...]. Mieliśmy nadzieję, że wnosząc własny wkład w wojnę, otrzymamy nagrodę w postaci niepodległości dla Estonii. Służyłem w estońskim batalionie polowym na północy, ale zawsze byliśmy przemieszani z innymi jednostkami niemieckimi albo wypełnialiśmy zadania specjalne. Przez większość czasu stacjonowaliśmy w rejonie Leningradu, pełniliśmy służbę wartowniczą i wykorzystywaliśmy swoją znajomość lasu. Niemcy byli bardzo dobrzy na otwartym terenie, ale bali się zamkniętych przestrzeni. Nie wiem dlaczego, ale ilekroć przejmowaliśmy służbę od Niemców, zawsze mieliśmy mnóstwo kłopotów. Byliśmy atakowani z lewej, z prawej i od czoła. Kiedy przychodzili Niemcy, nic się nie działo. Mówiono, że uganiamy się za partyzantami, Niemcy nigdy tego nie robili, po prostu się bronili, a potem tkwili na swoich pozycjach. Nie przypominam sobie, żeby nasz batalion dopuszczał się jakichś okrucieństw wobec miejscowej ludności. Wiosną pożyczaliśmy rosyjskim i fińskim chłopom swoje konie do pracy w polu, za co dostawaliśmy coś w zamian, a dwa razy w tygodniu chodziliśmy na tańce. Nigdy nie braliśmy udziału w rozstrzeliwaniu czy wieszaniu³³.

Na początku 1943 roku, kiedy wzrosło zapotrzebowanie werbunkowe, na ziści ogłosili zaciąg do Bałtyckich Ochotniczych Legionów Waffen-SS, ale jednocześnie wprowadzili pobór. Poborowi mieli do „wyboru” służbę w jednostkach Waffen-SS albo pracę przymusową. Ponieważ ta ostatnia cieszyła się złą sławą, ponad połowa łotewskich i nieco mniej niż połowa estońskich poborowych wstąpiła do legionów. Na Litwie istniał silny opór wobec zaciągu i niemiecka próba sformowania Legionu Litewskiego musiała zostać zarzucona, ponieważ przywódca litewskiego podziemia nawoływał młodych ludzi, aby nie zgłaszali się do poboru na takiej podstawie, że „litewska powinna być wykorzystywana jedynie do „obrony litewskich interesów państwowych”. Legion Estoński liczył ostatecznie około 11 tysięcy ludzi, czyli jedną dywizję, Legion Łotewski osiągnął liczebność dwóch dywizji. Niemcy upierali się przy nazwie „Ochotnicze Legiony Waffen-SS” aby uniknąć oskarżeń o pobór do wojska ludności terytoriów okupowanych co było pogwałceniem konwencji genewskiej. W rzeczywistości jednak te giony nigdy nie były ochotnicze, nie były też bałtyckim odpowiednikiem niemieckiej SS³⁴.

Jest prawdą, że znikomą mniejszość legionistów stanowili autentyczni ochotnicy, często przeniesieni z batalionów policji lub z niemieckich jednostek SD (*Sicherheitsdienst* - służby bezpieczeństwa) pod koniec 1944 roku. Ale większość poborowych walczyła, ponieważ musiała. Wprowadzono surowe kary za uchylanie się od poboru, a dezercja była karana śmiercią. Kiedy jednak po Stalingradzie naziści zaczęli ponosić klęskę za klęską, a do dawnych granic państw bałtyckich zbliżała się Armia Czerwona, wielu etnicznych Bałtów, choć formalnie podlegało poborowi, wstępowało do legionów dobrowolnie, aby bronić swojego kraju przed ponowną okupacją radziecką. Bałtowie wprowadzili rozróżnienie pomiędzy walką dla nazistów a walką z komunizmem. Byli przekonani, że walczą z komunizmem. Na swoje nieszczęście musieli nosić mundury Allgemeine-SS z błyskawicami SS na kołnierzach i trupimi główkami na czapkach i mieć pod pachą tatuaż z grupą krwi. Po wojnie, kiedy znaleźli się w obozach w Niemczech, oskarżano ich o zbrodnie wojenne za samą przynależność do SS. Gordon dowodzi, zapewne słusznie, iż poborowi byli w większości „zwykłymi żołnierzami frontowymi, którzy nie muszą się wstydzić, że walczyli na wojnie, zaciągnąwszy się pod obcymi flagami”. Jak podkreślił Juris Sinka, ludzie ci, niezależnie od koloru mundurów, „a obywatele państw bałtyckich nie wybierali sobie mundurów, byli zwykłymi poborowymi do sił zbrojnych, którzy otrzymywali zwykle przeszkolenie wojskowe i byli wykorzystywani wyłącznie do walki z radzieckimi siłami zbrojnymi. Nie mieli nic wspólnego z politycznymi jednostkami SS, które odbywały specyficzne przeszkolenie w niemieckich szkołach SS i wykonywały zadania specjalne”³⁵.

Co mówią o tych wydarzeniach Bałtowie w Wielkiej Brytanii? Pewien człowiek został powołany do Legionu Łotewskiego w maju 1943 roku, kiedy miał dwadzieścia jeden lat.

Na początku oficerami byli Łotysze, ale później, kiedy weszliśmy do walki, oficerami byli głównie Niemcy, nie wszędzie, ale zwłaszcza w jednostkach technicznych. W grudniu 1943 roku wysłano nas na północ, do Związku Radzieckiego. W styczniu 1944 roku jeszcze dalej na północ, a kilka tygodni później na południe. W lipcu 1944 roku nastąpił generalny odwrót i w połowie sierpnia dotarliśmy do Rygi. Często toczyliśmy walki z wojskami radzieckimi. Nie mieliśmy żadnego ciężkiego wyposażenia, żadnych czołgów ani nic w tym rodzaju. Później Niemcy zorganizowali dla nas ewakuację i przetrzucili nas do Niemiec. Ale jedna dywizja się nie wydostała i trafiła do niewoli³⁶.

Chodziło o 19. Dywizję, która aż do końca wojny w maju 1945 roku bro niła ostatniego skrawka terytorium łotewskiego niezajętego przez wojsk; radzieckie, Kurlandii. Jeden z bałtyckich uchodźców służył w tej dywizji i opisał swoje doświadczenia:

Rosjanie mieli przytłaczającą przewagę liczebną. W tym czasie front się przesunął, ale część Łotwy nazywana Kurlandią została odcięta przez armię rosyjską na Litwie i otoczona jak twierdza, a jedyną drogą ucieczki stanowiło morze. Najcięższe walki toczyły się w Kurlandii, gdzie stacjonowała nasza jednostka. Był okres Bożego Narodzenia 1944 roku. Oceniano, że w walkach brało udział dwadzieścia pięć dywizji niemieckich, w tym nasza, i ponad sto dywizji rosyjskich. Nie mieliśmy czołgów ani samolotów, ale mieliśmy artylerię. Myślę, że w tej fazie wojny walczyliśmy z większym zaangażowaniem niż Niemcy. Od końca września -początku października aż do końca wojny jakieś 5-6 kilometrów terenu przechodziło z rąk do rąk. Rosjanie ponosili ogromne straty. Kiedy atakowali, mieli za plecami komisarzy. Jeśli napotykali opór, nie mogli posuwać się naprzód i cofali się, byli rozstrzeliwani przez swoich. Mieli około dwudziestu karabinów na stu ludzi i kiedy tych stu ludzi szło do ataku, ci bez karabinów podnosili karabiny tych, którzy zginęli. Pod koniec marca zostałem ranny i znalazłem się w szpitalu polowym. Niektóre jednostki łotewskie zamierzały wycofać się do lasów i przygotować do wojny partyzanckiej po odejściu Niemców. Ja nie wróciłem do swojej jednostki. Postanowiłem uciekać przez Bałtyk do Szwecji. Dostaliśmy się na niewielki statek, ale nie płynął on do Szwecji, tylko do Niemiec. To był niemiecki statek. Nie musieliśmy płacić³⁷.

Za to 15. Dywizja straciła w trakcie odwrotu z Rosji tylu ludzi, że odesłała ją do Niemiec w celu przegrupowania. Jeden z żołnierzy tej dywizji wspominał:

Nie walczyliśmy za sprawę rosyjską ani za nazistowską. Walczyliśmy za naszą ziemię. Pamiętaliśmy, że podczas pierwszej wojny światowej, z inspiracji aliantów, walczyliśmy wspólnie z Niemcami, żeby rozgromić

komunistów. Kiedy wyrzuciliśmy komunistów, Niemcy chcieli różnych rzeczy, chcieli Łotwy. Znowu musieliśmy więc walczyć, tym razem przeciwko Niemcom. Było bardzo ciężko, ale poradziliśmy sobie. Uważaliśmy, że w tej wojnie historia może się powtórzyć. Mieliśmy marsz ze słowami: „Walczymy z parszywymi draniami [Rosjanami], a później wrócimy do barwy błękitnej i szarej”. Kiedy byliśmy w wojsku, sądziliśmy, że będziemy mogli zrobić powtórkę z historii, ale tak się nie stało³⁸.

W tym samym czasie pewien Łotysz umieścił swego syna wraz z resztą rodziny na wsi we wschodnich Niemczech. W styczniu 1945 roku wrócił do 19. Dywizji, a czterdzieści lat później jego syn wspominał:

Mój ojciec został wysłany do Kurlandii na Łotwie i tam przepadł. Poinformowano nas, że zginął 10 października 1945 roku [pięć miesięcy po zakończeniu walk w Kurlandii], czyli po zajęciu całej Łotwy przez Rosjan. Nie wiem, czy wstąpił do oddziału partyzanckiego. Nie udało mi się niczego dowiedzieć. Dwa razy jeździłem na Łotwę, ale nie dowiedziałem się nawet, gdzie jest pochowany³⁹.

Nasze ostatnie pytanie dotyczy udziału Bałtów w Holocauście. W jakim stopniu bałtyccy cywile lub członkowie batalionów policyjnych uczestniczyli w mordowaniu Żydów, czy to Żydów bałtyckich, czy przywożonych z innych części Europy w celu eksterminacji? Okoliczność, że nie zweryfikowano w sposób zadowalający twierdzeń o udziale etnicznych Bałtów w wyniszczeniu społeczności żydowskich, pozostawiła nad tymi trzema państwami ciemną chmurę podejrzeń, która uniosła się po odzyskaniu przez nie niepodległości w 1991 roku. To, co wielu Bałtów uważa za niesprawiedliwe i przesadzone zarzuty, można odeprzeć, jeśli w ogóle dadzą się odeprzeć, tylko w drodze starannego zbadania znanych faktów. Wiemy, że kiedy latem 1941 roku Rosjanie wycofali się z państw bałtyckich w obliczu przytłaczającej nazistowskiej przewagi, Litwini, by posłużyć się jednym przykładem, dokonali pogromów Żydów jeszcze przed wkroczeniem wojsk niemieckich. Później litewska policja bezpieczeństwa (istniało około dwudziestu batalionów policyjnych do dyspozycji Rzeszy) pomagała nazistom w obławach na Żydów i podobno uczestniczyła w masowym mordowaniu Żydów na Ukrainie, Białorusi i w Polsce, jak również pełniła służbę wartowniczą w obozach koncentracyjnych⁴⁰.

Najistotniejsze pytanie brzmi, ilu Litwinów, Łotyszy i Estończyków brało rzeczywisty udział w ludobójstwie? Jest to niezwykle złożona kwestia, a z wyczerpującą odpowiedzią należy poczekać na dalsze badania historyków. Najpełniejsze zapewne ostatnie opracowanie, zbiór artykułów i dokumentów pod redakcją litewskiego historyka Alfonsasa Eidintasa, pokazuje stopień uczestnictwa etnicznych Litwinów w wymordowaniu litewskich Żydów. Dwudziestego września 2001 roku w swoim wystąpieniu przed parlamentem litewskim Eidintas podsumował niektóre ustalenia historyków, a ich wymowa jest zdecydowanie ponura⁴¹.

Latem i jesienią 1941 roku 130 tysięcy Żydów - absolutna większość liczącej 209 tysięcy litewskiej społeczności żydowskiej - zostało zamordowanych. Według danych z archiwów niemieckich i litewskich największy udział w tej masakrze mieli sprawcy miejscowi; niektóre źródła sugerują, że sami tylko litewscy kolaboranci zabili 70-80 tysięcy Żydów [...]. Litwini powinni wiedzieć, iż przeważająca większość litewskich Żydów została wymordowana przez miejscowe siły policyjne pod zwierzchnictwem nazistów. To oznacza, że w tych wydarzeniach brało udział nie kilkuset Litwinów, lecz 2-3 tysiące, a nawet więcej tysięcy.

Garstka ocalałych z dwustu dwudziestu żydowskich sztetli (wiosek i małych miasteczek) zeznała, iż w torturowaniu i zabijaniu uczestniczyli głównie Litwini, „zwykle bez nadzoru funkcjonariuszy niemieckich”.

Eidintas stwierdził jednak, „że większość Litwinów potępiała pomocników Niemców i odcinała się od nich. Inni bali się o siebie i swoje rodziny. Ale niewielu Litwinów próbowało ratować i ukrywać Żydów”. Tym, którzy to mimo wszystko robili (istnieje lista prawie 3 tysięcy nazwisk), groziła w razie schwytania kara śmierci. Uratowali jednak około 3 tysięcy Żydów. Jak słusznie zauważył Eidintas, są dzisiaj litewskimi bohaterami i mają specjalne miejsce w litewskiej historii. Większość ludzi nie była wszakże bohaterami, a jeden z

rozmówców scharakteryzował ich postawę jako uchylanie się od współpracy. W Rydze, jak wspominał:

Pojawiła się kwestia żydowska i każdy, kto mógł, starał się schodzić Niemcom z oczu. Zwykle przychodziło zawiadomienie, że w takim i takim terminie potrzebni będą ochotnicy do policji, i każdy, kto chciał, po prostu zniknął. Tych, którym zabrakło wyczucia, żeby zniknąć, zabierało

Gestapo. Byli zatrudniani jako kierowcy, strażnicy i tak dalej. Gestapo zabierało każdego, kto się nawinął⁴².

Powyższe uwagi sugerują, że funkcjonariusze jednostek policyjnych nie zawsze byli ochotnikami, jak określali ich naziści, lecz poborowymi, którym nie udało się od tego uchylić. Jest to ciekawa interpretacja udziału etnicznych Bałtów w łapaniach i mordowaniu Żydów. Generalnie jednak w wywiadach z bałtyckimi uchodźcami pojawia się bardzo niewiele wzmianek

o ludobójstwie. Respondenci albo nie zdawali sobie sprawy z tego, co się działo, albo nie chcieli o tym rozmawiać. Kiedy wynikała ta kwestia, od powiedzialnością za los Żydów całkowicie obciążali Niemców. Opisuując wydarzenia w swojej rodzinnej Narwie, pewien człowiek wspominał, że Niemcy bardzo szybko urządzili obławę na Żydów, których w Narwie było zresztą niewielu, ponieważ większość młodych uciekła do Związku Radzieckiego w trakcie odwrotu wojsk radzieckich albo niedługo potem. Starsi, „choć wiedzieli, że będzie ciężko, nie spodziewali się obozów koncentracyjnych i obozów zagłady”. Rozmówcy „zauważyli”, że w Rydze Niemcy zaczęli wyłapywać Żydów i przesiedlać ich do gett. Jeden z nich wspominał, że przez dwa tygodnie pracował przy przeciąganiu linii wysokiego napięcia, ale nie zdawał sobie sprawy z celu tej pracy, którym było przygotowywanie miejsca pod obóz koncentracyjny dla Żydów. Jego starszy brat pracował jako konduktor w pociągach przewożących zaopatrzenie dla wojsk pod Leninogradem. Na pewnej wielkiej bocznicy zobaczył pociągi pełne Żydów z Austrii i innych krajów europejskich. Później dowiedział się, że zostali rozstrzelani na Łotwie⁴³.

Jeden z rozmówców podniósł wprost kwestię udziału Bałtów w eksterminacji Żydów i rzucił nieco światła na motywy przynajmniej jednego z uczestników:

Pamiętam pewnego Łotysza, z którym przez trzy lata chodziłem do szkoły. Jego ojciec był kapitanem w wojsku, matka pielęgniarką w szpitalu Czerwonego Krzyża, a siostra chodziła jeszcze do szkoły. Kiedyś poszedł na przyjęcie urodzinowe i wrócił dopiero rano. Jego rodzina zniknęła, a sąsiedzi powiedzieli, że zabrali ją młodzi Żydzi. To było zaledwie dziesięć dni przed wojną, Niemcy wkroczyli do Rygi 1 lipca 1941 roku. Był taki wściekły, że nie szukał sprawiedliwości, szukał zemsty i powiedział: „Dajcie mi karabin, a zastrzelę wszystkich Żydów

w zasięgu wzroku”. Jeśli pomnożyć to przez 20 tysięcy deportowanych, to okaże się, że było wielu młodych ludzi, którzy żywili podobne uczucia. Spotkałem go później. Szedłem do szkoły wieczorowej, ktoś zawołał mnie po imieniu i to był on. Tego wieczoru nie poszedłem do szkoły, lecz siedziałem z nim na posterunku, a on powiedział: „Nie mogę zasnąć bez butelki wódki, bo jak się nie upiję, to śnią mi się ci wszyscy Żydzi, których zastrzeliłem”. W jego oddziale było 200 czy 300 ludzi, którzy brali udział w egzekucjach, a obwinia się o to cały naród łotewski⁴⁴.

Chociaż ta szacunkowa liczba Łotyszy uczestniczących w ludobójstwie jest niemal na pewno zbyt niska, plastyczny opis zarówno udziału tamtego człowieka w masowych mordach, jak i motywów, którymi się kierował, potwierdza to, co wiemy już z innych źródeł, mianowicie że komuniści i sympatycy komunizmu pochodzenia żydowskiego odgrywali istotną rolę w radzieckiej administracji oraz aparacie bezpieczeństwa i wykorzystywali swoją pozycję, żeby prześladować tych, których nowa władza określała jako „wrogów ludu”. Później krewni i przyjaciele owych tak zwanych wrogów dokonywali zemsty na Żydach, kiedy po wycofaniu

się wojsk radzieckich nadarzyła się po temu sposobność.

To oczywiście, że rola narodów bałtyckich w Holocauście nie może i nie powinna być ignorowana. Zarazem jednak przy ocenie tej roli nie należy zapominać o prześladowaniach, jakich same doznały z rąk nazistów i komunistów. Ich cierpienia były dotkliwe i długotrwałe, ponieważ pozostawały pod okupacją radziecką aż do odzyskania niepodległości po upadku komunizmu w Związku Radzieckim w 1991 roku. W tym rozdziale próbowaliśmy zestawić bilans doświadczeń etnicznych Bałtów i bałtyckich Żydów. Nie było naszym zamiarem pomniejszanie w jakikolwiek sposób męstwa i ofiarności etnicznych Bałtów pod okupacją hitlerowską. Ale naziści okupowali kraje bałtyckie nieco dłużej niż trzy lata, tymczasem dominacja radziecka trwała czterdzieści osiem lat. Bałtyccy uchodźcy w Wielkiej Brytanii doświadczyli pierwszego roku z owych czterdziestu ośmiu (1940-1941) i uciekli do Niemiec lub do Szwecji, kiedy Rosjanie wrócili w 1944 roku, co samo w sobie jest wymownym komentarzem stopnia surowości obu reżimów okupacyjnych. Polscy uchodźcy żyli pod okupacją radziecką w różnych okresach lat od 1939 do 1941, w zależności od daty deportacji do Związku Radzieckiego, a później spędzili kolejny rok lub dwa

lata w niezwykle ciężkich warunkach w obozach i miejscach zsyłki na dalekiej północy, na Syberii i w radzieckiej Azji Środkowej, zanim części z nich pozwolono odejść wraz z armią Andersa do Iranu w 1942 roku. Wspomnienia obu tych grup oraz zawarte w tym rozdziale rozważania na temat okupacji hitlerowskiej pozwolą nam ocenić szczególne cechy okupacji radzieckiej i umieścić je w kontekście porównawczym.

ROZDZIAŁ 4

Radzieckie lenna

NIEMCY i
ROSJANIE
okupowali
swoje strefy na
terytorium
dawnego pań
stwa polskiego
od 1939 roku,
dopóki Rosjanie
nie byli
zmuszeni wyco
fać się ze
wschodniej
Polski w
wyniku
niemieckiej
inwazji w
czerwd 1941

roku. Rosjanie
okupowali
państwa
bałtyckie od lata
1941 roku, do
póki naziści nie
wyparli ich
stamtąd rok
później. Obie
okupacje siłą
rze czy
zachęcają do
porównań,
ponieważ były
albo
jednoczesne,
albo na
stępowały
bezpośrednio
po sobie. Tego
rodzaju
porównanie nie
jest jednak
proste.
Najbardziej
znamiennym
aspektem
okupacji
hitlerowskiej był
akt ludobójstwa,
wymordowanie
milionów
Żydów.
Ponieważ było to
wydarzenie
jedyne w swoim
rodzaju, nie
można go
porównać z
żadnym
aspektem
radzieckich
działań na tym
obszarze
podczas drugiej
wojny
światowej.
Mimo to, jeśli
porównanie
zostanie
ograniczone do

traktowania etnicznych Polaków i etnicznych Bałtów, można wyciągnąć znaczące wnioski o celach, metodach i rezultatach. Kluczem do porównania obu reżimów okupacyjnych jest zrozumienie procesu sowietyzacji czyli narzucania systemu radzieckiego na nowo zdobytych terytoriach. Wzmocni to nasz wcześniejszy wniosek, iż rządy radzieckie były ustanawiane w sposób wyjątkowo brutalny i w swoich konsekwencjach okazały się niszczycielskie dla mnóstwa ludzi. W istocie sowietyzacja polegała na zastosowaniu wobec nowych obszarów lennych polityki, które charakteryzowały się rządami leninowskimi i stalinowskimi w Związku Radzieckim od

rewolucji
bolszewickiej.
Czasem
postrzega się to
jako pozj tywny,
czyli egalitarny
aspekt okupacji;
bądź co bądź,
Stalin uciskał
Pole ków i
Bałtów tam
samo bezlitośnie
jak Rosjan.
Choć jest to
niewątpliwi

prawda, można się w tym dopatrywać cnoty tylko zgodnie z przewrotną logiką systemu radzieckiego.

Wiadomo powszechnie, iż wielu lewicujących intelektualistów w Wielkiej Brytanii w okresie międzywojennym było gotowych występować w obronie Związku Radzieckiego i albo ignorowało prawdziwy charakter reżimu radzieckiego, albo go w zaślepieniu nie dostrzegało. Z podobnych ideologicznych i politycznych powodów nie mieli oni ochoty potępić Związku Radzieckiego za jego poczynania we wschodniej Polsce. Wojenny gabinet Churchilla tak samo nie był przygotowany do tego, żeby wiązać sobie ręce oficjalnymi potępieniami. Od wybuchu wojny do niemieckiego ataku na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku rząd brytyjski stał na stanowisku, iż w interesie narodowym leży zdobycie poparcia Związku Radzieckiego w walce z hitlerowskimi Niemcami. Chociaż Brytyjczycy byli zdecydowani w miarę możliwości pomóc Polakom w ramach angielsko--polskiego układu sojuszniczego, uważali, że potępienie procesu sowiety-zacji w Polsce odniesie skutek przeciwny do zamierzonego, to znaczy przeszkodzi w osiągnięciu brytyjskich celów wojennych i nie pomoże Polakom. Rząd brytyjski mógł przyjąć taką postawę, ponieważ informacje na temat radzieckich poczynań były albo niepełne, albo mylące. W listopadzie 1939 roku historyk Lewis Namier, doradca generała Sikorskiego, premiera polskiego rządu na uchodźstwie, powiedział R.A. Butlerowi, wówczas niższemu urzędnikowi w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, że warunki w Polsce pod radziecką okupacją są względnie znośne i że represje ograniczają się do niewielkiej liczby ludzi, głównie właścicieli ziemskich, urzędników państwowych i księży. Natomiast warunki życia pod okupacją nazistowską były „zupełnie przerażające”, pomijając nawet „cierpienia Żydów”. W świetle tego rodzaju raportów rządowi brytyjskiemu trudno było stawiać znak równości pomiędzy metodami nazistowskimi i radzieckimi w obu strefach okupacyjnych¹.

Kiedy latem 1940 roku nie można już było ignorować dowodów radzieckiej brutalności we wschodniej Polsce, Brytyjczycy musieli wybierać między jednoznacznym potępieniem radzieckich działań a kontynuacją dotychczasowej polityki szukania porozumienia ze Związkiem Radzieckim. Pewien oburzony urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych proponował wszcząć kampanię prasową, „aby pokazać stan rzeczy w Polsce pod okupacją radziecką i w szczególności potępić deportacje”. Jego kolega, Frank Roberts, szybko mu przypomniał, że podstawami polityki brytyjskiej są interesy narodowe i ochrona praw sojuszników. Opinia publiczna nie b[^] dzie zatem tolerowała oskarżeń pod adresem Związku Radzieckiego, kt[^] ry jest potencjalnym sojusznikiem. W konsekwencji brytyjskie środki *mi* sowego przekazu nie nagłaśniały tego, co dzieje się w radzieckiej stref i okupacyjnej w Polsce i brytyjska opinia publiczna pozostała stosunkowo źl poinformowana².

Ale nawet w samym rządzie polskim pojawiały się głosy, w tym również głos Sikorskiego, domagające się zbliżenia ze Związkiem Radzieckim j; ko środka na odbudowanie państwa polskiego kosztem Niemiec. Znać; nie trudniej było bronić takiej tezy po lecie 1940 roku, kiedy pojawiała si coraz więcej dowodów

masowych represji radzieckich. Polski ambasador w Waszyngtonie, Jan Ciechanowski, utrzymywał, że warunki w Polsce po okupacji radziecką są zdecydowanie gorsze niż w strefie niemieckiej, przeto prowadzono też coraz więcej porównań pomiędzy metodami NKWD i Gestapo³. Ludziom dobrze poinformowanym coraz trudniej było unikać kłuzki, że Związek Radziecki zaangażował się w tego samego rodzaju brutalne i nieludzkie działania, za które potępiała nazistów zachodnia opinia publiczna. Nie sposób było jej uniknąć, kiedy w maju 1941 roku polski minister spraw zagranicznych, August Zaleski, przedłożył swemu brytyjskiemu odpowiednikowi, Anthony'emu Edenowi, wyczerpujący raport o radzieckiej polityce okupacyjnej w Polsce. Wynikało z niego niezbicie, że oba państwa totalitarne w takim samym stopniu dopuszczają się łamania podstawowych praw w traktowaniu ludności w swoich strefach okupacyjnych⁴. Dmitrij Szostakowicz potwierdził to w rozmowie z Sołomonei Wołkowem, kiedy powiedział: „Hitler jest zbrodniarzem, to oczywiste, a Stalin również. Z niezmiernym bólem myślę o tych, którzy zostali zabici przez Hitlera, ale z nie mniejszym bólem myślę o tych, których zabito na rozkaz Stalina [...]. Były ich miliony w naszym kraju, zanim zaczęła się wojna z Hitlerem”. Stalinowskie metody zaczęto stosować we wschodniej Polsce po jej zajęciu przez wojska radzieckie, co miało taki skutek, że, jak ujął to Jan Gross, „pod wieloma względami życie było bardziej niebezpieczne pod rządami radzieckimi niż pod nazistowskimi”⁵.

Jakie cechy okupacji radzieckiej stały się podstawą tego oskarżenia; Jak już wspominaliśmy, Eliot określił politykę radziecką, sowietyzację, jako zniszczenie kultury, czyli modelu życia, i zastąpienie go innym modelem. Dla osiągnięcia tego celu instytucje likwidowano, a ludzi aresztowano, torturowano, więziono, rozstrzelano lub deportowano, aby zburzyć

fundamenty wcześniejszego społeczeństwa „burżuazyjnego”. Jego miejsce zajął radziecki system polityczny, gospodarczy i społeczny, a lojalni obywatele radzieccy zastąpili kadry urzędnicze dawnego reżimu. Termin „zastąpili” jest oczywiście eufemizmem, ponieważ większość polskich i bałtyckich urzędników i innych wysoko postawionych osób została uwięziona, zamordowana lub deportowana, czyli, w żargonie radzieckim, wyeliminowana. Przyjrzyjmy się bardziej wnikliwie bliźniaczym procesom niszczenia i przebudowy, częściowo za pośrednictwem wspomnianych uchodźców, którzy przeżyli te wydarzenia. Zaraz na początku okupacji radzieckiej NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, będący poprzednikiem KGB) rozpoczęło masowe aresztowania tych, których nazywano „wrogami ludu”, „kontrewolucjonistami” bądź „elementami społecznie niebezpiecznymi” (SOE, „socjalno-opasnyj element”).

W ciągu kilku dni, według sporządzonych uprzednio list, wszyscy zaangażowani w działalność oficjalną w dawnej Rzeczypospolitej Polskiej zostali aresztowani. Ta kategoria obejmowała posłów do sejmu, pracowników administracji państwowej, urzędników, oficerów Wojska Polskiego, sędziów, prokuratorów, oficerów policji, burmistrzów i radnych miejskich oraz działaczy partii politycznych i związków zawodowych. Mieszkańcy Lwowa w południowo-wschodniej Polsce zauważyli, iż wszystkie najważniejsze osobistości w mieście zostały natychmiast aresztowane i zastąpione Rosjanami. Generał Anders wspominał, że aresztowano również wszystkich mieszkających we Lwowie oficerów w stanie spoczynku, a także innych wybitnych przedstawicieli społeczności polskiej: ziemian oraz właścicieli fabryk i wielkich przedsiębiorstw handlowych. Służba publiczna została uznana przez władze radzieckie za zbrodniczą przeciwko interesom „mas pracujących” i światowej rewolucji. Lista wrogów ludu była obszerna, obejmowała dwadzieścia dziewięć odrębnych kategorii. Listy przygotowano z góry, chociaż dodatkowych nazwisk dostarczyli prawdopodobnie miejscowi informatorzy. Aresztowanie głównych osobistości mogło również służyć innemu celowi, a mianowicie stanowić gwarancję, iż nie będą wywierały wpływu na październikowe plebiscyty, które miały zdecydować, czy dwa obszary okupowane, Ukraina Zachodnia i Białoruś Zachodnia, zostaną przyłączone do Związku Radzieckiego.

Aresztowania odbywały się przeważnie nocą. Niektórzy z aresztowanych zostali natychmiast rozstrzelani w więzieniu. Po pierwszej fali masowych aresztowań ich skala utrzymywała się na stałym poziomie i w każdym z państw bałtyckich wynosiła od dwustu do trzystu osób miesięcznie. Aresztowani byli często ofiarami donosicieli, którzy zadawali ich przed władzami, czasem z osobistej zemsty, czasem ze złej woli a czasem pod wpływem szantażu ze strony NKWD. Aresztowań dokonano również na granicach, kiedy ludzie próbowali je

nielegalnie prze kraczać i byli zatrzymywani przez straż graniczną. Przyłapanych na takie próbie oskarżano o działalność antyradziecką. Ci, którzy przekraczali granicę w drugą stronę, byli uznawani za niemieckich szpiegów i poddawani surowemu przesłuchaniu. Odmowa zeznań mogła się skończyć przez więzienie do Łubianca w Moskwie w celu dalszego śledztwa⁶.

Oskarżonych skazywały w trybie doraźnym specjalne trybunały, których posiedzenia były tajne. Nie przydzielano im obrońcy i odmawiano praw do powoływania własnych świadków. Werdykt trybunału determinował zwykle „zeznania” oskarżonego, uzyskane w trakcie surowego śledztwa pod wpływem szantażu lub tortur. Najczęstszym wyrokiem było zesłanie do obozu pracy przymusowej, co najmniej na osiem lat:

Po kilku dniach postawiono nas przed sądem, który zbierał się w pokoju na terenie więzienia. Było tam kilku oficerów, wszyscy zadawali pytania. Później: „X, skazujemy was na osiem lat obozu pracy. Wyrok jest prawomocny. Podpiszcie”.

„Nie, nie podpiszę tego. Najpierw musicie mi powiedzieć, na jakiej podstawie mnie skazujecie. Na jakiej podstawie mnie oskarżacie? Nie jestem obywatelem radzieckim i tylko polski rząd może mnie postawić przed sądem i skazać”.

Sędzia powiedział do mnie: „Tak jak nie możecie zobaczyć własnego ucha bez lustra, tak nie zobaczycie już więcej Polski”. Byłem taki wściekły, że musiałem się odciąć. „Wiemy, co było kiedyś. Wszyscy wiedzą, co jest teraz, ale przyszłości nie zna nikt, ani wy, ani ja, tylko Bóg”. Powiedziałem mu to bardzo stanowczym głosem, chociaż myślałem, że jest to zapewne ostatnia chwila mojego życia. Mogłem powiedzieć wszystko i nie bałem się. Byłem wściekły, oburzony, lekkomyślny. Widziałem, że go zatkało. Ale znowu [powiedział]: „Podpiszcie”. Zrozumiałem, że to beznadziejne. Powiedziałem, że podpiszę, ale mój podpis jest bezwartościowy⁷.

Niektórzy mieli więcej szczęścia:

Chodziłem do szkoły podstawowej i raz zostałem aresztowany przez NKWD. Pytali mnie, czy nie słyszałem, o czym rozmawiają moi rodzice. Przesłuchiwali mnie Łotysze, ale był tam również Rosjanin, starszy stopniem. Łotysz powiedział: „To wredny typ, nie ma co gadać”, ale kiedy wszedł Rosjanin, powiedział, że jestem za mały i mogę sobie iść, więc przy tej okazji to Rosjanin mnie uratował.

Powyższy incydent bardzo dobrze ilustruje jeden z aspektów aresztowań - próbę wydobycia od dzieci informacji o przekonaniach i zachowaniu rodziców, a w wielu przypadkach również nakłonienia dzieci, aby donosiły na swoich rodziców i sąsiadów. Ten młody człowiek miał szczęście, innych więziono, głodzono, a czasem torturowano, żeby wymusić na nich informacje o przyjaciółach i rodzinach.

Inny człowiek, któremu dopisało szczęście, został aresztowany we Lwowie, ponieważ pochodził z zamożnej rodziny. Przesłuchiwał go oficer NKWD, który zorientował się, że więzień jest dobrze sytuowany i mówi całkiem niezłe po niemiecku. Oficer zasugerował, że powinien pojechać do Berlina jako szpieg. Więzień odmówił, tłumacząc, że nie nadaje się do takiej pracy. Podjęto kolejną próbę przekonania go, ale znowu odmówił. Był pewien, że przyszedł jego koniec. Został jednak zwolniony, być może dlatego, iż śledczy rzeczywiście uznał, że nie nadawałby się do takiej roli. Znacznie ważniejsze, jak później wyjaśnił, było chyba to, iż nigdy nie angażował się w działalność polityczną, miał lewicowe przekonania i pozostawał w dobrych stosunkach z żydowskimi i ukraińskimi sąsiadami⁸.

Wielu aresztowanych po prostu zniknęło bez wieści. Przypuszczano, że zostali wywiezieni do Rosji lub zabici w więzieniu. Komitet Bałtycki w Skandynawii ogłosił, iż zna nazwiska 5976 więźniów z państw bałtyckich, których wywieziono do Rosji, i kolejne 1100 nazwisk zaginionych bez śladu. Ciała niektórych z nich znaleziono w więzieniach po wycofaniu się Rosjan w czerwcu i lipcu 1941 roku:

Ludzie znikali, najpierw byli, a potem ich nie było, i nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Niektórzy ze „znikniętych” byli policjantami, najpierw zwolnionymi ze służby, a następnie aresztowanymi. Wielu starszych oficerów, którzy walczyli w wojnie o niepodległość, też zniknęło.

Zdawaliśmy sobie sprawę, do czego zmierzają Sowieci, ponieważ ludzie zaczęli znikać. Straciłem jednego ze swoich szkolnych kolegów. Był trochę starszy ode mnie. Do dzisiaj nie wiemy, co się z nim stało ani dlaczego, ponieważ zawsze był cichy i skromny. Nigdy nie otwierał ust, żeby coś powiedzieć. Nie było żadnej reguły. Ludzie, którzy zostali aresztowani i mieli tyle szczęścia, że przeżyli, nigdy się nie dowiedzieli, dlaczego ich aresztowano.

Mówiąc słowami Zaleskiego, przez wschodnie obszary Polski przetoczy się „fala bezprawia”, unosząc ze sobą dziesiątki tysięcy ofiar, ponad milio jeśli doliczyć deportowanych⁹.

Morderstwa popełniane przez NKWD i podległe mu jednostki milii były na porządku dziennym. W doraźnych egzekucjach ginęli przede wszystkim przedstawiciele polskich władz. Zaleski wymienił członków policji, prawników i urzędników państwowych, natomiast według Majnowskiego głównymi ofiarami byli Polacy ziemianie, działacze społeczni i polityczni oraz księża. Niedługo po wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski rozpętała się orgia przemocy. Na Polesiu rozstrzelano stu pięćdziesięciu oficerów, resztę aresztowano. W Rohatynie i Grodnie wszyscy aresztowani zostali rozstrzelani i na placach leżały stosy trupów. Morderstwa zdarzały się również, kiedy prowadzono jeńców wojennych do obozów przejściowych. Wszyscy, którzy nie mogli iść o własnych siłach na skutek osłabienia, ran lub podeszłego wieku, byli zabijani przez konwojentów. Podobnie w przededniu hitlerowskiej inwazji w czerwcu 1941 roku, z powodu braku środków transportu więźniów pędzono na wschód w tak zwany marsz śmierci. Ci, którzy nie nadążali albo próbowali uciekać, ginęli od kul lub byli zakłuwani bagnietami. Już wcześniej zabijano wszystkich chorych i słabych. We Lwowie wymordowano w ten sposób 7-8 tysięcy więźniów.

To samo działo się w północno-wschodniej części strefy radzieckiej. Więźniów wyprowadzano na więzienny dziedziniec i zabijano ogniem z broni maszynowej. Po wycofaniu się Rosjan w państwach bałtyckich zwłoki więźniów znajdowano na więziennych dziedzińcach, w piwnicach i masowych grobach. Wobec wielu z nich, jak pokazują fotografie, zastosowano brutalną przemoc i tortury. Dawni ministrowie rządu Estonii, którzy do tego czasu przebywali w więzieniu, zostali rozstrzelani tuż przed odejściem Rosjan. Na przykład Otto Sternberg został rozstrzelany 23 czerwca 1941 roku.

w Tallinie, tydzień później ten sam los spotkał Ado Anderkopa i Aleksandra Tonissona, a były prezydent Friedrich Akkel został rozstrzelany 3 lipca. Poszczególne źródła różnią się nieznacznie, ale zdaje się panować powszechna zgoda, że liczba znalezionych zwłok przedstawiała się następująco: w Estonii - 2185, na Łotwie - 1355 (Łotewski Czerwony Krzyż ocenił ją na 1488), na Litwie - 1400. Szawłowski słusznie klasyfikuje te akty jako zbrodnie wojenne, podpadające pod kryteria ustanowione w Karcie Międzynarodowego Trybunału Wojskowego z 8 sierpnia 1945 roku, która stanowiła podstawę do oskarżeń przed Trybunałem Norymberskim we wrześniu 1946 roku¹⁰.

Nasi bałtyccy rozmówcy byli świadkami niektórych z tych wydarzeń. Kiedy Rosjanie wycofywali się na przełomie czerwca i lipca 1941 roku, pewien człowiek, któremu udało się uniknąć poboru do wojska, wrócił do domu i odkrył, że:

Moja babka została zabita w gospodarstwie mojego wuja. Rosjanie zastrzelili ją na podwórzu, zrobili to bez żadnego powodu. Miała dziewięćdziesiąt dwa lata. Znaleźliśmy człowieka, którego znaleźliśmy; on też został postrzelony, ale uciekł. Kiedy czekaliśmy, żeby przejść przez linię frontu i wrócić do wioski, dziewięciu ludzi zastrzelili żołnierze jednostki specjalnej, którzy później się wycofali¹¹.

Inna relacja mówi o przyjacielu rodziny, leśniczym, który został okaleczony i zabity na początku czerwca 1941 roku. „Ktoś, kto żywił do niego urazę, doniósł na niego do NKWD i to wystarczyło. Zniknął, a po odejściu Rosjan znaleziono go, okaleczonego i zastrzelonego”¹².

Było dwoje nauczycieli, mężczyzna i kobieta - wspominał jeden z uchodźców. - To się stało wtedy, gdy Rosjanie się wycofywali. Ukradli nauczycielom konia. Mężczyzna miał pistolet i zaczął grozić Rosjani-

nowi. Koń się zatrzymał i Rosjanin spadł. Nauczyciele wbiegli do szkoły i zabarykadowali się tam. Rosjanie podpalili szkołę, a kiedy nauczyciele wyszli, zastrzelili ich¹³.

Przeżycia więzienne trwale wryły się w pamięci ludzi, którzy doświadczyli tego losu. Więźniów było tylu, że więzienia nie mogły ich pomieścić, toteż dostosowywano do tego celu inne budynki, zwykle całkowicie nieodpowiednie. I tam też zaczęło niebawem brakować miejsca. Do dziesięciu osobowych cel wpychano po stu i więcej ludzi. Piesakowski ustalił, że w więzieniu w Białymstoku, przeznaczonym dla 1,5 tysiąca więźniów, przetrzymywano w 1940 roku 8 tysięcy ludzi. W Drohobyczu upychano po dwudziestu ludzi w pojedynczych celach. Michał Krupa wspominał:

Nasz punkt zborny [...] okazał się nieużywaną stacją przy torach kolejowych. Okna były zasłonięte tekturą, więc tylko od czasu do czasu wpadał do środka blask słońca. Podłogę zastępował nagi bruk [...]. Zostaliśmy umieszczeni w trzech przegrodach, dziesięciu lub więcej ludzi wepchnięto do przegrody przeznaczonej dla jednego konia. Do czasu przybycia następnych więźniów miał to być nasz dom¹⁴.

Ale, jak przyznał Krupa, była to zdecydowana poprawa w porównaniu z brudną piwnicą, w której więziono go poprzednio. Chociaż tłok w więzieniach był po części wynikiem zbyt wielu aresztowań, stanowił również nieodłączny element radzieckiej polityki karnej, obliczonej na upokorzenie więźniów poprzez pozbawienie ich godności własnej i szacunku dla siebie, dopóki nie zrozumieją, że w oczach swoich prześladowców są niczym, że ich poprzednia pozycja i status nie mają żadnego znaczenia i że nie mogą oczekiwać pomocy z zewnątrz i że znaleźli się całkowicie w łasce NKWD. Kiedy ich opór został złamany, byli gotowi przyznawać się do zbrodni, które przewidywał radziecki kodeks karny, a których nie spełnili.

Pierwszym etapem tego procesu było zmiękczenie więźniów poprzez stworzenie im nieznośnych warunków w celach więziennych. Oprócz strasznego liwego ścisku, dodatkowej udręki przysparzały prymitywne urządzenia sanitarne i wszyscy więźniowie żywo zapamiętali przenikliwy odór uryny i ekskrementów. Racje żywnościowe były niezwykle skąpe, niemal głodowe i składały się z małej porcji chleba dziennie, którą uzupełniała wodnista zupa, a czasem śledź. Nie mogło to zaspokoić „zwierzęcego uczucia głodu” więźniów. Brakowało wody do picia i do mycia. W zależności od pory roku cele były albo lodowato zimne, albo nieznośnie gorące i duszne. W ciągu dnia było zazwyczaj bardzo mało światła i świeżego powietrza, a nocą światła zapalano, żeby pozbawić więźniów snu. Od czasu do czasu więźniów zabierano na długie i nierzadko brutalne przesłuchania będąc okazją do wszelkiego rodzaju tortur psychicznych, łącznie z groźbami pod

adresem rodziny i przyjaciół. Osłabieni i dezorientowani, nie mogli się długo opierać naciskom oficerów śledczych, którzy żądali od nich samo-obciążających zeznań. Najczęstszą „zbrodnią” była przynależność do grupy społecznej lub kategorii zawodowej określanej jako antyradziecka¹⁵. Z komunistycznego punktu widzenia ludzie ci, gdyby pozostali na wolności, byłiby rzeczywiście najbardziej zatwardziałymi przeciwnikami nowego reżimu.

Jeśli nieodłączną cechą uwięzienia stanowiła degradacja, reszta ludności żyła w głębokim, ciągłym strachu i niepewności. Niepokój ten zaczął się zaraz na początku okupacji. Bolszewicy ogłosili zajęcie części Polski aktem sprawiedliwości klasowej i wyzwolenia narodowego. Sprawiedliwość klasowa, w rozumieniu radzieckim, oznaczała obalenie władzy polskich obszarników i burżuazji nad „pracującymi masami chłopów i robotników”, natomiast wyzwolenie narodowe polegało na uwolnieniu uciskanych mniejszości etnicznych, takich jak Ukraińcy, Białorusini i Żydzi, od rzekomej tyranii Polaków. Rozniecano wzajemne animozje pomiędzy narodowościami. Od początku okupacji władze radzieckie zachęcały Ukraińców, aby rabowali i grabili własność polskich chłopów i właścicieli ziemskich i dzielili ich ziemię między siebie. Tłumy dopuszczały się aktów gwałtu, a czasem zbrodniczej przemocy na Polakach i szerzyły strach wśród potencjalnych ofiar. Wśród mniejszości panowało głębokie rozgoryczenie polityką polskiego rządu w tym regionie w okresie międzywojennym, a do miejscowych polskich osadników odnoszono się z niechęcią, a nawet nienawiścią. Upadek Polski wyzwolił, ujmując rzecz słowami Ireny i

Jana Grossów, „destrukcyjną siłę długo deptanej dumy i ranionych ustawicznie uczuć”. Krystyna Kawecka opisała, jak ludzie z sąsiednich wiosek przyszedli do majątku jej dziadków, zabrali bydło, narzędzia rolnicze i cały sprzęt, a ziemię podzielili między siebie. Sytuację pogarszało to, iż ofiary dobrze znały wielu spośród rabusiów i złodziei, którymi byli okoliczni drobni chłopci, czasem robotnicy rolni, murarze, stolarze lub inni rzemieślnicy¹⁶.

Jednakże nie wszystkie relacje przedstawiają taki obraz. Na przykład we Lwowie niektórzy z polskich respondentów mieli dobre doświadczenia z mniejszościami. To prawda, że Ukraińcy i Żydzi wstępowali do milicji, ale ta konkretna polska rodzina nie doświadczyła splądrowania domu ani zajęcia majątku przez bandy Ukraińców. Nie zauważyła, by ukraińscy czy żydowscy sąsiedzi stali się nieprzyjaźni bądź podejrzliwi.

Nieco dalej na wschód pewien polski osadnik został wyrzucony ze swojego gospodarstwa przez Rosjan, ale w ucieczce pomogli mu ukraińscy chłopci¹⁷.

Podobnie działo się w państwach bałtyckich. Tam też władze radzieckie powoływały się na sprawiedliwość klasową.

Latem 1940 roku pracowałem w gospodarstwie ojca. Ale później, w czerwcu, armia radziecka zajęła cały kraj i zaczęła się okupacja. Estończycy, którzy przez kilka lat mieszkali w Związku Radzieckim i przyszedli razem z wojskiem, zaczęli agitować naszych ludzi. Ich apele przemawiały do tych Estończyków, którym nie wiodło się najlepiej; dali się przekonać, że Rosjanie są ich przyjaciółmi i że wielkie gospodarstwa, takie jak mojego ojca, zostaną odebrane właścicielom i podzielone między ludzi, którzy potrzebują ziemi. Wielu naszych robotników rolnych czekało na to, żeby dostać kawałek własnej ziemi, i nawet stawiali nowe słupki, żeby zaznaczyć, która ziemia do kogo należy. Zabrali mojemu ojcu gospodarstwo, zostawili tylko jeden budynek, ogród i może jedną czwartą ziemi, resztę skonfiskowali i rozdawali każdemu, kto chciał. Potem zaczęli przydzielać nowym gospodarzom drewno z lasu na budowę domów. Okupacja pozbawiła mojego ojca większej części gospodarstwa i zmieniła nasz sposób życia¹⁸.

Władze radzieckie zjednywały sobie poparcie mniejszości narodowych w formie komitetów obywatelskich i milicji, z których część została utworzona spontanicznie jeszcze przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Milicje były wykorzystywane do utrzymywania porządku i wyłuskiwania elementów antyradzieckich. Pełniły zasadniczo funkcje policyjne, uczestnicząc w obławach na „kontrewolucjonistów” i pomagając przy deportacjach. Większość polskich i bałtyckich źródeł podkreśla, że członkowie milicji wywodzili się na ogół z najniższych i najuboższych warstw społecznych i że znajdowali się wśród nich kryminaliści, zwolnieni z więzień, aby wstąpić do nowych sił porządkowych.

Rosjanie wydawali rozkazy miejscowym ludziom, komitetom, lokalnemu rządowi. Miejscowi komuniści obejmowali wysokie stanowiska. W sklepie mojej matki była kobieta, którą znałem osobiście. Ledwo potrafiła pisać, ale była kierowniczką. Większość stanowili biedni ludzie.

Ofiary Stalina i Hitlera
Radzieckie lenna

Wielu wyszło z więzienia. Nie byli więźniami politycznymi. Ale przydzielano im ważne stanowiska¹⁹.

Władze radzieckie uważały, i słusznie, że tacy ludzie będą silnie umotywowani, by realizować politykę nowego reżimu, mając wiele do zyskania, choćby tylko na krótką metę²⁰.

Jednym z czynników, który miał istotne konsekwencje dla przyszłych stosunków etnicznych, była rola odgrywana przez niektórych członków mniejszości żydowskiej. Jak wiemy z poprzedniego rozdziału, wielu młodych Żydów powitało Rosjan ciepło i objęło ważne funkcje w aparacie policyjnym, partyjnym i administracyjnym, gdzie pomagali w identyfikowaniu i wyłapywaniu tak zwanych wrogów ludu. Chociaż zamożniejsi Żydzi sami podpadali pod tę kategorię, a wielu z nich zostało aresztowanych i deportowanych, to właśnie młodzi żydowscy entuzjaści rządów radzieckich zapisali się w pamięci Polaków i Bałtów jako ci, którzy zadenuncjowali mnóstwo ludzi oraz uczestniczyli w aresztowaniach i deportacjach. Takie działania

nieuchronnie podsycaly nastroje antysemityczne wśród etnicznych Polaków i Bałtów i, jak wspomniano wcześniej, skłoniły część z nich do udziału w pogromach, kiedy Rosjanie wycofali się w 1941 roku, i do współpracy z nazistami w Holocauście podczas późniejszej okupacji niemieckiej.

Panujący wśród ludności polskiej i bałtyckiej strach potęgowały częste zniknięcia członków rodzin, przyjaciół i sąsiadów, bez wyjaśnienia i bez ostrzeżenia. Czasami aresztowania nie wynikały z konkretnych i racjonalnych przesłanek, lecz wydawały się całkowicie przypadkowe, co powodowało jeszcze większą demoralizację. Ponadto mogły mieć poważne konsekwencje dla rodzin, kiedy rodzice, zwłaszcza ojcowie, znikali, pozostawiając rodziny bez środków do życia. Pozbawione wieści o ich losie, nie wiedząc nawet, czy jeszcze żyją, ich żony i dzieci bały się, że zostaną aresztowane w następnej kolejności. Co więcej, zniknięcie ojca bardzo często oznaczało, że matki, które nie miały zawodu i nigdy nie pracowały poza domem, musiały podejmować źle płatną pracę lub wyprzedawać swoje rzeczy, żeby utrzymać rodzinę.

Rodziło to głębokie poczucie niepewności, nakładające się na utratę statusu związaną z aresztowaniem bądź zniknięciem głowy rodziny. Czasami kobiety, których mężów aresztowano, dawały się nakłonić do współpracy i zostawały donosicielkami, obawiając się, że funkcjonariusze NKWD spełnią swoje groźby i utrudnią życie ich uwięzionym mężom. Donosicielstwo nie musiało przynosić masy użytecznych informacji, ale uma niało podejrzliwość i rodiło nieufność wśród ludności.

Rok rosyjskiej okupacji był straszny. Nie można było rozmawiać z ludźmi, bo nigdy się nie wiedziało, czy ktoś na ciebie nie doniesie. W miejscu pracy zabierali coś, a potem mówili, że to ukradłeś, i grozili, że postawią cię przed sądem i wyślą na Syberię, jeśli nie będziesz donosił na przyjaciół. Zdarzało się mnóstwo tego rodzaju incydentów, więc ludzie się bali i w końcu nie można było nawet rozmawiać z nikim z rodziny. Był jeden młody komunista, który zademonstrował własnego ojca, przyszli enkawudyści i go zabrali. W końcu wszyscy bez przerwy oglądaliśmy się przez ramię²¹.

Stan niepewności potęgowały częste wtargnięcia do prywatnych domów w celu sprawdzenia dokumentów, zwykle nocą. Najgorsze ze wszystkiego było napięcie spowodowane strachem przed aresztowaniem i deportacją oraz troska o byt, zdrowie i wykształcenie dzieci, gdyby zabrano im rodziców. U wielu osób wywoływało to głębokie poczucie bezradności w sytuacji ciągłego zagrożenia. W tych niezwykle uciążliwych warunkach ludzie zaczęli odnosić się podejrzliwie do wszystkich, nawet sąsiadów i wypraszanych przyjaciół. Ostrożność i powściągliwość w rozmowach stała się normą, a dzieciom przykazywano, aby nie mówiły o swoich rodzinach poza domem, w obawie przed ujawnieniem informacji, które mogłyby zostać wykorzystane przeciwko ich rodzicom. Jak już wiemy, nie była to obawa bezpodstawna²².

Niepewność i strach spowodowane uwięzieniem i zniknięciem tysięcy ludzi potęgowała polityka ekonomiczna nowego reżimu. Pierwszym i najważniejszym było zniszczenie istniejącego systemu własności prywatnej i redistribucja dóbr - przechodziły albo w ręce nowych władz państwowych, albo, tymczasowo, najuboższych warstw społeczeństwa. Drugim, jako skutek tej polityki - gwałtowne obniżenie standardu życia większej części ludności. Ten dramatyczny spadek wynikał zarówno z nieudolnego zarządzania gospodarką przez nowe władze, jak i ze świadomego zamiaru zmniejszenia dobrobytu do poziomu jak w Związku Radzieckim, aby ukryć zacofanie radzieckiego systemu gospodarczego. Postępujące zubożenie ułatwiał też reżimowi sowietyzacji, odbierając ludziom środki, które mogłyby być wykorzystane do stawiania oporu, i w jeszcze większym stopniu demoralizując

podbitą ludność. Dobry przykład narzucania obcego modelu może stanowić degradacja obszarów miejskich. Ulice były brudne i niezamiecione, na chodnikach leżały sterty odpadków, drzewa były połamane, trawniki zdeptane²³.

Podczas okupacji najbardziej ucierpieli prywatni właściciele, czy to domów mieszkalnych, czy środków produkcji. Grabież na wielką skalę miała doprowadzić do obniżenia standardu życia do poziomu radzieckiego i do zniszczenia klas posiadających. Własność prywatną po prostu konfiskowano. Większość uzyskanych w ten sposób środków szła na pokrycie kosztów utrzymania jednostek Armii Czerwonej, nowego aparatu policyjnego i biurokracji, a resztę wysyłano do Związku Radzieckiego. W wielu fabrykach

zdemontowano maszyny, które następnie wywieziono, aby wyposażyć radzieckie fabryki na wschodzie. To samo dotyczyło surowców i gotowych wyrobów. Efektem innych działań gospodarczych, takich jak dewaluacja polskiej waluty, złotego, był ogromny wzrost popytu na towary w sklepach, zwłaszcza wśród radzieckich żołnierzy, co miało taki skutek, że półki zostały całkowicie ogołoczone. Uzupełnianie zapasów stało się niezwykle trudne, ponieważ dochody ze sprzedaży szły do skarbu państwa i nie można ich było ponownie zainwestować. Podobno 6,5 tysiąca z 8,5 tysiąca sklepów we Lwowie zostało zamkniętych, kiedy skończyły się towary na sprzedaż.

Kiedy wkroczyli Rosjanie, mogli wymieniać swoje pensje na naszą walutę po kursie jeden do jednego. I tak na przykład porucznik dostawał około 1200 rubli miesięcznie. Otrzymywał 1200 złotych w naszej walucie, całkiem sporą sumę w tamtych czasach, toteż Rosjanie praktycznie ogołocili wszystkie sklepy. Nie kupowali jednej pary lub rzeczy, której potrzebowali. Kupowali wszystko, co było na półkach²⁴.

W konsekwencji niedoboru towarów przemysłowych i paliwa dostawy artykułów żywnościowych do miast również zostały ograniczone, ponieważ chłopcy nie chcieli przywozić żywności na targ, jeśli nie mogli dostać w zamian innych dóbr. Skłoniło to współczesnego brytyjskiego obserwatora do wygłoszenia komentarza, iż „przeniesienie do okupowanej Polski najważniejszych osiągnięć systemu radzieckiego okazało się niebywale skuteczne”²⁵. Domy zabierano w całości lub częściowo na potrzeby mieszkaniowe radzieckiej administracji. Na Łotwie i w Estonii wszystkie domy, których powierzchnia użytkowa przekraczała sto siedemdziesiąt metrów kwadratowych, zostały znacjonalizowane, a poprzednich właścicieli albo wyrzucono na bruk, albo pozostawiono im niewielką część ich dawnych domów. Wyposażenie domów przejmowali nowi lokatorzy, ponieważ poprzednim właścicielom, jeśli musieli się całkiem wyprowadzić, pozwalano zabierać ze sobą tylko rzeczy do użytku osobistego²⁶.

Podczas okupacji radzieckiej mieszkaliśmy w dawnym budynku szkolnym, którego część przerobiono na mieszkania, ale niebawem został zajęty przez Armię Czerwoną i musieliśmy się wynieść. Znaleźliśmy mieszkanie w bardzo starej części miasta. Były tam domy z zimnego kamienia, a obszar centrum miasta zajmowali głównie rosyjscy generałowie i pułkownicy. Dostaliśmy więc przestronne mieszkanie bardzo tanio, ale ponieważ przysługiwało nam tylko dziewięć metrów powierzchni mieszkalnej na osobę, niebawem musieliśmy przyjąć innych lokatorów. Dzieliliśmy mieszkanie z dwojgiem nauczycieli ze szkoły podstawowej i jedną bardzo wielką rosyjską rodziną ze wschodniego brzegu rzeki w Estonii²⁷.

Innym skutkiem dewaluacji złotego był gwałtowny spadek wartości oszczędności. Jednocześnie część robotników fabrycznych straciła pracę po usunięciu wyposażenia z fabryk, natomiast ci, którzy zachowali pracę, stanęli w obliczu redukcji wynagrodzenia, uzależnionego teraz od wykonania nowo ustanowionych norm. Zdolności produkcyjne, wydajność i wiarygodność fabryk, banków, towarzystw ubezpieczeniowych i hurtowni ucierpiały jeszcze bardziej w wyniku nacjonalizacji tych przedsiębiorstw. Przy nacjonalizacji przyjęto zasadę, że firmy zatrudniające dziesięciu lub więcej pracowników (choć mogło ich być też mniej) będą podlegały kontroli publicznej. Dawni właściciele zostali wywłaszczeni bez odszkodowania, lecz musieli pozostać na dotychczasowych stanowiskach do momentu sprawdzenia ksiąg rachunkowych. Następnie żądano od nich, aby spłacali długi swoich przedsiębiorstw. Co więcej, ich osobiste konta bankowe zostały zamrożone, a w 1941 roku znacjonalizowane, z wyjątkiem tysiąca rubli, z których wolno im było podejmować maksymalnie sto rubli miesięcznie. Wszystkie kosztowności przechowywane w sejfach bankowych również wywłaszczono na rzecz państwa. Zastąpienie dawnych właścicieli i dyrektorów zaufanymi, lecz niedoświadczonymi i niefachowymi komunistami doprowadziło do ustanowienia zwykłych metod komunistycznego zarządzania.

stanowiącego połączenie terroru, zawyżonych norm produkcyjnych, posługiwania się donosicielami i indoktrynacją polityczną. Związki zawodowe zostały rozwiązane, a robotnicy stracili wiele dawnych praw i przywilejów. Niekompetencja nowych komisarzy przyspieszyła spadek wydajności przedsiębiorstw pod ich

zarządem²⁸.

Pewien uchodźca wspominał zmianę formy własności z prywatnej na państwową:

Wszystkie przedsiębiorstwa, które zatrudniały więcej niż pięciu ludzi, zostały znacjonalizowane. Jeśli właściciel był bardzo dobry i jeśli ktoś powiedział o nim dobre słowo, pozwalano mu dalej pracować, ale znacznie częściej zostawał wyrzucony. Do *zarządzania* tymi przedsiębiorstwami przyszło mnóstwo ludzi, którzy nie mieli pojęcia, jak to się robi. Do zarządzania przedsiębiorstwami przyszło też bardzo wielu Rosjan²⁹.

W krajach z milionami małych gospodarstw chłopskich zasadnicze znaczenie miała radziecka polityka rolna. Zaraz na początku okupacji drobni chłopi skorzystali, do pewnego stopnia, na redystrybucji ziemi. Ogólna zasada była taka, że właścicielom ziemskim pozwalano zatrzymać jedynie około trzydziestu hektarów ziemi, a resztę rozdzielano pomiędzy mniejsze gospodarstwa. Na Litwie około 75 tysięcy małorolnych chłopów lub robotników rolnych otrzymało niewielkie działki przejętej przez państwo ziemi, zbyt małe, według powszechnej opinii, żeby utrzymać rodzinę. Zabranie ziemi wielkim właścicielom ziemskim miało taki skutek, że zmniejszyły się zapasy dla zwierząt hodowlanych i zimą przełomu lat 1941 i 1942 wyróżniło dwa lub trzy razy więcej bydła niż zwykle. Długoterminowym celem polityki radzieckiej była jednak kolektywizacja rolnictwa, dlatego ziemia znajdująca się tymczasowo w rękach prywatnych pozostawała w tak zwanej wieczystej dzierżawie, a to z kolei oznaczało, że nie można jej było kupować ani sprzedawać. Produkty rolne wyciągano od chłopów w postaci wysokich podatków w naturze. Średnie i duże gospodarstwa podlegały obowiązkowi przymusowych dostaw, w ramach którego od trzydziestu do pięćdziesięciu procent produkcji było przekazywane państwu mniej więcej po jednej szóstej ceny rynkowej. Ale zaopatrzenie w żywność pogarszało się, przynajmniej w radzieckiej strefie okupowanej Polski, ponieważ chłopcy nie chcieli dostarczać na rynek produktów rolnych z powodu braku artykułów przemysłowych na wymianę³⁰.

Nowi władcy wschodniej Polski i państw bałtyckich uważali również Kościoły za potencjalnych zjadłych przeciwników radzieckiego porządku. Przez swój wpływ na wiernych, a także jako symbol, przynajmniej w Polsce tożsamości narodowej, miały one ogromne możliwości przeciwstawiania się procesowi sowietyzacji. Dlatego Kościoły i inne instytucje religijne stały się pierwszym celem stalinowców. Raport prawosławnego arcybiskupa Groi na z marca 1940 roku pokazuje, że kilku popów zamordowano na rozkaz komunistów, a przełożeni monasterów zostali aresztowani i deportowali. Zasadniczo jednak, zamiast dokonywać masowych egzekucji kleru, tak jak na obszarach pod okupacją niemiecką, podkopywano ekonomicznie podstawy kościołów i usuwano proboszczów z parafii. Wiele kościołów, mnasterów i klasztorów zostało zamkniętych, a budynki często dostosowywano do innych potrzeb, na przykład przekształcano je w kina albo muzea ateizmu. Na majątki kościelne nakładano ogromne podatki, których wiele z nich nie mogło zapłacić, i w efekcie budynki ulegały konfiskacie. Szkoły kształcące nowe pokolenie duchownych i szkoły prowadzone przez zakonników były zamykane. Ogółem na ziemiach polskich pod okupacją radziecką około 4 tysięcy kościołów zostało zamkniętych bądź zniszczonych. Część księży aresztowano, innych bito i mordowano. Większość z nich po prostu wyrzucono z parafii i wywieziono do obozów pracy w (nocnej Rosji lub na Syberii)³¹.

Ale dla władz radzieckich zwalczanie religii nie sprowadzało się do niszczenia zewnętrznych przejawów wiary, która nadal pozostawała źródłem oporu przeciwko komunistycznej ideologii. Dlatego w 1940 roku władze utworzyły tak zwaną Ligę Bezbożników, aby za jej pośrednictwem prowadzić ateistyczną propagandę. Liga otrzymała od rządu dotację w wysokości trzech milionów rubli, a jej zadaniem było szerzenie idei ateistycznych w prasie i w radiu oraz wyznaczanie specjalnych komisarzy, którzy mieli zapobiegać nauczaniu religii w szkołach i propagować ateizm. Zdjęto z Kościoła obowiązek rejestracji narodzin, małżeństw i zgonów, a po maju 1940 roku śluby kościelne utraciły ważność. W ten sposób stary świat wiary został podkopany, a na jego miejsce narzucono nowy model wiary świeckiej. Osłabienie owych bastionów polskiego i bałtyckiego życia doprowadziło nieuchronnie do upadku morale ludności tych obszarów³².

Próbowano również osłabić polską tożsamość narodową, zapoczątkując proces transformacji edukacyjnej i kulturalnej. Warunkiem sukcesu;

jak uważano, było nawrócenie młodzieży na idee komunistyczne. Pod tym względem główną rolę miały odgrywać szkoły i uniwersytety. Pierwszym krokiem stała się radykalna reforma programu nauczania w taki sposób, aby pasował do radzieckich priorytetów. Jak widzieliśmy, zniesiono nauczanie religii w szkołach, a wydziały teologiczne na uniwersytetach, jak również część wydziałów humanistycznych, zlikwidowano. Przedmioty humanistyczne, takie jak historia, geografia, prawo i literatura, które odzwierciedlały niekomunistyczny światopogląd, musiały podlegać marksistowsko-leninowskiej interpretacji. W Polsce zmuszano dzieci, aby uczyły się rosyjskiego, a także ukraińskiego lub białoruskiego, natomiast nauczanie po polsku stopniowo ograniczano. Tam gdzie język polski pozostał przedmiotem nauczania, jego lekcje nie mogły przekraczać ustalonej liczby godzin tygodniowo. W wielu szkołach średnich i podstawowych na miejsce nauczycieli polskich przyszli rosyjscy lub nie przyszli żadeni. Na tej samej zasadzie wycofano polskie podręczniki, czasem zastępując je radzieckimi, a czasem nie, ponieważ było ich za mało. Nauczano radzieckiej doktryny politycznej, a do szkół przydzielono komisarzy, którzy mieli czuwać nad realizacją radzieckiej polityki edukacyjnej. Jak się wydaje, poziom nauczania spadł w rezultacie wprowadzonych zmian, lecz miało to drugorzędne znaczenie dla nowych władców, dla których priorytetem była indoktrynacja³³.

Życie w szkole zmieniło się. Nie uczyliśmy się już naszej historii, nie uczyliśmy się o krajach kapitalistycznych, ponieważ musieliśmy uczyć się wszystkiego o Rosji. Zgodnie z naszą wiedzą, prawie wszystkie fakty z geografii i historii były przekręcone. Wiedzieliśmy o wojnie o niepodległość, ale teraz wszystko zostało postawione na głowie. Nie sprowadzono rosyjskich ani radzieckich nauczycieli. Niektórzy nasi nauczyciele odeszli, może musieli odejść, a może odeszli z własnej inicjatywy. W każdym razie przyszło kilku nowych. Uczyli nas tego, czego wymagali Rosjanie. Językiem pozostał estoński, ale od początku musieliśmy się uczyć rosyjskiego. W szkołach było mnóstwo antyreligijnej propagandy. Obchodzenie świąt Bożego Narodzenia było niezgodne z prawem. Nie mieliśmy ferii świątecznych³⁴.

Doświadczenia szkolne z nieco innej perspektywy przedstawia następujący fragment:

Do szkoły przyszło kilku nowych nauczycieli. Rosyjski stał się przedmiotem obowiązkowym, a nasz nauczyciel rosyjskiego był Estończykiem z Rosji. Chodziliśmy do szkoły i dobrze się tam bawiliśmy. W ogóle się nie uczyliśmy. Sam dyrektor uczył nas historii radzieckiej partii komunistycznej. Nie mówiąc ani słowa, bardzo wyraźnie okazywał swoją an-tybolszewicką postawę, ale przetrwał okupację radziecką i okupację niemiecką³⁵.

Bardziej radykalne zmiany dokonały się w innej z estońskich szkół:

Szkoła zmieniła się drastycznie. Nasz dyrektor został przeniesiony, pewnie dlatego, że był bardzo bezpośredni, a nawet prostolinijski. Nasza szkoła miała bardzo dobrą reputację i bardzo wysoki poziom nauczania. Teraz rosyjski stał się pierwszym językiem obcym. Nadal uczyliśmy się estońskiego, ale rosyjski był pierwszy, angielski drugi, a niemiecki trzeci. Musieliśmy spędzać dwie przerwy w tygodniu na nauce i omawianiu skróconej wersji statutu partii. Musieliśmy uczyć się od początku historii, z nowej perspektywy. Wyglądało na to, że świat zaczął się od Rewolucji Francuskiej. Nie było już gospodarzy klas, zastąpiły ich trzyosobowe komitety³⁶.

Chociaż nowe władze kładły nacisk na edukację, prowadziły proces so-wietyzacji również w innych dziedzinach życia. Reedukacja nie ograniczała się do szkół czy uniwersytetów. Polacy musieli się przyzwyczaić do rosyjskiego jako języka oficjalnego w urzędach państwowych i innych miejscach publicznych, do tego, że polskie barwy narodowe, czerwień i biel, oraz polski Orł Biały zastąpiły symbole radzieckie. Ośrodki kultury, tak jak teatry i stowarzyszenia literackie, pozostały otwarte, ale znalazły się pod nadzorem władz państwowych. Zasadnicze funkcje drukowania, publikowania i rozpowszechniania również przejęło państwo, a wszystkie obszary działalności kulturalnej przeszły pod kontrolę organów radzieckich. Pobór ogromnej liczby młodych mężczyzn do Armii Czerwonej z pogwałceniem konwencji genewskiej służył podwójnemu celowi: ułatwiał so-wietyzację młodych ludzi, a jednocześnie pozbawiał społeczeństwo potencjalnie najbar dziej

aktywnego elementu podziemnego ruchu oporu. Ogółem około 15(tysięcy młodych mężczyzn wcielono do wojska i wysłano do różnych jednostek w głąbi Związku Radzieckiego. Ponadto kobiety, które uczestniczyły;

w kursach pierwszej pomocy i pielęgniarstwa, musiały się zarejestrować jako pomocniczy personel medyczny Armii Czerwonej³⁷.

Od czasu do czasu, na co warto zwrócić uwagę, wszechogarniająca kontrola systemu totalitarnego załamywała się, o czym świadczy poniższa relacja. Narrator został powołany do armii radzieckiej niedługo po niemieckim ataku na Estonię w lipcu 1941 roku:

Obijaliśmy się przez kilka dni, a później, pewnego wieczoru, załadowano nas do pociągu. Ale tory były zniszczone. Czekaliśmy więc bezczynnie, bez zaopatrzenia i bez jedzenia. W końcu mój przyjaciel i ja postanowiliśmy prysnąć razem i wsiedliśmy do pociągu, ale nie spodobało nam się kilku ludzi w tym pociągu, więc znowu wyskoczyliśmy. Trzeciego czy czwartego dnia przyjechał pociąg, żeby nas zabrać. Gdyby nie był taki brudny, podróż mogłaby mi się nawet podobać, ale był niewiarygodnie brudny. Spędziliśmy w nim zaledwie kilka minut. Ja wsiałem, położyłem swój ekwipunek na podłodze i pomyślałem, że tu nie zostanę. Postanowiliśmy skakać, gdy tylko nadarzy się okazja. I wyskoczyliśmy, ledwo pociąg ruszył ze stacji. Nie jechał bardzo szybko. Ludzie mówili, że do nas strzelano, ale chociaż na dachu pociągu byli wartownicy, nie sądzę, by strzelali. Stoczyliśmy się z nasypu i najszybciej jak się dało pobiegliśmy pod osłonę drzew. Miejscowi poradzili nam, żebyśmy trzymali się z daleka od dróg, przeżyliśmy więc dwa tygodnie w lasach i na łąkach. Wielu moich szkolnych kolegów trafiło do obozów pracy, gdzie wskaźnik śmiertelności sięgał czterdziestu procent. Ci, którzy przeżyli, zostali wcieleni do Armii Czerwonej. Jeden z moich przyjaciół grał w karty w wagonie kolejowym. Kiedy powiedziałem: chodźmy, odparł: zaczekaj chwilę. Niestety, później zginął. Mnie nadarzyła się okazja i skorzystałem z niej, nie zastanawiałem się ani chwili³⁸.

Ten człowiek z pewnością podzielał poglądy swojego młodego rodaka, który nie mógł znieść okupacji radzieckiej i z niecierpliwością czekał na wkroczenie Niemców do Estonii w lipcu 1941 roku. Dlaczego?

Uważałem, że im szybciej Niemcy wkroczą do Estonii, tym lepiej. Okupacja sowiecka była bardzo uciążliwa. Co do mnie, to najtrudniej mi było czytać codziennie kłamstwa w gazetach, patrzeć, jak nauczyciele męczą się w szkole, bo muszą mówić coś, w co nie wierzą, powtarzać to dzień po dniu. Samemu kłamać, kiedy było się poza domem. Było to dla mnie bardzo trudne. Poza tym nie wiedzieliśmy zbyt wiele o Niemcach³⁹.

Ale nawet po ponad trzyletniej niemieckiej okupacji ci Bałtowie, którzy mogli odejść wraz z cofającymi się wojskami niemieckimi, zrobili to, zanim Rosjanie ponownie zajęli państwa bałtyckie w 1944 roku. Wydaje się, że do świadczenia pierwszego okresu rządów radzieckich, 1940-1941, okazały się dla nich tak traumatyczne, iż nie mogli nawet myśleć o przeżyciu czegoś po dobnego po raz drugi. Najbardziej pamiętnymi wydarzeniami były w tym okresie dla Bałtów masowe deportacje, które miały miejsce pod koniec niemieckiej okupacji, w czerwcu 1941 roku, a także towarzyszące im morderstwa i tortury w więzieniach, które ukazały rzeczywisty charakter radzieckiego reżimu. W dodatku zakładano słusznie, że gdyby Rosjanie nie musieli się wycofać, deportowaliby znacznie większą liczbę ludzi. Ci, którzy uniknęli tego losu za pierwszym razem, podejrzewali, iż po raz drugi może im się to nie udać. Radzieckie działania podczas drugiej okupacji, od 1944 roku poczynając, dowiodły, że obawy Bałtów były uzasadnione. Ci, którzy znaleźli się w Wielkiej Brytanii, doświadczyli zazwyczaj obu okupacji i mogli je porównać. Doświadczenia Polaków ze wschodniej Polski były inne. Ich przybycie do Wielkiej Brytanii było bezpośrednim rezultatem deportacji do Związku Radzieckiego podczas okupacji radzieckiej. Nieoczekiwane uwolnienie i ostateczne osiedlenie się w Wielkiej Brytanii oznaczało, iż nie znali obu form okupacji. Natomiast większość Polaków z zachodniej Polski, którzy przeżyli okres nazistowski lub zostali wywiezieni do Niemiec przed przybyciem do Wielkiej Brytanii, nie doświadczyła rządów radzieckich i dlatego nie miała podstawy do porównań.

Wynika z tego, że jeśli dla porównania obu okupacji oprzemy się wyłącznie na wywiadach, będziemy

uzależnieni od relacji obywateli państw bałtyckich, którzy przeżyli obie formy rządów totalitarnych. Sam fakt, i dziesiątki tysięcy Bałtów w obawie o własne życie opuściło ojczyste kraj przed ponownym wkroczeniem Rosjan w 1944 roku, nie jest wystarczającym dowodem, że okupacja radziecka była straszniejsza niż hitlerowska. Bądź co bądź, znacznie więcej Bałtów pozostało w swoich krajach Niemniej, ci, którzy pozostali, uważali zapewne, iż po zakończeniu wojny Rosjanie będą musieli się wycofać pod naciskiem aliantów zachodnich

i dlatego zakładali, że druga okupacja radziecka nie potrwa długo. Być może należeli również do mniej zagrożonych represjami warstw społecznych i kategorii zawodowych niż ci, którzy uciekli, i sądzili, że nie będą narażeni na uwięzienie lub deportację, jeśli pozostaną w kraju. Podobnie jak uchodźcy bałtyccy, wiele tysięcy Polaków i nawet pewna liczba Żydów, którzy jesienią 1939 roku zostali odcięci w opanowanej przez Rosjan wschodniej Polsce, ubiegało się o repatriację do niemieckiej strefy okupacyjnej. Ich decyzja, chociaż spowodowana nienawiścią do reżimu radzieckiego, wynikała zapewne z niedoinformowania, ponieważ wiedzieli bardzo mało na temat okupacji hitlerowskiej. W związku z tym Gustaw Herling-Grudziński, który spędził jakiś czas w radzieckim obozie pracy, napisał: „I jest może miarą upodlenia i rozpacz, do jakiej doprowadził swe ofiary system nowoczesnego niewolnictwa, fakt, że nie licząc tysięcy prostych Rosjan, Ukraińców i «nacmenów»*, dla których Niemcy byli naturalnym sojusznikiem w walce ze znienawidzonymi kolchozami, bez mała wszyscy komuniści europejscy i rosyjscy, ludzie światli, wykształceni i mądrzy, oczekiwali z dnia na dzień z podnieceniem i zniecierpliwieniem przyjścia hitlerowskich oswo-bodzicieli”⁴⁰.

Jeśli założymy, iż pragnienie opuszczenia obszarów pod okupacją radziecką nie uprawnia samo w sobie do konkluzji, że tyrania radziecka była bardziej okrutna niż hitlerowska, jest mimo to możliwe, iż znacznie więcej Bałtów uciekłoby na Zachód, gdyby nadarzyła się okazja. Niektórzy zostali odcięci w strefie działań wojennych i nie mogli opuścić rodzinnych stron, a poza tym liczba miejsc na statkach i w pociągach przewożących uchodźców na zachód była bardzo ograniczona. Co więcej, wielu z tych, którzy pozostali, czuło, że są za starzy lub zbyt głęboko zakorzenieni, by opuszczać swoje domy, i byli gotowi raczej znieść powrót Rosjan, niż jechać na wygnanie. Najbardziej zapewne wymownym świadectwem jest powstanie w państwach bałtyckich (a także w Polsce) podziemnego ruchu oporu, który z zaciętością i odwagą walczył z okupantami jeszcze przez kilka lat po-wojnie. Jego przetrwanie jako realnej siły bojowej, w postaci zbrojnych oddziałów ukrywających się w ciągu dnia w lasach i prowadzących działania partyzanckie nocą, można przypisać nie tylko nienawiści do systemu radzieckiego, determinacji i odwadze samych bojowników, lecz także szerokiemu poparciu, jakie otrzymywali od miejskiej i wiejskiej ludności

*W terminologii radzieckiej: nacjonalista (przyp. tłum.).

w swoich krajach. Możemy zatem stwierdzić, iż nienawiść i strach przed radzieckim okupantem były równie silne wśród uchodźców, jak i wśród tych, którzy pozostali, a którym w wyjeździe przeszkodziły zapewne jedynie okoliczności.

Bardziej konkretne, mniej oparte na przypuszczeniach porównanie z leży jednak od innych źródeł. Przede wszystkim należy ustalić, co porównujemy. Nie ma sensu wymieniać po prostu liczby aresztowanych, deportowanych, wysiedlonych, zamordowanych, uwięzionych lub wysłanych* do pracy przymusowej w każdej ze stref okupacyjnych, chyba że porównanie dotyczy podobnego przedziału czasowego. Pierwsza radziecka okupacja wschodniej Polski trwała zaledwie dwa lata, natomiast hitlerowska okupacja zachodniej Polski - pięć lat. Pierwsza radziecka okupacja państw bałtyckich trwała tylko rok, hitlerowska - trzy lata. Jeśli porównamy zbliżone przedziały czasowe, to okaże się, że liczba ofiar spośród społeczności polskiej i społeczności państw bałtyckich pod okupacją radziecką była prawdopodobnie równie wysoka jak pod okupacją hitlerowską, a może nawet wyższa.

Metodologia działań obu reżimów również wykazywała znaczące podobieństwa. Arbitralne aresztowania, tortury, egzekucje, konfiskaty majątku, niszczenie kultury i, przede wszystkim, masowe przesiedlenia ludności były wspólne dla obydwu. Środki stosowane przez NKWD i Gestapo przy deportacjach też w dużym stopniu były podobne, jak zobaczymy w rozdziale następnym. Jeśli chodzi o ludzkie cierpienia, można zaryzykować twierdzenie, że los radzieckich deportowanych był cięższy z powodu ogromnych odległości, jakie musieli pokonać w drodze na Syberię, w dalekie rejony Rosji i do radzieckiej Azji Środkowej, i skrajnych warunków

klimatycznych, które znosili, zarówno podczas transportu, jak i po przybyciu na miejsce.

Ci z kolei, którzy uznają terror hitlerowski za bardziej odrażający, po noszą trzy główne kwestie. Po pierwsze, hitlerowcy byli rasistami i uwżali Słowian, Bałtów i Żydów za niższe, zdegenerowane i godne pogar rasy ludzkie, których przeznaczeniem jest eksterminacja albo niewolnictwo. Rosjanie, przeciwnie, „nie piętnowali na stałe miejscowej ludności jako zbiorowiska wyrzutków”⁴¹. Ten argument ma istotne znaczenie.] drugie, postępowanie władz radzieckich było mniej haniebnę, ponieważ sprowadzały one po prostu Polskę i kraje bałtyckie do poziomu Związku Radzieckiego. Podobnie Rosjanie mogliby twierdzić, że nie ciemnie;

Polaków, lecz wyzwalali ich spod ucisku i zacofania dawnych władców, modernizowali ich gospodarkę i uwalniali klasę pracującą od dominacji wrogów klasowych i kontrewolucjonistów. Wymagało to zastosowania surowych i brutalnych metod, ale przynajmniej chodziło o postęp gospodarczy i równość, a nie, jak w przypadku hitlerowców, o zepchnięcie ludności do roli niewolników. Związek Radziecki i jego satelici, jak zauważył Ian MacDonald, maszerowali pod postępowym sztandarem, „a zapatrzeni w przyszłość intelektualiści są gotowi wybaczać nieskończenie wiele komuś, kto twierdzi, że kroczy ich drogą”. Solżenicyn skostatował z goryczą, iż ojczyźnie socjalizmu „można wybaczyć okrucieństwa znacznie większe niż okrucieństwa Hitlera, gdyż jej ofiarom wznosi się olśniewający ołtarz”. Siła przekonywania radzieckich argumentów zależy od tego, czy deklarowany cel ekonomicznego i społecznego postępu, przy założeniu, że był szczery, uświęcał straszliwe środki, które zastosowano, aby go osiągnąć.

Po trzecie, terror hitlerowski wydawał się szczególnie odrażający ze względu na swoją nieeuropejską naturę, całkowity brak skrupułów, jakie państwa europejskie miały chociażby w poprzednim stuleciu. Był niecywilizowany i barbarzyński. Od Rosjan oczekiwano natomiast, że będą niecywilizowani - ich postępowanie odzwierciedlało azjatycki prymitywizm - i dlatego było rzeczą wręcz nieuprawnioną oceniać ich według najlepszych europejskich wzorców⁴². Ofiary jednak okrucieństwa i prześladowania odczuwają mniej więcej tak samo, niezależnie od tego, czy dopuszczają się ich tak zwani cywilizowani Europejczycy, czy prymitywni Azjaci.

Pewien litewski obserwator, piszący podczas hitlerowskiej okupacji swego kraju (co samo w sobie świadczy o furtkach w systemie nazistowskiej kontroli), doszedł do rozsądnego i nieodpartego wniosku, że Niemcy i Rosjanie byli:

tak samo nierozłączni jak bliźnięta syjamskie. Rosjanie mogą realizować nieokrzesaną politykę, bardziej charakterystyczną dla Wschodu, podczas gdy Niemcy wykonują swoją brudną robotę w bardziej subtelny, bardziej inteligentny sposób [...]. Ale nawet ta różnica się zaciera [...]. Wszystkie środki są tak samo dobre zarówno dla Niemców, jak i dla Rosjan, dopóki prowadzą do osiągnięcia celu, którym jest inkorporacja Litwy [...] do Rosji lub do Niemiec, zależnie od okoliczności. Zarówno Rosjanie, jak i Niemcy uważają, że uda się go osiągnąć tylko wtedy, kiedy Litwę będą zamieszkiwali albo Rosjanie, albo Niemcy, a nie Litwini⁴³.

Warunkiem osiągnięcia celu było przymusowe przesiedlenie ludności r wschód. Rosjanie zamierzali przesiedlić setki tysięcy Bałtów w głąb Związku Radzieckiego, gdyby opanowali kraje bałtyckie, naziści zaś planowe wygnać ich na wschodnie pustkowia, gdy tylko Związek Radziecki zost nie pokonany. O tym, jak Rosjanie przygotowywali i przeprowadzali masową deportację Polaków i Bałtów, przysparzając niezliczonych cierpię ofiarom i ich rodzinom, będzie mowa w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ 5

Deportacje

DEPORTACJA, PRZYMUSOWE WYSIEDLENIE ludzi z kraju lub regionu, mo znaleźć uzasadnienie prawne bądź moralne, ale, niezależnie od okoliczności, z pewnością jest to bolesne doświadczenie dla deportowanych. IV mo to, jeśli weźmiemy współczesny przykład deportacji nielegalnych imigrantów z krajów Europy Zachodniej, współczucie opinii publicznej o deportowanych jest zwykle bardzo ograniczone. Deportacje dokonywane przez władze radzieckie mają zupełnie inny charakter. Omawiając je, musimy wyrzucić ze świadomości współczesne konotacje tego terminu. Na terenach pod okupacją radziecką przeprowadzano deportacje nie jednostek, lecz tysiące ludzi jednocześnie, przesiedlanych masowo. Nie była to deportacja z krajów lub regionów, gdzie deportowani niedawno się osiedlili, lecz z własnych domów w rodzinnym kraju. Całe populacje, jak na przykład Tatarzy krymscy czy Niemcy nadwołżańscy, były przymusowo wysiedlane ze swoich ojczyzn w jednej części Związku Radzieckiego i wywożone do innej, zwykle na jałowe i niegościnne obszary radzieckiej Azji Środkowej lub Syberii.

Ten sam straszny los czekał Polaków i Bałtów. W tym wypadku ponad półtora miliona ludzi, z czego mniej więcej połowę stanowiły kobiety i dzieci, wyrzucono w latach 1940-1941 z domów i wywieziono na wschód przez dawną granicę radziecką. Nie była to deportacja w komfortowych warunkach z rozłożonymi przez stewardesy posiłkami, lecz transport kolony w nieogrzewanych bydłowych i towarowych wagonach, prawie bez jedzenia i wody, bez opieki medycznej i w najbardziej prymitywnych warunkach sanitarnych. Podróż trwała zwykle kilka tygodni, a nawet miesięcy.

Podczas wielu ludzi, głównie niemowląt, małych dzieci i starców, umierało lub zapadało na poważne choroby. Wszyscy cierpieli z powodu przymusowego oderwania od domu, pracy, dobytku i pozycji. Większość popadała w rozpacz, chociaż niektórzy czepiali się nadziei, że pewnego dnia może uda im się wrócić. Deportacje ustały dopiero w 1941 roku, kiedy Rosjanie zostali wyparci z okupowanych obszarów w wyniku niemieckiej ofensywy. Dostępne źródła sugerują, iż przeprowadzone deportacje stanowiły pierwszy etap planowanego masowego wysiedlenia obywateli polskich i bałtyckich z ich ojczyzn. Potwierdza to fakt wznowienia masowych wysiedleń ludności po drugiej wojnie światowej. Ponieważ wskaźnik śmiertelności w obozach pracy przymusowej był niezwykle wysoki, ocalałe ofiary nie bez racji doszły do wniosku, że celem deportacji była „likwidacja” deportowanych, czyli czystka etniczna.

Podczas drugiej wojny światowej odbyły się cztery masowe deportacje z Polski pod okupacją radziecką, w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 oraz czerwcu 1941 roku. Ich ofiary nie zostały aresztowane ani skazane. Uznano je za rzeczywistych bądź potencjalnych wrogów władzy radzieckiej, zabrano z domów i wywieziono na zesłanie bez formalnego procesu. Zwykle zsumowanie ofiar każdej z tych masowych deportacji nie da w wyniku całkowitej liczby ludzi wysiedlonych z tych obszarów i zesłanych na Wschód. Należy do tego dodać polskich jeńców wojennych, poborowych do armii radzieckiej z Polski i państw bałtyckich oraz liczne jednostki aresztowane, osądzone i skazane na uwięzienie bądź pracę przymusową w Związku Radzieckim. Najbardziej wiarygodna szacunkowa liczba obywateli polskich, którzy padli ofiarą masowych deportacji, wynosi około 900 tysięcy. Ale mogło ich być nawet milion. Szacunkowe liczby deportowanych w każdej z masowych deportacji są następujące:

pierwsza deportacja 11 lutego 1940 roku - 220 tysięcy druga deportacja 13 kwietnia 1940 roku - 320 tysięcy trzecia deportacja 29 czerwca 1940 roku - 240 tysięcy czwarta deportacja w czerwcu 1941 roku - 200 tysięcy.

Do tego dochodzi około 230 tysięcy jeńców wojennych wszystkich stopni, którzy zostali albo uwięzieni w Związku Radzieckim, albo, w większości, wysłani do obozów karnych, oraz 210 tysięcy poborowych do armii radzieckiej lub zatrudnionych przymusowo w radzieckim przemyśle. A wreszcie byli ludzie skazani na więzienie, śmierć lub pobyt w poprawczych obozach pracy. Do obozów wywieziono zapewne około 250 tysięcy ludzi. W ten sposób, według bardzo ostrożnych szacunków, całkowita liczba deportowanych z ziem polskich pod okupacją radziecką sięga 1,5-1,6 miliona, ponad dziesięć procent przedwojennej populacji liczącej 13 milionów a wszystko to w ciągu półtora roku. Ponad milion spośród nich stanowiły kobiety, dzieci i osoby starsze¹.

Radziecka okupacja państw bałtyckich zaczęła się mniej więcej rok później niż w Polsce, toteż pierwsza i

jedyna masowa deportacja przed II wojną światową odbyła się w ciągu kilku dni po 14 czerwca 1941 roku. Najbliższe prawdziwe szacunkowe liczby wynoszą: około 11 tysięcy deportowanych z Estonii, 15 tysięcy z Łotwy i 34 tysięcy z Litwy. Jeśli je uwzględnimy, całkowite straty ludności w ciągu roku radzieckiej okupacji otrzymamy znacząco większą liczbę. Z ostrożnych obliczeń Juhana Kaalaka z 1991 roku wynika, że w Estonii aresztowano, uwięziono, stracono lub deportowano ponad 7 tysięcy osób, a ponad 33 tysiące młodych mężczyzn wcielono do armii radzieckiej. Liczba poborowych jest wyższa niż na Łotwie czy Litwie, ponieważ te dwa kraje Niemcy zajęli szybciej, pozostawiając Rosjanom mniej czasu na mobilizację. Jeśli przeprowadzimy podobne obliczenia dla Łotwy i Litwy, otrzymamy możliwą do przyjęcia całkowitą liczbę 120 tysięcy Bałtów, którzy zostali deportowani lub uwięzieni w Związku Radzieckim w latach 1940-1941. Do tego dochodzi jeszcze kilka tysięcy zaginionych bez śladu i w ten sposób całkowita liczba zbliża się do 130 tysięcy².

Łącznie zatem w ciągu osiemnastu miesięcy od pierwszego transportu w lutym 1940 roku z państw bałtyckich i wschodnich obszarów Polski deportowano około 1,6-1,7 miliona osób. Logistyka tych operacji była skomplikowana i wymagała szczegółowego, a nawet drobiazgowego planowania, które zajęło wiele miesięcy. Rosjanie jednak zdobyli doświadczenie w transportowaniu ogromnych mas ludzi na bardzo duże odległości jeszcze przed utworzeniem Związku Radzieckiego, odziedziczywszy niektóre z metod z czasów rządów carskich. Sama liczba wagonów towarowych, które musiały zostać zgromadzone w kilku punktach załadunkowych, koszt wyłączenia tych wagonów z normalnego ruchu towarowego, zorganizowanie zbrojnej eskorty dla pociągów, starannie zaplanowana procedura aresztowań, sporządzenie szczegółowych list deportowanych, przygotowanie obozów i specjalnych osad na przyjęcie deportowanych w głębi terytorium radzieckiego, a także

przydzielenie pracy nowo przybyłym wskazują, że deportacje były częścią opracowanej na wysokim szczeblu strategii trwałego wcielenia wschodniej Polski i państw bałtyckich do Związku Radzieckiego.

Jeśli przyjrzymy się niektórym liczbom, łatwiej nam będzie ocenić skalę tej operacji. Na przykład Michael Hope ustalił, że na potrzeby pierwszej deportacji z Polski w lutym 1940 roku zgromadzono 110 pociągów, z których każdy przewoził około 2000 deportowanych. Naoczni świadkowie opowiadają, że do wagonu ładowano co najmniej 40 osób, tak więc każdy pociąg składał się z około 50 wagonów. To oznacza, iż w punktach załadunkowych musiano zgromadzić około 5500 wagonów. Podczas drugiej deportacji w kwietniu liczba pociągów wzrosła do 160³. Natomiast z posiadanych danych wynika, iż przy deportacjach z krajów bałtyckich na każdy wagon przypadało nieco mniej osób. Jedno z opracowań szacuje liczbę wagonów potrzebnych do przetransportowania około 15 tysięcy osób z Łotwy na 662, co daje średnio 23 osoby na każdy wagon⁴. Jest to zbliżone do zalecanej liczby osób na wagon podanej w oficjalnych dokumentach radzieckich. Dlatego jeśli liczbę osób przypadających na każdy wagon w pociągach z polskimi transportami zredukujemy do poziomu tejże w pociągach z krajów bałtyckich, liczba wagonów potrzebnych do deportacji z Polski okaże się znacznie wyższa niż w kalkulacji początkowej. Jednak niektórzy świadkowie utrzymują, iż liczba osób w każdym wagonie „bałtyckim” była zbliżona do tej w wagonie „polskim”. Nie powinniśmy przy tym zapominać, że ta ogromna masa wagonów musiała zostać wycofana z normalnego ruchu towarowego na dłuższy czas, ponieważ najpierw wagony stały na stacjach i bocznicach, później zaś, kiedy załadunek dobiegł końca, podróż zajmowała co najmniej dwa tygodnie, a często znacznie dłużej. Już samo to może stanowić wskazówkę, jak ważne były dla Kremla deportacje, ile czasu i zdolności organizacyjnych pochłonęło to gigantyczne przedsięwzięcie transportowe. Zoe Zaidlerowa napisała: „...opracowanie wszystkich tych szczegółów wymagało wielkiej zręczności i przenikliwości: wszystkich dat odjazdów, załadunków i kursów, liczby i typu wagonów, lokomotyw i personelu, punktów uzupełniania zapasu węgla, rozkładu jazdy pociągów [...]. Kiedy wycofywano skądś pociąg, ponieważ był potrzebny w Polsce, wyciągano z mapy szpilki i wbijano ją w innym miejscu. Szpilki przesuwano na zachód”⁵.

Oczywiście takiej wielkiej operacji logistycznej nie podejmuje się z błahych powodów. Oficjalnie określano ją jako „zadanie o ogromnym znaczeniu politycznym”. Jakie cele chciał osiągnąć Kreml, przystępując do tego rodzaju działań? Przyjrzyjmy się najpierw oficjalnie deklarowanym celom deportacji, wyłożonym w instrukcjach pułkownika Iwana Sierowa, ludowego komisarza bezpieczeństwa państwowego Ukrainy, z 11 października 1939 roku i powtórzonym w dokumencie NKWD. Deportowani, napisał Sierow, są „wrogami ludu radzieckiego”, którzy „ze względu na swoją społeczną i polityczną przeszłość, nacjonalistyczno-szowinistyczne i religijne przekonania oraz moralną

i polityczną chwiejność [...] odnoszą się nieprzychylnie do ustroju socjalistycznego i dlatego mogą być wykorzystywani do celów antyradzieckich przez służby wywiadowcze obcych państw i ośrodki kontrewolucyjne". Innymi słowy, są winni przez swoje pochodzenie i przekonania i mogą utworzyć ośrodki oporu przeciwko narzuconej sile władzy radzieckiej⁶. Kreml uważał deportacje za konieczne, ponieważ bezpieczeństwa i stabilizacji na nowo podbitych obszarach nie mogły zapewnić tylko aresztowania, procesy i represje wobec grup przywódczych na tych obszarach. Takimi metodami można się było rozprawić jedynie ze stosunkowo niewielką liczbą ludzi, których „zniknięcie uważano za niezbędne do ujarznienia [tych obszarów]”⁷. Dlatego należało sporządzić imienne listy osób, które określano jako „elementy antyradzieckie” na podstawie raportów informatorów, inwigilacji, zeznań więźniów i denuncjacji. Ma to pozory systematycznych, a nawet zgodnych z prawem działań, w praktyce jednak ludzie byli deportowani po prostu dlatego, że sąsiad, który żywił do nich urazę, doniósł na nich władzom. Albo dlatego, że niektórzy ludzie z listy zdążyli się ukryć i zabierano innych, żeby liczby się zgadzały.

Najważniejszym kryterium selekcji podczas pierwszej deportacji było nadal to, czy dana osoba podpadała pod jedną z dwunastu kategorii politycznych i społecznych wyszczególnionych w instrukcjach NKWD. Obejmowały one członków partii politycznych, byłych oficerów, policjantów i funkcjonariuszy więziennych, emigrantów politycznych, ludzi utrzymujących osobiste lub listowne kontakty z zagranicą, księży i popów, dawni arystokraci, kupcy i bankierzy, a nawet zbieracze znaczków pocztowych i esperantystów. Nieuchronnie jednak nasuwa się pytanie, dlaczego ponad połowę deportowanych stanowiły kobiety i dzieci? Można w tym miejscu wymienić dwa powody. Po pierwsze, fakt, że ich mężowie, ojcowie synowie i bracia zostali straceni, uwięzieni lub deportowani, czynił ich w oczach bezpieki rzeczywistymi bądź potencjalnymi opozycjonistami

i sympatykami grup oporu. Po drugie, pochodziły z tych samych środowisk społecznych, politycznych i kulturalnych, co ich krewni płci męskiej. Gdyby owe środowiska nie zostały zniszczone, nadal rodziłyby „wrogów ludu”⁸.

Takie były deklarowane cele deportacji, inne jednak można wydedukować z konsekwencji tych działań, jak i ze stalinowskich i leninowskich dogmatów. Prawdopodobne konsekwencje nie były nieznane władzom radzieckim, które zdobyły już znaczne doświadczenie w przeprowadzaniu masowych deportacji. Stosowane metody, takie jak dokonywanie aresztowań w środku nocy, zostaną opisane w dalszej części tego rozdziału. Ich celem było szerzenie terroru nie tylko wśród ofiar, lecz również szerokich rzesz ludności, nieobjętych bezpośrednio represjami. W zamyśle miały one zapewniać skuteczność przy bardzo skomplikowanym trybie postępowania i uniemożliwiać wszelki opór ludności. Ale, zgodnie z leninowskim artykułem wiary, terror wobec przeciwników powinien być stosowany bezlitośnie, a strach zmuszać do uległości społeczeństwo jako całość. Brutalne metody, ogromna skala deportacji i arbitralne na pozór kryteria selekcji zdawały się odnosić pożądany skutek, ponieważ nikt nie mógł być pewny, czy nie jest następnym na liście. Radzieckie założenia rzeczywiście okazały się słuszne. Deportacje wywołały zamierzony efekt i, jak napisał Yardys, „wstrząsnęły trzema narodami [bałtyckimi] tak głęboko, że zapiszą się na zawsze w ich pamięci historycznej”⁹.

Inny cel kryjący się za deportacjami można wydedukować z precedensów, istniejących dokumentów i późniejszych działań radzieckich. Radzieckim zamiarem było umocnienie kontroli nad nowo pozyskanymi obszarami, czego partia dokonała już przy kilku wcześniejszych okazjach w różnych regionach Związku Radzieckiego. Kontrola okazywała się bardziej skuteczna, jeśli znaczną liczbę rdzennych mieszkańców wysiedlano i sprowadzano na ich miejsce Rosjan, którzy zostali odpowiednio zindoktrynowani i pozostawali lojalni wobec reżimu. Taki był precedens. Kolejną przesłankę stanowi relacja Jurgisa Clusauskasa, komisarza na Litwie podczas pierwszej okupacji radzieckiej, który podobno widział dokument dotyczący deportacji 700 tysięcy ludzi z Litwy. Dalekosiężnym celem Kremla było zastąpienie deportowanych Litwinów Rosjanami. W świetle tego, co wydarzyło się na Litwie po wojnie, kiedy od końca 1944 do lata 1949 roku deportowano około 350 tysięcy Litwinów, twierdzenie to nabiera wiarygodności. Wszyscy, którzy pozostali na Litwie i w dwóch innych krajach bałtyckich, musieli zdawać sobie sprawę, że władze radzieckie prowadzą wojnę na wyniszczenie. Jak ujął to pewien radziecki aparaczyk, miała powstać Litwa bez Litwinów. Podobnie etniczni Polacy z Ukrainy Zachodniej i rejonu Wilna byli po wojnie masowo wywożeni na Syberię (około 100

tysięcy), jak i przesiedlani na nowe polskie ziemie na zachodzie, wykrojone z terytorium niemieckiego¹⁰. Dlatego twierdzenie Hope'a, że - chociaż wymienione wyżej kryteria były stosowane - przypadkowość selekcji, nawet podczas pierwszych deportacji, sugeruje, iż jednym z zamierzonych celów było wysiedlenie ludności z obszarów okupowanych w długoterminowym interesie sowietyzacji, ma mocne podstawy¹¹.

Sądząc z podjętych działań oraz ich znanych konsekwencji, a nie z samych tylko deklarowanych celów, trudno oprzeć się wrażeniu, iż władze radzieckie świadomie zmierzały do tego, aby deportowani nie przeżyli ciężkiej próby. Oczywiście NKWD było zainteresowane wykorzystaniem siły roboczej w obozach karnych i uparcie podtrzymywało tezę, że deportacje są częścią procesu reedukacji. Mimo to, skoro wywożono deportowanych w rejony, gdzie nie mieli wielkiej szansy przeżycia, skoro przetrzymywano ich w surowym klimacie biegunowych i podbiegunowych obszarów Rosji i Syberii, gdzie przez wiele godzin dziennie musieli ciężko pracować, bez odpowiedniej odzieży, a otrzymywane racje żywnościowe pozwalały większości na przeżycie najwyżej dwu lat, jesteśmy uprawnieni do konkluzji, iż władze radzieckie życzyły sobie ich śmierci. Ci, którzy przeżyli, twierdzili zwykle, że zostali zwolnieni w samą porę, ponieważ nie przetrwaliby kolejnej zimy.

Podawane są różne wskaźniki śmiertelności deportowanych. Jak wynika z jednego z szacunkowych obliczeń, dwadzieścia procent zesłanych do tajgi i w rejony stepowe oraz trzydzieści procent przetrzymywanych w więzieniach i obozach umierało co roku z powodu niedożywienia i warunków klimatycznych, chociaż proporcje były znacznie wyższe w obozach na Kołymie, gdzie, według Piesakowskiego, zaledwie 583 więźniów spośród 11 tysięcy wysłanych tam w latach 1940-1941 przeżyło do sierpnia 1941 roku. Spośród ogólnej liczby 440 tysięcy obywateli polskich, zesłanych do obozów karnych, do sierpnia 1941 roku zmarło 270 tysięcy. Dane zgromadzone przez polską ambasadę w Kujbyszewie w 1942 roku pokazują, że tylko w roku 1941 zmarło 760 tysięcy Polaków zesłanych do Związku Radzieckiego. Ten rachunek nie zgadza się jednak z liczbą zgonów zarejestrowanych przez polskie Społeczne Biuro Informacyjne w grudniu 1943 roku, która sięga 200 tysięcy. Powyższa rozbieżność wynika prawdopodobnie

z różnych założeń przyjętych w obliczeniach, czy, na przykład, zaginionych bez śladu uważano za zmarłych, czy też uznawano, że żyją w jakichś odległych obozach. W tym drugim wypadku wydaje się mało prawdopodobne, by wielu z nich przeżyło wojnę, toteż za bardziej wiarygodną należałoby przyjąć wyższą liczbę. Taki wniosek potwierdza liczba Polaków repatriowanych ze Związku Radzieckiego w latach 1945-1948 i 1955-1956 - około 600 tysięcy¹². Jak zobaczymy w dalszej części książki, porozumienie pomiędzy rządem radzieckim a polskim rządem na uchodźstwie w lipcu 1941 roku doprowadziło do zwolnienia znacznej liczby deportowanych, więźniów i jeńców wojennych, ale wielu z nich również zmarło na skutek chorób i zakażeń i tylko stosunkowo drobna część została ewakuowana ze Związku Radzieckiego do Iranu.

Każda z czterech deportacji polskich miała inny skład społeczny, podczas gdy deportacje bałtyckie obejmowały wszystkie razem kategorie wyszczególnione na listach NKWD. W ramach pierwszej deportacji polskiej w lutym 1940 roku wywieziono głównie, chociaż nie wyłącznie, tak zwanych osadników wojskowych i leśniczych wraz z rodzinami. Jak już wspomnieliśmy, osadnicy wojskowi otrzymali ziemię na Kresach Wschodnich w nagrodę za służbę w polskich formacjach wojskowych podczas pierwszej wojny światowej i później. Byli całkowicie lojalni wobec państwa polskiego i z perspektywy radzieckiej stanowili ośrodek potencjalnego oporu przeciwko zwierzchnictwu Moskwy. Do kategorii leśniczych zaliczono wszystkich związanych z leśnictwem, od dyrektorów i zarządców po zwykłych strażników leśnych. Deportacja tych ludzi miała na celu pozbawienie potencjalnego polskiego ruchu oporu schronienia w lasach. Poza tymi dwiema kategoriami deportowano również urzędników państwowych, pracowników lokalnej administracji i niższych funkcjonariuszy policji. Ogólnie rzecz biorąc, deportowani nie byli ludźmi wysoko postawionymi, bogatymi i wpływowymi, lecz właścicielami małych gospodarstw lub pracownikami zatrudnionymi na państwowych posiadłościach. Jak wspominał pewien wiejski nauczyciel, NKWD nie oszczędzało ani chorych, których często wywlekano z łóżek, ani biednych, ani chłopów i robotników rolnych obarczonych licznymi rodzinami. Wymienił nazwy kilkunastu wsi, skąd wysiedlono całą ludność¹³.

Druga deportacja w kwietniu 1940 roku objęła niemal wyłącznie kobiety i dzieci oraz starców. Były to rodziny jeńców wojennych i ludzi, którzy zostali aresztowani bądź „zniknęli”, to znaczy albo wpadli w ręce NKWD,

albo uciekli za granicę lub do niemieckiej strefy okupacyjnej, aby uniknąć aresztowania. Członków tych rodzin określano jako „kontrewolucjonistów” i „elementy antyradzieckie”. Pod pojęcie „rodziny” podpadały wszystkie osoby mieszkające w domu zaginionego lub w domu należącym do jego najbliższego krewnego, zwykle żony. Na przykład Maria Smólek i Bronisława Gembarowicz, obie siedemdziesięciokilkuletnie, zostały deportowane, ponieważ mieszkały w Delatyniu w domu krewnych, których wyznaczono do deportacji. Bliżsi krewni, mieszkający w innych domach, nie zostali wyznaczeni¹⁴.

Moja ciotka i jej brat zostali deportowani, a także dwie siostry z sąsiedniego gospodarstwa. Siostry zostały deportowane, ponieważ ich brat był przewodniczącym rady parafialnej. Udało mu się uciec, ale siostry zabrano. Jeśli głowie rodziny udawało się uciec, zabierano resztę rodziny.

W czerwcu 1940 roku odbyła się trzecia masowa deportacja. Znowu objęła różne kategorie ludzi, głównie uchodźców, którzy uciekli przed niemieckimi represjami i szukali schronienia w radzieckiej strefie okupacyjnej. Władze zidentyfikowały ich, stosując prosty wybieg, a mianowicie wydały zarządzenie, że wszyscy uchodźcy, którzy chcą wrócić do domów, mają się zarejestrować w specjalnym urzędzie. Dziesiątki tysięcy ludzi usłuchało. Zaproponowano im, aby zrzekli się polskiego obywatelstwa na rzecz radzieckiego. Ci, którzy odmówili, oraz ci, którzy ubiegali się o powrót do domu, zostali deportowani. Szacuje się, że pięćdziesiąt dziewięć procent deportowanych stanowili Żydzi, a czterdzieści jeden procent Polacy. W rezultacie wszystkich deportacji łączny odsetek Żydów wśród obywateli polskich w Związku Radzieckim wynosił około dwudziestu procent. Oprócz uchodźców, trzecia deportacja objęła przedstawicieli wolnych zawodów, drobnych kupców i spekulantów, którzy podpadali pod kategorię „kontrewolucjonistów”¹⁵.

Czwarta i ostatnia przed niemiecką inwazją deportacja odbyła się rok później, w czerwcu 1941 roku, równocześnie z deportacjami z państw bałtyckich. Objęła żołnierzy armii polskiej, przetrzymywanych na Litwie i Łotwie, oraz ludzi podpadających pod dwanaście kategorii Sierowa, których pominięto przy poprzednich deportacjach, głównie obywateli polskich oraz uchodźców z rejonu Wilna i z Białorusi Zachodniej. Rosjanie starali się

również deportować jak najwięcej ludzi, którzy albo byli świadkami ich działań, albo w nich uczestniczyli, takich jak członkowie miejscowych komitetów partii i milicji robotniczych¹⁶. Masowa deportacja z państw bałtyckich rozpoczęła się 14 czerwca 1941 roku i objęła przedstawicieli wszystkich kategorii wyszczególnionych na listach NKWD. Nie była przy tym tak wybiórcza jak deportacje polskie; całe rodziny wywożono razem. Drugą deportację zaplanowano na 24 czerwca, lecz udaremniło ją niespodziewane uderzenie niemieckie. Wycofujący się Rosjanie wymordowali natomiast kilka tysięcy więźniów w celach i na dziedzińcach więziennych.

Liczba ofiar byłaby znacznie wyższa, gdyby rodziny figurujące na listach NKWD nie zdołały się ukryć i doczekać wkroczenia Niemców. W przeciwieństwie do deportacji w radzieckiej strefie okupacyjnej w Polsce, które trwały przez dłuższy okres i ludzi pominiętych za pierwszym razem mogły objąć następne wysiedlenia, deportacja bałtycka była jedyną przed powrotem Rosjan w 1944 roku. Co więcej, Bałtowie zdawali sobie sprawę, co dzieje się w Polsce i mieli czas, żeby podjąć środki zaradcze. Wiedząc, że wojska niemieckie bardzo szybko posuwają się naprzód, ludzie figurujący na listach po prostu pozostawali w ukryciu, dopóki nie zjawili się Niemcy. Potwierdzają to liczne relacje:

Nie wiem, dlaczego niektórzy ludzie zostali wybrani, a inni nie. Mogły o tym przesądzić powody polityczne. Ale mój ojciec zostałby wywieziony, ponieważ był policjantem, a wśród wywiezionych było całkiem sporo policjantów, gdybyśmy się nie ukryli przed nadejściem Niemców. Poszliśmy do gospodarstwa w odludnym miejscu, otoczonym bagnami, żeby Rosjanie nas nie znaleźli. Dostawaliśmy jedzenie od gospodarzy -wszyscy nam pomagali. Oprócz nas ukrywało się tam bardzo dużo ludzi. Przez ten czas ojciec w ogóle nie pojawiał się w domu, podobnie jak mój starszy brat, bo inaczej on też zostałby zabrany [...]. O tym, że sprawy Rosjan źle stoją, dowiedzieliśmy się w momencie, kiedy rosyjskie czołgi zaczęły przejeżdżać w pobliżu bagien, gdzie się ukrywaliśmy. Kiedy przyszli Niemcy, poszliśmy prosto do domu i nikt nas nie zatrzymywał. Na tym etapie mniej baliśmy się Niemców, z pewnością mniej niż Rosjan¹⁷.

Pewna rodzina ledwo zdołała się uratować. Na Łotwie następną turę deportacji zaplanowano na 28 czerwca. Późnym popołudniem 28 czerwca zobaczyli, że ich leśniczówkę otoczył kordon żołnierzy. Czekali na nieuniknione, ale do pierwszej w nocy nie wydarzyło się nic. Kiedy wyrzeli, nie dostrzegli żadnych pojazdów, i uświadomili sobie, że żołnierze wycofali się w obliczu niemieckiego ataku. „Tak więc mało brakowało, a znaleźlibyśmy się na Syberii” - wspominał jeden z członków rodziny¹⁸.

Członkowie innej rodziny dowiedzieli się, że 18 czerwca zostaną aresztowani. Wyszli więc z domu i ukryli się w lesie. Ponieważ nie mieli namiotu, zbudowali szałas z gałęzi sosnowych. Spędzili w lesie dziesięć dni, dopóki nie dowiedzieli się o wkroczeniu Niemców. „Byliśmy uszczęśliwieni, wyciągnęliśmy łotewską flagę, wyszliśmy i wróciliśmy do domu”¹⁹.

Ale jak ludzie dowiadawali się, że znajdują się na liście deportacyjnej? Wydaje się, iż otrzymywali ostrzeżenia od wtajemniczonych, którzy nie chcieli, aby przyzwoitych ludzi spotkał okrutny los. Pewna kobieta wyjaśniła, w jaki sposób ona i jej mąż zdołali uratować kilkanaście osób.

Mnóstwo ludzi wywieziono do Związku Radzieckiego podczas deportacji. Mój mąż i ja zostaliśmy zawczasu ostrzeżeni. Pojechaliśmy na wieś. Zdarzył się wypadek i mojego męża poproszono, żeby odprawił nabożeństwo żałobne w pewnej parafii, a ze szkoły wyszła młoda dziewczyna i powiedziała: „Nie wracajcie do miasta, zostańcie tutaj”. Później odwiedził nas policjant. Powiedział: „Znam panią i pani męża, czy możecie mi pomóc?”. Musiał pojechać do Yalmiery i sporządzić listę ludzi przeznaczonych do deportacji. Położył pistolet na stole i spytał: „Które nazwiska mam wpisać?”. Powiedział, że nie może chodzić po okolicy i mówić tym ludziom, żeby się ukryli, ale my możemy, ponieważ jesteśmy obcy, i zrobiliśmy to. Na liście było kilka osób z parafii, między innymi aptekarz. Przychodziliśmy do nich i mówiliśmy, żeby zniknęli. Na liście było piętnaście osób, a odległości były bardzo duże²⁰.

W przeciwieństwie do krajów Europy kontynentalnej, brytyjskie doświadczenia z deportacjami ograniczają się głównie do wydalania nielegalnych imigrantów i ekstradycji ludzi oskarżonych o przestępstwa kryminalne. Natomiast w Polsce, i w mniejszym stopniu w państwach bałtyckich istnieje długa i ponura tradycja masowych wysiedleń. Podobno w języku polskim jest czternaście słów na oznaczenie przymusowej emigracji. W XIX wieku zsyłki z ziem polskich przyłączonych do Rosji odbywały się po upadku powstań lat 1830 i 1863 oraz przy wielu innych okazjach, kiedy uciekano się do nich

w charakterze kary za przestępstwa przeciwko reżimowi carskiemu. Dlatego w 1940 roku, gdy rozpoczęły się deportacje do Związku Radzieckiego, Polacy zdawali sobie sprawę, czego mniej więcej mogą się spodziewać. Ale żadne doświadczenia historyczne nie przygotowały ich na rzeczywistość masowych wysiedleń. Bolszewicy udoskonaliли carskie metody, czyniąc z nich brutalne i wyrafinowane narzędzie terroru. Ogromny odsetek kobiet, dzieci i starców wśród deportowanych był bez precedensu. Krótki opis przebiegu deportacji, ilustrowany kilkoma relacjami z pierwszej ręki, ukazuje koszmar tych wydarzeń.

Wcześniejszy opis szczegółowego planowania, obejmującego zorganizowanie transportu na odległość tysięcy kilometrów, pokazał złożoność całej operacji. Do aresztowania „elementów antyradzieckich” było potrzebne równie złożone planowanie, obejmujące identyfikację potencjalnych deportowanych, wybranie czasu i metody ich aresztowania oraz środków potrzebnych do dostarczenia ich do najbliższego punktu załadunkowego, oddzielenie, jeśli zachodziła taka konieczność, mężów od żon i dzieci, określenie ilości i rodzaju rzeczy osobistych, które pozwalano im ze sobą zabrać, i podjęcie działań niezbędnych do wyeliminowania oporu ludności przeciwko deportacjom. Komisarz Sierow przygotował szczegółowe instrukcje dla „okręgowych sztabów operacyjnych” już w październiku 1939 roku. Uwzględniały one wszelkie ewentualności.

Osobiste relacje naocznych świadków mogą różnić się w szczegółach, ale układają się mniej więcej w jednolity obraz. Deportowani w późniejszym terminie byli nieco lepiej przygotowani, ponieważ metody użyte w pierwszej deportacji stały się powszechnie znane wśród ludności. Mogli zatem zawczasu spakować trochę rzeczy na podróż i do życia na zesłaniu. Pogoda podczas późniejszych deportacji była lepsza niż w lutym 1940 roku, ale wyższa temperatura stworzyła nowe problemy w postaci chorób. Niektórzy

funkcjonariusze NKWD byli bardziej ludzcy od innych, lepiej traktując deportowanych w momencie aresztowania. Ale te drobne różnice nie zmieniały zasadniczego charakteru operacji. Głośne walenie do drzwi w środku nocy, brutalnie wrywające ze snu lokatorów, żądanie otwarcia drzwi, wkroczenie jednego lub dwóch podoficerów NKWD w towarzystwie kilku żołnierzy i milicjanta w cywilu z czerwoną opaską na rękawie. Zgodnie z instrukcjami Sierowa wszystkich członków rodziny zbierano w jednym pokoju i domagano się od nich wydania broni. Deportowanych rewidowano, a mieszkania przetrząsano w poszukiwaniu ukrytej broni. Najmniejszy opór powodował, że całą rodzinę zabierano do rejonowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwowego w cel osądzenia i wydania wyroku. Po skończonej rewizji aresztowanych po wiadomiano, że zostaną deportowani i że wolno im *zabrać* do stu kile gramów rzeczy codziennego użytku, takich jak ubrania, pościel, sprzęt kuchenne, sztucce i naczynia, miesięczny zapas jedzenia dla całej rodziny oraz walizkę lub kufer do ich spakowania. Te przepisy często nie były przestrzegane. Jeśli deportowani mieszkali na wsi, mogli *zabrać* ze sobą niewielkie narzędzia rolnicze, które ładowano do specjalnych wagonów. Cała procedura aresztowania i przygotowania do podróży nie trwała dłużej niż dwie godziny. Następnie deportowanych przewożono furmankami lub saniami - albo należącymi do nich, albo dostarczonymi przez władze na najbliższą stację kolejową. Tam ładowano ich do pociągów w towarzystwie tysięcy innych, z których wielu było ich przyjaciółmi i sąsiadami²¹.

Przyszli po nas o trzeciej nad ranem i dali nam dziesięć minut na spakowanie bagaży (tylko tyle, ile zdołamy unieść!). Pozwolili nam zabrać tyle jedzenia, ubrań, najpotrzebniejszych rzeczy i narzędzi, ile zdołamy. Kiedy Rosjanie po nas przyszli, ciągle myśleliśmy, że jedziemy do niemieckiej części Polski. W naszym rejonie północno-wschodniej Polski było mnóstwo ludzi, którzy osiedlili się tam po pierwszej wojnie światowej i otrzymali działki ziemi w nagrodę za służbę wojskową lub inne zasługi. Zabrali nas na stację, gdzie stał bardzo brudny pociąg. Nie było nic do jedzenia, tylko to, co wzięliśmy ze sobą. Ze dwa albo trzy bochenki chleba i kilka worków mąki. Trochę mrożonego mięsa. To było 10 lutego 1940 roku²².

Następna relacja zawiera bardziej żywy opis procedury aresztowania:

O czwartej nad ranem 10 lutego 1940 roku przyszedł rosyjski oficer NKWD z dokumentami i dwaj żołnierze z bagnetami na karabinach w towarzystwie dwóch Ukraińców, którzy byli w miejscowym Komitecie [partii], i żydowskiego tłumacza. Kiedy *zaczęli* się dobijać do drzwi, ja wstałem pierwszy i otworzyłem, a tam stał żołnierz z bagnetem wymierzonym prosto w moją pierś. Oficer NKWD spytał, czy nazywam się tak i tak. Powiedziałem: „Jestem synem, a właścicielką gospodarstwa jest moja matka”. Wtedy kazali mi otworzyć drzwi, a kiedy weszli, oficer

NKWD wyjął z raportówki dokument. Wciąż pamiętam swoje zdumienie, kiedy zobaczyłem, że najważniejszy dokument dotyczący naszej deportacji został napisany na worku po cementie. Na zwykłym szarym papierze z worka po cementie. Odczytał dokument, który oskarżał nas

o wrogie nastawienie do miłującego pokój Związku Radzieckiego i stwierdzał, że zostaniemy deportowani w celu reedukacji.

Nie spodziewaliśmy się niczego w tym rodzaju. Aż do tej pory nie było żadnych deportacji. Co prawda niektórzy ludzie zaczęli gadać - dlaczego pociągi złożone z bydłocych wagonów czekają na miejscowej stacji kolejowej? Ale pociąg stał tam przez dłuższy czas i ludzie przestali się nim przejmować. Ponieważ w tym czasie mieszkaliśmy w domu tylko we dwoje, moja matka i ja, mieliśmy szczęście. Dali nam więcej czasu, a oficer NKWD okazał się dobrym człowiekiem. W panice nie wie się często, co robić, doradził nam więc: „Weźcie jedzenie, weźcie ubrania - rzeczy, których będziecie potrzebować. Wasze narzędzia, wasza piła - jest ich mnóstwo w Rosji, nie zwracajcie sobie nimi głowy”. I zabraliśmy tyle jedzenia, ile zdołaliśmy unieść. Ale cały sprzęt rolniczy i bydło musieliśmy oczywiście zostawić. Zanim poszliśmy, strażnik pozwolił mi spuścić psa z łańcucha i zanieść trochę siana zwierzętom. Zawieźli nas na stację saniami²³.

Inna z osób deportowanych wspominała, że jej matka nawet w tej rozpaczliwej sytuacji myślała o przyszłości i zabrała ze sobą kilimy, dywany i ałasowe narzuty na łóżko. „To były skarby, które pomogły nam przeżyć, ponieważ matka zdołała je później sprzedać”. Ale zapamiętała również, że jej ojciec był jak sparaliżowany. „Uświadomił sobie, że w ułamku sekundy stracił wszystko”.

Kiedy myślę teraz o rodzicach, robi mi się bardzo smutno, ponieważ wiem, że stracili wszystko. Byli szczęśliwi, pracowali. Jeśli chodzi o nas, młodych ludzi, zwykle był ktoś, kto się o nas troszczył, albo rodzice, albo ktoś, kto brał na siebie odpowiedzialność. Byliśmy też silniejsi fizycznie. Dla starszego pokolenia to było straszne²⁴.

Wówczas jednak nie było czasu na refleksję. Na stacji deportowani odkrywali, że są tam już setki innych ludzi, a kolejne setki wkrótce przybędą. Szybko odczytywano listy nazwisk, sprawdzano tożsamość, po czym rodziny wsiadały do jednego z długiego szeregu wagonów towarowych. Wewnątrz było zwykle zupełnie ciemno i często bardzo brudno. Podczas lutowej deportacji panowały przeraźliwe mrozy, minus trzydzieści-czterdzieści stopni Celsjusza. Pociąg otaczali wartownicy. Mieli nie tylko zapobiegać ucieczkom, które były prawie niemożliwe, ponieważ drzwi wagonów ryglowano od zewnątrz, lecz również nie dopuszczać do tego, aby krewni i przyjaciele szturmowali pociąg. Z wielu relacji wynika, że na wieść o tym, co się dzieje, przy torach gromadziły się setki ludzi, którzy próbowali ustalić, gdzie są ich krewni, a także przynosili jedzenie i inne rzeczy na drogę. Ale wartownicy nie pozwalali im przekazywać żadnych podarunków. Deportowani czekali w zamkniętych wagonach przez kilka godzin, dzień, czasem dwa dni, zanim pociąg wreszcie ruszył, zwykle bez jedzenia, oprócz tego, co ze sobą zabrali. Mieli więc mnóstwo czasu, by poznać swój nowy dom na następne kilka tygodni.

Podróż pociągiem odbywała się w dwóch etapach, najpierw po węższych polskich torach do dawnej granicy radzieckiej, gdzie więźniowie przesiadali się do pociągu przystosowanego do szerszego rozstawu torów rosyjskich. Ale warunki w wagonach były podobne. W obu końcach wagonu znajdowały się dwa rzędy drewnianych pryczy, w każdym rzędzie mogło spać osiem osób. Ale w wagonie przeznaczonym na dwadzieścia pięć osób jechało ich czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt, toteż około trzydziestu dodatkowych osób musiało spać na bagażach rozrzuconych na podłodze. W podłodze była dziura do celów sanitarnych, którą więźniowie zakrywali zwykle jakąś starą tkaniną. Według niektórych relacji, część wagonów była wyposażona w niewielkie piecyki, lecz większość nie miała żadnego ogrzewania. Niektórzy z deportowanych w lutym 1940 roku uważali, że pozwoliło im to utrzymać się w lepszym zdrowiu, niż gdyby wywieziono ich podczas późniejszych deportacji w kwietniu lub czerwcu, kiedy wyższa temperatura czyniła więźniów bardziej podatnymi na dyfteryt czy dyzenterię. W większości relacji jest mowa o pladze wszy i pcheł, nawet w największe mrozy. Praktycznie nie było światła, ponieważ jedyne otwory, dwie kratki wentylacyjne przy drzwiach, został zasłonięte tekturą. Ale więźniowie mogli czasem wyglądać przez wąskie szpary w ścianach wagonów. Dzięki temu wiedzieli, jaką trasą jadą, ponieważ mogli odczytać nazwy stacji - Smoleńsk, Kaługa, Tuła, Riazań. Penza, Syrzan, Kazań, Ufa, Omsk i miejsce przeznaczenia, Pawłodar. w przypadku jednego pociągu z północno-zachodniej Polski. Pociągi

z południowego wschodu często przejeżdżały przez Kijów w drodze na wschód²⁵.

Po drodze pociągi często zatrzymywały się na cały dzień lub dłużej, czekając, aż tor się zwolni, ponieważ inne pociągi miały pierwszeństwo. Im dalej na wschód, tym większe były szanse, że na jednym z tych przymusowych postojów strażnicy pozwolą więźniom wysiąść z wagonów i przejść się po okolicy. W środku tajgi czy stepu ucieczka nie miała sensu. Przeważnie jednak więźniowie pozostawali zamknięci w wagonach, bez możliwości umycia się i wyprania brudnych rzeczy. Podróż trwała przeciętnie trzy tygodnie, czasem jednak była znacznie dłuższa i niektórzy więźniowie wspominali, że ich podróż trwała trzy miesiące. Wagony wypełniał odór niemytych ciał, brudnych ubrań i odchodów, toteż pod koniec podróży więźniowie odczuwali ogromną ulgę, kiedy mogli odetchnąć świeżym powietrzem. Wielu ludzi umierało po drodze, zwłaszcza starzy i małe dzieci. Ich ciała wynoszono z wagonów i układano przy torach, bez żadnej pewności, czy ktoś je

pogrzebie.

Kiedy opisuje się to straszne doświadczenie zwykłymi, rzeczowymi zdaniami, nie można oddać przytłaczającego uczucia wstrząsu i rozpacz, jakiego doznawali ci ludzie, zwłaszcza starsi, czy też rodzice, którzy ponosili odpowiedzialność za swoje dzieci, a nie wiedzieli, czy zdołają się o nie zatroszczyć. Najbardziej odporne fizycznie i psychicznie były nastolatki; kobiety wykazywały zwykle większą odporność niż mężczyźni. Stracić wszystko było wystarczająco ciężko, a deportowani musieli jeszcze znosić okropności podróży, całkowitą niepewność jutra i rozłąkę z najbliższymi, o których nie wiedzieli nawet, czy jeszcze żyją. Rosyjscy konwojenci okazywali niewiele współczucia - typowe słowa pociechy brzmiały: „Pogódźcie się z losem i przystosujcie się, bo zdechniecie”. Była to dobra, choć brutalna rada, i ci, którzy jej usłuchali, mieli większe szansę na przeżycie.

Niektórzy z ocalałych wspominali swoje doświadczenia:

Zabrali nas na stację i byliśmy jak zwierzęta. Było zupełnie tak samo jak w telewizji, kiedy ogląda się film o ludziach w wagonach, w pociągach. To było straszne doświadczenie, dlatego że były tam dzieci i starzy ludzie, ludzie w różnym wieku, wszyscy przemieszani i wszyscy stłoczeni razem. A podróż była ciężka, ponieważ nie wystarczało nam jedzenia i mieliśmy bardzo mało gorącej wody. Jeśli ktoś chciał iść do toalety, musiał korzystać ze zwykłej dziury w podłodze. Kiedy zatrzymaliśmy się w różnych miejscach, żeby dostać jedzenie i wodę, strażnicy przychodzili, otwierali drzwi i mówili: „Dwóch albo trzech idzie ze mną po jedzenie, chleb i zupę”. Strasznie było patrzeć, jak młodzi, starzy i ludzie w średnim wieku umierali, a ich ciała wynoszono i rzucono w śnieg. Takich rzeczy się nie zapomina i to są moje najgorsze wspomnienia. Dwa razy się zgubiłam, kiedy wyszłam z wiadrem po wodę, ponieważ byłam małą dziewczynką i nie mogłam iść szybko po śniegu, więc mnie zostawili i mój transport odjechał. To było straszne! Nie znałam języka, nie wiedziałam, gdzie jestem. Stałam więc na tej stacji i płakałam. No i po prostu wsadzili mnie do innego pociągu, następnego, który przyjechał. Kiedy zatrzymaliśmy się na dużej stacji, zaczęłam szukać swojego pociągu. Ludzie kładli na platformie wagonu zielone gałęzie, jeśli ktoś się zgubił. I właśnie w taki sposób znalazłam wagon rodziców²⁶.

Czasami dostawaliśmy gorącą wodę z parowozu - śmierdziała olejem. To był zupełnie inny świat - trudno to sobie wyobrazić. Dwa miesiące bez mycia, bez mydła, zbieraliśmy więc śnieg, który wpadał przez kratki, a kiedy pociąg się zatrzymywał, napełnialiśmy wiadra i worki śniegiem, który później topniał. Ale był jeszcze smród. W takich warunkach nie można utrzymać higieny. Częściowo zależało to od tego, w jakim stanie wyszło się z domu. Jeśli przychodzili po kogoś, kto właśnie wyprał swoje rzeczy, był w lepszej sytuacji niż ludzie, którzy nie zdążyli zrobić prania. Niektórzy zabierali więc ze sobą worek z brudnymi rzeczami. Warunki były bardzo ciężkie, ale ocalała nas surowa zima. Uchroniła nas przed chorobami. Jeśli położyło się na pryczy koszulę, po kilku godzinach zaczynała się ruszać z powodu wszy i pcheł. W tych wagonach były miliony pcheł i wszy - po prostu nas oblażyły²⁷.

Kobiety w pociągu były często żonami polskich jeńców wojennych albo ludzi aresztowanych, a później deportowanych. Zazwyczaj nie wiedziały, co się stało z ich mężami. Nasza podróż trwała w sumie trzy tygodnie. Ja żyłam po prostu z dnia na dzień i nie myślałam o tym, co się dzieje. Ale starsi ludzie, ludzie w średnim wieku, doskonale wiedzieli, co się dzieje. Żyłam więc z dnia na dzień i myślałam, że pewnego dnia dotrzemy do miejsca przeznaczenia. Nie było sensu wpaść w przygnębienie. Ludzie musieli myśleć o tym, jak przeżyć - jak zdobyć

jedzenie, jak zdobyć gorącą wodę, jak pozbyć się wszy. Było tam dwoje niemowląt, które przeżyły, ponieważ były karmione piersią²⁸.

Deportowani mogli trafić do dwóch rodzajów miejsc. Tak zwani deportowani pierwszej kategorii byli wysyłani do obozów pracy w różnych częściach Związku Radzieckiego, od północnych rejonów Rosji europejskiej wokół Archangielska, Kotłas i Wołogdy po rzekę Peczorę oraz zachodnie i wschodnie rejony Uralu, na północnej i południowej Syberii i na północ od Magadanu w rejonie kołymskim radzieckiego Dalekiego Wschodu. Obozy były otoczone zasiekami z drutu kolczastego z posterunkami i uzbrojonymi strażnikami na wieżach ustawionych na obwodzie ogrodzenia. Więźniowie pracowali przy różnych

przedsięwzięciach gospodarczych, którymi zarządzał GUŁag, czyli Główny Zarząd Obozów Pracy Wychowawczej i Kolonii Karnych. Deportowani drugiej kategorii byli kierowani do specjalnych kolonii pod bezpośrednim zarządem NKWD. W zależności od lokalizacji, deportowani mogli pracować w kołchozach, na budowach lub przy wyrębie drzew w lasach. Mogli pracować normalnie i korzystali ze względnej swobody poruszania się po okolicy, ale nie wolno im było wyjeżdżać poza najbliższe miasto targowe ani zmieniać zatrudnienia, choć wielu to robiło. Kolonie były położone na Uralu, na południowej Syberii, w północnym i południowym Kazachstanie i w południowym biegu Jeniseju w rejonie Kra-snojarska. Kilka znajdowało się w północnej europejskiej części Rosji²⁹.

W grudniu 1941 roku ambasada polska przeprowadziła spis Polaków w Związku Radzieckim, posługując się raportami delegatów rządu, listami i depeşami z kolonii oraz osobistymi relacjami byłych deportowanych, którzy po „amnestii” trafili do ośrodków mobilizacyjnych armii polskiej w Związku Radzieckim. Spis nie uwzględniał co najmniej trzech czwartych miliona ludzi, czyli około połowy ludności polskiej przesiedlonej do Związku Radzieckiego. Jeśli chodzi o trzy czwarte miliona uwzględnione w spisie, największe skupiska Polaków znajdowały się w Archangielsku, w Republice Korni, w Swierdłowsku, Nowosybirsku, w Kraju Krasnojarskim, w Kraju Altajskim, w Akmolińsku, Aktiubińsku, Dżambulu, w południowym Kazachstanie, w Semipałatyńsku, w Republice Turkmeńskiej, w Uzbekistanie i Pawłodarze³⁰. Niektórzy spośród ocalałych zostali wysłani do obwodu tomskiego nad rzeką Ob, inni do Irkucka, nad jezioro Bajkał lub nad Morze Białe w rejonie Archangielska, jeszcze inni w rejon Nowosybirska i nad Usę na północnej Syberii.

Kiedy po kilku tygodniach lub miesiącach spędzonych w pociągu de portowani docierali do tych miejsc, czekała ich następna, często długi; podróż ciężarówką, łodzią rzeczna lub kolejką wąskotorową. Po wyjściu z pociągu odczuwali ulgę, a zarazem dręczący niepokój o przyszłość i prze rażenie na widok okolic, w których się znaleźli. Wielu było zbyt wyczerpa nych, otepiałych i chorych, by zwracać uwagę na otoczenie. Wszyscy wspo minali później przygnębiającą pustkę tych miejsc i niezwykle ciężkie warunki klimatyczne, czy to w lasach na dalekiej północy, w tajdze, czy w stepie.

Przyjrzyjmy się dwóm dosyć typowym relacjom, które dają jakieś poję cie o doświadczeniach setek tysięcy. Michał Krupa, kiedy po przejściu w łańcuchach czterystu kilometrów od stacji kolejowej przez głęboki śnie^ dotarł wreszcie do obozu nad Peczorą, opisał go jako skupisko nowo wybu dowanych baraków z drewnianymi wieżami obserwacyjnymi i strażniczyrr celującymi w niebo. Cały teren otaczało podwójne ogrodzenie z drutu koi czastego, a w promieniu wielu kilometrów nie było nic oprócz lasu i śnie gu. Eugenia Huntingdon trafiła do kolonii karnej w radzieckiej Azji Śroc kowej. Kiedy 1 maja 1940 roku jej pociąg przyjechał na miejsce, drzw otworzyły się i przywitał ich przygnębiający widok. „Jak okiem sięgnąć, ni było tam ani jednego drzewa, ani jednego krzaczka. Po prostu bezm dziejny, monotony beźmiar pustyni, ale zamiast piasku i słońca był tar brudny śnieg, który właśnie zaczynał topnieć, i zachmurzone szare niebc Wywieziono nas na daleką północ Kazachstanu. Stacja nazywała się Fic dorowka w obwodzie kustanajskim”. Był to, jak się niebawem przekom ła, prymitywny region o surowym klimacie z długą, niezwykle mroźną z mą i krótkim, upalnym, dusznym latem. Brak odpowiednich środko¹ transportu sprawiał, że rozproszone osady były odizolowane zarówno o siebie, jak i od reszty świata. W tysiącach osad i obozów takich jak te *zm* leźli się deportowani Polacy i Bałtowie. Był to odległy świat, ciemna strc na księżycu, gdzie nigdy nie dociera światło³¹.

ROZDZIAŁ 6

Obozy karne i miejsca zsyłki

W ZWIĄZKU RADZIECKIM istniała rażąca sprzeczność pomiędzy teor a praktyką karną. Owa sprzeczność pozwalała apologetom systemu r dzieckiego utrzymywać, że niedociągnięcia praktyczne wynikały z niewła

ciwego zastosowania zasady. Zasada była, bądź co bądź, wzniosła: reed kacja przestępców. Jeśli naziści stawiali sobie za cel wyeliminowanie : społeczeństwa elementów rasowo gorszych lub zniewolenie ich możliw najbardziej skutecznymi metodami, deklarowaną polityką radziecki partii komunistycznej było uzdrowienie chorych jednostek, żeby stały s pełnoprawnymi obywatelami radzieckimi. Ten rozzew pomiędzy teor a praktyką dostarczył niektórym ludziom na Zachodzie dodatkowego p wodu, aby nie naciskać na rząd radziecki, by wymierzył sprawiedliwość wi nym zbrodniczych aktów. Pozwolił również postkomunistycznym rządo rosyjskim uchylić się od zadośćuczynienia krzywdom ocalałych ofiar te roru radzieckiego i ukarania odpowiedzialnych za śmierć milionów robc ników przymusowych. Wielu Rosjan nadal uważa, że ludzie przetrzymywa w obozach zasłużyli na swój los, a wielu innych chciałoby zapomnieć i um ręce od całej sprawy. Rosja w istocie *zaprzecza* nieludzki i brutalny a tom popełnionym przez państwo, którego mieni się sukcesorem. Ale jał sukcesor nie może tylko czerpać korzyści z tego statusu, musi również uzn swoją odpowiedzialność.

Wiedza zachodniej opinii publicznej na temat Holocaustu i inny zbrodni hitlerowskich znacznie się pogłębiła dzięki odpowiedniemu n głośnieniu tych spraw w mediach. Ale chociaż o radzieckim terrorze pa stwowym i systemie obozów karnych w Związku Radzieckim mówi się b

porównania mniej, nie może być usprawiedliwienia dla ignorancji w tym przedmiocie. Napisano na ten temat mnóstwo znakomitych książek, które przetłumaczono na wiele języków. Palma pierwszeństwa musi przyspaść *Archipelagowi GUŁag* Solżenicyna i jego świetnym powieściom o tym, żywym wspomnieniom Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, opracowaniu Zoe Zaidlerowej, osobistej relacji Ireny Ratushinskiej i najnowszej książce Annę Applebaum o GUŁagu. Jest wiele innych wspomnień, które razem wzięte, dostarczają wystarczającej ilości informacji o życiu i śmierci w obozach. Wygląda jednak na to, że od zakończenia zimnej wojny, mimo pracy Applebaum, stopień zainteresowania usankcjonowanymi przez państwo masowymi zbrodniami w Związku Radzieckim zdaje się spadać, chociaż w gazetach pojawiło się sporo artykułów na ten temat w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Stalina w 2003 roku. Należy zachować pamięć o systemie obozów z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, aby nowe pokolenia, czy to w Rosji, czy w innych częściach świata, nie zapomniały o losie wielu milionów ludzi zamordowanych przez brutalny i nieludzki reżim. Po drugie, aby nadal stawiać przed światową i rosyjską opinią publiczną kwestię moralnej odpowiedzialności Rosji za zbrodnicze działania jej poprzednika. Od rządu i narodu rosyjskiego nie wymaga się niczego więcej, niż oczekiwano od rządu Niemiec Zachodnich i narodu niemieckiego, to znaczy uznania odpowiedzialności za zbrodnie swojego państwa i zadośćuczynienia rodzinom ofiar. Zawarte w niniejszej książce wspomnienia ludzi, którzy nie byli obywatelami Związku Radzieckiego, takich jak Polacy i Bałtowie, są ważne dlatego, że ofiary te trafiły do obozów z innym nastawieniem niż Rosjanie i nie były nawet częściowo przystosowane do radzieckich warunków. Ponieważ Polacy i Bałtowie dzielili humanistyczne tradycje Zachodu, mieszkańcom Europy Zachodniej łatwiej jest się z nimi identyfikować i zrozumieć ich reakcję na całkowicie obce środowisko obozów i kolonii karnych¹.

Teoretycznym uzasadnieniem funkcji obozów i kolonii karnych było wykorzystanie fałszywych poglądów i przekształcenie więźniów w gorliwych zwolenników systemu radzieckiego. Ten proces edukacji wynikał z „uszlachetniającego oddziaływania pracy”. Miała ona właściwości „oczyszczające i uzdrawiające”, które ułatwiały przyjęcie doktryny marksizmu-leninizmu i odrzucenie fałszywych poglądów. W oczyszczającym ogniu obozów mieli się ukształtować nowi ludzie. W odpowiedzi na krytykę radzieckich metod „pracy poprawczej” w brytyjskiej prasie pewien radziecki prawnik na- pisał w sierpniu 1949 roku do „Manchester Guardian”, broniąc radziec kiego systemu karnego i dowodząc jego wyższości nad systemami karnym krajów zachodnich. Celem pracy w poprawczych obozach pracy, stwierdził jest reedukacja i poprawa przestępców. Więźniowie wykonują użyteczni pracę, mogą bez przeszkód stykać się ze sobą i poruszać po terenie obo zu. Przyznał, że zamknięcie w obozie jest surową karą, ale „nie tak uciąż liwą jak zamknięcie w celi więziennej praktykowane w krajach zachodnio europejskich”. Uprawiana na Zachodzie krytyka obozów, orzekł na koniec jest przykrywką dla podsycania agresywnego ducha i atmosfery wrogość wobec Związku Radzieckiego. Ten typ retoryki był bardzo użyteczny w od wracaniu zarzutów, gdyż pozwalał sympatykom komunizmu na Zachodzie* występować w obronie radzieckiego systemu karnego².

Jeśli taka była zasada, jak wyglądała rzeczywistość? Nie można opisać tego lepiej niż poruszającymi słowami Zoe Zaidlerowej, która przemawia w imieniu wszystkich więźniów obozów. Egzystencja w obozie karnym stwierdza Zaidlerowa, wtrącała ludzi w „otchłań moralnego otępienia; i zwierzęcych potrzeb”. Wszystkie działania podejmowane wobec jednostki miały w swoim zamiśle zniszczyć ją jako jednostkę. „Wszelka prywatność, przyzwoitość i delikatność jest celowo eliminowana”, a „istota ludzka w ciele stopniowo umiera”. Jeśli ktoś przetrwał i wyszedł na wolność nie był już sobą. „Nikt naprawdę nie opuszcza łagru. Łagier pozostaje n; zawsze”³. Wszystkie relacje dotyczące życia w obozie mówią o degradacji moralnej i wyniszczeniu fizycznym powodowanym przez niedożywienie i ciężką pracę w skrajnych warunkach klimatycznych. Jak zauważył Herling-Grudziński, próbując wytłumaczyć obojętność więźniów, którzy walczyli o przetrwanie, na los innych, człowiek może pozostać człowiekiem tylko w ludzkich warunkach i nonsensem jest osądzanie go za czyny, które po pełnił w warunkach nieludzkich. Żeby przetrwać w obozie, człowiek wyzbywa się wcześniejszych standardów zachowania i moralności, „nie pa mięta, jak kiedyś myślał, co czuł, kogo i za co kochał, czego nie lubił, a di czego był przywiązany”. Intelktualistom było znacznie trudniej przystosować się do obozowego życia, ponieważ mieli bogatszą wyobraźnię i „od dawali się na pastwę wspomnień ze związanymi rękami i nogami”⁴.

Śmierć przychodziła szybko do ludzi starych, do tych o „białych dłc niach” (intelektualistów i przedstawicieli wolnych zawodów), do słabych fizycznie, wszystkich, którym trudno było wykonać choćby pięćdziesiąt procent ustanowionej normy. Ale nawet młodzi i silni prędzej czy później

znajdowali się u kresu wytrzymałości i niewielu z tych, którzy pracowali przy wyrębie lasów lub w kopalniach na dalekiej północy, mogło przetrwać dłużej niż dwa lata. Jak już wspomnieliśmy, wskaźnik śmiertelności Polaków uwięzionych w obozach i koloniach karnych był niezwykle wysoki. W tych skrajnych warunkach trudno się doszukać uszlachetniających i uzdrawiających efektów pracy. Nic nie wskazuje również na to, że reedukację traktowano poważnie lub że w ogóle była skuteczna. Kiedy do obozu Herlinga-Grudzińskiego w pobliżu Archangielska dotarła wieść o hitlerowskiej inwazji na Związek Radziecki, jego towarzysze „oczekiwali [...] z podnieceniem i zniecierpliwieniem przyjscia hitlerowskich oswoobodzi-cieli”. Nie sposób się też dopatrzeć znamion reedukacji w egzekucji 15 tysięcy polskich oficerów i podoficerów w Katyniu i innych miejscach kaźni w 1940 roku. „Ścinając te makówki”, by posłużyć się wyrażeniem Stalina, władze radzieckie osiągnęły bezpośrednio, natychmiast i bez ideologicznej hipokryzji taki sam wynik jak w obozach, z wyjątkiem ekonomicznych korzyści niewolniczej pracy⁵.

Jeśli nie prowadzono reedukacji, deklarowane uzasadnienie systemu obozów karnych nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Jaki był zatem prawdziwy cel? Chodziło po prostu o zatrudnienie niewolniczej siły roboczej przy różnych przedsięwzięciach kierowanych przez NKWD, żeby sprostać ekonomicznym potrzebom państwa radzieckiego. Więźniów klasyfikowano jako wrogów ludu radzieckiego, aby znaleźć choć częściowe wytłumaczenie ich uwięzienia. Ich usunięcie ze społeczeństwa zostało opisane przez Solżenicyna jako proces „profilaktyki społecznej”, napełniający rury ściekowe organizmu społecznego potokami wrogów klasowych, odprowadzanymi następnie na niezliczone wyspy archipelagu GUŁag rozrzucone po całym kontynencie⁶. Wszyscy deportowani podpadali pod tę kategorię, chociaż nie zostali oskarżeni o żadne przestępstwa kryminalne ani skazani na mocy kodeksu pracy poprawczej, jak fałszywie utrzymywał radziecki prawnik. Deportacje, które miały miejsce przed hitlerowską inwazją, były zaledwie pierwszymi z zaplanowanej serii wysiedleń ludności w celu roztoczenia kontroli politycznej nad nowo uzyskanymi terytoriami. Służyły podwójnemu celowi: przeprowadzeniu czystki etnicznej w zachodnich rejonach państwa radzieckiego i zaopatrzeniu w siłę roboczą tych obszarów Związku Radzieckiego, gdzie występował jej niedobór. Zesłani do obozów po „procesie” na mocy różnych artykułów radzieckiego kodeksu karnego byli wcześniej poddawani brutalnemu przesłuchaniu, podczas którego śledczy starali się ich zmusić, aby przyznali się do jakiejś niepopelnionej zbrodni. Jest rzeczą oczywistą, że tylko ludzie uznani za winnych w trakcie przewodu sądowego lub winni przez współudział, tacy jak deportowani, kwalifikowali się do reedukacji. Tylko człowiek winny mógł zaspokoić zapotrzebowanie państwa radzieckiego na siłę roboczą. A ponieważ każdego i wszystkich można było uznać za winnych, od NKWD, które zarządzało obozami, nie wymagano, żeby oszczędzało na sile roboczej. Jak ujął to Bertrand

Russell, nic nie stało na przeszkodzie, aby ci „nieszczęśnicy umierali powoli z wycieńczenia i głodu w arktycznym zimnie”. Możemy jedynie dodać, iż celem obozów było wyciśnięcie z więźniów możliwie najwięcej możliwie najniższym kosztem, zanim dopełni się ich los.

Polacy i Bałtowie, których relacje stanowią podstawę niniejszych rozważań, zostali zesłani albo do obozów karnych, czyli łagrów, albo do kolonii karnych, określanych niekiedy jako „rejon przymusowego osiedlenia”, czyli posiołki. Większość łagrów była usytuowana w odległych rejonach, gdzie panowały skrajne warunki klimatyczne. Odległe położenie wiązało się z bardzo długą podróżą koleją lub łodzią, czego doświadczyli zwłaszcza Polacy. Największe skupiska obozów znajdowały się w rejonie Archangielska nad Morzem Białym, w Republice Korni na wschodzie i na wyspie Nowa Ziemia u północnego wybrzeża Rosji. Obozy zakładano też wzdłuż linii kolejowej z Wołogdy na północ od Moskwy, na wschód w kierunku Kirowa i dalej, aż do Uralu. Na Syberii najwięcej obozów było na Kamczatce, na obszarach położonych w głąb ładu od Cha-barowska, Władywostoku, Sachalinu i Magadanu oraz w najbardziej zabójczym regionie, nad Kołymą wpadającą do Oceanu Lodowatego. Podczas dziewięciomiesięcznej zimy temperatura minus czterdziestu stopni Celsjusza była rzeczą zwyczajną, a nad Kołymą mogła spaść nawet do minus siedemdziesięciu stopni. Obozy zostały pogrupowane w strefy ciągnące się przez setki kilometrów. Ogółem w 1940 roku w Związku Radzieckim było około 2500 obozów, które składały się z różnych podobozów, czyli „łagpunktów”. Na przykład Gustaw Herling-Grudziński został zesłany do Kargopola w pobliżu Archangielska. W 1940 roku obóz kargo-polski składał się z kilkunastu „łagpunktów”, do największych należały: Mostowica, Ostrownoje, Kruglica, Niadoma, dwie Aleksiejewki i Jerce-wo, gdzie trafił sam Herling-Grudziński. Te „uczastki” były rozrzucone w promieniu około pięćdziesięciu kilometrów i przebywało w nich ogółem jakieś 30 tysięcy więźniów⁷.

Podczas gdy Herling-Grudziński napisał całą książkę o swoich traumatycznych przeżyciach w Jercewie, inni polscy uchodźcy wypowiadali się na temat wyjątkowo zwięzłe, chociaż ich relacje dotyczące życia na wygnaniu są zazwyczaj dosyć obszerne. Można się jedynie domyślać powodów tej wstrzemięźliwości. Być może wątpili w swoją zdolność do opisanie rzeczywistości obozów komuś, kto nigdy nie był więźniem. Być może również ich doświadczenia były tak bolesne i wstrząsające, iż nie chcieli do nich wracać w obawie, że mogą ich nawiedzać upiory przeszłości. Dwa zamieszczone niżej krótkie cytaty ukazują niezwykłą oszczędność opisów okresu obozowego.

W końcu wysłali mnie do obozu pracy. Leżał nad rzeką Usą na północnej Syberii, za kręgiem polarnym. Dzień i noc panowała ciemność. Układaliśmy tory kolejowe. Nie pracowałem szczególnie ciężko. Próbowali mnie przekupić, żebym pracował ciężiej, obiecując więcej chleba. Moi towarzysze pracowali bardzo ciężko, żeby dostać ten większy kawałek chleba, ale nigdy nie dostawali więcej. Spędziłem w tym obozie prawie dwa lata, aż do „amnestii”.

Bardzo rzeczowa wypowiedź, chociaż później narrator przyznał na stronie, że zesłańcy „wiele wycierpieli”. Drugi opis jest równie zwięzły:

Wysłali mnie do obozu pracy w pobliżu Irkucka na Syberii, w rejonie jeziora Bajkał, niedaleko chińskiej granicy. Wolę go nazywać obozem karnym albo obozem koncentracyjnym. Wszędzie były druty kolczaste i budki wartownicze⁸.

Żeby naprawdę uzmysłowić sobie, jak to było znaleźć się w obozie, znów należy odwołać się do Herlinga-Grudzińskiego, który nakreślił poruszający obraz nowych więźniów i, w wielu wypadkach, ich ostatniego domu. Powinniśmy pamiętać, że Herling-Grudziński i większość jego towarzyszy spędzili wcześniej wiele miesięcy w przepelnionych więzieniach, przeżyli udrękę podróży pociągiem deportacyjnym, cierpiąc z powodu niedożywienia i braku ruchu, i mieli za sobą długotrwałe przesłuchania. W tym żalonym stanie więźniowie dotarli o świcie na stację kolejową w Jercewie w pobliżu Archangielska. Wsiadając z pociągu „wśród naszczekiwa-

nią wilczurów i nawoływania straży", zobaczyli „cztery sylwetki «boci; nów» na omotanych drutem kolczastym szczudłach" i palące się w bar; kach światła.

[...] na horyzoncie jak okiem sięgnąć ciągnęła się czarna ściana lasu. Ścieżki w obozie zrobione były z dwóch położonych obok siebie desek. Czyścili je codziennie, szczególnie po nocach obfitujących w śnieżyce, popi, odwalając drewnianymi łopatami śnieg [...]. Na pomoście przed kuchnią [...] diugi szereg nędzarzy w podartych łachmanach, obwiązanych sznurkami łapciach i wyświechtanych czapkach-uszankach czekał na swoją łyżkę najrzadszej kaszy⁹.

Ponieważ jedynym celem obozów było wykorzystanie więźniów, cz) zeków, jako siły roboczej, nowo przybyłych kierowano natychmiast c pracy, zwykle wyjątkowo uciążliwej, wyczerpującej i zagrażającej życia. Wykwalifikowani robotnicy i specjaliści, tacy jak inżynierowie, cenieni; względu na swoje umiejętności, mieli często odrobinę lepsze warunki pr cy i racje żywnościowe niż inni więźniowie. W Jercewie można było zi stać przydzielonym do wyrębu drzew w lesie, do tartaku, do bazy ży\ nościowej, do budowy dróg, do stacji pomp lub do elektrowni. Gdz indziej więźniowie pracowali w kopalniach złota lub ołowiu, przy bud' wie dróg lub układaniu torów kolejowych. W Jercewie do najbardzi uciążliwych należała praca w lesie, ponieważ z obozu do miejsca wyręt trzeba było iść około sześciu kilometrów przez głęboki śnieg, omijając w cze doły. Więźniowie pracowali dwanaście godzin dziennie, po pas w śni gu, przemoczeni do suchej nitki, głodni i zmęczeni. Herling-Grudziński nigdy nie spotkał więźnia, który przepracował w lesie więcej niż dwa l ta. Na ogół odchodzili już po roku, z ciężką chorobą serca, i byli prz noszeni do lżejszej pracy, ale stan ich zdrowia stale się pogarszał i szy ko umierali¹⁰. Herling-Grudziński nienawidził tej pracy i zdołał uzyskać przydział do brygady tragarzy w bazie żywnościowej, sprzedając bryg dziście swoje oficerki za kawałek chleba. Zapewne ocaliło mu to życia bo chociaż praca przy rozładunku wagonów kolejowych była bardzo ciężka i trwała czasami dwadzieścia godzin bez przerwy, baza zaopatrzeni wa leżała poza strefą obozu i można było ukraść trochę jedzenia. Po: tym otrzymał komplet odzieży, który nie przysługiwał więźniom zatr nionym w lesie¹¹.

Robotnicy byli zorganizowani w brygady, odprowadzane na miejsce pracy przez strażników z NKWD, a później nadzorowane przez „urkę", więźnia niepolitycznego, zwykle zatwardziałego kryminalistę, który spędził w obozach całe swoje dorosłe życie. W barakach „urki" też mieli pozycję dominującą, którą zdobyli przemocą i zastraszeniem. W większości przypadków dostawali krótsze wyroki za morderstwo niż „polityczni" za swoje fikcyjne zbrodnie. Oficjalne nastawienie do „urków" było takie, że rokuja poprawę i że w przeciwieństwie do więźniów politycznych nie są wrogami ludu, lecz raczej integralną częścią owego ludu i społecznymi sojusznikami partii. Była to wielka fikcja, podobnie jak ideologia reedukacji przez pracę. Generalnie NKWD przymykało oko na akty przemocy, kradzieże, gwałty i morderstwa popełniane przez „urków" w obozach. „Urki" mieli wielką władzę jako brygadziści i nakłaniali więźniów do wytężonej pracy, ponieważ ich pozycja zależała od tego, czy brygady wykonają ustanowione normy. Brygadzysta oceniał, jaką część normy wykonał każdy z członków jego brygady, i w zależności od tego określał racje żywnościowe. Więźniowie pracujący w zespołach popędzali się sami, gdyż normy obliczano zbiorowo, dzieląc wykonaną pracę przez liczbę robotników. Ponieważ racje żywnościowe przydzielane robotnikom zależały od wykonania norm, niewydajny robotnik był zmuszany do bardziej wytężonej pracy przez swoją brygadę albo po prostu wyrzucany z niej, co powodowało zmniejszenie racji i przybliżało dzień jego śmierci¹².

Normy wyliczano w taki sposób, że ich wykonanie było praktycznie niemożliwe. Świadcstwo Herlinga-Grudzińskiego jest w tej mierze przekonujące. Więźniowie fińscy, uchodzący za najlepszych drwali na świecie, oceniali normy ustalone dla jego brygady leśnej jako zbyt wysokie nawet dla wolnych i dobrze odżywionych robotników i niemożliwe do wykonania bez różnego rodzaju oszustw lub przekupienia brygadzysty bądź eksperta technicznego. Przekupstwo stanowiło bardzo charakterystyczny element życia obozowego. Jeśli miało się protekcję, czyli dobre „plecy", można było uzyskać jakieś korzyści i przedłużyć sobie życie. Więzień mógł zapewnić sobie protekcję, jeśli miał coś do sprzedania lub na wymianę. Herling--Grudziński dostał pracę w brygadzie tragarzy, ponieważ szczęśliwym zrządzeniem losu miał doskonałe buty, które oddał „urce", w zamian za co ten przydzielił go do swojej brygady. Podobnie jeden z

polskich uchodźców w Wielkiej Brytanii posłużył się „plecami”, aby załatwić sobie lepszą pracę w obozie.

Najpierw przydzielono mnie do pracy w łaźni; mój przyjaciel i ja czerpaliśmy wiadrami wodę ze studni, żeby ludzie mogli się wykąpać. Nigdy tego nie zapomnę, ponieważ w mojej rodzinnej wsi w Polsce mawialiśmy, że kiedy umrzemy, diabeł każe nam tak wyciągać wodę cały czas. Pracowałem tam chyba trzy miesiące, a później mi się poszczęściło i zostałem przeniesiony do piekarni, gdzie piekłem chleb dla więźniów obozu, może kilku tysięcy. Była to dla mnie bardzo szczęśliwa odmiana, ponieważ alternatywą była praca w lesie przez dwanaście godzin dziennie w bardzo złym klimacie. Było mi ciepło i nigdy nie byłem głodny. Nie wiem dokładnie, jak zdobyłem tę pracę, naprawdę nie pamiętam, ale chyba poszedłem do kogoś, kto tam pracował, i spytałem go, czy mógłbym dostać pracę.

Jest wysoce nieprawdopodobne, by tak uprzywilejowane traktowanie można było uzyskać bez odpowiednio silnych „pleców”. Jak widzieliśmy wcześniej, Polakom, którzy zostali deportowani, pozwalano zabierać ze sobą trochę rzeczy, co stawiało ich w bardzo dobrej sytuacji, kiedy targowali się o pracę¹³.

Teoretycznie więźniom płacono za wykonaną pracę, ale w praktyce nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia, ponieważ musieliby przekroczyć normę, żeby dostać pieniądze, co było prawie niemożliwe. Dla większości jedynym sposobem na wykonanie normy była „tufta”, system oszustw i przekupstwa, który pozwalał na wpisywanie fałszywych danych do raportów brygady. Na przykład brygady leśne mogły układać pnie drzew w taki sposób, aby dzienny urobek wydawał się większy niż w rzeczywistości. Mimo to korzyści osiągnięte tą metodą, takie jak zwiększenie racji żywnościowych, były bardzo ograniczone, a wykrycie oszustwa wiązało się z karą, najczęściej zmniejszeniem racji żywnościowych, co powodowało wycieńczenie i utratę sił fizycznych. Podobnie więźniowie, którzy próbowali złamać przepisy, kradnąc lub przemycając do obozu zakazane przedmioty, kiedy wracali z pracy, byli zwykle przyłapywani podczas codziennych rewizji przed wejściem do obozu. W takim przypadku cała brygada musiała stać niemal nago na mrozie i śniegu, a rewizja, traktowana jako środek odstrasżający, mogła trwać od siódmej do dziesiątej wieczorem¹⁴.

Pomimo niezwykle wysokich norm i wyjątkowo ciężkich warunków pracy większość w miarę zdrowych mężczyzn mogłaby zapewne przeżyć, gdyby się dobrze odżywiała. Ale trudno mówić o dobrym odżywianiu w obozach,

gdzie racje były bardzo skąpe, a jedzenie mało urozmaicone. W przypadku więźniów, którzy wykonywali sto dwadzieścia pięć procent normy, czyli znikomej mniejszości, wydawane o szóstej śniadanie składało się, według relacji Herlinga-Grudzińskiego, z łyżki gęstej kaszy i kawałka solonej ryby. Więźniowie, którzy wykonywali sto procent normy, dostawali łyżkę kaszy bez ryby. Ci, którzy nie wykonywali normy, przeważająca większość, otrzymywali łyżkę najradszej kaszy. Wieczorem wydawano porcję wodnistej zupy i chleb, 700 gramów dla więźniów najbardziej produktywnych, 500 gramów dla tych, którzy wykonywali normę, i 400 gramów dla tych, którzy jej nie wykonali¹⁵. Podstawę obozowego życia stanowiła zatem norma. Zachętą do jej wykonania była nieco większa racja żywnościowa, niewykonanie wiązało się ze zmniejszeniem porcji, większym osłabieniem fizycznym i jeszcze mniejszą szansą na wykonanie normy następnego dnia.

Niedożywienie szybko zaczęło się przejawiać dolegliwościami fizycznymi i chorobami, takimi jak szkorbut i inne schorzenia związane z brakiem witamin, problemy z nerkami i skórą, biegunka, pelagra i kurza ślepotą. Ciężka praca fizyczna przez wiele godzin dziennie w skrajnym klimacie i przy nieodpowiednim odżywianiu prowadziła do chorób serca i płuc. Zawsze istniało niebezpieczeństwo odmrożeń i należało się przed nimi strzec. Było to trudne, ponieważ więźniowie mieli tylko tę odzież, którą przywieźli ze sobą, chyba że przypadkiem zostali zatrudnieni przy specjalnych rodzajach pracy, gdyż wtedy otrzymywali odzież obozową. Nędza ubioru większości więźniów była, jak ujęła to Zaidlerowa, „niewyobrażalna”. Stopy i nogi owinięte szmatami lub oplecione słomą, zdarte filcowe buty albo kawałki opon samochodowych związane sznurkiem, wysmarowane błotem, a następnie zanurzone w wodzie, aby wytworzyła się warstewka lodu chroniąca przed odmrożeniami. Dobre ubrania przywiezione przez zesłanych Polaków zapewniały doskonałe „plecy”, ale należało je sprzedać możliwie szybko, gdyż w przeciwnym razie mogły zostać skradzione, a właściciel zabity podczas snu¹⁶.

W tych warunkach trudno się dziwić, że więźniowie w desperacji zgłaszali się jako chorzy lub dokonywali samookaleczeń, aby dostać się do szpitala obozowego, gdzie mogli odpocząć i spróbować odzyskać siły.

Szpital był czysty, ciepły i dobrze utrzymany. Większość lekarzy i pielęgniarek też stanowili więźniowie, mieli jednak bardzo ograniczone możliwości leczenia. Ich również obowiązywały surowe przepisy, których złamanie mogło oznaczać odesłanie z powrotem do brygady roboczej. Zgodnie z przepisami nie wolno im było zwolnić więźnia od pracy, jeśli nie miał temperatury wyższej niż trzydzieści osiem stopni. Co więcej, brakowało im lekarstw i nie mogli leczyć większości chorób. Standardową procedurą było przepisanie lekarstw na obniżenie temperatury i zezwolenie na krótki odpoczynek w łóżku. Nie próbowano leczyć większości schorzeń, takich jak anemioza, wskutek której pojawiały się wrzody na ciele, wypadły włosy; i zęby. Dlatego więźniowie, którzy byli zbyt słabi, żeby pracować, lub cierpieli na nieuleczalne choroby, mogli się spodziewać przeniesienia do szpitalnego baraku, nazywanego „trupiarnią”, gdzie otrzymywali mniejsze racje żywnościowe i czekali na śmierć. W niektórych obozach więźniowie, którzy nie mieli siły pracować i nie zgłosili się w porę do szpitala, byli zabijani na miejscu przez strażników¹⁷.

Było to w zasadzie życie bez nadziei. Znamy wiele przykładów więźniów, którzy dotrwali do końca wyroku i natychmiast zostali skazani ponownie, ponieważ ich reedukację uznano za niepełną¹⁸. Rosyjscy więźniowie nie liczyli na nic i niczego nie oczekiwali, z wyjątkiem może rzadkie wizyty kogoś z rodziny, a takie odwiedziny były nieraz źródłem bólu i rozpacz. Małżonkowie często chcieli rozwodu, ponieważ związek z „połtynym” budził podejrzenia w świecie zewnętrznym. A we względnie komfortnym „domu widzeń” gość nie potrafił zrozumieć piekła codziennego życia współmałżonka. Było to zresztą niezrozumienie wzajemne. W porównaniu z innymi więźniami Polacy stanowili wyjątek z dwóch względów. Po pierwsze, nie mieli gości. Po drugie, mieli nadzieję, nierozsądną i nieracjonalną w oczach ich rosyjskich towarzyszy niedoli, że pewnego dnia wrócą do wolności i wrócą do Polski. Bez przerwy powtarzali: „Och, nie bójmy tu długo; wyjdziemy. Był to naprawdę beznadziejny optymizm, a ta myśl utrzymywała nas przy życiu”. Kiedy zwolnienie rzeczywiście nastąpiło, było uważane za swego rodzaju cud, a premier Sikorski, który negocjował porozumienie z rządem radzieckim, za cudotwórcę¹⁹.

Jeśli pewna doza nadziei wyróżniała Polaków spośród reszty więźniów pod każdym innym względem ich doświadczenia były identyczne. Podobnie jak w przypadku Rosjan, „źródła ich uczuć” zamarały i przestawały płynąć. Przytłaczała ich rozpaczliwa walka o przetrwanie i nędzne położenie. Wyczerpani fizycznie, nękani chorobami, traktowani bezlitośnie przez innych więźniów, cierpieli przede wszystkim na skutek dotkliwego uczucia głodu, którego nie można wytłumaczyć komuś, kto tego nie doświadczył. Jak wspominał Herling-Grudziński, po dwunastu godzinach pracy praw

bez jedzenia, większość więźniów pragnęła jedynie położyć się wieczorem na swoich pryczach i leżeć w całkowitym bezruchu. Jego zdaniem była to jednak recepta na demoralizację. Inercja i apatia, jak uważał, przyspieszały śmierć, natomiast każda forma aktywności, na przykład odwiedzanie innych baraków i rozmowy z innymi więźniami, odwlekała ją na jakiś czas. Dla wielu jednak, być może dla większości, śmierć była upragnionym wyzwoleniem i mogła przyjść bardzo szybko. Na Kołymie, w jednym z najbardziej zabójczych dla więźniów regionów, szesnastu spośród dwudziestu Polaków w grupie jednego ze świadków zmarło w ciągu pierwszych dwóch i pół miesiąca. Przeciętny wskaźnik śmiertelności w obozach karnych wynosił trzydzieści procent rocznie. Spośród 440 tysięcy Polaków zesłanych do obozów 270 tysięcy zmarło w okresie od jesieni 1939 do jesieni 1941 roku. Na północnej Kamczatce dziewięćdziesiąt procent spośród 3 tysięcy Polaków wysłanych do pracy w kopalniach ołowiu zmarło, a do lipca 1942 roku nie pozostał przy życiu ani jeden²⁰.

Innym miejscem przeznaczenia Polaków wywiezionych do Związku Radzieckiego były „rejonu przymusowego osiedlenia”, nazywane również koloniami karnymi lub „wolnym zesłaniem”, by posłużyć się eufemistycznym określeniem Zaidlerowej, ponieważ zesłańcy znajdowali tam niewiele wolności. Było około 3 tysięcy takich kolonii w północnych rejonach Rosji, na wschód od Uralu i w Kazachstanie. Większość deportowanych wysłano właśnie tam, a nie do łagrów. Biorąc pod uwagę skład poszczególnych deportacji, oznacza to, że większość zesłańców stanowiły kobiety, dzieci i ludzie starzy. Warunki życia były ciężkie, chociaż współczynnik śmiertelności mniejszy niż w obozach karnych. Mimo to z większości relacji wynika, iż życie tam było „istnym piekłem” na „niehumanitarnej ziemi” radzieckiego wschodu i północy. Gdy jednak owi zesłańcy zetknęli się twarzą w twarz z Polakami zwolnionymi z obozów karnych na mocy polsko-radzieckiego porozumienia z 1941 roku, uświadomili sobie natychmiast, że warunki życia w

obozach były znacznie gorsze niż na zesłaniu. Jedna z kobiet jadących do punktu rekrutacyjnego armii polskiej w Związku Radzieckim spotkała w pociągu kilku byłych polskich więźniów.

Robili wstrząsające wrażenie. Zobaczyłam zbiorowisko szkieletów odzianych w lachmany, o stopach owiniętych gazetami lub brudnymi szmatami związanymi sznurkiem, żeby się trzymały, chociaż wielu nie miało na nogach w ogóle nic. Nie było tam ani jednej twarzy o normalnym wyglądzie. Wszystkie były albo bardzo wychudzone, koloru żółtego pergaminu, albo opuchnięte i bezkształtne, jak twarze topielców. Oczy mieli zapadnięte i albo zupełnie pozbawione życia, albo płonące gorączkowo. Wszyscy wyglądali staro i byli pomarszczeni...²¹.

Niektórzy spośród deportowanych zostali zesłani do wiosek lub miasteczek położonych w znacznej odległości od linii kolejowej. Pewnemu młodemu człowiekowi i jego matce kazano wysiąść z pociągu sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Nowosybirsk, skąd kolejka wąskotorowa powiozła ich dwadzieścia kilometrów w głąb tajgi. Na końcu linii znajdowała się wioska złożona z kilku drewnianych baraków. Chociaż nie był to obóz karny osada leżała na takim odludziu, że ucieczka nie wchodziła w rachubę.

Właściwie nie byliśmy więźniami, ale bez przepustki wydanej przez NKWD nie mogliśmy chodzić nawet do najbliższej wioski i spotykać się z miejscowymi ludźmi, ponieważ Sowieci obawiali się, iż miejscowi mogliby się dowiedzieć, że życie gdzie indziej jest lepsze niż w Rosji. Ale ludzie i tak się wymykali, ponieważ były tam trzy wioski, a tylko jeden oficer NKWD i milicjant. Nie mogli pilnować wszystkich trzech wiosek jednocześnie. Moja matka chodziła do wioski, żeby coś sprzedać, wymienić trochę ubrań na ziemniaki albo odrobinę masła i tak dalej, żeby lepiej nam się żyło.

Chaty, w których mieszkaliśmy, były bardzo stare, choć było też kilka nowych. Zbudowano je z pni drzew, a szpary zatkało mchem, żeby nie wiało. Nie miały sufitu, tylko dach. Przez środek chaty biegł korytarz, a po obu stronach były izby, niektóre małe, a niektóre większe, dla większych rodzin. Moja matka i ja dostaliśmy bardzo małą izbę i słyszało się wszystko, co ludzie mówią, więc nie było tam żadnych tajemnic²².

Nieco inaczej wyglądała osada w pobliżu Archangielska, gdzie zabrano in na rodzinę. Z Archangielska pojechali ciężarówką do leżącej trzydzieści kilometrów dalej fabryki cegieł i zostali zakwaterowani w przylegających do fabryki barakach, gdzie czasem nawet pięć rodzin dzieliło jeden pokój²³. Zupełnie inne osiedla, zarówno pod względem terenu, jak i warunków życia, znajdowały się w północnym Kazachstanie lub tuż za północną granicą republiki, na południowej Syberii. Tutaj deportowani mieszkali w kolchozach wśród jałowych stepów, gdzie byli wystawieni na działanie

uciążliwego klimatu w przygnębiającym otoczeniu. Były tam długie, bardzo mroźne zimy i krótkie, upalne lata. Wszystkie relacje mówią o poczuciu zagubienia, jakiego doznali nowo przybyli w jednym z takich osiedli. Wyrzuceni z pociągu pośród pustkowi po trzytygodniowej podróży, słabi, niedożywieni, wystraszeni i przygnębieni, zobaczyli step „falujący ze wszystkich stron jak morze”, bez jednego drzewa czy krzewu, które urozmaicałyby tę płaską monotonię, i prawie bez życia, z wyjątkiem kilku ptaków przelatujących nad głowami. Był to uderzający kontrast w porównaniu z ich rodzinną Polską. Po dwugodzinnej jeździe ciężarówką przez step jedna z rodzin znalazła się w pustej na pozór okolicy. Kierowca pokazał im chatę, której nie zauważyli, taka była niska, a później spostrzegli inne chaty, sprawiające wrażenie opuszczonych, nędznych i zbudowanych z błota. Najbliższym ośrodkiem była leżąca kilka kilometrów dalej mała wioska z paroma budynkami administracyjnymi i pocztą. Prawie nie było dróg, a pociągi jeździły rzadko. Zesłańcy mogli się swobodnie poruszać tylko w wyznaczonych obszarach. Musieli mieszkać razem z rodzinami kazachskimi i rosyjskimi. Ci, którzy mieli szczęście lub okazali się dostatecznie przewidujący, by przywieźć ze sobą więcej rzeczy z domu, mogli przeżyć kilka tygodni, wymieniając je za żywność, niebawem jednak stało się jasne, że młodsi i zdrowsi będą musieli pracować, jeśli nie chcą przymierać głodem²⁴.

Wśród robotników w kolchozach było trochę etnicznych Rosjan, większość jednak stanowili Kazachowie, którzy jakiś czas temu musieli się wyrzec koczowniczego życia i wiedli nędzną egzystencję w bardzo

prymitywnych warunkach. Mieszkali w stepie, w małych chatach z błota, które dzielili ze zwierzętami. Źródłem ciepła były piece opalane kiziakiem, czyli suszonym krowim łajnem, wydzielającym mnóstwo dymu, który wypełniał chaty, podrażniał oczy i gardła. W chatach roiło się od wszy i pluskiew, w żaden sposób nie dających się wytepić. Kazachowie mieli niewiele dobytku, spali na owczych skórkach rozłożonych na podłodze i gotowali posiłki w wielkich żelaznych kotłach. Nie było żadnych urządzeń sanitarnych, a w większości osiedli wodę czerpało się z pobliskiej studni. W rosyjskich chatach zdarzały się prymitywne toalety, ale Kazachowie załatwiali swoje potrzeby przed chatami, na oczach przechodniów. W tych właśnie chatach musieli zamieszkać zesłańcy²⁵.

Z początku Polacy mogli zdobywać jedzenie w zamian za rzeczy, które ze sobą przywieźli. Było to jednak rozwiązanie tymczasowe i w końcu mu-

sieli podjąć pracę w kołchozach, jeśli chcieli przeżyć. Ta praca nie zapewniała im dostatecznego wyżywienia ani pod względem ilości, ani różnorodności. W niektórych kołchozach osoba pracująca otrzymywała szesnaście kilogramów mąki na miesiąc, a dziecko połowę tego. Mąka była gruba i ciemna, a upieczony z niej chleb „prawie nie przypominał prawdziwego chleba”. Mąkę albo wsypywano do gorącej wody z solą i odrobiną tłuszczu, albo przyrządzano z niej coś w rodzaju kleiku. Od innych rodzin z kołchozu można było od czasu do czasu kupić mleko i jajka lub dla urozmaicenia rozgotować na papkę na wół zamarznięte ziemniaki. Ponieważ ci zesłańcy, w przeciwieństwie do więźniów w łagrach, mogli wysyłać i dostawać listy i paczki żywnościowe z domu, od czasu do czasu uzupełniali swoją dietę boczkiem, słoniną, prawdziwą herbatą, w odróżnieniu od namiastki herbaty, którą pili Kazachowie, cukrem, masłem i sucharami. Niekiedy udawało się coś kupić w sklepie w najbliższej wiosce, choć często znajdowała się ona nawet w odległości dziesięciu kilometrów. Przeżywszy jedną zimę, która była wyjątkowo ciężka, deportowani obawiali się, że mogą nie przetrwać zimy przelomu lat 1941 i 1942. Wielu z nich uratowała „amnestia”, lecz inni, przede wszystkim starzy i bardzo młodzi, umarli przed uwolnieniem. Autorka posługująca się pseudonimem „Krystina” opisała skutki niedożywienia: wrzody na ciele, podrażnienia skóry, gnijące zęby, ropiejące uszy. „Nasze żołądki zdawały się zawiązane na supeł, zaciskały się i domagały jedzenia”. Największe współczucie budziły dzieci, „z oczami zapadniętymi w głąb oczodołów, z na wół otwartymi ustami, patrzyły i czekały, dojrzałe ponad swój wiek, pozbawione wszystkich radości dzieciństwa, ciepła, dobrego jedzenia, uśmiechów i czulej troski”. Zaczynały już zapominać ojców, którzy albo nie żyli, albo tkwili w obozach, lecz nie wolno im było pisać, a ponieważ ich matki pracowały przez cały dzień w kołchozach, zajmowało się nimi starsze rodzeństwo lub babcie²⁶.

Kiedy dzieci siedziały same w domu, matki i dziadkowie pracowali po dwanaście lub czternaście godzin dziennie, wliczając w to czas potrzebny na dojazd do pracy, co zajmowało często półtorej godziny. Wykonywali różne czynności: pilnowali bydła lub doglądali stad owiec latem, kopali rowy melioracyjne, przerzucali nawóz, pielili chwasty lub zbierali ziemniaki, wozili wodę z rzeki zaprzężonymi w woły wozami. Jedna rodzina zabrała ze sobą maszynę do szycia, jej członkowie mogli więc szyć i haftować dla miejscowych kobiet w zamian za jedzenie²⁷. Pewien młody człowiek poganiał parę wołów, orał lub woził pszenicę. W jego kołchozie w rejonie Ałma Ary

w Kazachstanie wynagrodzenie za prace przeliczano w dniówkach, tyle i tyle kilogramów pszenicy lub ziemniaków za dzień pracy. Można było dostać trochę mąki i ziemniaków z góry. Ale bez wyprzedawania rzeczy osobistych większość uchodźców zapewne by nie przeżyła, zwłaszcza zimą, kiedy temperatura spadała do minus czterdziestu stopni, a wielometrowe zasy śniegu tarasowały drogi i grzebały chaty²⁸.

Deportowani zesłani do odległych wiosek, cegielni, tartaków i innych miejsc żyli w odmiennych, choć równie ciężkich warunkach. Otrzymywali wynagrodzenie za pracę w lesie lub przy budowie dróg, ale jeśli pracowali na przykład w tartakach, NKWD zabierało dziesięć procent ich wynagrodzenia. Tam robotnicy nie dostawali jedzenia, lecz musieli je kupować w okolicznych sklepach. Mogli też uprawiać małe działki przyzagrodowe, sadzić ziemniaki i cebulę²⁹.

Kiedy przyjechaliśmy do obozu, dali nam poniedziałek na odpoczynek. Potem, 5 marca 1940 roku, kazali nam pójść do wioski, gdzie było biuro. Tamtejsi ludzie zabrali nas do tajgi i pokazali, na czym będzie po-

legała nasza praca. Zaczęliśmy pracę 7 marca. Najpierw przetaczaliśmy wielkie pnie sosen w stronę linii kolejowej. Kiedy skończyliśmy układać jedną warstwę pni, kładliśmy w poprzek długi kawałek drewna i układaliśmy następną warstwę. Z początku szło nam łatwo, ponieważ tylko przetaczaliśmy pnie, ale już przy czwartej warstwie było bardzo trudno, bo musieliśmy podnosić pnie na wysokość prawie dwóch metrów. Było więc bardzo ciężko, a płacili nam według wykonanej pracy - od metrów sześciennych. Podstawowa płaca zależała jednak od normy - jeśli się ją przekroczyło, płacili więcej, jeśli się jej nie wykonało, mniej. Ustanawiane normy były zawsze niezwykle wysokie³⁰.

Chociaż praca w lesie zaczynała się o ósmej, trzeba do tego doliczyć dwie godziny na dojście i dwie godziny na powrót wieczorem, czyli razem dwanaście godzin. Było to ciężkie życie przy stosunkowo skromnym wyżywieniu. Co więcej, za spóźnienie do pracy lub za nieobecność bez zwolnienia lekarskiego groziły surowe kary. Za pierwsze przewinienie miejscowy sąd orzekł zmniejszenie wynagrodzenia o dwadzieścia pięć procent na trzy miesiące. Mogło się to poważniej odbić na zdrowiu robotnika. Kolejne przewinienia karano jeszcze surowiej³¹.

Pewna czternastoletnia dziewczynka ładowała mokre cegły do wagonika, a następnie przetaczała wagonik po szynach do odległego mniej więcej o dwa kilometry baraku, gdzie cegły suszono. Cegły były bardzo ciężkie i panował przenikliwy ziąb. Później jednak doświadczyła znacznie gorszych warunków, ponieważ za karę została wysłana na cztery miesiące do innego osiedla. Spała na podłodze w wielkiej sali, początkowo bez koła, a rano musiała stać w kolejce po kubek gorącej wody. Poprzedniego wieczoru dostała trochę chleba.

Zabrano nas do układania torów kolejowych. Zamarznięta ziemia była twarda jak kamień. Kopaliśmy ze wszystkich sił kilofem i łopatą i ładowaliśmy ziemię do wagonu. Pracowaliśmy tak przez cały dzień, a wieczorem wracaliśmy do czegoś w rodzaju kantyny, gdzie wydawano zupę, jeśli miało się szczęście. Jeśli nie, dostawało się tylko 400 gramów chleba. Zupa była z rybich łbów gotowanych w wodzie. Po tym „posiłku” wracaliśmy do baraków i spaliliśmy na podłodze³².

W leśnej osadzie w pobliżu Nowosybirsk, choć zesłańcy mogli kupować jedzenie w jedynym sklepie w wiosce, wszystko było racjonowane. Osoba pracująca dostawała kilogram chleba dziennie, dzieci i żony po 300 gramów.

Raz przyjechała dostawa wódki. Całe półki w sklepie były zastawione wódką - nic, tylko wódka. Miejscowe Rosjanki, które nie pracowały, jeździły z tą wódką do odległego o 150 kilometrów Nowosybirsk i sprzedawały ją z niezłym zyskiem. Ale tam we wszystkich sklepach były tylko zapalki, toteż kobiety kupowały je i jechały do Tomsk, gdzie nie było nic oprócz mydła toaletowego. Tam sprzedawały trochę zapalek, trochę wódki i kupowały mydło toaletowe, z którym wracały do wioski. W taki sposób sobie radziły.

Z początku mieliśmy dosyć jedzenia, ale co to jest kilogram chleba? Ani masła, ani mięsa, ani tłuszczu. Można było ugotować zupę na obiad, zwykle kapuśniak z jakimiś kluskami. Zupa też była bez tłuszczu. Czasami udawało się zdobyć kawałek mięsa, wielkości ptasiego łebka i za potrójną cenę, więc nie był to powód do szczególnej radości. Moja matka pracowała całymi dniami, próbując związać koniec z końcem. Jednego dnia zbierała w lesie drewno na opał, a następnego szła do wioski,

żeby coś sprzedać, albo zajmowała się działką. I w taki właśnie sposób przeżyliśmy³³.

Oczywiście zdobycie jedzenia stało się obsesją. W drodze do szpitala w mieście położonym w odległości około trzydziestu kilometrów, na trasie kolei transsyberyjskiej, pewien człowiek był „oszołomiony i zdumiony”, kiedy przez okno swojego wagonu zobaczył sklep pełen szynki, bekonów, salcesonów i salami, z papryką i bez. Ponieważ wizyta w szpitalu opóźniła się, udał się na poszukiwania cudownego sklepu. Wreszcie go znalazł.

I wie pan, wszystkie te szynki i kawałki bekonu były wspaniale wymalowane na drewnie. Nie mogłem tego zrozumieć. Kiedy wróciłem do osady, opowiedziałem o tym komuś. „Ach - powiedział jeden starszy

człowiek. - Mogę to wyjaśnić. Koleją transsyberyjską z Moskwy do Władywostoku jeździ wiele ważnych osób. I tam, gdzie na trasie są sklepy widoczne z okien pociągu, Rosjanie malują całe to jedzenie, żeby stworzyć wrażenie obfitości. A później ci podróżni wracają do domu i mówią, że polscy faszyci kłamią, kiedy twierdzą, że ludzie w Rosji głodują. Jest mnóstwo jedzenia". A mimo to, przez cały czas, jaki tam spędziłem, nie widziałem ani jednego plasterka szynki, salcesonu czy bekonu³⁴.

Jedna z byłych więźniarek wspominała jednak cudowny posiłek w swojej osadzie.

Pamiętam nasze pierwsze Boże Narodzenie tam. Moja mama wzięła pudło ze skarbami taty. Było tam kilka garniturów i mundurów wojskowych. Sprzedała te rzeczy w wiosce, mogliśmy więc kupić sobie ziemniaki i buraki. Mama ugotowała je i było wspaniałe jedzenie. Wszystko było wspaniałe podczas naszych pierwszych świąt. Mieliliśmy tradycyjną polską wigilię, a później pyszny posiłek. Było naprawdę cudownie. Chyba już nic nie będzie mi tak smakowało jak tamten posiłek z ziemniaków i buraków³⁵.

Chociaż polscy więźniowie i zesłańcy wierzyli, że pewnego dnia odzyskają wolność i opuszczą obozy i kolonie karne, nie było żadnych podstaw do takiego optymizmu. Ucieszyli się oczywiście, choć starali się nie okazywać

żadnych emocji, kiedy dowiedzieli się o hitlerowskiej inwazji na Związek Radziecki. Herling-Grudziński opisał, jak słuchali radiowego przemówienia Stalina do narodu radzieckiego, przemówienia „złamanego starca", a wszystkich więźniów dławił „spazm nadziei"³⁶. Wszyscy pragnęli niemieckiego zwycięstwa, lecz nie było żadnej pewności, czy Rosjanie zostaną ostatecznie pokonani, chociaż ich wojska ponosiły klęskę za klęską w swoim odwróceniu coraz dalej na wschód. W tej rozpaczliwej sytuacji jednak Związek Radziecki miał jeszcze jedną możliwość, a mianowicie porozumienie z rządami zachodnimi, w tym z polskim rządem na uchodźstwie, dotyczące zwarcia szeregów w walce ze wspólnym wrogiem. Kiedy 30 lipca 1941 roku Sikorski i Majski podpisali w Londynie takie porozumienie pod auspicjami rządu brytyjskiego, otworzyła się droga do uwolnienia polskich więźniów z obozów, aby umożliwić im wstępowanie do nowej armii polskiej w Związku Radzieckim. Przebywający w koloniach karnych zesłańcy również mieli zostać zwolnieni. Realizacja porozumienia od samego początku napotykała przeszkody, ale znaczna liczba więźniów wyszła na wolność, aby rozpocząć swoją wędrówkę przez Rosję do nowo utworzonych polskich baz wojskowych, zakładanych początkowo pomiędzy południową Wołgą a Uralem.

Wszyscy więźniowie bardzo dobrze pamiętają moment, kiedy dowiedzieli się o swoim uwolnieniu. Pewna kobieta otrzymała wezwanie do NKWD. Obawiała się najgorszego, a tymczasem powiedziano jej, że wszyscy polscy zesłańcy z wioski mogą swobodnie wyjechać. Były żołnierz przebywający w obozie w północnej Rosji wspominał, że w ich baraku nie zarządzono pobudki jak zwykle o szóstej rano. Radzieccy strażnicy pojawili się dopiero o dziesiątej, po czym do więźniów przemówił komendant i oznajmił im, że wszyscy są wolni i mogą wstępować do armii polskiej albo do Armii Czerwonej. Więźniowie w obozach nie mieli żadnych wątpliwości, że jeśli chcą przeżyć, muszą jak najszybciej ruszać w drogę. Ale wśród mieszkańców kolonii karnych, których znaczny odsetek stanowiły kobiety, dzieci i ludzie starzy, zapanowała początkowo niepewność, jak opisała to pewna kobieta. „Niektórzy nie mieli dosyć energii i przedsiębiorczości, żeby myśleć o wyjeździe. Wielu obawiało się podróży w nieznaną. Inni doradzali cierpliwość w przeświadczeniu, że władze zorganizują im transport". Ale ta kobieta nie miała żadnych wątpliwości, przekonana, iż życie w mieście, w jakimkolwiek mieście, będzie lepsze, a „perspektywy wydostania się z Rosji jaśniejsze niż w tej zapadłej wiosce"³⁷.

Było to słuszne założenie, ale droga do wolności okazała się bardziej skomplikowana i uciążliwa, niż mogli sobie wyobrazić. Rozpoczęła się od porozumienia pomiędzy rządem polskim a radzieckim. W następnym rozdziale omówimy warunki tego porozumienia, sposoby jego realizacji i jego konsekwencje dla setek tysięcy polskich zesłańców żyjących w Związku Radzieckim.

ROZDZIAŁ 7

Uwolnienie

TERMIN
„UWOLNIENIE” w
kontekście
stosunków
polsko-radziecki
ch pod czas
drugiej wojny
światowej jest
pełen
dwuznaczności.
Wprawdzie kilka
set tysięcy
polskich
więźniów i
zesłańców
zostało
zwolnionych z
obozów i kolonii
karnych, lecz
wiele tysięcy nie
wyszło na
wolność.
Niektórzy spo
śród zwolnionych
nigdy nie zdolali
dotrzeć do
obozów
wojskowych prze
znaczonych dla
armii polskiej w
Związku
Radzieckim, a
wiele tysięcy
zmarło po drodze
lub niedługo po
przybyciu na
miejsce. Ogółem
jedynie niecc
więcej niż 100
tysięcy Polaków
uzyskało
ostatecznie zgodę

na ewakuację ze Związku Radzieckiego do Iranu. Większość musiała przyjąć radziecki obywatelstwo i podjąć pracę w przemyśle lub rolnictwie. Bliżej nieznan; liczba zwolnionych nigdy nie opuściła obozów karnych i wielu tam zginęło. Pod koniec wojny kolejne 100 tysięcy Polaków zostało deportowanych kiedy Armia Czerwona ponownie wkroczyła na ziemie polskie. Niebawem jednak miał się rozpocząć ruch w przeciwnym kierunku. Około 270 tysięcy Polaków zostało repatriowanych pomiędzy 1945 a 1948 rokiem, a kolejne 300 tysięcy w latach 1955-1956, piętnaście lat po przymusowym wysiedleniu z domów. Należy jednak podkreślić, że liczba powracających łącznie z liczbą tych, którzy dotarli na Zachód podczas drugiej

wojny światowej
lub bezpośrednio
po jej
zakończeniu,
stanowiła
zaledwie około
jednej trzeciej z
1,6 miliona ludzi
wywiezionych z
ziemi polskich
okupowanych
przez wojska
radzieckie w
latach 1939-1941
i 1944-1945¹.

Ta ponura
rzeczywistość
klóciła się ze
względnym
 optymizmem nie
których
członków
polskiego rządu
na uchodźstwie
po zawarciu 30
lipca 1941 roku
polsko-radziecki
ego
porozumienia,
układu
Sikorski-Majski

Układ był wyłącznie rezultatem hitlerowskiej inwazji na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku, która popchnęła Moskwę w ramiona Wielkiej Brytanii. Ale można poważnie wątpić, czy bez determinacji polskiego premiera, generała Władysława Sikorskiego, i aktywnego pośrednictwa rządu brytyjskiego udałoby się osiągnąć jakiegokolwiek porozumienie. W istocie układ przechodził do porządku nad poważnymi rozbieżnościami pomiędzy rządem polskim a radzieckim, które niebawem miały się ujawnić. Próbując wyjaśnić owe rozbieżności, nie można ignorować faktu, iż rząd radziecki napotykał ogromne trudności w wypełnianiu swoich zobowiązań w krytycznym okresie pierwszych miesięcy wojny. Zarazem przeważająca większość źródeł sugeruje, że Kreml nie zawarł porozumienia z Polakami w dobrej wierze. Było to z jego strony ustępstwo wobec rządu brytyjskiego, którego pomocy bardzo potrzebował. Liczne przykłady radzieckich kłamstw, wykrętów i wybiegów świadczą o tym, iż Kreml wykorzystywał każdą sposobność, aby nie wywiązać się ze swojej części układu. W kategoriach ludzkich, euforia polskich więźniów towarzysząca wiadomości o rychłym uwolnieniu ustąpiła niebawem miejsca rozpaczy i rozczarowaniu, kiedy uświadomili sobie, że radzieckie obietnice są niewiarygodne. Tylko w przypadku stosunkowo nielicznych szczęśliwców, którzy wylądowali na wybrzeżu, w porcie Pahlewi w Iranie, rozpacz zamieniła się w uczucie bezmiernej ulgi u kresu ciężkiej próby. Ową ulgę przyćmiewała jednak pamięć o rodzinach i przyjaciółach, zmarłych w obozach lub koloniach karnych bądź pozostawionych własnemu losowi. Znaczna liczba obywateli polskich nie wyszła z obozów i więzień lub wkrótce tam wróciła. Inni zostali wcieleni do Armii Czerwonej albo wysłani do batalionów pracy, fabryk i koł

chozów².

Przy omawianiu długotrwałych i skomplikowanych rozmów pomiędzy władzami polskimi a radzieckimi oraz roli, jaką odegrał w tych rozmowach rząd brytyjski, nie wolno tracić z oczu czysto ludzkich konsekwencji zarówno samych porozumień, jak i problemów z ich realizacją. Od początku wojny było jasne, że generał Sikorski przejawia silne pragnienie uratowania tyłu polskich więźniów, ilu się tylko da. Kiedy do rządu polskiego dotarły wiadomości o deportacjach, aresztowaniach, przesłuchiowaniu i wtrącaniu do więzień polskich obywateli przez władze radzieckie, wywołały głębokie oburzenie wśród tych Polaków, którzy mieli szczęście dotrzeć na Zachód. Ale Sikorski zdawał sobie sprawę, że wyrazami oburzenia niczego nie osiągnie. Jego rząd musiał uzyskać poparcie Brytyjczyków. Kiedy nadarzyła się sposobność w postaci niemieckiej inwazji i brytyjskich nacisków na Moskwę w sprawie wspólnego frontu przeciwko Hitlerowi, Sikorski dostrzegł szansę na uwolnienie deportowanych i uwięzionych Polaków i utworzenie armii polskiej w Związku Radzieckim. Aby osiągnąć ten cel, był gotów pójść na ustępstwa wobec Moskwy, czemu sprzeciwiała się część jego kolegów w rządzie, którzy uważali, że powinien wynegocjować korzystniejsze porozumienie. Ale chociaż Sikorski był przygotowany na kompromis, nie miał złudzeń co do postępowania strony radzieckiej. Jak powiedział później Churchillowi, musiał przymykać oczy na „niesłychanie barbarzyńskie” traktowanie ludności polskiej przez Rosjan oraz na coś, co nazwał „niewiarygodnym okrucieństwem i wyrafinowaniem w torturach zadawanych wielu Polakom przez bolszewików”³. To właśnie wiedza o tym okrucieństwie oraz dążenie do złagodzenia jego skutków kierowały działaniami Sikorskiego pomiędzy czerwcem 1941 a kwietniem 1943 roku, kiedy strona radziecka znowu zerwała stosunki dyplomatyczne.

Już rok przed hitlerowską inwazją na Związek Radziecki Sikorski zaczął podejmować starania, aby polepszyć sytuację przebywających tam Polaków i zapobiec kolejnym deportacjom. Poprosił rząd brytyjski o interwencję na Kremlu, żeby spróbować pomóc Polakom. Interesowała go również możliwość sformowania polskich jednostek wojskowych w Związku Radzieckim i ich wykorzystania przeciwko Niemcom. Polskie koła w Londynie potępiły tę inicjatywę jako „nierozważną akcję prosowiecką”. Doszło nawet do próby usunięcia Sikorskiego z funkcji premiera. Uratował go rząd brytyjski, który nie chciał uznać jego następcy. Rok później, niedługo przed niemieckim atakiem, Sikorski zmodyfikował swoje stanowisko pod wpływem krytyki i poprosił brytyjskiego ambasadora w Moskwie, by podniósł kwestię utworzenia armii polskiej w Związku Radzieckim, ale tylko pod warunkiem, że Moskwa „naprawi wszystkie krzywdy wyrządzone narodowi polskiemu” i uzna suwerenne prawa Polski, zwłaszcza w odniesieniu do przedwojennych granic. To oznaczało, że Kreml powinien odrzucić pakt Ribbentrop-Mołotow i potwierdzić granicę pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim określoną w 1921 roku w traktacie ryskim⁴.

Natychmiast po niemieckiej inwazji na Związek Radziecki Sikorski jeszcze raz wyraził przekonanie, że podstawową kwestią polityki polskiej wobec Związku Radzieckiego powinno być uwolnienie 1,5 miliona Polaków przebywających w radzieckich obozach i koloniach karnych, odtworzenie armii polskiej i unieważnienie paktu Ribbentrop-Mołotow

z 1939 roku. Chciał uzyskać możliwie najwięcej ustępstw, zanim Związek Radziecki otrząśnie się z szoku wywołanego niemieckim atakiem. Niebawem jednak stało się jasne, że mimo katastrofального początku wojny Kreml nie jest gotów pójść na żadne długoterminowe ustępstwa w kwestii granic. Sikorski uświadomił sobie zatem, że ma do wyboru albo pomóc rodakom w Związku Radzieckim, albo upierać się twardo przy całkowitym odrzuceniu radzieckiej polityki wobec Polski od 1939 roku. Ostatecznie wybrał to pierwsze, nadal próbując uzyskać od Moskwy tyle ustępstw na rzecz Polski, ile się tylko da⁵. Sikorski przyjął też strategiczny pogląd na stosunki polsko-radzieckie, wierząc, iż owocna współpraca utoruje drogę do poprawy stosunków w przyszłości, na przykład w sprawie granic, a może nawet zapewni mu radzieckie poparcie dla planów utworzenia federacji w Europie Środkowo-Wschodniej⁶.

We wstępnej fazie negocjacji w lipcu 1941 roku strona radziecka przyjęła większość polskich postulatów, chociaż nie wszystkie. Moskwa była gotowa unieważnić pakt Ribbentrop-Mołotow, przywrócić stosunki dyplomatyczne z rządem polskim* i wyrazić zgodę na utworzenie w Związku Radzieckim autonomicznej

armii polskiej, podlegającej na szczeblu operacyjnym radzieckiemu Naczelnemu Dowództwu. Odrzucenie paktu Ribbentrop-Mołotow nie miało aż takiego znaczenia, jak się mogło z początku wydawać, ponieważ nie towarzyszyło temu uznanie przedwojennych polskich granic. Co więcej, później wyszło na jaw, że Rosjanie opierają swoje roszczenia do dawnych ziem polskich nie na pakcie, lecz na sfałszowanych plebiscytach, które przeprowadzono jesienią 1939 roku i w których ludność Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej wyraziła swoją „wolę” przyłączenia tych obszarów do Związku Radzieckiego. Istotniejsze z punktu widzenia Sikorskiego było pominięcie przez stronę radziecką najważniejszego punktu, a mianowicie uwolnienia polskich więźniów, polskich poborowych do Armii Czerwonej i polskich zesłańców. Strona polska domagała się, aby wszyscy ci ludzie zostali uwolnieni i mieli prawo do swobodnego poruszania się po Związku Radzieckim, uzyskawszy pomoc i wsparcie władz radzieckich. Po dalszych żmudnych negocjacjach tych punktów porozumienie podpisano ostatecznie 30 lipca 1941 roku.

* Jesienią 1939 roku przebywający w Paryżu rząd polski uznał, że znajduje się w stanie wojny nie tylko z Niemcami, lecz również ze Związkiem Radzieckim (przyp. tłum.).

Układ Sikorski-Majski przewidywał uwolnienie uwięzionych Polaków, co było wielkim osiągnięciem. Według Józefa Retingera, działającego jako przedstawiciel Polski w Moskwie przed przyjazdem ambasadora Stanisława Kota, w angielskim tekście traktatu znalazł się błąd, ponieważ zamiast słowa „uwolnienie” użyto słowa „amnestia”, co sugerowało, że Polacy uwięzieni w Związku Radzieckim popełnili jakieś przestępstwa, które teraz zostaną im darowane⁷. Tekst radziecki mówił o amnestii udzielanej „wszystkim obywatelom polskim na terytorium radzieckim, którzy obecnie pozbawieni są wolności jako jeńcy wojenni lub na innych odpowiednich podstawach”. To sformułowanie oznaczało, iż Związek Radziecki odrzuca wszelkie supozycje, że uwięzienie bądź deportacja były bezprawne lub że Polacy są niewinnymi ofiarami wielkiej niesprawiedliwości. Chociaż do tekstu zakradł się termin „amnestia”, za co strona polska musi przyjąć część winy, zdecydowana, nieprzejednana postawa Sikorskiego pokazuje jasno, iż uwolnienie rodaków było jego gwiązłą przewodnią zarówno w tych, jak i w późniejszych negocjacjach⁸.

To częściowe ustępstwo strony radzieckiej w kwestii uwolnienia nie szło w parze z jej gotowością do rozpatrzenia problemu granic. Sikorski niewątpliwie pragnął porozumienia obejmującego uznanie przedwojennych polskich granic, ale nie mógł lub nie chciał sprzeciwiać się życzeniom rządu brytyjskiego, który twardo naciskał na podpisanie układu, aby połączyć Związek Radziecki i Polskę w antyhitlerowski sojusz. Generał obawiał się, że Brytyjczycy mogą cofnąć swoje poparcie dla Polaków, jeśli ci nie zgodzą się na porozumienie. Co więcej, rozpaczliwie pragnął sformować z uwolnionych Polaków wielkie Polskie Siły Zbrojne, które wniosłyby znaczący wkład w wysiłek wojenny sojuszników. Trzej członkowie jego rządu, Kazimierz Sosnkowski, minister spraw zagranicznych August Zaleski i Marian Seyda, podali się do dymisji, ponieważ dla nich radzieckie uznanie granic ryskich stanowiło warunek wstępny jakiegokolwiek porozumienia. Sikorski był bardziej niż oni przekonany, że Związek Radziecki zdoła oprzeć się hitlerowskiej nawale. Tak czy inaczej, nie uważał, iż należy stawiać twarde warunki wstępane w momencie, kiedy Związek Radziecki walczy ze wspólnym wrogiem o przetrwanie. Dla jego oponentów był to właśnie najodpowiedniejszy moment, żeby to zrobić⁹.

Niezależnie od tego, kto miał słuszność w tym wewnętrznym sporze, jest jasne, że Sikorski przywiązywał do uwolnienia rodaków większą wagę niż niektórzy jego koledzy w rządzie. Obawiał się również, jak podkreślił

Tadeusz Romer¹⁰, że jeśli nie uda się podpisać porozumienia, Rosjanie mogą utworzyć w Związku Radzieckim konkurencyjny ośrodek władzy i siły zbrojne, poddane całkowicie radzieckiej kontroli, bez udziału rządu polskiego w Londynie. Brytyjczycy ofiarowali Polakom listek figowy w postaci zapewnienia, iż polskie granice będą negocjowane dopiero po wojnie. Do tego czasu, oświadczyli, Wielka Brytania nie uzna żadnych zmian terytorialnych w Polsce dokonanych po sierpniu 1939 roku, czym prędzej jednak dodali, że brak uznania nie jest równoznaczny z zagwarantowaniem dawnych granic. Taka „reasekuracja” raczej nie mogła natchnąć Polaków nadzieją, iż Brytyjczycy poprą polskie stanowisko w sprawie granic¹¹.

Obaw Sikorskiego o los Polaków w Związku Radzieckim nie rozproszyło podpisanie porozumienia z 30

lipca 1941 roku. Jak zobaczymy, był bardzo rozgoryczony, iż rząd radziecki nie dotrzymuje warunków układu, i podejmował usilne starania, aby wywrzeć nacisk na Moskwę i skłonić ją do wypełnienia zobowiązań. Podczas negocjacji pomiędzy kolejnymi ambasadorami polskimi w Związku Radzieckim a przedstawicielami Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych (NKID) lub pomiędzy generałem Andersem, dowódcą wojsk polskich w Związku Radzieckim, a oficerami radzieckimi Sikorski domagał się, aby strona polska starała się uwolnić z więzień i uratować od śmierci tylu Polaków, ilu się da. Drugim zasadniczym celem była rekrutacja do armii polskiej w Związku Radzieckim wszystkich zdrowych i zdolnych do służby wojskowej mężczyzn. Był to również najważniejszy przedmiot jego rozmów ze Stalinem na Kremlu na początku grudnia 1941 roku. Zajmijmy się najpierw problemami rekrutacji i zaopatrzenia armii polskiej w żywność i sprzęt.

Pierwszą próbą rozwiązania problemu była prośba Sikorskiego o zgodę na ewakuację armii do Iranu, gdzie mogłaby być zaopatrywana i żywność ze źródeł brytyjskich lub amerykańskich. Po przeszkoleniu miała powrócić do Związku Radzieckiego, aby zająć swoje miejsce u boku wojsk radzieckich w walce z Niemcami¹². Stalin udawał, że jest urażony tą propozycją, gdyż jego zdaniem takie rozwiązanie pokazałoby światu, iż Związek Radziecki nie jest w stanie wyżywić i zaopatrywać wojsk polskich we własnym zakresie. Dlatego zaproponował nową lokalizację dla tych wojsk w radzieckiej Azji Środkowej, aby ułatwić ich szkolenie i zaopatrywanie. W zamian Sikorski zgodził się nie ewakuować armii z wyjątkiem niewielkiego kontyngentu. Zrobił to dlatego, jak wyznał Churchillowi, że upieranie się przy ewakuacji położyłoby kres zaciągowi Polaków do armii polskiej

w Związku Radzieckim, utrudniło starania o uwolnienie kolejnych cywiłów i osłabiło pozycję już zwolnionych, ponieważ nie byłoby żadnej armii polskiej, która zapewniłaby im opiekę¹³.

Jak się okazało, całkowitej ewakuacji nie dało się odwlekać w nie skończoność, gdyż Stalin odmówił dostarczania racji żywnościowych dla więcej niż 44 tysięcy ludzi, podczas gdy w armii polskiej było ich już prawie dwa razy więcej, żeby nie wspomnieć o tysiącach cywilów koczujących w pobliżu obozów wojskowych i uzależnionych od wojskowych dostaw żywności i zaopatrzenia. Anders opowiadał się za ewakuacją, ponieważ słusznie uważał, że bez odpowiednich dostaw żywności wśród żołnierzy i ich rodzin zapanuje wysoka śmiertelność. Sikorski zgodził się z tym, a także z potrzebą utworzenia sił rezerwowych na Bliskim Wschodzie, które wsparłyby wojska sojuszników w Afryce Północnej. Jednocześnie jednak poprosił rząd brytyjski o wywarcie nacisku na Kreml, aby nie utrudniał dalsze rekrutacji do Polskich Sił Zbrojnych. Jego zdaniem silna armia polska walcząca u boku wojsk radzieckich miała do odegrania zasadniczą rolę w wyzwoleniu Polski spod hitlerowskiej okupacji.

Istotnym motywem jego działań pozostawała nadal troska o los obywateli polskich w Związku Radzieckim. Kiedy latem 1942 roku Anders, w przeświadczeniu, że bez odpowiednich dostaw zaopatrzenia i sprzętu nie da się utworzyć w ZSRR pełnowartościowych Polskich Sił Zbrojnych, zasugerował całkowitą ewakuację, Sikorski odmówił. Uważał, iż nowa ofensywa nie miełaby osłabić Rosjan i uczyniła ich bardziej ustępliwymi wobec polskich żołnierzy. Obawiał się również, że ewakuacja reszty armii postawiłaby setki tysięcy Polaków przebywających nadal w Związku Radzieckim w rozpaczliwym położeniu, bez opieki i odpowiedniej pomocy¹⁴. Pod naciskiem Brytyjczyków którzy bardzo chcieli mieć polskie posiłki na bliskowschodnim teatrze działań wojennych, i w obliczu fiaska niemieckiej ofensywy Sikorski zgodził się w końcu na całkowitą ewakuację. Walczył zaciekle o to, aby wraz z wojskiem ewakuowało się możliwie najwięcej kobiet i dzieci, i domagał się pozostawienia w Związku Radzieckim otwartych ośrodków rekrutacyjnych. Ta ostatnia propozycja została odrzucona. Jego nadzieja, że razem z wojskiem uda się wyprowadzić 50 tysięcy dzieci i sierot, też okazała się płonna. Zdołał jednak uratować 25 tysięcy członków rodzin polskich żołnierzy, którym pozwolono ewakuować się do Iranu¹⁵.

Newralicznym dla Sikorskiego punktem w negocjacjach polsko-radzieckich była liczba i rozmiary polskich jednostek formowanych w Związku

Radzieckim. Uważał, że można utworzyć armię złożoną ze 100 tysięcy, a nawet 150 tysięcy ludzi. Bądź co bądź, liczba polskich jeńców wojennych w Związku Radzieckim wynosiła 200 tysięcy według szacunków radzieckich, a w Armii Czerwonej służyło ponad 100 tysięcy polskich poborowych. Ponadto w obozach i koloniach karnych przebywali jeszcze młodzi ludzie w wieku poborowym. Dlatego dla rządu polskiego było niezwykle ważne, aby władze radzieckie nie nakładały żadnych ograniczeń na uwalnianie więźniów i

rekrutację. Polsko-radziecka konwencja wojskowa z 14 sierpnia 1941 roku wychodziła częściowo naprzeciw polskim postulatam. Stwierdzono w niej, że liczebność i rozmiary polskich jednostek wojskowych będą zależały od dostępności siły żywej, sprzętu i zaopatrzenia, poza tym jednak nie wprowadzono żadnych ograniczeń w ich rozbudowie¹⁶. Ponieważ Polacy spodziewali się, iż znacznych ilości sprzętu i zaopatrzenia dostarczą im Brytyjczycy i Amerykanie, przewidywali, że rozmiary armii określać będzie liczba ludzi zwalnianych z więzień i obozów. Natomiast strona radziecka miała powody, aby ograniczać liczbę rekrutowanych do wojska Polaków, i mogła to robić pod pretekstem braków w zaopatrzeniu.

Był to główny punkt sporny w rozmowach pomiędzy Stalinem a Sikorskim w Moskwie w grudniu 1941 roku. Sikorski uzyskał ostatecznie zgodę Stalina na sformowanie sześciu polskich dywizji, liczących łącznie 96 tysięcy ludzi, niezależnie od 25 tysięcy, którym pozwolono ewakuować się na Bliski Wschód i do Wielkiej Brytanii, gdzie mieli zasilić istniejące jednostki polskie¹⁷. Radziecką niechęć do zaopatrywania takiej liczby wojska przełamały zapewnienia, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania obiecały dostarczać zaopatrzenie na potrzeby armii polskiej. W obliczu dalszej redukcji racji żywnościowych w marcu 1942 roku, a następnie wstrzymania rekrutacji w maju, Sikorski próbował wymóc na Rosjanach, aby wypełniali warunki porozumienia, ale bez skutku. Według jego obliczeń, podczas drugiej ewakuacji w sierpniu 1942 roku udało się uratować 45 tysięcy żołnierzy, była to jednak niespełna połowa liczby tych, którzy mieli dołączyć do wojsk alianckich na Bliskim Wschodzie, gdyby Stalin dotrzymał swoich zobowiązań¹⁸.

U podłoża wszystkich sporów i nieporozumień pomiędzy stroną radziecką a polską leżała wzajemna nieufność. Potęgowały ją w znacznym stopniu pokrętne radzieckie wyjaśnienia na temat losu polskich oficerów. Polskie Naczelne Dowództwo zdołało uzyskać od tych nielicznych oficerów, którzy dołączyli do armii polskiej w Związku Radzieckim, szczegółowe informacje dotyczące ich zaginionych kolegów. Sporządzono listy na-

zwisk i prowadzono rozmowy z wyższymi oficerami radzieckimi. Podczas spotkania ze Stalinem w grudniu 1941 roku Sikorski podniósł kwestię około 4 tysięcy oficerów, o których wiadano, że przebywają w więzieniach i obozach, a którzy nie pojawili się w sztabie armii polskiej w Buzułuku. W dodatku lista była nadal niekompletna. To właśnie wtedy Stalin wygłosił słynną uwagę, że na pewno uciekli do Mandżurii, na co Anders odpar z niedowierzaniem, iż to niemożliwe, aby wszyscy zdołali uciec. Kiedy kilka miesięcy później stało się jasne, że zaginieni oficerowie najprawdopodobniej nie dołączą do swoich kolegów w armii polskiej, rząd polski zaczął nabierać podejrzeń, iż musiało ich spotkać coś strasznego¹⁹.

W maju 1942 roku polski minister spraw zagranicznych wyjawiał amerykańskiemu ambasadorowi, co wiadomo na temat zaginionych oficerów. Byli oni przetrzymywani w trzech obozach, w Kozielsku (nieopodal Smoleńska (4500), w Starobielsku (nieopodal Charkowa (3900) i w Ostaszkowie (nieopodal Kalinina (6750) więźniów, z czego około 400 stanowili oficerowie, resztę podoficerowie i podchorążowie), lecz niemal wszystkie! wywieziono stamtąd pomiędzy marcem a końcem maja 1940 roku. Wśród tych jeńców było zaledwie 3-4 tysiące zawodowych oficerów, resztę stanowili oficerowie rezerwy, którzy w czasie pokoju pracowali w wolnych zawodach jako lekarze, prawnicy, naukowcy, dziennikarze, nauczyciele, „kwiat polskiej inteligencji”²⁰. Jeden z nielicznych, którzy ocalili, wspominał:

Później dowiedzieliśmy się o Katyniu, gdzie Stalin kazał wymordować polskich oficerów. Do tej pory nie mogę wybaczyć Rosjanom tego, co się stało z Polską, z polskimi oficerami, z polskimi naukowcami. Ja sam zostałem skazany na śmierć w Rosji. Chcieli, abym się przyznał, że jestem polskim oficerem. Stali nade mną z pistoletem przystawionym do głowy. „Jesteś oficerem, profesorem, nie wyglądasz jak żebrak”. To cud, że przeżyłem. Wielu moich przyjaciół i bliskich kolegów znalazło się na liście katyńskiej²¹.

Przez jakiś czas Polacy udawali, że wierzą, zapewne w interesie dobrych stosunków ze Związkiem Radzieckim, iż ci ludzie zostali wywiezieni na północ, do obozów pracy, i umarli tam z głodu i zimna. Mąż Danuty Te czarowskiej przebywał w obozie starobielskim i został wywieziony w jednym z ostatnich transportów. Z niewyjaśnionych przyczyn wysłano go wraz z kilkuset innymi, do obozu w Griazowcu, skąd został zwolniony wraz

z 300 oficerami i w 1941 roku wstąpił do armii polskiej²². Liczba polskich oficerów przetrzymywanych w

radzieckiej niewoli była oceniana na 9227, zarówno przez radziecką gazetę wojskową, jak i przez Mołotowa w przemówieniu przed Radą Najwyższą w październiku 1939 roku. W listopadzie 1941 roku generał Anders poinformował NKWD, iż brakuje 8722 oficerów. Ponieważ około 400 oficerów zjawilo się w polskiej armii, liczby te są uderzająco zgodne. Stopniowo stawało się jasne, że Polacy zwalniani z obozów pracy w całym Związku Radzieckim nie zetknęli się tam z oficerami i nie mogą potwierdzić, czy wysłano ich do takich obozów. Nieuchronnie rodziło się podejrzenie, iż w tej sprawie, podobnie jak w wielu innych, Kreml działał w złej wierze.

Prawda zaczęła wychodzić na jaw 13 kwietnia 1943 roku, kiedy niemieckie radio podało do wiadomości, że w masowym grobie w Lesie Ka-tyńskim pod Smoleńskiem znaleziono zwłoki 10 tysięcy polskich oficerów (liczba była znacznie zawyżona) zabitych strzałem w tył głowy. Mieli oni zostać zamordowani przez Rosjan pomiędzy marcem a majem 1940 roku. Rosjanie odpowiedzieli na to kontroskarżeniem, iż zabili ich Niemcy w 1941 roku. Śledztwo przeprowadzone przez międzynarodową komisję wykazało, że oficerowie zamordowani w Katyniu pochodzili z obozu w Ko-zielsku, że liczba znalezionych zwłok wynosiła około 4500 (nie 10 tysięcy) i że oficerów z innych obozów niemal na pewno spotkał podobny los. Ta informacja pojawiła się w momencie, kiedy odprężenie w stosunkach polsko-radzieckich już od wielu miesięcy należało do przeszłości. Ale nawet w okresie, gdy owe stosunki były najlepsze, pytanie o los polskich oficerów stale wisiało w powietrzu, umacniając podejrzenia i nieufność²³.

Oficera takiego jak Sikorski, który postawił sobie za cel uratować z więzień i obozów tylu rodaków, ilu tylko się da, i odbudować armię polską do walki z Niemcami, niepokój o los zaginionych kolegów oficerów musiał dręczyć szczególnie dotkliwie. Jego troska o własnych ludzi ujawniła się w zastrzeżeniach, jakimi obwarował wykorzystanie polskich żołnierzy. W obliczu radzieckich nacisków, aby rzucić na front polskie dywizje - chociaż, według Andersa, z powodu braku sprzętu, zaopatrzenia i odpowiednich warunków nie były jeszcze należycie wyszkolone - Sikorski stał na stanowisku, które przyjął w negocjacjach z Rosjanami w sierpniu 1941 roku, mianowicie że polskie jednostki ruszą na front dopiero wówczas, gdy będą odpowiednio przygotowane do walki. Poza tym siły polskie miały zostać użyte jako operacyjna całość pod dowództwem Andersa. Rozproszo-

ne na rosyjskim froncie zachodnim, zostałyby wchłonięte przez Armię Czerwoną i nie odegrałyby żadnej samodzielnej roli. Sikorski chciał, aby rozmieszczono je na konkretnym odcinku frontu, gdzie mogłyby wnieść własny znaczący wkład, w miarę możliwości w ścisłym współdziałaniu z wojskami brytyjskimi na południu. Oskarżeniu Stalina, że polscy żołnierze nie chcą walczyć, zadały kłam późniejsze dokonania wojsk polskich w Afryce Północnej, we Włoszech i w Europie Zachodniej. Ale, jak skomentował Anders, polscy żołnierze w Związku Radzieckim wyszli właśnie po niemal dwóch latach z więzień i obozów, niedożywieni, fizycznie wycieńczeni, nękanymi chorobami i skierowani w rejony, gdzie nie mogli odbyć odpowiedniego szkolenia. Sikorski trwał w postanowieniu, że ci ludzie nie staną się mięsem armatnim dla świetnie wyszkolonych wojsk niemieckich²⁴.

Stan ludzi zwolnionych z więzień i obozów nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że będą zdolni do walki dopiero po odzyskaniu sił, wyposażeniu w odpowiedni sprzęt i przeszkoleniu. Polskie obozy wojskowe w Związku Radzieckim nie mogły tego zapewnić. Zgodnie z polsko-radzieckim porozumieniem wojskowym z sierpnia 1941 roku na formowanie jednostek polskich wyznaczono obszary na wschód od Kujbyszewa, w rejonie Orenbur-ga i Saratowa. Na siedzibę dowództwa wybrano Buzułuk, 5. Dywizja miała stacjonować w pobliskim Tatiszczewie, a 6. Dywizja i pułk rezerwowy w Toc-ku. Okazało się, że są to całkowicie nieodpowiednie obozy letnie, w których żołnierze musieli mieszkać w namiotach lub ziemiankach, i dlatego nieprzystosowane do ciężkich warunków zimowych, panujących w tym rejonie. Już na początku września Anders zameldował, że stan fizyczny ludzi uwolnionych niedawno z obozów jest „przerażający” i że szerzą się wśród nich tyfus i dyzenteria. Jak opisuje jedna ze współczesnych relacji, ludzie „przyszli wycieńczeni, w łachmanach, wynędzniali, pokryci wrzodami, zawszeni, bez włosów, ponieważ chorowali na tyfus, i bardziej przypominali jakieś osobliwe stworzenia niż istoty ludzkie”²⁵. Wielu zmarło po drodze albo niedługo po przybyciu do polskich ośrodków rekrutacyjnych. W miarę zbliżania się zimy warunki stawały się jeszcze gorsze, a dostaw żywności docierały z opóźnieniem z powodu lodu i śniegu. W grudniu 1941 roku racje wystarczały dla 26 tysięcy ludzi, ale liczba zgłaszających się do służby osiągnęła już 44 tysiące, a w dodatku żołnierze musieli dzielić się jedzeniem z kobietami i dziećmi, które po uwolnieniu ściągnęły do tego rejonu,

żeby być bliżej wojska. Brakowało również odzieży, butów i broni. Nie można było prowadzić odpowiedniego szkolenia²⁶.

Danuta Teczarowska, lekarz medycyny i żona polskiego oficera, opisała życie w obozie w Tatiszczewie. Ziemię pokrywał śnieg i wszędzie panowała wilgoć, ponieważ nie było ogrzewania. Wojsko dzieliło się swoimi skąpymi racjami z cywilami. Woda ze stojących pod gołym niebem hydrantów była lodowato zimna. „Wygłodzeni, obdarci Polacy” bez przerwy napływali z więzień i obozów, „pokryci ranami i wrzodami [...] z odmrożonymi stopami, bez butów, nogi mieli obwiązane szmatami”. W większości wyglądali jak żywe szkielety i wymagali hospitalizacji, a tymczasem musieli mieszkać w nieogrzewanych namiotach. Kiedy wychodzili zbierać drewno na opał, wracali z odmrożeniami i przeziębieniami lub dostawali zapalenia oskrzeli²⁷.

Warunki nie poprawiły się nawet wówczas, gdy Stalin wyraził zgodę na przeniesienie polskiej armii w rejon, gdzie łatwiej było dowozić zaopatrzenie i prowadzić szkolenie. Nowa siedziba dowództwa mieściła się w Jangi Jul pod Taszkientem w Kazachstanie, a poszczególne jednostki rozmieszczono w różnych miejscach w republikach kirgiskiej, kazachskiej i uzbeckiej. Chociaż klimat był tam pod pewnymi względami lepszy, sprzyjał jednocześnie szerzeniu się wszelkiego rodzaju chorób. Żołnierzy i cywilów nękały tyfus, dur brzuszny, dyzenteria i malaria, a zdarzały się też przypadki żółtej febry i śpiączki. W okresie pomiędzy styczniem a czerwcem 1942 roku co druga osoba chorowała na jakąś chorobę zakaźną. Od stycznia do sierpnia odnotowano 47411 przypadków chorób zakaźnych, a prawie trzydzieści procent personelu wojskowego chorowało. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci zmarły na różne choroby. W Guzarze w Uzbekistanie (tak zwany pułk śmierci), by posłużyć się jednym przykładem, dochodziło do 120 zgonów dziennie. Powyższe dane nie uwzględniają osób, które zmarły w drodze do polskich obozów z wycieńczenia lub na skutek chorób²⁸.

Proszę nie zapominać, że byliśmy wtedy bardzo głodni, wszyscy chodzili w łachmanach i wielu moich towarzyszy zmarło w drodze z Syberii do wojska. Jeden etap tej podróży odbyłem z pięcioma Polakami, jednym kapitanem, jednym inżynierem i jednym filozofem. Byliśmy już na ostatnich nogach, oni umierali jeden po drugim i chowaliśmy ich na polach. Umierali z głodu. Ja szczęśliwie przeżyłem, pewnie byłem silniejszy.

Ale już w Kazachstanie poczułem się bardzo chory. Na wpół przytomnego zabrali mnie ciężarówką do szpitala dla umierających. Było tam wielu Polaków, wśród nich oficerowie, profesorowie, ludzie wysoko postawieni. Położyli nas do łóżek, a opiekowali się nami Rosjanie. W tym szpitalu panowały straszne warunki. Straciłem przytomność. Na jedenaście dni. Wypróżniałem się do łóżka. Wreszcie się ocknąłem. Inni pacjenci na sali wołali do pielęgniarek - ten się obudził. Przyszła pielęgniarka. „Aha, obudził się pan, żyje pan. Uważaliśmy już pana za zmarłego. Ale ma pan szczęście”. Kiedy przyszedłem do tego szpitala, wielu ludzi, których znałem, leżało obok mnie w łóżkach albo na podłodze. Kiedy się obudziłem, zacząłem pytać: „Gdzie jest ten człowiek, który tu leżał?”. „Och, umarł”. „A tamten?”. „Umarł”. Prawie wszyscy umarli. A ja przeżyłem. Miałem dyzenterię i przez jedenaście dni nie jadłem ani nie piłem. Byłem silnym człowiekiem. Mój ojciec też był bardzo silny i dożył sędziwego wieku²⁹.

Następną relację złożył polski żołnierz, który podróżował w nieco lepszych warunkach, ale widział, jak inni chorowali i umierali po drodze. Niektórym podróżnym wiodło się lepiej niż innym. Jak wyjaśnił ów żołnierz, niektórym więźniom i zesłańcom dopisało szczęście, ponieważ zapewniono im transport i kartki żywnościowe, tak jak przewidywało porozumienie polsko--radzieckie. Innym jednak lokalni urzędnicy nie udzielili takiej pomocy, ponieważ bali się stracić pracę. Czasami ludzie zwalniani z więzień i obozów byli zbyt niecierpliwi, żeby czekać na pomoc i ruszali w drogę bez zaopatrzenia i biletów kolejowych. To właśnie oni byli szczególnie narażeni na wyczerpanie i choroby po drodze.

Nikt z nas nie zachorował podczas podróży i dotarliśmy do Taszkientu w dobrej formie. Ale widzieliśmy, że ludzie umierają jak muchy. Było bardzo gorąco. I właśnie dlatego Polacy zaczęli chorować. Mnóstwo ludzi

straciło zęby. Tyfus, dur brzuszny, malaria, czasami pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu ludzi leżało na stacji i czekało na pociąg, a rankiem podnosiło się tylko dziesięciu. Ci zorganizowani w większe grupy jakoś sobie radzili, ale spośród tych, którzy szli na własną rękę, umarło chyba siedemdziesiąt procent³⁰.

Ci zesłańcy, którzy znaleźli się w Kazachstanie lub Uzbekistanie, a następnie podjęli pracę w kolchozach bądź innych miejscowych zakładach produkcyjnych i mogli się w miarę przyzwyczajając odżywiać, byli w

dobrej formie, kiedy wstępowali do wojska. Jeden z nich opisał swoje przyjęcie do armii:

Pracowałem w tym kolchozie [w pobliżu Ałma Aty] od września 1941 do lutego 1942 roku. Pewnego dnia przyszedł jakiś człowiek i powiedział, że w sąsiednim mieście jest polski lekarz, a polskie władze przyjmują ludzi do polskiej armii. Wszyscy młodzi mężczyźni opuścili więc kolchoz. Zostawiłem matkę i poszedłem do sąsiedniego miasta, położonego w odległości około trzydziestu kilometrów. Stałem przed polskim lekarzem, rosyjskim lekarzem i przed oficerem NKWD. Byłem młody i zdrowy, a moje nazwisko było typowo polskie. Jeśli jednak nazwisko miało ukraińskie albo żydowskie brzmienie, oficer NKWD zadawał mnóstwo kłopotliwych pytań. Próbował powstrzymać Ukraińców przed wstępowaniem do polskiej armii. To samo dotyczyło Żydów - jeśli nosili typowo żydowskie nazwiska, mieli trudności. Ale niektórych Ukraińców i Żydów przyłapano na tym, że podawali się za Polaków [...]. Ukraińcy wyglądali jak Polacy, ale jeśli się płątali i popełniali błędy [językowe], nie pozwalano im wstępować do polskiej armii³¹.

Na tych, którzy przetrwali uciążliwą podróż, czyhały w polskich obozach inne niebezpieczeństwa.

Byłem w polskim wojsku już kilka miesięcy, kiedy zachorowałem na dur, nie ten, który atakuje żołądek, ale dur płamisty. W tym czasie moja jednostka przygotowywała się do ewakuacji do Iranu. Ale kilka dni przed odjazdem zabrano mnie do szpitala i spędziłem tam jakiś czas. Później złapałem malarię. Kiedy wróciłem do wojska, pracowałem jako pielęgniarz w różnych szpitalach wojskowych. Byłem przerażony wysoką śmiertelnością. Mnóstwo ludzi chorowało na dyzenterię. Pamiętam, że w tamtym szpitalu umierało każdej nocy dziesięciu żołnierzy, a kiedy miałem służbę, też widziałem wielu zmarłych. Umierali z wyczerpania. I oczywiście brakowało jedzenia, a przynajmniej właściwego jedzenia. Byłem wstrząśnięty, ilu młodych ludzi umiera niepotrzebnie, często błagając o jedzenie. Nie było praktycznie żadnych lekarstw³².

Jeden z rozmówców twierdził, że choroby i zgony były po części spowodowane metodami szkolenia, przyjętymi w polskiej armii. Panowała surowa dyscyplina, trzeba było dużo maszerować, a wycieńczeni i wygłodzeni rekruci po prostu tego nie wytrzymywali.

Niektórzy oficerowie byli głupi - wydawało im się, że mogą odtworzyć warunki przedwojenne. Wysyłali żołnierzy na ćwiczenia na wzgórze w największym upale. W jednej jednostce dowódcą był lekarz. Był cudownym człowiekiem, takiego spotyka się tylko raz w życiu. Jako lekarz wiedział oczywiście, że nie można kazać żołnierzom ćwiczyć, kiedy jest trzydzieści pięć stopni Celsjusza. Pozwalał więc ludziom zostawać w namiotach i wychodzić dopiero wieczorem, kiedy się ochłodziło. Sam troszczył się o jedzenie i roztaczał szczególną opiekę nad chorymi. Inni oficerowie mogli tak robić, ale nie robili. Niektórzy ludzie będą temu zaprzeczać, ale ja widziałem, co się dzieje³³.

Sikorski doskonale zdawał sobie sprawę z trudnej sytuacji żołnierzy i cywilów i na wszelkie sposoby starał się ją poprawić. Ewakuacja miała wiele sensu, zarówno w kategoriach ludzkich, jak i militarnych. Już jesienią poprzedniego roku Brytyjczycy naciskali na ewakuację polskich jednostek do Iranu, gdzie mogłyby otrzymać odpowiedni sprzęt i zaopatrzenie. Stalin wątpił, czy Polacy kiedykolwiek wrócą, jeśli uda im się wydostać ze Związku Radzieckiego, i podejrzewał, iż Brytyjczycy kierują się ukrytymi

podbudkami, doradzając takie rozwiązanie: „Rozumiem jednak, że Anglicy potrzebują polskich żołnierzy” - miał podobno powiedzieć³⁴. Rząd brytyjski konsekwentnie obstawał przy ewakuacji, która powinna nastąpić wiosną, i znalazł sprzymierzeńca w osobie generała Andersa. Wreszcie, latem 1942 roku, rządy brytyjski i radziecki, ponad głową rządu polskiego, doszły do porozumienia w sprawie drugiej ewakuacji. Brytyjczycy pilnie potrzebowali rezerw na Bliskim Wschodzie, aby wzmocnić obronę Egiptu przed spodziewaną ofensywą wojsk Rommła, a Stalin rozumiał strategiczne znaczenie brytyjskiego zwycięstwa na froncie północnoafrykańskim³⁵. Sikorski musiał ustąpić, chociaż walczył o prawo do dalszego prowadzenia rekrutacji w Rosji. Wiedział, że jeśli utraci to prawo, nie będzie żadnej nadziei na uratowanie setek tysięcy Polaków, którzy pozostaną w Związku Radzieckim, ani żadnej możliwości wywierania nacisku, poprzez armię polską, na rząd radziecki, aby dotrzymał swoich zobowiązań wynikających z różnych porozumień międzynarodowych.

Należy stwierdzić, iż prowadzona przez Sikorskiego polityka rekrutacji możliwie największej liczby Polaków do armii polskiej w Związku Radzieckim, z dalekosiężnym celem wspólnej walki z Niemcami u boku wojsk radzieckich, zakończyła się fiaskiem. Ewakuacja polskich żołnierzy i części cywilów była znacznym osiągnięciem, ale nie tak istotnym jak cel dalekosiężny. Sikorski zdawał sobie jednak sprawę, że ma do spełnienia jeszcze jeden ważny obowiązek, a mianowicie musi doprowadzić do uwolnienia polskich cywilów z obozów i kolonii karnych i zapewnić im humanitarne traktowanie po uwolnieniu. Przez humanitarne traktowanie rozumiał odpowiednie wyżywienie, opiekę zdrowotną, możliwości kształcenia i korzystania z dóbr kultury, opiekę społeczną, a także pracę, jeśli będą w stanie ją podjąć. Oczekiwał, iż uda się to zorganizować za pośrednictwem polskiej ambasady we współpracy z lokalnymi władzami radzieckimi. Zakładał, że ambasada będzie mogła uzyskać część potrzebnych środków ze źródeł brytyjskich i amerykańskich.

Na samym początku negocjacji polsko-radzieckich Sikorski oznajmił Anthony'emu Edenowi, brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych, że zobowiązanie się strony radzieckiej do humanitarnego traktowania Polaków jest warunkiem wstępnym jakiegokolwiek porozumienia. Strona radziecka nie chciała się na to zgodzić i przez kilka miesięcy grała na zwłokę, wprowadzając odpowiednie ustalenia dopiero na początku 1942 roku. Kilka miesięcy później władze radzieckie zaczęły ingerować w działalność humanitarną przedstawicieli ambasady polskiej, a w końcu, na początku 1943 roku, położyły jej kres³⁶. W ten sposób, mimo usilnych starań, Sikorski przegrał kolejną bitwę z rządem radzieckim, chociaż to, co uzyskał na wstępie, wyglądało bardzo obiecująco. Dlaczego Sikorskiemu nie udało się osiągnąć drugiego celu swojej polityki? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy przyjrzeć się bardziej szczegółowo zarówno samemu porozumieniu, jak i sposobowi, w jaki rząd radziecki uchylał się od jego realizacji.

W układzie Sikorski-Majski strona radziecka zgodziła się, aby opiekę nad setkami tysięcy polskich cywilów zwalnianych z obozów i kolonii karnych roztoczyli tak zwani delegaci wyznaczeni przez polską ambasadę w Moskwie. Moskwa wyraziła zgodę, aby cywile zostali rozlokowani w rejonach o „sprzyjającym klimacie”, najlepiej w sąsiedztwie polskich obozów wojskowych, i podjęli pracę odpowiadającą ich kwalifikacjom. Niezdolni do pracy, przede wszystkim kobiety i dzieci, starcy i inwalidzi, mieli otrzymać wyżywienie i zakwaterowanie, natomiast polskiej ambasadzie zezwolono na utworzenie odpowiedniej liczby „delegatur”, które zapewniłyby cywilom należytą opiekę, korzystając z zapasów odzieży i środków medycznych dostarczanych z zagranicy. Sword sugeruje, że użyte w tekście układy sformułowania pozwoliły stronie radzieckiej przyjąć założenie, iż zasadnicza odpowiedzialność za los uwolnionych cywilów spoczywa na rządzie polskim³⁷. W piśmie do NKID z 22 sierpnia 1941 roku Retinger zaproponował ustalenia dotyczące zwalnianych cywilów, zwracając uwagę na pomoc, jakiej mogłyby udzielić rządowi polskiemu organizacje opieki społecznej. W odpowiedzi rząd radziecki obiecał, że uwolnieni otrzymają przepustki do wybranych przez siebie miejsc pobytu (w określonych granicach), piętnaście rubli za każdy dzień podróży, zapomogi pieniężne i, w miarę możliwości, pracę, ale nie zobowiązał się do opieki nad tymi, którzy nie będą mogli podjąć pracy po przyjeździe do nowego miejsca pobytu³⁸. Tak czy inaczej, obietnice radzieckie zostały spełnione tylko częściowo ze względu na niechętną postawę lokalnych władz. Wielu spośród uwolnionych było zdanych na własne ograniczone środki, podróżowali więc pieszo lub wsiadali do pociągów bez biletu.

W szpitalu dowiedziałem się, że niedaleko stoi pociąg, który zabiera Polaków do polskiej armii. Na stacji nie dostałem kawy ani herbaty, tylko kubek wrzątku. Musiałem jednak zapłacić za bilet, a nie miałem pieniędzy. Ale na stacji było kilku małych chłopców, miejscowych złodziejasków. Poradzili mi, żebym przeszedł kawalek, ukrył się w krzakach w pobliżu torów i wskoczył do pociągu, kiedy będzie przejeżdżał. Po drodze było pięć stacji, a polscy żołnierze wysiadali na piątej. Ale na każdej stacji musiałem wyskakiwać, chować się w krzakach przy torach i znowu wskakiwać, kiedy pociąg ruszył. I kiedy wychodziłem z krzaków, wielu ludzi podobnych do mnie, w łachmanach, robiło to samo i wskakiwało do pociągu. Wreszcie dojechalśmy do stacji Kermin pod Tasz-kientem. Tam stacjonował mój pułk. Stacja była jasno oświetlona i był tam wielki afisz: „Witamy w polskiej armii”³⁹.

Po ogłoszeniu „amnestii” zesłańcom w pewnej kolonii karnej powiedziano, że są wolni i mogą odejść, lecz NKWD nie wydało im żadnych dokumentów ani nie zorganizowało transportu, musieli więc całkowicie polegać na własnej inicjatywie. Przypadkiem dowiedzieli się od miejscowych

kobiet, że na południu formuje się polska armia, i za wszelką cenę postanowili tam dotrzeć.

Zwołaliśmy coś w rodzaju zebrania i wybraliśmy człowieka, żeby pojechał do Tomsku i dowiedział się o możliwość wynajęcia jakichś wagonów, które zawiozłyby nas do polskiej armii. Udało mu się. Kosztowało to chyba ze dwieście rubli od osoby i prawie wszystkich było na to stać (pracowali w lesie i sprzedali też trochę rzeczy osobistych). Nie przejmowaliśmy się specjalnie tym, dokąd jedziemy. Po prostu wynajęliśmy pociąg i powiedzieliśmy: „Zabierzcie nas do regionu kaspijskiego”, ponieważ wiedzieliśmy, że gdzieś tam organizuje się polska armia, ale nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie. Mniej więcej po tygodniu podstawili pociąg, a my spakowaliśmy swoje rzeczy i załadowaliśmy je do pięciu czy sześciu wagonów. [Wagony zostały dołączone do pociągu dla uchodźców jadącego na wschód]. Po jakichś siedmiu dniach dotarliśmy w okolice Alma Aty w Kazachstanie. Kazano nam wysiąść ze wszystkimi bagażami i poczekać na transport do kolchozu. Musieliśmy pracować, żeby się utrzymać, dopóki nie dowiedzieliśmy się dokładnie, gdzie jest polska armia⁴⁰.

Inni nie musieli się uciekać do takich sposobów, ponieważ udzielono im pomocy. Polscy żołnierze przebywający w obozie na Białorusi dowiedzieli się od komendanta, że są wolni i mogą wstąpić do armii polskiej albo radzieckiej. Tych, którzy wybrali armię polską, zaopatrzone w bilety kolejowe, dokumenty podrózne, duże racje chleba, zupę, i oddano im rzeczy osobiste. Kilka dni później byli już w Kazachstanie, gdzie przed wstąpieniem do wojska próbowali odszukać krewnych⁴¹. Dwa miesiące po podpisaniu polsko-radzieckiego porozumienia zwolnionych zostało około 300 tysięcy Polaków. Wielu z nich miało środki i okazało dostateczną determinację i inicjatywę, żeby ruszyć w drogę, nawet bez oficjalnego radzieckiego poparcia. Wiadomo jednak, że wielu innych zablądziło podczas podróży, i nikt nie wie na pewno, co się z nimi stało⁴².

Całkiem innym czynnikiem utrudniającym realizację porozumienia dotyczącego cywilów był powolny proces mianowania delegatów polskiej ambasady, mających roztoczyć opiekę nad ludźmi, którym udało się dotrzeć do punktów rekrutacyjnych armii polskiej. Bez nich trudno było zorganizować ośrodki rejestracji, zapewnić odpowiednie zakwaterowanie i opie-

kę. Niektórzy z nowo przybyłych dostali pracę na polach bawełny, inni musieli kopać rowy melioracyjne, jeszcze inni w ogóle nie mogli znaleźć zatrudnienia. Bez pomocy władz radzieckich i delegatów polskich wielu cierpiało głód i chorowało lub umierało po drodze. Ci szczęśliwcy, którzy znaleźli się w pobliżu polskich obozów wojskowych, otrzymywali wojskowe racje żywnościowe i podstawową opiekę lekarską, lecz była ona niewystarczająca i nie mogła zapobiec szerzeniu się chorób zakaźnych⁴³.

Strona radziecka mogłaby zapewne argumentować, że Polacy stawia li rządowi radzieckiemu, który walczył o przetrwanie z hitlerowskim na jazdem, wygórowane żądania. Środki transportu zostały

zarekwirowane *m* potrzeby wojska i mas uchodźców ewakuowanych z zachodniej Rosji. Uwolnienie setek tysięcy Polaków, którzy ciągnęli tłumnie z północy i wschodu na południe, ogromnie nadwerżyło możliwości transportów* i organizacyjne władz radzieckich. W pewnym momencie polski ambasador zaapelował do Polaków, aby pozostali w rejonach, gdzie przebywał przed uwolnieniem, ponieważ na południu, zwłaszcza w Uzbekistanie, nie można ich będzie wyżywić ani zakwaterować. W listopadzie Andriej Wy szynski poskarżył się Kotowi, że „wędrówka” Polaków ma charakter całkowicie bezplanowy i bezładny i to właśnie jest przyczyną wysokiej śmiertelności. Niewątpliwie radziecka administracja pracowała w niezwykle trudnych warunkach i byłoby rzeczą nierozsądną oczekiwać doskonałej organizacji. Jednakże porozumienie polsko-radzieckie zostało podpisane 30 lipca, Retinger przedstawił szczegółowe sposoby jego realizacji w sierpniu, a dopiero w połowie listopada, po wcześniejszym sprzeciwie ze strony Moskwy, Rosjanie byli gotowi „dopuszczać możliwość”, by polska ambasada wyznaczyła delegatów. Kot musiał również przypomnieć Mołotowowi, że na mocy lipcowego porozumienia delegaci mają również prawo gromadzić dane i informacje na temat Polaków w swoich rejonach⁴⁴.

Nawet po spotkaniu Sikorskiego ze Stalinem na początku grudnia nie nastąpił właściwie żaden postęp. Pod naciskiem Stalin szybko wyraził zgodę, że wyznaczeni przez polską ambasadę delegaci powinni mieć prawo wstępu do polskich społeczności i wykonywania obowiązków przewidzianych w układzie Sikorski-Majski. Zgodził się również na udzielenie po życzeniu wysokości stu milionów rubli, przeznaczonej na pomoc dla polskiej cywilów. Wreszcie, 23 grudnia 1941 roku, osiągnięto formalne porozumienie pomiędzy ambasadą polską a NKID, określające zakres działalności

delegatów⁴⁵. Po tym spóźnionym ustępstwie udało się poczynić szybkie postępy w zaspokajaniu potrzeb polskiej ludności cywilnej. W styczniu 1942 roku poinstruowano lokalne władze radzieckie, aby współpracowały z polskimi delegatami, a rząd przyznał specjalne racje dla sierot i sierocińców oraz przydzielił żywności dla wszystkich obywateli polskich niezdolnych do pracy, którzy nie mieszkali w tego typu instytucjach. Polacy, którzy pracowali, mieli otrzymywać racje żywnościowe według normalnego systemu kartkowego⁴⁶.

Wreszcie, sześć miesięcy po zawarciu porozumienia pomiędzy rządem radzieckim a polskim, polscy delegaci mogli skutecznie wykonywać swoje obowiązki. W pierwszych miesiącach 1942 roku ustanowiono efektywny system opieki społecznej, nadzorowany przez dwudziestu mianowanych delegatów, którzy, w większości przypadków, mogli liczyć na współpracę lokalnych władz radzieckich. Piesakowski pisze, że do końca marca delegaci wraz ze swymi pomocnikami, tak zwanymi mężami zaufania, założyli dwadzieścia cztery sierocińce, trzydzieści pięć żłobków, sześćdziesiąt osiem placówek żywieniowych, dwanaście domów opieki dla ludzi starych i inwalidów, piętnaście ruchomych klinik, jedenaście szpitali i trzynaście hospicjów. Do 1943 roku około 300 tysięcy Polaków otrzymało pomoc od polskich organizacji opieki społecznej⁴⁷. Delegaci mogli korzystać z funduszy przyznanych przez polski rząd w Londynie, a także z dotacji w pieniądzu i w naturze ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanady. W kwietniu i maju 1942 roku do Archangielska dotarło 1500 ton różnego rodzaju zaopatrzenia dla polskich żołnierzy i cywilów, a jeszcze więcej w czerwcu. Zaopatrzenie było kierowane do polskich ośrodków w Związku Radzieckim, gdzie je rozdzielano lub magazynowano w zależności od potrzeb⁴⁸.

Skuteczność tej pomocy humanitarnej podkopała jednak niebawem działania rządu radzieckiego, który najwyraźniej zamierzał osłabić, a następnie rozbić polską sieć opieki społecznej. Na przykład już w kwietniu 1942 roku Edward Raczyński, polski minister spraw zagranicznych, skarżył się na trudności w dostawach dóbr sprowadzanych z zagranicy i przeznaczonych dla polskich cywilów. W czerwcu NKWD zabroniło delegatom ambasady polskiej wydawania paszportów obywatelom polskim. Ale prawdziwy atak na polski system opieki społecznej rozpoczął się w lipcu 1942 roku, kiedy władze radzieckie ogłosiły, że delegatury ambasady polskiej we Władywostoku i Archangielsku zostaną zamknięte, ponieważ, jak utrzymywano, liczba przebywających tam obywateli polskich jest znikoma i dalsza obecność delegatur nie ma żadnego uzasadnienia⁴⁹.

Wydaje się, że władze radzieckie niepokoiła ta bezprecedensowa sytuacja, w której przedstawiciele obcego państwa mogli działać na radzieckiej ziemi i, dzięki swojej pracy humanitarnej, gromadzić informacje z pierwszej ręki na temat radzieckiego systemu. Ta nieufność nie powinna dziwić, zważywszy na to, że wojska

niemieckie podchodziły w tym czasie pod Stalingrad. Radziecki ambasador w Stanach Zjednoczonych wyraził stanowisko swojego rządu w sposób zdumiewająco szczerzy: „Podejrzewamy, że [zagraniczne organizacje opieki społecznej] chcą śledzić nasze problemy wewnętrzne, nadzorować naszą politykę, wtrącać się w nasze sprawy”⁵⁰. Następne działania radzieckie pokazują jasno, iż Kreml szukał sposobów na zerwanie porozumienia tak szybko, jak to możliwe. Dlatego skuteczne dostarczanie pomocy humanitarnej trwało zaledwie kilka miesięcy, zanim, na początku lipca 1942 roku, władze radzieckie zaczęły uniemożliwiać tę działalność, przejmując od rządu polskiego odpowiedzialność za obywateli polskich w Związku Radzieckim i biorąc losy polskich uchodźców całkowicie w swoje ręce. Patrząc z perspektywy, można uznać taki rozwój wypadków za nieuchronny, pomimo początkowego optymizmu delegatów polskich, że uda im się skutecznie współpracować z władzami radzieckimi w zaspokajaniu naglących potrzeb deportowanych Polaków.

Jeszcze gorsze z polskiego punktu widzenia było pozbawienie przez władze radzieckie immunitetu dyplomatycznego tych delegatów polskich, którzy byli pracownikami ambasady, pod pretekstem, że nie pełnią oni funkcji dyplomatycznych. Niedługo potem doszło do aresztowania delegata (który był pierwszym sekretarzem ambasady) we Władywostoku oraz delegatów w Barnaule, Samarkandzie, Kirowie i Pietropawłowsku. Ambasada polska zaprotestowała przeciwko tym aresztowaniom, zamykaniu delegatur i przejmowaniu urzędowych dokumentów. O tym, że jest to otwarty atak na polską sieć pomocy, świadczyło również zamrożenie kont bankowych ambasady, a także przeszukiwanie i zamykanie magazynów z zaopatrzeniem dostarczonym przez aliantów zachodnich. Ogółem cztery spośród dwudziestu biur delegatów zostały zlikwidowane, a pięciu innych delegatów nie mogło wykonywać swoich funkcji⁵¹. Jak podkreślił Henryk Sokol-nicki, nowy polski charge d'affaires, w rozmowie z Wyszynskim, działalność delegatów polskich na obszarach, gdzie było ponad 170 tysięcy obywateli polskich potrzebujących żywności, odzieży i opieki lekarskiej, została

w czterdziestu pięciu procentach sparaliżowana. Jeśli zaś do pomocy delegatom lub na ich miejsce powołano tak zwanych mężów zaufania, nie byli oni uznawani przez rząd radziecki, a lokalne władze odmawiały współpracy z nimi⁵².

Na skutek tych szykan i aresztowań operacja pomocy humanitarnej musiała zostać ograniczona lub przerwana, a pozostawione bez ochrony magazyny z żywnością, odzieżą i medykamentami były narażone na splądrowanie. Przerwano szczepienia ochronne, a sierocińce i domy dla starców nie mogły należycie funkcjonować. Polacy odrzucali twierdzenie, jakoby akcja pomocy została zakończona, a potrzeby obywateli polskich zaspokojone. Nie odpowiadało to prawdzie. Większość polskich cywilów żyła w rozpaczliwych warunkach - byli wycieńczeni fizycznie, narażeni na infekcje i choroby zakaźne, wygłodzeni, często pozbawieni pracy lub zbyt starzy i chorzy, żeby podjąć pracę, i odseparowani od rodzin. W lipcu 1942 roku organizacje pomocy społecznej wciąż miały wiele do zrobienia, zwłaszcza w dziedzinie opieki nad licznymi polskimi dziećmi, osieroconymi przez wojnę. Ale w sierpniu 1942 roku ambasada polska doniosła, że polskie sierocińce zostaną zamknięte, a dzieci przeniesione do sierocińców radzieckich⁵³.

Kiedy Tadeusz Romer, nowy polski ambasador w Moskwie, spotkał się 2 listopada 1942 roku z Mołotowem, aby omówić problemy związane z polską operacją pomocy, ten w typowy dla siebie brutalny sposób oznajmił, iż rząd radziecki nie zmieni swojej polityki, i dodał, że celem rządu radzieckiego jest zerwanie kontaktów deportowanych z rządem polskim. Kilka dni wcześniej radziecka ambasada w Londynie wystąpiła z zacieklą obroną radzieckiej linii postępowania, wyliczając różne rodzaje pomocy, jaką Polacy otrzymali od rządu radzieckiego: bezprocentową pożyczkę wysokości stu milionów rubli na wsparcie polskiej akcji charytatywnej, zniesienie ceł wwozowych na artykuły przeznaczone dla polskiej organizacji opieki społecznej i obniżenie opłat kolejowych za transport tych artykułów. Ponadto wła

dze radzieckie przyznały racje żywnościowe Polakom zarówno pracującym, jak i mieszkającym w hospicjach, domach starców i sierocińcach. Przechodząc do kontrataku, ambasada oskarżyła aresztowanych delegatów i mężów zaufania o szpiegostwo i działalność antyradziecką na zlecenie ambasady polskiej, jak również o szerzenie kłamstw i fałszywych informacji na temat Związku Radzieckiego. W tych zarzutach mogło być ziarno prawdy. Jak przyznał Piesakowski, osoby zajmujące się opieką społeczną uprawiały czasami szpiegostwo i inną nielegalną działalność, dostarczając NKWD pretekstu do zdezwuowania całej operacji pomocy społecznej⁵⁴. Trudno jednak uwierzyć, aby przeważająca większość osób zaangażowanych w operację pomocy nie kierowała się pobudkami humanitarnymi i patriotycznymi, toteż ich rzeczywista działalność „antyradziecka” polegała na tym, że mogli na własne oczy obserwować pracę radzieckiej biurokracji, zrywając zasłonę tajemnicy, jaka tradycyjnie spowijała poczynania radzieckich urzędników.

I tak, poczynając od lipca 1942 roku, aresztowania i szykany trwały przez następne miesiące i przybrały na intensywności w styczniu i lutym 1943 roku. Piętnastego stycznia wszystkie polskie organizacje opieki społecznej znalazły się pod radzieckim zarządem, a od mieszkańców sierocińców i domów starców zażądano przyjęcia radzieckich paszportów. Ci, którzy odmówili, zostali aresztowani i uwięzieni⁵⁵. Odpierając zarzut nielegalnej konfiskaty polskiego mienia, Mołotow odpowiedział obłudnie, że kiedy władze radzieckie odkryły, iż mieszkają tam obywatele radzieccy, rząd radziecki miał pełne prawo przejąć za nich odpowiedzialność. Znaczenie tych działań było przejrzyste jasne: okres odprężenia pomiędzy rządem polskim w Londynie a rządem radzieckim dobiegł końca. Kreml postanowił wycofać się z ustępstw, jakie poczynił podczas negocjacji z polskim rządem na uchodźstwie w lipcu 1941 roku, i cofnąć zapewnienia, które Stalin złożył Sikorskiemu w grudniu tegoż roku, o pełnej realizacji porozumienia pol-sko-radzieckiego. W rezultacie władze polskie zostały pozbawione jakiegokolwiek praktycznej odpowiedzialności za warunki życia obywateli polskich w Związku Radzieckim.

Mimo to rząd londyński nadal zachował formalną odpowiedzialność prawną za obywateli polskich. Z punktu widzenia Kremla następnym logicznym krokiem w kierunku zerwania więzi pomiędzy polskimi zesłańcami a rządem polskim było zatem pozbawienie ich polskiego obywatelstwa i zmuszenie do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego. Doprowadziłoby to do sytuacji, w której wszelkie dalsze interwencje rządu londyńskiego w imieniu swoich byłych obywateli nie miałyby oparcia w prawie międzynarodowym. Proces narzucania obywatelstwa rozpoczął się 19 listopada 1939 roku, kiedy zapadło postanowienie, że wszyscy, którzy 1/2 listopada 1939 roku zamieszkali zachodnie rejony Ukrainy i Białorusi, nabyli obywatelstwo radzieckie. Na potrzeby zaciągu do armii polskiej w 1941 roku władze radzieckie w geście dobrej woli zgodziły się uznać deportowanych

narodowości polskiej za obywateli polskich⁵⁶. Rząd polski zakwestionował radzieckie roszczenia. Zaprzeczył, by rząd radziecki miał prawo określać, kto jest, a kto nie jest obywatelem polskim, i ogłosił, że wszyscy, którzy mieszkali na terytorium Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej we wrześniu 1939 roku, mają obywatelstwo polskie, a co za tym idzie, podlegają amnestii, są objęci programem pomocy humanitarnej i mogą wstępować do armii polskiej⁵⁷.

W styczniu 1943 roku, kiedy Kreml postanowił zlikwidować polską organizację opieki społecznej, *zaczai* wywierać nacisk na obywateli polskich narodowości polskiej, zmuszając ich do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego⁵⁸. Polacy, którzy odmówili przyjęcia obywatelstwa radzieckiego, zostali uwięzieni. Aby przełamać ich determinację, nierzadko pozbawiano ich jedzenia i wody i mówiono im, że opór nie ma sensu, ponieważ Polska już nie istnieje. Tych, którzy nadal się opierali, wysłano do obozów pracy przymusowej, a mężczyzn, którzy się podporządkowali, wcielono do armii radzieckiej⁵⁹. Polski ambasador w Moskwie zaprotestował przeciwko tej „całkowicie nieuzasadnionej próbie narzucenia obcego obywatelstwa znacznej części naszego narodu, i to wbrew jej woli, uczuciom i tradycjom...”. Minister spraw zagranicznych Raczynski poskarżył się Edenowi, że Rosjanie zajęli „całkowicie bezkompromisowe i nieprzyjazne stanowisko wobec najbardziej zasadniczych interesów polskich” i że mogłaby ich powstrzymać tylko zdecydowana reakcja sojuszników Polski⁶⁰.

Jak wszyscy rozumieli, decyzje dotyczące obywatelstwa miały bezpośredni związek z najważniejszą kwestią - przyszłych granic Polski. Po układzie Sikorski-Majski rząd polski żywił nadzieję, że odrzucenie przez Moskwę paktu Ribbentrop-Mołotow, w połączeniu z rozpaczliwą potrzebą zyskania sojuszników w obliczu hitlerowskiej agresji, może w ostatecznym rozrachunku doprowadzić do korzystnego dla Polski porozumienia w sprawie granic wschodnich. Ale chociaż strona radziecka uznała pakt za niebyły, nie wyrzekła się swoich roszczeń do polskich Kresów Wschodnich. W oczach Moskwy zatem narzucanie radzieckiego obywatelstwa etnicznym Polakom z tych obszarów nie było wcale pogwałceniem układu Sikorski-Majski, lecz po prostu logiczną konsekwencją „dobrowolnego” wcielenia Kresów Wschodnich do Związku Radzieckiego. Odmowa przez Kreml uznania Polaków w Związku Radzieckim za obywateli polskich oznaczała, że po wojnie Rosjanie będą chcieli wytyczyć polską granicę wschodnią wzdłuż mniej więcej tej samej linii co określona w porozumieniu między Związkiem Radzieckim a Niemcami w sierpniu 1939 roku. A to z kolei było równoznaczne z utratą przez Polskę jej wschodnich ziem wraz z Wilnem i Lwowem.

Na podstawie szacunkowych danych o ludności polskiej przesiedlonej przymusowo do Związku Radzieckiego można wyciągnąć następujące ostrożne wnioski. Liczba wojskowych i cywilów, którzy uzyskali zgodę na opuszczenie Związku Radzieckiego i zostali ewakuowani w dwóch rzutach przez Morze Kaspijskie do Iranu, wynosiła łącznie około 113 tysięcy, z czego 43 tysiące ewakuowało się pomiędzy 24 marca a 4 kwietnia 1942 roku, a nieco ponad 70 tysięcy pomiędzy 8 a 30 sierpnia. Znalazło się wśród nich około 36 tysięcy cywilów, głównie kobiet i dzieci, i około 77 tysięcy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Razem stanowili oni nie więcej niż siedem procent całkowitej liczby Polaków deportowanych do Związku Radzieckiego. Spośród pozostałych około 530 tysięcy zdołało wrócić do Polski po wojnie. Prawdopodobnie co najmniej połowa deportowanych zmarła w obozach i koloniach karnych do 1942 roku, a bliżej nieznaną liczbą poległa na froncie po przymusowym wcieleniu do Armii Czerwonej, co daje łącznie około 800 tysięcy Polaków, którzy stracili życie. Nie doliczono się jak dotąd co najmniej 200 tysięcy Polaków⁶¹.

Ewakuowani byli niepomiernie szczęśliwi z powodu swego uwolnienia, a jednocześnie głęboko przygnębieni ciężkimi doświadczeniami oraz utratą bliskich i przyjaciół, którzy zmarli lub pozostali w Związku Radzieckim. Kiedy wyruszali z wybrzeży Morza Kaspijskiego do różnych miejsc przeznaczenia, mieli nadzieję, a nawet oczekiwali, że pewnego dnia będą mogli wrócić do wolnej i niepodległej Polski w jej przedwojennych granicach i połączyć się z rodzinami. Zanim jednak owa nadzieja mogła się ziścić, należało wygrać wojnę z Hitlerem. Większość żołnierzy ewakuowanych ze Związku Radzieckiego weszła w skład II Korpusu Polskiego, który po przeszkoleniu na Bliskim Wschodzie stał się integralną częścią wojsk alianckich i po lądowaniu na Półwyspie Apenińskim wniósł istotny wkład w alianckie zwycięstwo we Włoszech. Ale kiedy polscy żołnierze walczyli we Włoszech, żony i dzieci wielu z nich wyjechały do brytyjskich kolonii w Afryce lub w Indiach, by tam czekać na zakończenie wojny. W miarę jak wojna zbliżała się do końca, Polacy w niemieckich obozach pracy przymusowej, fabrykach i gospodarstwach rolnych przemieszczali się na zachód, uciekając przed nacierającą Armią

Czerwoną, i trafiali do obozów dla przesiedleńców. W tym samym czasie Estończycy, Łotysze i Litwini opuszczali swoje ojczyzny, aby uniknąć drugiej okupacji radzieckiej, i też ciągnęli na zachód, trafiając do podobnych obozów w zachodniej części Niemiec. Te ucieczki i migracje stanowią następny etap podróży Polaków i Bałtów z przymusowego wygnania do życia w nowej ojczyźnie.

ROZDZIAŁ 8

Żołnierze i uchodźcy

TYSIĄCE
POLSKICH
ŻOŁNIERZY i
cywilów
uwolnionych
przez Stalina w
1942 roku
stanowiły, o czym
była mowa w
rozdziale
poprzednim, zni-
komą mniejszość
Polaków
przesiedlonych
przymusowo do
Związku Ra-
dzieckiego w latach
1939-1941. Po
uwolnieniu
żołnierze mieli dwa
główne cele. Po
pierwsze, chcieli
walczyć z
hitlerowskimi
Niemcami u boku
aliantów. Po
drugie, nigdy, w
żadnych
okolicznościach,
nie chcieli żyć w
Związku
Radzieckim ani w
kraju od niego
uzależnionym. Pod
wpływem swoich
doświadczeń stali
się zażartymi
wrogami zarówno
hitleryzmu, jak i
systemu
radzieckiego.
Znaczny wkład
militarny w wojnę
z Hitlerem po-
winien, jak uważali,
wzmocnić pozycję
Polski w
powojennych
negocjacjach o
odtworzenie
państwa polskiego

w jego przedwojennych granicach. To był warunek ich powrotu do domów we wschodnich regionach Polski. Wiedzieli, iż nie zdołają osiągnąć tego celu bez bliskiej współpracy z aliantami zachodnimi, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. Obawiali się jednak, podobnie jak rząd polski w Londynie, że Związek Radziecki, ze względu na swój ogromny potencjał militarny w wojnie z Hitlerem, stanie się dla aliantów znacznie ważniejszy niż Polska. Ponieważ Polacy ewakuowani ze Związku Radzieckiego byli całkowicie uzależnieni od Brytyjczyków i Amerykanów w zakresie dostaw broni i wyposażenia, a od Brytyjczyków w zakresie wyszkolenia i rozlokowania, nie śmieli, mimo silnej pokusy, pozwolić sobie na to, aby ich uczucia przeważały nad interesami. Ich sytuacja była tym bardziej delikatna,

że porozumienia
podpisane po-
między polskim
rządem w Londynie
a rządem
brytyjskim
podporządkowy-
wały Polskie Siły
Zbrojne dowództwu
brytyjskiemu na
szczeblu
operacyjnym.

Od tej pory o udziale Polaków w wojnie z Niemcami miał decydować brytyjski imperialny Sztab Generalny. Ta zależność stawiała Polaków w niekorzystnym położeniu, jeśli chodzi o powojenne decyzje w sprawie formy rządu w odrodzonej Polsce i granic państwa polskiego. Ale zajęcie niezależnego stanowiska i publiczne potępienie Związku Radzieckiego pozbawiłoby Polaków nawet tego ograniczonego wpływu na aliantów zachodnich, jaki jeszcze mieli.

Polacy ewakuowani ze Związku Radzieckiego przekonali się niebawem, że nie są osamotnieni w swoim oderwaniu od kraju ojczystego. W tym czasie było w Wielkiej Brytanii kilkanaście tysięcy polskich żołnierzy, marynarzy i lotników, których większość walczyła już w wojnie z Hitlerem. Pod koniec wojny znalazł się w Niemczech ponad milion polskich robotników przymusowych, a także liczni polscy jeńcy wojenni, zmuszani, wbrew postanowieniom konwencji genewskiej, do pracy fizycznej w trudnych warunkach. Polscy i bałtyccy poborowi do armii niemieckiej walczyli na różnych teatrach działań wojennych, od Afryki Północnej po północną Europę. W miarę jak wojna zbliżała się do końca, uchodźcy z państw bałtyckich uciekali na zachód przed zwycięską Armią Czerwoną i dołączali do ośmiu milionów przesiedleńców, którzy wegetowali w Niemczech w momencie, kiedy wiosną 1945 roku wojska sojusznicze ze Wschodu i z Zachodu spotkały się nad Łabą.

Polacy „syberyjscy”, ludzie wypuszczeni przez Stalina do Iranu, stopniowo dowiadywali się o doświadczeniach swoich rodaków, przebywających na Zachodzie. Choć sami wiele wycierpieli na zesłaniu, współczuli Polakom w Wielkiej Brytanii, którzy opłakiwali rodziny i przyjaciół w Polsce. Podziwiali ducha i determinację polskich żołnierzy z września 1939 roku, którzy, zmuszeni do ucieczki przez granicę do sąsiednich Węgier i Rumunii, za wszelką cenę starali się dotrzeć do Francji lub do francuskich terytoriów mandatowych i kolonii. Wybierali Francję z powodu francusko-polskich umów wojskowych z września i października 1939 roku, zezwalających na formowanie we Francji polskich jednostek wojskowych i przyjmowanie ewakuowanych polskich żołnierzy. Władze rumuńskie i węgierskie były generalnie gotowe przemykać oko na ucieczki Polaków z obozów dla internowanych. Nie utrudniały też zbytnio działań polskich ambasad w Budapeszcie i Bukareszcie, które zaopatrywały swoich obywateli w cywilne ubrania i dokumenty podrózne i pomagały im dostać się na pociąg lub statek do Francji bądź do francuskiego terytorium mandatowego w Syrii.

Łącznie około 43 tysięcy Polaków dotarło do Francji pociągiem lub statkiem z portów w Pireusie, Konstancy i Splicie. Około 4500 dostało się do Syrii i dołączyło do francuskich jednostek wojskowych. Podróż statkiem do portów w południowej Francji stała się najczęstszą metodą ewakuacji, odkąd Mussolini zaczął utrudniać przejazd kolejną przez północne Włochy. Ewakuacja trwała około dziewięciu miesięcy¹.

Byłem przesłuchiwany na Węgrzech razem z moją jednostką lotniczą po umieszczeniu w obozie dla internowanych. Przebywałem tam do początku 1940 roku, kiedy zabrano mnie z obozu do polskiej ambasady w Budapeszcie. Pięciu z nas postanowiło spróbować przedostać się do Francji. Dostaliśmy dokumenty i kupiliśmy cywilne ubrania. Z Węgier pojechaliśmy pociągiem do Włoch. W Mediolanie musieliśmy bardzo uważać. Chodziliśmy pojedynczo albo po dwóch, nigdy całą piątką naraz. Pamiętam, że 5 marca zjadłem obiad we Francji, tuż nad granicą z Włochami. Stamtąd pojechaliśmy do polskiego obozu,

gdzie byli polscy oficerowie, lekarze i ludzie, którzy prowadzili rejestrację².

Inny internowany na Węgrzech uciekł z obozu, zdobył paszport i cywilne ubranie. Poradzono mu, żeby przeszedł do Jugosławii przez graniczną rzekę, co sprawiło mu trochę trudności, ponieważ łódź był kruchy.

Następnego ranka spotkałem wielu polskich żołnierzy, którzy też przeszli nocą przez rzekę, i poszliśmy do najbliższej stacji kolejowej, żeby złapać pociąg do Zagrzebia. Tam polski konsul dał nam trochę jugosłowiańskich pieniędzy i pojechaliśmy pociągiem do Splitu. Niedługo potem wsiedliśmy na statek do Marsylii we Francji. Tam dołączyliśmy do reszty polskiej armii. Niektórzy przeszli przez Węgry, tak jak ja, inni przez Rumunię, jeszcze inni przez Turcję. Wielu rekrutów było Polakami, którzy mieszkali przed wojną we Francji i pracowali jako górnicy i tak dalej. Szkoliliśmy tych nowych rekrutów. Potem wysłano mnie na północ. Jak wiadomo, Niemcy zaatakowali przez Belgię i Holandię i obeszlą francuską Linie Maginota³.

Pod koniec ewakuacji około 23 tysięcy polskich żołnierzy i cywilów nadal przebywało w obozach dla internowanych na Węgrzech i w Rumunii. Kiedy Niemcy zajęli te dwa kraje w 1941 roku, internowani Polacy zostali albo

uwięzieni, albo wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec. Ci, którzy przeżyli, pozostali w Niemczech aż do końca wojny, kiedy dołączyli do mas przesiedleńców⁴.

Kiedy polscy żołnierze dotarli do Francji, dowiedzieli się, że na mocy artykułu 24. konstytucji kwietniowej z 1935 roku, który w sytuacji wyjątkowej przyznawał prezydentowi prawo do wyznaczenia następcy, powstał tam polski rząd na uchodźstwie. Zgodnie z tym artykułem prezydent Ignacy Mościcki przekazał swoje uprawnienia Władysławowi Raczkiewiczowi, byłemu ministrowi spraw wewnętrznych, mieszkającemu wówczas w Paryżu*. On z kolei mianował generała Sikorskiego, który przyjechał do Francji z Rumunii, premierem i wodzem naczelnym Polskich Sił Zbrojnych. Uzgodniono z rządem francuskim, że polskie jednostki wojskowe i lotnicze będą podlegały w sprawach operacyjnych dowództwu francuskiemu. Polacy przybywali do Francji do maja 1940 roku, albo z Bałkanów, albo z niemieckiej lub radzieckiej strefy okupacyjnej w Polsce. W chwili niemieckiego uderzenia na Francję Sikorski miał pod swoim dowództwem ponad 80 tysięcy żołnierzy i około 7500 członków Polskich Sił Powietrznych. Znaczną ich liczbę stanowili Polacy zatrudnieni we francuskim przemyśle. W bitwie o Francję wzięło czynny udział około 40 tysięcy polskich żołnierzy⁵.

Kiedy francuski i brytyjski opór został przełamany, polscy żołnierze znowu musieli uciekać. Churchill był skłonny pomóc Polakom w przekroczeniu kanału La Manche i około 20 tysięcy polskich żołnierzy przedostało się do Wielkiej Brytanii małymi łodziami z plaż w Dunkierce albo z francuskich portów w La Rochelle, Bordeaux, Bayonne, Breście i St.-Malo⁶.

Weszliśmy na plażę. Ponieważ zbliżali się Niemcy, wskoczyliśmy do wody. Słabo pływam. Angielski kolega dał mi kawałek drewna i z tym drewnem i z pomocą kolegi dotarłem do statku. To było na plażach w Dunkierce. Żeby się tam dostać, musieliśmy przejść około stu dwudziestu kilometrów, ponieważ zabrakło nam benzyny. Ludzie mieli pęcherze na stopach i spośród około dwustu do brzegu dotarło tylko osiemdziesięciu. Może reszta doszła później, ale Niemcy zjawili się tam przed nimi.

*Pierwotnie Mościcki desygnował na prezydenta Bolesława Wieniawe-Długoszowskiego, wówczas ambasadora RP w Rzymie, lecz był zmuszony wycofać jego kandydaturę, gdy Francuzi, nastawieni wrogo do pilsudczyków, zagrozili, że nie uznają żadnego rządu polskiego, który powoła prezydent Wieniawa-Długoszowski (przyp. tłum.).

W każdym razie przesiadłem się z tej małej łodzi na dużą barkę. Spaliśmy na pokładzie i 28 czerwca dopłynęliśmy do Plymouth. Dzień później czy coś koło tego poszliśmy do obozu. Pamiętam, że ludzie mdleli, a ja miałem bardzo obolałe stopy i nie mogłem zdjąć butów. Kazali mi trzymać stopy w wodzie, ponieważ były spuchnięte. Przez kilka dni chodziłem w specjalnych miękkich pantoflach, a później dali mi buty o dwa numery za duże⁷.

Ci polscy żołnierze, którzy nie *zdążyli* ewakuować się z plaż i portów, przeszli do Hiszpanii, gdzie w większości zostali internowani, ale około 3 tysięcy zdołało dotrzeć do Gibraltaru. Kolejne 2 tysiące wypłynęło łodziami z Port Yendres w pobliżu Perpignan. Dwie polskie dywizje, które ugrzęzły we wschodniej Francji, przeszły do Szwajcarii, gdzie żołnierzy potraktowano jak uchodźców. Część z nich wyruszyła tajnymi trasami, korzystając z punktów kontaktowych w nieokupowanej Francji, Hiszpanii, Portugalii i Afryce Północnej, i w końcu dołączyła do polskich jednostek w Wielkiej Brytanii, Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Większość pozostała jednak w Szwajcarii, ponieważ rząd polski chciał zachować dwie nietknięte dywizje do ewentualnych przyszłych operacji⁸. Większość polskich żołnierzy przybywających do Wielkiej Brytanii była wysyłana do Szkocji na odpoczynek i przeszkolenie, a później pełniła służbę w obronie wybrzeża. Ich szeregi zasilili później „Polacy syberyjscy”, głównie ci, którzy zgłosili się do brygady spadochronowej, a także stosunkowo niewielka liczba ochotników z polskich osiedli w Ameryce Północnej i Południowej. Ostatecznie weszli oni w skład I Korpusu Polskiego, liczącego w 1945 roku około 51 tysięcy ludzi, który brał udział w lądowaniu w Normandii i pochodzie wojsk alianckich przez Europę Zachodnią. Spośród w przybliżeniu 8 tysięcy członków Polskich Sił Powietrznych znajdujących się we Francji w czerwcu 1940 roku około 4200 uciekło do Wielkiej Brytanii, gdzie dołączyli do 4 tysięcy innych, którzy przybyli w poprzednim roku z Rumunii, Węgier i państw bałtyckich. Dodatkowi rekruci - uwolnieni przez Stalina - dotarli do Wielkiej Brytanii przez Murmańsk w 1942 roku. Wszyscy oni zostali wcieleni do jednostek Królewskich Sił Powietrznych. Ci, którzy przybyli wcześniej, wnieśli ogromny wkład w bitwę o Anglię, a wszyscy odegrali istotną rolę w późniejszych operacjach powietrznych. Dołączyło do nich w Wielkiej Brytanii około 1500 marynarzy polskiej marynarki wojennej, których liczba wzrosła w 1945 roku do 4 tysięcy. Należy do tego dodać około 3 tysięcy polskich

cywilów, którzy zjawili się na początku lata 1940 roku, głównie członków rodzin personelu wojskowego lub pracowników rządowych⁹. Ten ogólny zarys formowania się polskich jednostek wojskowych w Wielkiej Brytanii jest potrzebny po to, aby ukazać kontekst jednostkowych relacji i osobistych cierpień polskich uczestników tych wydarzeń:

Kiedy znaleźliśmy się w Szkocji, był to dla nas ciężki okres, ponieważ wspominaliśmy swoje rodziny w Polsce. Mój przyjaciel miał w Polsce żonę i dwoje dzieci. Wiele razy chodziliśmy na szkockie wzgórza i płakaliśmy jak dzieci z powodu tego wszystkiego, przez co przeszliśmy. Wspominaliśmy, jak ludzie tonęli w Kanale. Wydawało się to nieludzkie, tragiczne, a nasze serca przepelniała nienawiść do Niemców za to, co nam zrobili, i nie tylko nam, lecz również Brytyjczykom, Francuzom, wszystkim. Nie mogę o tym mówić, ponieważ wciąż jestem wściekły i wytracony z równowagi, że Niemcy zabili tylu ludzi. Miałem brata, który zginął - był marynarzem. Trafił do niemieckiego obozu. Ale nie chciał wstąpić do niemieckiej armii, więc próbowali go zagłodzić. Naprawdę wiele wycierpiał. Pod koniec wojny uciekł z obozu i wyleciał w powietrze na minie. Drugi brat spędził całą wojnę w ukryciu. Później jego żona załamała się nerwowo i umarła. Ktoś zaopiekował się ich dwiema córkami. Byliśmy wściekli i naprawdę chcieliśmy walczyć z Niemcami. Od 1940 roku służyłem w polskiej dywizji pancernej¹⁰.

Po 1940 roku na terytoriach pod brytyjską kontrolą było wielu innych Polaków. Wśród walczących tam jednostek znalazła się Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich na Bliskim Wschodzie, dowodzona przez generała Stanisława Kopańskiego. Ludzie ci uciekli z Polski na Bałkany, a stamtąd do Syrii, francuskiego terytorium mandatowego, gdzie stacjonowali w Bejrucie i Himsie. W momencie hitlerowskiego uderzenia na Francję brygada liczyła ponad 4 tysiące żołnierzy i 485 oficerów. Po upadku Francji brygada opuściła Syrię, gotowa walczyć z wojskami francuskimi, gdyby próbowały ją zatrzymać, i przeszła do brytyjskiego terytorium mandatowego w Palestynie. Po przeszkoleniu została skierowana do obrony Aleksandrii, a później brała udział w obronie Tobruku. Kiedy w 1942 roku żołnierze ewakuowani ze Związku Radzieckiego dotarli na Bliski Wschód, dołączyli do Brygady Karpackiej, by utworzyć wraz z nią nową jednostkę, która w lipcu 1943 roku stała się znana jako II Korpus Polski. Zo- stał on przydzielony do brytyjskiej 8. Armii, ale pod dowództwem generała Andersa. Jego liczebność w trakcie szkolenia wynosiła około 67 tysięcy ludzi¹¹. Pewien oficer rezerwy, którego z powodu wieku uznano za nie-

zdolnego do walki, wspominał niepokój o krewnych w Polsce i Związku Radzieckim, jaki odczuwało wielu jego rodaków.

Po opuszczeniu Persji przez pięć lat mieszkałem w Jaffie w Palestynie. Wystąpiłem z polskiej armii, kiedy uznano, że nic tam po mnie. Zacząłem uczyć w języku arabskim w arabskich szkołach. Nie mogłem wrócić do Polski, a nie znałem innych krajów. Próbowałem skontaktować się z rodziną w Polsce, z żoną, dziećmi i matką. Wreszcie mi się udało. Żona wysłała mi telegram z wiadomością, że wszyscy żyją. Poprosiła mnie, żebym przysyłał im paczki, co wiele razy robiłem. Później dowiedziałem się, co się stało. Moja żona zginęła podczas Powstania Warszawskiego w 1944 roku, w nalocie lotniczym. Niemcy wsadzili dzieci do pociągu, żeby je wywieźć do Niemiec, ale polscy partyzanci zaatakowali pociąg pod Częstochową, uwolnili dzieci i przekonali miejscowych ludzi, żeby się nimi zajęli¹².

Było wielu innych żołnierzy ewakuowanych ze Związku Radzieckiego, którzy nie nadawali się do służby wojskowej z powodu fizycznego wyczerpania i stanu zdrowia, gdyż zarówno w Rosji, jak i na Bliskim Wschodzie nabawili się różnych chorób. Powszechną plagą była malaria. Przeszkolenie i stopienie wielu odrębnych jednostek w skuteczną siłę bojową zajęło trochę czasu, a wielu żołnierzy zmarło z powodu fizycznego wycieńczenia i na skutek chorób. Dopiero w grudniu 1943 roku II Korpus został przerzucony do Włoch. Odegrał tam istotną rolę w wyzwaniu kraju. Wsławił się zwłaszcza zdobyciem niemieckiej fortecy na Monte Cassino, co było wielkim osiągnięciem taktycznym. Pod koniec wojny II Korpus Polski operował na odcinku frontu długości 50 kilometrów. Jego straty w kampanii włoskiej wynosiły 2197 zabitych, 8737 rannych i 264 zaginionych¹³.

W ostatnich miesiącach wojny II Korpus Polski zasilili nowi ochotnicy zza Alp. Byli to polscy dezenterzy z armii niemieckiej i batalionów pracy Todta, wyzwoleni jeńcy wojenni oraz uchodźcy ze Szwajcarii i Niemiec. Na początku kampanii włoskiej zapytano Andersa, skąd weźmie rezerwy do uzupełnienia strat w II Korpusie Polskim. Anders był przekonany, że kiedy korpus dotrze do Włoch, nie zabraknie mu rezerw. Jak się okazało,

miał słuszność. Liczebność korpusu wzrosła z 45 276 ludzi w kwietniu 1944 roku do 75 581 w maju 1945 roku. Większość z 30 tysięcy nowych żołnierzy stanowili poborowi do armii niemieckiej, którzy skorzystali z pierwszej okazji, aby zdezerterować. W grudniu korpus liczył 112 tysięcy ludzi i trzeba było utworzyć specjalne obozy, żeby ich pomieścić¹⁴. Pierwsi polscy dezenterzy z Wehrmachtu dołączyli do jednostek alianckich w Afryce Północnej w latach 1941 i 1942, a jeszcze więcej w Normandii i podczas kampanii włoskiej. Większości pozwolono po prostu zmienić mundur i wstąpić do jednostek polskich. Od końca 1943 do maja 1945 roku do jednostek polskich wcielono około 89 tysięcy ludzi. Większość została powołana przez Niemców do służby wojskowej lub do służby pomocniczej w batalionach pracy i pochodziła z ziem polskich pod okupacją niemiecką. Natomiast ponad osiemdziesiąt procent żołnierzy II Korpusu Polskiego, którzy wylądowali we Włoszech pod koniec 1943 i na początku 1944 roku, pochodziło ze wschodnich regionów Polski znajdujących się wówczas pod okupacją radziecką¹⁵. Pewien dezenter z Wehrmachtu opowiedział typową historię:

Wysłano nas do pilnowania drogi [w Belgii] i powiedziano nam, że czołgi nadejdą z tamtej strony, ale nadeszły z drugiej! Ostrzeliwali nas również snajperzy. Pomyślałem, ty durniu, jestem po twojej stronie. Ale dla niego byłem po prostu Niemcem, jak cała reszta. Kiedy zobaczyliśmy czołgi, powiedziałem innym Polakom: jak Niemcy zaczną się cofać, spotkamy się w tamtym lesie i coś wymyślimy. Kiedy zobaczyłem zbliżające się czołgi z działami wycelowanymi w nasze okopy, zacząłem biec w stronę farmy oddalonej o jakiś kilometr. Wspiąłem się na dwumetrowy mur bez żadnej pomocy i w pełnym oporządzeniu. Poszukałem miejsca, gdzie można by się ukryć, i pozostałem tam aż do rana, kiedy przyszli brytyjscy żołnierze. Oddałem im karabin i amunicję i zabrali mnie. Nie prowadzili mnie pod zbrojną eskortą ani nic w tym rodzaju. Dali mi czekoladę, papierosy i tak dalej. Potem dołączyło do nas paru jeńców niemieckich i zobaczyli, że ja i inni schwytni Polacy zdarliśmy naszywkę i dystynkcję. Byli wściekli. Wy świnie, wy zdraycy, przyjdą wojska niemieckie i zostaniecie rozstrzelani! Po jakimś czasie spędzonym w obozach jenieckich w

Belgii i Szkocji wróciłem w końcu do Niemiec wraz z polskimi żołnierzami¹⁶.

Dziesiątki tysięcy cywilnych polskich uchodźców również znalazło się pod koniec wojny na terytoriach imperium brytyjskiego. Przewieziono ich tam po stosunkowo krótkim pobycie w Iranie. Mieli pozostać przez jakiś czas, zanim wyjadą do Wielkiej Brytanii, by dołączyć do swoich krewnych w Polskich Siłach Zbrojnych. W latach 1943-1944 około 35 tysięcy cywilnych uchodźców przebywało w obozach w brytyjskich dominiach i koloniach albo w Iranie. Trzy takie obozy były w Indiach i blisko dwadzieścia dwa osiedla w Ugandzie, Tanganice, Kenii i Rodezji, w każdym z nich mieszkało od 350 do 4 tysięcy osób. Większość mieszkańców obozów stanowiły kobiety i dzieci oraz nieliczni mężczyźni, zbyt starzy lub niezdolni do służby w polskiej armii. Z pomocą władz kolonialnych Polacy zakładali szkoły, organizacje młodzieżowe, takie jak harcerstwo, i kościoły katolickie. W kilku obozach polscy misjonarze, którzy od lat pracowali w Afryce, zaopatrywali szkoły w książki, pióra i ołówki, papier i angielskie podręczniki. Głównym celem było przygotowanie młodych ludzi do życia w nowym kraju, chociaż uchodźcy mieli nadzieję, że ich pobyt będzie tymczasowy, i zachowywali polską kulturę i tradycje. Większość ludzi spędziła w tych obozach około sześciu lat, zanim przewieziono ich do Wielkiej Brytanii lub do innych krajów, które zgodziły się ich przyjąć. Brytyjski gubernator Tanganiki wydał paternalistyczne prawo chroniące polskie kobiety, „które były prostymi wieśniaczkami”, przed zawieraniem mieszanych małżeństw z Afrykanami lub z Europejczykami, „którzy cieszyli się złą opinią lub nie mieli stałego źródła dochodów”¹⁷.

Najwięcej polskich uchodźców znalazło się w brytyjskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. *Znaczny* procent spośród nich stanowili polscy jeńcy wojenni, przetrzymywani w niemieckich obozach i wyzwoleni przez wojska alianckie posuwające się w głąb Niemiec. Jeńców tych można podzielić na kilka kategorii. Byli wśród nich żołnierze wzięci do niewoli podczas niemieckiej kampanii w Polsce we wrześniu 1939 roku oraz ci, którzy pomagali bronić Francji przed niemiecką inwazją w czerwcu 1940 roku. Byli też internowani z Rumunii i Węgier, którzy nie uciekli na Zachód i zostali uwięzieni bądź wywiezieni do pracy przymusowej w Niemczech w 1941 roku. Ostatnią grupę jeńców wojennych stanowili żołnierze Armii Krajowej walczącej w Powstaniu Warszawskim w sierpniu i wrześniu 1944 roku. Ich liczba, łącznie z wysiedlonymi z Warszawy cywilami, sięgała 67 tysięcy¹⁸. Według szacunkowych obliczeń z sierpnia 1945 roku całkowita liczba polskich jeńców wojennych w strefie brytyjskiej i amerykańskiej

wynosiła około 159 tysięcy. Łącznie około 21 tysięcy polskich jeńców wojennych wstąpiło do jednostek armii polskiej w Niemczech i we Włoszech. Polski rząd w Londynie miał nadzieję wcielić do armii polskiej jak najwięcej jeńców i deportowanych, aby wzmocnić swoją pozycję przetargową pod koniec wojny. Brytyjski gabinet jednak, prowadzący bardziej ostrożną politykę, ograniczył ich liczbę do tych, którzy mogli wnieść użyteczny wkład w wojnę z Niemcami. Brytyjczycy oczekiwali, że reszta polskich jeńców albo zostanie repatriowana, albo znajdzie się w obozach dla przesiedleńców¹⁹. *Znacznie* większy odsetek Polaków w Niemczech stanowili robotnicy przymusowi i więźniowie obozów koncentracyjnych. Niektórzy z nich ugięli się przed groźbami i szantażem urzędów pracy w Polsce, inni byli ofiarami masowych łapanek, jeszcze inni należeli do ruchu oporu. Pod koniec wojny w obozach koncentracyjnych przebywało około 80 tysięcy Polaków²⁰.

Nasza uwaga koncentrowała się do tej pory na uchodźcach polskich. Ale w brytyjskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech znalazło się także, proporcjonalnie do liczby mieszkańców, równie wielu obywateli państw bałtyckich: Litwy, Łotwy i Estonii. Wśród nich też byli jeńcy wojenni, dawni żołnierze Wehrmachtu i robotnicy przymusowi wyzwoleni z obozów. Wielu Bałtów nie zdążyło uciec na Zachód z radzieckiej strefy okupacyjnej i zostało zmuszonych do powrotu do państw bałtyckich lub wywiezionych do łagrów. Największa liczba Bałtów w trzech zachodnich strefach okupacyjnych w Niemczech pojawiła się tam pod koniec 1944 i na początku 1945 roku, kiedy uciekali przed nacierającą Armią Czerwoną. Oblicza się, że około 240 tysięcy Łotyszy, prawie czternaście procent populacji, uciekło z Łotwy, aby uniknąć drugiej okupacji radzieckiej. Taki sam odsetek ludności Wielkiej Brytanii wyjeżdżającej z kraju sięgałby ośmiu milionów. Najprawdopodobniej uciekłoby znacznie więcej ludzi, ale zbyt długo zwlekali, a później Rosjanie zamknęły granice. Co najmniej połowa spośród 240 tysięcy uciekinierów z Łotwy wpadła w ręce Armii Czerwonej i nie zdołała dotrzeć na *Zachód*²¹.

Kiedy latem 1944 roku dowiedzieliśmy się, że Niemcy cofają się przed wojskami radzieckimi, postanowiliśmy wyjechać i 23 września 1944 roku opuściliśmy swoją leśniczówkę. Jechaliśmy konnymi wozami i na rowerach i 1 października 1944 roku dotarliśmy w okolice Rygi. Była jesień. Po drodze widzieliśmy wiele opuszczonych gospodarstw, zboże zostało zżęte i zebrane, ale nie wymłócone. Było mnóstwo warzyw i owoców. Wydawało się, że nie brakuje jedzenia. Łotewscy chłopcy magazynowali wszystko na zimę, więc nie cierpieliśmy głodu. Jeśli chodzi o pieniądze, nie wydawaliśmy dużo, bo nie było na co wydawać. Październik spędziliśmy w pewnym domu w zachodniej części kraju [w Kurlandii], a później, 1 listopada, mój ojciec dostał w okolicy posiadłość leśniczego. Ale ponieważ dwa razy ograbili nas radzieccy partyzanci, postanowiliśmy opuścić Łotwę. Czternastego grudnia wsiedliśmy w Yentspils (Windawie) na statek, po drodze przeżyliśmy bombardowanie w Lipawie i 18 grudnia dotarliśmy do Niemiec. Przygnębiała nas myśl, że opuszczamy Łotwę, patrzyliśmy na płonąca Lipawę i uroniliśmy kilka łez. Potem spróbowałem pomyśleć spokojnie o naszej sytuacji, o tym, dokąd jedziemy i jacy tam będą ludzie. Ale wszyscy mieliśmy po jednej głowie, dwie ręce, dwie nogi, a ja widywałem już wcześniej Niemców i pomyślałem, że jakoś tam będzie. Było nam bardzo smutno, moi rodzice prawie się nie odzywali²².

Rodzina Pocsów odbyła podobną podróż, docierając najpierw do zachodniej części Łotwy, gdzie zatrzymała się na dwa miesiące. Kiedy Pocsowie dowiedzieli się, że wojska radzieckie zablokowały lądową drogę ucieczki wsiedli na niemiecki statek, przewożący rannych żołnierzy do Gdańska. Mieli szczęście podróżować razem z inną rodziną, która wcześniej zarządzała mleczarnią i dzięki temu mogła zapewnić sobie po drodze różne przysługi w zamian za masło. W ten sposób dostali się na statek, kupili bilet) kolejowe z Gdańska do Berlina, a później bilety do Oldenburga na północ od Hamburga. Wymieniali również masło na jedzenie²³.

Inna rodzina wybrała niebezpieczną trasę lądową z Łotwy do Niemiec i szczęśliwie przeżyła. Dwudziestego trzeciego września złapali ostatni pociąg z Rygi, niecały dzień przed wkroczeniem wojsk radzieckich. Dziewiątego października wyruszyli pociągiem do Lipawy, gdzie mieli nadzieję dostać się na statek. Kiedy okazało się to niemożliwe, wsiedli do pociągi zarezerwowanego dla wojska.

Udało nam się to, ponieważ była z nami lekarka, której mąż służył w wojsku. Przejechaliśmy przez Litwę, gdzie zostaliśmy zbombardowani, a unieruchomiona tylna część pociągu wpadła w ręce Rosjan. Byliśmy w przedniej części i mogliśmy pojechać dalej. Kilka razy ostrzelały nas przelatujące nisko rosyjskie samoloty. W końcu wysiedliśmy z pociągu

w lesie, w pobliżu niemieckiej jednostki wojskowej. Ponieważ zbliżali się Rosjanie, musieliśmy znaleźć jakiś sposób, żeby ruszyć w dalszą drogę. Jeden sierżant powiedział, że chociaż nie ma szans, żebyśmy przeżyli, ukryje nas w ciężarówkach, które jadą na zachód. Niemcy wysyłali wszystkie pojazdy i sprzęt z powrotem do Niemiec, a my położyliśmy się na ciężarówkach pod kocami, dzieci też. Pewnej nocy był straszliwy nalot lotniczy, myśleliśmy, że nigdy się nie skończy. Ale udało nam się przeżyć i jechaliśmy dalej tuż przed nacierającymi Rosjanami²⁴.

W końcu dotarli do Niemiec i spotkali amerykańskich żołnierzy, którzy pomogli im dostać się do Bremy.

Trudno ustalić dokładną liczbę Łotyszy, którzy znajdowali się w zachodnich strefach okupacyjnych, kiedy Niemcy skapitulowały. Według Put-ninsa było ich około 120 tysięcy, uchodźców, robotników przymusowych, żołnierzy Legionu Łotewskiego i więźniów obozów koncentracyjnych, a także tych Łotyszy, którzy mieli niemieckich przodków i na początku wojny wyemigrowali do Niemiec. Jeńcy wojenni byli głównie żołnierzami 15. Dywizji Legionu Łotewskiego pod niemieckim dowództwem. Walczyli pod Leningradem i osłaniali odwrot armii niemieckiej ze Związku Radzieckiego przez Łotwę. Pod koniec 1944 roku resztki dywizji zostały przerzucone na Pomorze w celu przegrupowania i uzupełnienia strat²⁵. Pewien łotewski poborowy opisał, co się wydarzyło:

Czwartego listopada 1943 roku zostałem powołany do wojska, a 1 grudnia znalazłem się w Rosji. Służyłem w łotewskiej jednostce pod niemieckim dowództwem. Były dwie dywizje, 15., w której walczyłem pod Leningradem, i 19. Kiedy w 1944 roku wycofywaliśmy się z Rosji, nasza dywizja straciła tylu ludzi, że kiedy

odesłano ją do Niemiec w celu przegrupowania, trzeba było powołać nowych młodych rekrutów. Dywizja została podzielona, jeden pułk wysłano do Berlina i dowodził nim niemiecki major. Żołnierze tego pułku już tam zostali i Rosjanie wzięli ich do niewoli, kiedy zdobyli Berlin. Dowódcą mojego pułku był Łotysz. Zebrał cały pułk i powiedział: „Wojna jest przegrana, nic tu po nas, możemy tylko zginąć albo dostać się do niewoli, ruszamy więc na front zachodni”. Nie mieliśmy żadnych środków transportu, maszerowaliśmy nocami. Na jednym skrzyżowaniu dróg natknęliśmy się na dwudziestu żandarmów, którzy mieli prawo strzelać. Podeszli do nas z karabinami maszynowymi, a nasz pułkownik wyszedł do nich. Powiedzieli, że musi pójść z nimi, ale on odparł: „Jeśli się rozejrzycie, zobaczycie, że wojna skończy się w ciągu kilku dni. Jeśli chcecie zginąć, zabierzecie ze sobą kilku z nas, ale wy też będziecie martwi. Wybierajcie”. Powiedzieli: „W porządku, nie widzieliśmy was”. W końcu przeszliśmy przez niemieckie linie i poddaliśmy się Amerykanom²⁶.

Estończycy uciekający przed Rosjanami wybierali nieco inne trasy niż Łotysze. Znaczna liczba Estończyków uciekła drogą morską do Szwecji, „posługując się łodziami różnych typów i rozmiarów”. Minio to w Niemczech znalazło się znacznie więcej uchodźców z Estonii niż w Szwecji. Szacunkowa liczba estońskich uchodźców w Szwecji waha się od 25 tysięcy do 28 tysięcy plus około 6500 przedstawicieli szwedzkiej mniejszości w Estonii. Kahlk ocenia, że 1 października 1946 roku liczba Estończyków w obozach dla przesiedleńców w Niemczech i w Austrii wynosiła 32219 oraz około 6 tysięcy w obozach jenieckich i 4 tysiące robotników przymusowych. Tysiące Estończyków straciło życie po drodze, ponieważ Rosjanie bombardowali pociągi i zatapiaли statki z uchodźcami na Bałtyku²⁷. Pewna estońska rodzina dotarła pociągiem przez Łotwę i Litwę do Gdańska, skąd zabrano ją do starych koszar wojskowych w Brandenburgu. Ojciec pracował przez jakiś czas jako strażak w fabryce Opla, która była ustawicznie bombardowana przez Brytyjczyków i Amerykanów.

Spędziliśmy tam krótki czas, a później znowu musieliśmy uciekać, ponieważ Rosjanie zbliżali się od wschodu. Przełożeni w fabryce Opla powiedzieli, że musimy uciekać, bo Rosjanie nas zabiją albo deportują za to, że uciekliśmy z Estonii. W oczach władz radzieckich byliśmy obywatelami radzieckimi. Po prostu wsiedliśmy do pociągu. Nikt nie pytał o dokumenty, nikt nie pytał o pieniądze, i zaczęliśmy uciekać na zachód jak wszyscy nasi rodacy. Dojechaliśmy do Hamburga. Tam zaczęło się bombardowanie. Bombardowali Anglicy. Wtedy właśnie zginęła moja matka. Tam się zatrzymaliśmy. Musieliśmy ją pochować. Potem poszliśmy do wielkiego niemieckiego gospodarstwa rolnego. Przyjmowali wszystkich, którzy uciekli przed Rosjanami. Wielu ludzi spało w szopach, wszędzie, gdzie było miejsce. I znowu jednej nocy byli tam Niemcy, a kiedy obudziliśmy się następnego ranka, już byli tam Brytyjczycy. Był tam mój ojciec, ja i mój młodszy brat. Nasza rodzina została

rozdzielona; jednego brata schwytali Rosjanie, drugiego wywieziono do Niemiec i nie mieliśmy pojęcia, co się z nim stało²⁸.

Większość estońskich jeńców wojennych służyła w armii niemieckiej, zanim dostali się do niewoli. Pewien młody człowiek był w estońskim batalionie przerzuconym z Danii do obrony Berlina w kwietniu 1945 roku:

Pociąg był wielokrotnie atakowany przez samoloty. Mieliśmy estońskiego dowódcę batalionu, który kazał nam wysiąść z pociągu, zanim dojechaliśmy do Berlina, i pomaszerowaliśmy na zachód, a co trzy kilometry dowódca pisał nowy rozkaz wymarszu dla batalionu, gdyby więc zatrzymała nas niemiecka żandarmeria wojskowa, moglibyśmy po prostu powiedzieć, że idziemy z jednej wioski do drugiej. Chodziło o to, żeby posuwać się stale na zachód, dopóki nie napotkamy wojsk amerykańskich. Pułkownik postanowił, że nie dopuści do tego, aby tych czterystu chłopaków zginęło. Miliony ludzi ciągnęło na zachód, drogi były po prostu zatłoczone ludźmi, niektórzy mieli wozy i konie, ale większość szła. W końcu spotkaliśmy Amerykanów i zaprowadzono nas na wielkie pole, gdzie było ze 30 tysięcy jeńców wojennych, głównie Niemców²⁹.

Ale nie wszyscy estońscy jeńcy wojenni walczyli po stronie Niemców. Pewien człowiek został wcielony do

Armii Czerwonej w 1941 roku i ostatecznie znalazł się w tej grupie wojsk radzieckich, która w 1944 roku wkroczyła do północnej Estonii. Po przekroczeniu rzeki pod Narwą spotkał rodaka, z którym pracował przed wojną. Tamten powiedział: „Cześć, jak się miewasz?”. Był w niemieckim mundurze. „Nasi chłopcy wzięli go do niewoli”. Ale niebawem narrator sam poddał się Niemcom na jednej z estońskich wysepek, spędziwszy wcześniej osiem godzin w wodzie. Kiedy wyszedł z wody, żeby się poddać, oczekiwał kuli w plecy, co było normalną radziecką praktyką. Przewieziony do Niemiec, znalazł się w obozie jenieckim pełnym Rosjan. Pewnej nocy, kiedy zbliżały się wojska alianckie, ukrył się z kolegami w zaroślach i próbował przekroczyć rzekę, żeby dotrzeć do Brytyjczyków. Kula przeszła mu czapkę, przechodząc tuż nad głową. W końcu dotarł do brytyjskich linii.

Każdy mógł rozpoznać w nas jeńców, ponieważ byliśmy w łachmanach i strzępach mundurów wojskowych. Po prostu zabrali nas na tyły. Nikt nie zadawał żadnych pytań. I tak zresztą nie znali języka. Traktowali nas jak Rosjan. W wojsku nauczyliśmy się trochę mówić po rosyjsku, ale w swojej jednostce rozmawialiśmy po estońsku³⁰.

Liczbę obywateli litewskich w zachodnich strefach okupacyjnych w Niemczech pod koniec wojny ocenia się na około 60 tysięcy, z czego 50 tysięcy stanowili uchodźcy, którzy uciekli latem 1944 roku. Na resztę składali się więźniowie obozów koncentracyjnych, ludzie „repatriowani” na początku wojny do Niemiec ze względu na niemieckie pochodzenie, robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni walczący w armii niemieckiej. Krisciunas twierdzi, że wielu Litwinów opuściło Litwę w drugiej połowie 1944 roku, lecz zostali odcięci przez Armię Czerwoną w Polsce i w Niemczech Wschodnich i nigdy nie dotarli na Zachód³¹. Całkowitą liczbę obywateli państw bałtyckich w zachodnich strefach okupacyjnych w Niemczech w chwili niemieckiej kapitulacji szacuje się zwykle na około 200 tysięcy, ale mogło ich być nawet 220 tysięcy, jeśli powyższe dane są dokładne. Spośród nich około 19 tysięcy Bałtów, którzy znaleźli się w strefie brytyjskiej, służyło w Wehrmachcie.

W zachodnich strefach Niemiec znalazło się łącznie pod koniec wojny około sześciu milionów przesiedleńców. Ta ogromna liczba uchodźców była wielkim ciężarem dla wojsk okupacyjnych. Alianci chcieli doprowadzić do tego, aby jak najwięcej z nich możliwie szybko wróciło do swoich ojczyzn. Około trzech milionów przesiedleńców z obywatelstwem francuskim i belgijskim zostało repatriowanych błyskawicznie, a dwa miliony obywateli radzieckich, przebywających w zachodnich strefach Niemiec i Austrii, przewieziono do Związku Radzieckiego przed końcem 1945 roku. Powrót obywateli radzieckich był konsekwencją porozumień zawartych w lutym 1945 roku w Jałcie i dotyczących wymiany jeńców wojennych i cywilów pomiędzy aliantami pod koniec wojny. Po tych repatriacjach w zachodnich strefach okupacyjnych wciąż pozostało ponad milion przesiedleńców i jeńców wojennych, głównie Polaków i Bałtów. Ludzie ci stwarzali ogromny problem dla aliantów i rzutowali na powojenne stosunki pomiędzy Związkiem Radzieckim a mocarstwami zachodnimi.

Z punktu widzenia Kremla sytuacja była zupełnie jasna. Przesiedleńcy, którzy mieszkali na Ukrainie Zachodniej i Białorusi Zachodniej po zajęciu tych obszarów przez wojska radzieckie we wrześniu 1939 roku, byli obywatelami radzieckimi i powinni wrócić do Związku Radzieckiego zgodnie z porozumieniem jałtańskim. To samo dotyczyło przesiedleńców

bałtyckich, którzy byli mieszkańcami republik bałtyckich po przyłączeniu tych państw do Związku Radzieckiego latem 1940 roku. Gdyby ci ludzie nie chcieli wrócić dobrowolnie, dowodziła strona radziecka, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania powinny skłonić ich do tego siłą. Moskwa sięgała po różne argumenty, starając się nakłonić aliantów do ich repatriacji. Związek Radziecki, utrzymywała, ma prawo decydować o losie własnych obywateli. Zatrzymując ich, alianci udzielają schronienia zbrodniarzom wojennym, którzy powinni wrócić do Związku Radzieckiego, aby ponieść zasłużoną karę. Co więcej, obozy dla uchodźców stają się ośrodkami antykomunistycznej propagandy. A poza wszystkim innym, Zachód posługuje się przesiedleńcami jako tanią siłą roboczą dla własnej korzyści³².

Alianci zachodni byli podatni na te argumenty, przynajmniej do czasu. Starali się prowadzić politykę współpracy ze Związkiem Radzieckim, w takim zakresie, w jakim to możliwe, zwłaszcza że potrzebowali radzieckiej pomocy w toczącej się jeszcze wojnie z Japonią. W maju 1945 roku Naczelne Dowództwo

Alianckich Sił Ekspedycyjnych w Europie (SHAEF) zdecydowało, że obywatele radzieccy uznani za takich przez radzieckie władze repatriacyjne mają być repatriowani siłą. Stwarzało to zagrożenie dla Polaków i Bałtów pochodzących z obszarów zajętych pod koniec wojny przez Armię Czerwoną. Generał Eisenhower, naczelny dowódca alianckich wojsk ekspedycyjnych w Europie, uważał, że jeśli w Niemczech ma powstać stabilny wspólny rząd, Zachód powinien rozwiać radzieckie podejrzania. Przyczyni się do tego powrót przesiedleńców, o których upomina się strona radziecka. Ale co jeszcze istotniejsze, Amerykanie i Brytyjczycy obawiali się, iż bez współpracy w tej dziedzinie Rosjanie mogą odmówić repatriowania amerykańskich i brytyjskich jeńców wojennych wyzwolonych przez wojska radzieckie w Polsce i w radzieckiej strefie Niemiec.

Istniały jednak mocne argumenty przeciw. Ci, którzy uczestniczyli w repatriacji około dwóch milionów obywateli radzieckich, zdawali sobie sprawę, ilu spośród nich jest nastawionych zdecydowanie wrogo do systemu radzieckiego i słusznie obawia się o własne życie, jeśli zmusi się ich do powrotu. Wielu z nich mieszkało na Zachodzie od klęski „białych” w rosyjskiej wojnie domowej po rewolucji bolszewickiej i w ogóle nie powinno zostać repatriowanych. Niektórzy byli obywatelami państw trzecich, takich jak Jugosławia. W porywie rozpaczy wielu popełniało samobójstwo lub dokonywało samookaleczeń, żeby nie wracać. Czasami alianci uciekali się do siły i oszustwa, aby posłać opornych do więzień, łagrów lub na egzekucję. Najbardziej znanymi „ofiarami Jałty”, by posłużyć się określeniem Nikołaja Tołstoja, byli Kozacy, którzy sprzymierzili się z Niemcami przeciwko Rosjanom. Alianci zachodni musieli rozstrzygnąć palącą kwestię, czy Polacy ze wschodniej Polski i Bałtowie również powinni zostać repatriowani siłą³³.

Obie grupy doskonale zdawały sobie sprawę, że to właśnie może je spotkać. Ich obawy wyrażało na przykład litewskie wydawnictwo na obczyźnie:

Litwini, którzy tyle wycierpieli, nie mają wolnej ojczyzny, do której mogliby wrócić. Ich obecna sytuacja też jest niepewna i nie ma żadnej gwarancji, że Amerykanie i Anglicy nie sprzedadzą ich w nową niewolę³⁴.

Wiele czynników przesądziło o tym, że uniknęli przymusowej repatriacji. Przede wszystkim było ich bardzo wielu. Żeby zmusić do wyjazdu wszystkich tych ludzi, którzy przezornie nie chcieli wyjeżdżać, trzeba by użyć znacznych sił, co wywołałoby skandal. Wiedzano powszechnie, że uchodźcy są autentycznie przerażeni perspektywą powrotu do krajów zdominowanych przez Moskwę i że można ich do tego nakłonić tylko pod lufami karabinów. Alianccy żołnierze musieliby się zatem podjąć wyjątkowo odrażającego zadania, które budziło tym większe obiekcje, im bardziej rosło napięcie związane z zimną wojną. Co więcej, przymusowa repatriacja naruszała tradycję udzielania azylu i ochrony praw jeńców wojennych. Najważniejszym dla aliantów zachodnich argumentem było to, że polscy uchodźcy, którzy przed wojną mieszkali na Kresach Wschodnich i byli obywatelami polskimi, nie stali się automatycznie obywatelami radzieckimi w rezultacie wymuszonej zmiany granic. To samo dotyczyło uchodźców bałtyckich, którzy również byli obywatelami niepodległych państw. Jednoznaczna w tonie dyrektywa, wydana przez SHAEF w maju 1945 roku, stwierdzała, iż rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych „nie uznały żadnych zmian terytorialnych spowodowanych przez wojnę i że mieszkańcy takich obszarów nie będą przesiedlani w swoje rodzinne strony ani traktowani jak obywatele radzieccy, jeśli nie zadeklarują radzieckiego obywatelstwa”. W październiku znalazło to potwierdzenie w kolejnym dokumencie SHAEF, stanowiącym, iż przymusowa repatriacja jest dopuszczalna tylko wobec osób, które były obywatelami radzieckimi przed 1 września 1939 roku. Oznaczało to rzecz jasna, że Polacy ze wschodniej Polski i Bałtowie nie podpadają pod kategorię obywateli radzieckich³⁵.

Generalnie, jeśli ktoś utrzymywał, że nie jest obywatelem radzieckim, stwierdzenie takie uznawano za wiążące, chyba że można było dowieść

jego nieprawdziwości³⁶. W październiku 1945 roku generał Eisenhower zakazał przymusowej repatriacji w strefie amerykańskiej, a marszałek polny Alexander odmówił wyłączenia Polaków z II Korpusu Polskiego spod swojego dowództwa, jak domagali się tego Rosjanie. Ale Polaków i Bałtów w obozach dla przesiedleńców w Niemczech wciąż dręczyły niepokój i niepewność, chociaż w lutym 1946 roku Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych uchwaliło rezolucję, stwierdzającą, iż „żadni

uchodźcy, którzy [...] wyrazili uzasadnione zastrzeżenia co do powrotu do krajów ojczystych [...] nie będą zmuszani do powrotu...". W 1946 roku Biuro Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (UNRRA), które odpowiadało za administrowanie obozami dla przesiedleńców w zachodnich strefach Niemiec, wydało zarządzenie wzywające do jak najszybszej repatriacji przesiedleńców. Biuro proponowało izolować tych, którzy zniechęcali innych przesiedleńców do powrotu, i oferowało pomoc materialną dla tych, którzy chcieli być repatriowani. Zarządzenie wywołało tyle protestów, że szybko je wycofano. Pokazało jednak przesiedleńcom ze wschodniej Polski i państw bałtyckich, że wciąż wisi nad nimi cień repatriacji³⁷.

Głównym powodem niechęci do powrotu były nienawiść i strach przed radzieckim komunizmem. Wynikały one z pobudek politycznych, religijnych i ekonomicznych. Niemal wszyscy przesiedleńcy żyli i cierpieli pod rządami komunistycznymi i stracili bliskich i przyjaciół, uwięzionych, zgładzonych bądź wywiezionych do łagrów. Co więcej, ci Bałtowie, którzy służyli w Wehrmachcie, nie spodziewali się po powrocie litości ze strony władz radzieckich, nawet jeśli wcielono ich do wojska siłą. A w każdym razie musieliby po powrocie do domu przyjąć radzieckie obywatelstwo, co było dla nich bluźnierstwem. Ich doświadczenia pod radziecką okupacją w pierwszych latach wojny nie zachęcały do powrotu. W dodatku, z krajów bałtyckich przychodziły wieści o wznowieniu deportacji. Powracających uchodźców niemal na pewno spotkałby taki los.

Polacy pochodzący z obszarów Polski pod okupacją niemiecką mogli przynajmniej wrócić do państwa polskiego, choć zdominowanego przez Moskwę. Nie wszyscy chcieli jednak wracać:

Uświadomiłem sobie, że Rosjanie ustanawiają w Polsce własne porządki. Niektórzy polscy żołnierze wracali do Polski, ponieważ mieli tam rodziny, ale nie wiedzieli, czy będzie wolna Polska, czy nie. Ja też miałem rodzinę, matkę i dwie siostry. Była to dla mnie trudna decyzja, ale słyszałem dużo, zbyt dużo, o tym, jacy są Rosjanie - pomyślałem więc, że poczekam i zobaczę, czy coś się zmieni. Nic się nie zmieniło. Poza tym po śmierci matki i tak nie chciałem jechać. Moja żona też nie wróciłaby do Polski. Mieszkała pod Lwowem we wschodniej Polsce. Nie mogła wracać. I nie miała tam żadnej rodziny. Rosjanie wywieźli jej rodzinę do Związku Radzieckiego w 1941 roku³⁸.

Niektórzy wracali i ponownie wyjeżdżali. Znalazszy się z powrotem w Niemczech, składali relacje z pierwszej ręki na temat rządów komunistycznych, w tym aresztowań części repatriantów. We wrześniu 1945 roku wyższy oficer brytyjski zameldował, że trzech na czterech Polaków, którzy pojawili się ostatnio w obozach dla przesiedleńców w strefie brytyjskiej, wróciło po wojnie do Polski, lecz uznało panujące tam warunki za nieznośne. Rosyjscy żołnierze włóczyli się po wsiach, rabując do woli, a ukrywający się w lasach partyzanci toczyli z nimi zacięte walki. Zabójstwa i gwałty były na porządku dziennym, a żywności brakowało i była bardzo droga. Brakowało też węgla i nic nie wskazywało, by sytuacja pod tym względem miała się w najbliższej przyszłości poprawić. Co więcej, eskalacja zimnej wojny oznaczała, że dobre stosunki pomiędzy niegdysiejszymi sojusznikami są mało prawdopodobne³⁹.

Tymczasem przedstawiciele byłego rządu w Londynie, który alianci przestali uznawać w lipcu 1945 roku, działali w niemieckich obozach dla przesiedleńców aż do wiosny 1946 roku i zniechęcali Polaków do powrotu do kraju. W ich interesie leżało zatrzymanie na Zachodzie możliwie największej liczby Polaków, zarówno po to, by zwiększyć tamtejszy polski elektorat, jak i po to, by zachować polską kulturę i tradycje. Niektórzy oficerowie również wierzyli, że w zimnowojennym świecie polska armia na Zachodzie może jeszcze odegrać ważną rolę, jeśli komunizm w Europie Wschodniej zacznie się kruszyć. Wśród żołnierzy II Korpusu Polskiego, którzy pochodzili ze wschodniej Polski i przeżyli zesłanie na Syberię, panował bardzo silny duch koleżeństwa. „Jesteśmy jedną wielką rodziną - oświadczył generał Anders w rozkazie do swoich podkomendnych - która nie powstała drogą przymusu, ale wojennego związania się w służbie dla wspólnej sprawy, i taką rodziną, związaną dobrowolnie zadzierzgniętymi więzami, chcemy pozostać". We Włoszech korpus prowadził działalność edukacyjną i kulturalną, publikował broszury i zachowywał silną świadomość polityczną. Dla większości jego

żołnierzy powrót do niedemokratycznej Polski, którą bezprawnie pozbawiono ziem wschodnich, byłby równoznaczny z wyparciem się najgłębszych przekonań⁴⁰. Spośród tych, którzy wyszli ze Związku

Radzieckiego i byli w korpusie od chwili swego uwolnienia, zaledwie 310 zgłosiło się do repatriacji. Ale jeśli uwzględnić tych, którzy wstąpili do korpusu po jego lądowaniu we Włoszech i którzy pochodzili głównie z zachodnich rejonów Polski, spośród 112 tysięcy żołnierzy będących w szeregach korpusu pod koniec maja 1945 roku 14 tysięcy ludzi chciało wrócić. Znalazł tu swoje odzwierciedlenie podział na tych, którzy doświadczyli rządów radzieckich, i tych, którzy ich nie doświadczyli⁴¹. Świadczy o tym następujący wywiad:

Pozwolono mi zdecydować, czy chcę wracać do Polski z II Korpusu. Nie chciałem wracać. Nikt w wojsku polskim nie powiedział nam wprost, że byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy nie wrócili - żaden oficer, na przykład. Ale polska gazeta była temu przeciwna. Były też występy dla wojska z udziałem aktorów, i chociaż nie wywierano na nas żadnej presji, ogólna atmosfera była taka, że powinniśmy zostać. W tym czasie w polskiej armii we Włoszech były dwie grupy [żołnierzy]. Pierwsza grupa wstąpiła do polskiej armii w Rosji albo na Bliskim Wschodzie. Do drugiej grupy należeli ci, którzy zostali powołani do armii niemieckiej, a później dostali się do niewoli albo zdezerterowali. Bardzo dużo ludzi z drugiej grupy wróciło do Polski. Pewnie dlatego, że nie doświadczyli sowieckich rządów. Ale ci z nas, którzy byli w Rosji, nie ufali rosyjskim obietnicom. Bardzo niewielu z tych, którzy byli w Rosji, wróciło⁴².

Większość polskich żołnierzy w Niemczech i w Wielkiej Brytanii miała jednak domy w zachodniej Polsce, nastąpił więc znaczący wzrost liczby powracających jesienią 1945 roku i przez cały 1946 rok. Pod koniec lata 1945 roku liczba polskich przesiedleńców w zachodnich strefach Niemiec była najwyższa i wynosiła 1055 000. Spadała stopniowo w ciągu następných osiemnastu miesięcy, tak więc do grudnia 1946 roku pozostało ich jedynie 272 712. Spośród przebywających w Wielkiej Brytanii żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych około 86 tysięcy, prawie połowa, zostało repatriowanych do Polski⁴³. Był to dramatyczny i nieoczekiwany wzrost. Co go spowodowało? Wynikał z połączenia czynników odpychających i przyciągających. Do czynników odpychających można zaliczyć tęsknotę za domem, warunki panujące w obozach dla przesiedleńców i zwykle bardzo ograniczone moż-

liwości znalezienia nowego domu w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych lub innych częściach świata. Był to bolesny wybór pomiędzy wyrzeczeniem się ojczyzny i osiedleniem się na stałe w obcym i nieznanym kraju a powrotem do Polski i bardzo problematyczną przyszłością. Do czynników przyciągających należała perspektywa wolnych i uczciwych wyborów w 1947 roku, dokooptowanie do Rządu Tymczasowego kilku niekomunistów, takich jak Stanisław Mikołajczyk, były premier polskiego rządu na uchodźstwie, nieznaczna poprawa sytuacji gospodarczej w Polsce oraz fakt, że większość polskich przesiedleńców stanowili stosunkowo biedni chłopi i robotnicy przemysłowi, którzy mogli mieć nadzieję na egalitarną politykę ekonomiczną i społeczną pod rządami komunistycznymi lub reformi-stycznymi.

Dla porównania, prawie nikt spośród uchodźców bałtyckich nie wrócił. Prawie połowę z nich stanowili dobrze wykształceni przedsiębiorcy, przedstawiciele wolnych zawodów, naukowcy, urzędnicy i zamożni chłopi. Mogli się spodziewać konfiskaty majątku, być może uwięzienia lub deportacji, a gdyby udało im się uniknąć tego losu, ograniczenia swobody w pracy intelektualnej⁴⁴.

Na szczęście rząd brytyjski nie wywierał na nich silnych nacisków, aby wracali do swoich ojczyzn. Pod koniec wojny dygnitarze w Londynie doskonale zdawali sobie sprawę, że „przynależność państwowa tych Bałtów jest nierozstrzygniętą kwestią pomiędzy Rosjanami a nami”. W maju i czerwcu 1945 roku zgodzili się, iż rząd brytyjski powinien odesłać tylko tych, którzy sobie tego życzą; reszta miała pozostać pod nadzorem brytyjskich władz okupacyjnych, dopóki nie zapadnie decyzja o ich dalszym losie. Urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych rozważali ewentualne *guidpro quo*: czy w zamian za uznanie inkorporacji państw bałtyckich do Związku Radzieckiego nie można by wprowadzić rozróżnienia pomiędzy obywatelami bałtyckimi, którzy wyjechali za granicę podczas pierwszej okupacji radzieckiej w czerwcu 1940 roku, a tymi, którzy zdecydowali się na to dopiero w 1944 roku. Ci ostatni mogliby być uważani za obywateli radzieckich i podlegać repatriacji na mocy porozumień jałtańskich. Tę możliwość odrzucił we wrześniu 1945 roku Thomas Brimelow z Departamentu Północnego MSZ. Nawet gdyby Londyn uznał legalność inkorporacji, oświadczył, nie powinien się zgadzać na repatriację osób, które tego nie chcą. Wyjątkiem od tej reguły, jak argumentował jeden z urzędników, powinni być obywatele państw bałtyckich schwytani w niemieckich mundurach,

ponieważ niemożliwe jest rozróżnienie pomiędzy ochotnikami a poborowymi. Takie rozwiązanie przyjął rząd szwedzki, odsyłając w styczniu 1946 roku do radzieckich republik bałtyckich 167 Bałtów, którzy służyli w Wehr-machcie. Na szczęście dla bałtyckich uchodźców w strefach okupacyjnych aliantów zachodnich w Niemczech decyzję o ich przyszłości podjął marszałek polny Montgomery, który rozwiązał ich jednostki i umieścił byłych żołnierzy w obozach dla przesiedleńców. To rozproszyło obawy Bałtów walczących po stronie niemieckiej, ale z pewnością pozwoliło też kilku domniemanym zbrodniarzom wojennym uniknąć odpowiedzialności, jak zobaczymy w rozdziale następnym⁴⁵.

Pod koniec wojny uchodźcy żywili nadzieję, iż będą mogli wrócić do swoich domów. Znaczna ich liczba odmówiła powrotu do krajów rządzonych przez komunistów. Wierzyli jednak, że władza komunistyczna upadnie pod naciskiem Zachodu i że powojenny układ zapewni samostanowienie państwom wschodnioeuropejskim. „Kiedy Rosjanie zajęli Łotwę, myśleliśmy, że później wycofają się do Rosji i będziemy mogli wrócić, ale tak się nie stało”, jak ujął to jeden z emigrantów. W 1947 roku, kiedy stosunki pomiędzy Związkiem Radzieckim a mocarstwami zachodnimi były już bardzo napięte, bałtyccy uchodźcy wierzyli, iż państwa bałtyckie odzyskają niepodległość w wyniku wojny pomiędzy niegdysiejszymi sojusznikami⁴⁶. Uchodźcy przeceniali zarówno słabość Rosjan, jak i gotowość aliantów do obalenia komunizmu. Przywiązywali zbyt wielkie znaczenie do Karty Atlantyckiej i do odmowy uznania przez aliantów zachodnich inkorporacji państw bałtyckich do Związku Radzieckiego. „Zasady [Karty Atlantyckiej] - zauważył pewien Litwin - są nam bardzo bliskie. Zasady te zostały przyjęte przez Narody Zjednoczone na konferencji w San Francisco. Obecnie oczekujemy wcielenia ich w życie [...] Możemy oczekiwać, że Deklaracja Atlantycka zostanie w pełni zrealizowana i będzie służyć jako drogowskaz w życiu narodów...”⁴⁷. W konsekwencji uchodźcy zakładali, że ich pobyt na Zachodzie będzie tymczasowy, ale dopóki tam są, powinni dokładać wszelkich starań, aby zachować swoją narodową kulturę i język, zwłaszcza wśród młodych ludzi, których należy przygotować do życia po powrocie. Zatem w obozach dla przesiedleńców w Niemczech, w osiedlach w Afryce, w garnizonach wojskowych w Niemczech i we Włoszech oraz w hospicjach i obozach zakładanych dla pierwszych uchodźców w Wielkiej Brytanii realizowano wszechstronne programy kulturalne i edukacyjne, tworzone parafie, organizowano kursy zawodowe i uczono młode kobiety prac domowych. Powstawały ludowe zespoły tańca, kółka dramatyczne i chóry.

Uchodźcy uważali również, że nawet jeśli będą musieli zostać na Zachodzie przez kilka lat, wykształcenie, jakie zdobędą, zwłaszcza nauka języka, pomoże im przystosować się do warunków życia w ich nowych domach. Wielu nie chciało wyjeżdżać z Europy do Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii czy Ameryki Łacińskiej, ponieważ geograficznie i duchowo chcieli pozostać blisko ojczyzny. Ale nawet ci, którzy wyjechali dalej, wciąż mieli nadzieję na powrót do domu. Dotyczyło to większości estońskich uchodźców w Kanadzie pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych, którzy nie chcieli nazywać się imigrantami, lecz uchodźcami albo wygnańcami. Dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych nadzieja na powrót do wolnej i niepodległej ojczyzny zaczęła się rozwiewać. Rozbicie grup partyzanckich w krajach bałtyckich i w niektórych rejonach Polski oraz stłumienie powstania węgierskiego w 1956 roku pokazało bezwzględną determinację Moskwy w dążeniu do utrzymania kontroli nad swymi wschodnioeuropejskimi satelitami. Uchodźcy uświadomili sobie, że ich tymczasowe domy w krajach zachodnich najprawdopodobniej staną się stałymi. Ale dopóki tkwili w obozach dla przesiedleńców w Niemczech Zachodnich po wojnie, ich pierwszym zadaniem było znalezienie krajów, które zgodziłyby się ich przyjąć. Proces ten okazał się wyjątkowo trudny i długotrwały⁴⁸.

ROZDZIAŁ 9

„W pół drogi donikąd”

KIEDY POLSKA uwolniła się od rządów komunistycznych latem 1989 roku, a państwa bałtyckie znów uzyskały

niezależność od Moskwy po rozpadzie Związku Radzieckiego w 1991 roku, w krajach tych uważano powszechnie, że we wschodniej części Europy druga wojna światowa wreszcie się za-fłończyła. Jeśli chodzi o ścisłość, niektóre z ujemnych konsekwencji wojny utrzymywały się na Zachodzie jeszcze przez dłuższy czas, ale główny cel wojenny aliantów zachodnich, a mianowicie zniszczenie źródła hitlerowskiej agresji, został osiągnięty. W 1945 roku uchodźcy z państw zachodnich i żołnierze mogli wrócić do swych krajów, gdzie przestrzegano demokratycznych zasad i praw człowieka. Przesiedleńcy z Polski i państw bałtyckich przetrzymywani w 1945 roku w obozach w Niemczech, Austrii i Czechosłowacji, a także żołnierze polskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii, w Niemczech, we Włoszech i na Bliskim Wschodzie nie mieli takiego wyboru. Ci, którzy doświadczyli rządów radzieckich w latach 1939-1941, czuli, że nie mają innego wyjścia, jak pozostać na obczyźnie, natomiast uchodźcy z zachodniej Polski, którzy nigdy nie żyli pod reżimem komunistycznym, myśleli o powrocie z mniejszą niechęcią. Tak samo nieugięci jak Polacy z Kresów Wschodnich w swojej odmowie powrotu do imperium radzieckiego byli Bałtowie, którzy cierpieli pod dwoma systemami totalitarnymi. Mimo to przyszłość uchodźców na Zachodzie nie rysowała się bynajmniej w jasnych barwach. Nie mieli żadnej pewności, czy rządy zachodnie i ONZ uchronią ich przed przymusową repatriacją. Bądź co bądź, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Radziecki były od 1941 roku sojusznikami, a prezydent Franklin D. Roosevelt uważał, iż po wojnie

zwycięskie mocarstwa powinny ze sobą współpracować, aby stworzyć bezpieczny i pokojowy świat. Uchodźcy obawiali się, że taka współpraca może oznaczać poświęcenie interesów niniejszych państw. Zaledwie kilka miesięcy przed zakończeniem wojny, w lutym 1945 roku, Wielka Trójka uzgodniła w Jaltcie, iż Europa Wschodnia stanie się częścią radzieckiej strefy wpływów. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zdawały się wierzyć radzieckim obietnicom, że w Polsce odbędą się wolne i uczciwe wybory i że na polskiej scenie politycznej znajdzie się miejsce dla członków rządu na uchodźstwie. Uchodźcy, którzy żyli pod komunistycznym panowaniem, słusznie wątpili, czy Moskwa poluzuje pęta i pozwoli zbudować prawdziwie demokratyczne społeczeństwo. Co więcej, Rosjanie już stawiali żądania, aby ci, których uważali za obywateli radzieckich, jak na przykład Bałtowie, zostali repatriowani przez mocarstwa zachodnie zgodnie z porozumieniem jaltańskim. Uchodźcy byli zatem bardzo wyczuleni na swoją zależność od zachodniej opieki. A jednocześnie wciąż mieli nadzieję, że system radziecki rozpadnie się w przyszłej wojnie, i dlatego chcieli być przygotowani na powrót do domów, kiedy to nastąpi. Bezpośrednio po wojnie nie brali pod uwagę możliwości osiedlenia się na stałe gdzie indziej. Krótko mówiąc, w ich życiu dominowały nietrwałość, niepewność i strach. Zostali wykorzeni, ale nie mogli zapuścić nowych korzeni. Jedne drzwi zamknęły się za nimi, lecz nie otworzyły się żadne inne. Znaleźli się, by użyć pamiętnego zwrotu E.F. Kunza, „w pół drogi donikąd” i mieli pozostać w tym niewygodnym i niebezpiecznym położeniu, dopóki nie rozstrzygnie się ich przyszłość: albo wrócą do domów, albo osiedlą się na Zachodzie¹. Nieubłaganą rzeczywistość uświadomił im powrót do krajów ojczystych milionów innych przesiedleńców. Do 31 marca 1947 roku około siedmiu milionów ludzi zostało repatriowanych z zachodnich stref okupacyjnych Niemiec, z Austrii i z Włoch. Trzy miliony spośród nich wróciło jesienią 1945 roku do Francji i Belgii, a dwa miliony do Związku Radzieckiego. Do tego dochodziło kolejne pięć milionów repatriowanych z radzieckiej strefy Niemiec i z innych kontrolowanych przez Moskwę obszarów w Europie Wschodniej. Polacy i Bałtowie w Niemczech Wschodnich, którzy nie chcieli wracać, postrzegali siebie, i byli postrzegani przez innych, jako wyjątek. Widzieli, jak inni przesiedleńcy wracają do domów, ale wiedzieli również, że nie wszyscy repatrianci radzieccy wracają z własnej woli. Niektórzy dawali się do tego nakłonić dopiero pod lufą karabinu. Nic dziwnego, że czuli się osamotnieni i zagrożeni. Fakt, iż nie odesłano ich pod przymusem, dawał im nieco nadziei. Zarazem jednak nie mogli być pewni, czy kraje zachodnie i ich agencje będą ich nadal wspierać. W dodatku ich liczba zmniejszyła się od roku 1945 do 1947, ponieważ Polacy z zachodnich rejonów Polski, łącznie 667 tysięcy, zdecydowali się wrócić. Szacunkowe dane na temat tych, którzy pozostali, różnią się, wydaje się jednak, iż w marcu 1946 roku było ich 320 tysięcy, a do marca 1948 roku liczba ta spadła do 200 tysięcy. Liczba uchodźców bałtyckich utrzymywała się na mniej więcej stałym poziomie, spadając nieznacznie do około 170 tysięcy w marcu 1948 roku, lecz powyższe dane są oczywiście nieprecyzyjne². Trzy lata po zakończeniu wojny w zachodnich strefach okupacyjnych przebywało zatem około 370 tysięcy Polaków i Bałtów. Ich obecność nadal była znacznym obciążeniem dla zachodnich władz okupacyjnych, hańbą

dla Związku Radzieckiego i Polski i wyzwaniem dla Zachodu, by sformułował skuteczną i humanitarną politykę wobec uchodźców.

Do tej pory posługiwaliśmy się terminami „przesiedleńcy” i „uchodźcy” zamiennie, ale dla większej jasności należy zacząć je rozróżniać. Raport Specjalnej Komisji Narodów Zjednoczonych do Spraw Uchodźców i Przesiedleńców z 6 czerwca 1946 roku definiował przesiedleńca jako osobę, która w wyniku działań nazistów lub faszystów została deportowana lub zmuszona do opuszczenia swego kraju i skierowana do pracy przymusowej. Można było przyjąć założenie, że taka osoba będzie chciała wrócić do domu po zakończeniu działań wojennych, tak jak uczynili to Francuzi, Belgowie i inni przesiedleńcy z państw zachodnich. Odmawiając powrotu, znaczna liczba Polaków i prawie wszyscy Bałtowie stawali się uchodźcami. Tych ostatnich można było zdefiniować jako ludzi, którzy opuścili swój kraj ojczysty, ponieważ byli ofiarami lub potencjalnymi ofiarami prześladowań, i odmawiali powrotu z tego samego powodu. Uchodźcy uciekali ze strachu, a nie, jak większość imigrantów, w przewidywaniu korzyści ekonomicznych. Powodowani potrzebą ocalenia, nie myśleli o przyszłości, dopóki nie znaleźli się w bezpiecznym miejscu³.

Pod koniec wojny uchodźcy musieli przekonywać władze w zachodnich strefach Niemiec i Austrii, że naprawdę ubiegają się o azyl. Czuli jednak, iż stoją na niepewnym gruncie. Władze, najpierw wojskowe w postaci Naczelnego Dowództwa Alianckich Sił Ekspedycyjnych w Europie (SHAEF), a później Biuro Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (UNRRA), które pod koniec lata 1945 roku przejęło odpowiedzialność za przesiedleńców, dążyły do jak najszybszej repatriacji milionów

ofiar nazizmu i jeńców wojennych. Dla wojska przesiedleńcy byli utrapieniem, „czarną plamą”, bardziej kłopotliwą niż Niemcy, jak zauważył pewien brytyjski oficer, im szybciej więc udałoby się odesłać ich do domów, tym lepiej. Proces ten wydawał się nieunikniony; ustalano narodowość, sprawdzano dokumenty, jeśli takowe istniały, przesiedleńców segregowano w punktach zbornych według narodowości, sporządzano listy repatriacyjne, organizowano transport na granice, łącznie z granicą strefy radzieckiej. Odesłanie przesiedleńców do domu pozwoliłoby zaoszczędzić skromne zapasy żywności i środki pieniężne w wyniszczonych wojną zachodnich strefach okupacyjnych i byłoby zgodne z postanowieniem jałtańskim o wymianie obywateli pod koniec wojny. Polacy i Bałtowie, którzy ubiegali się o status uchodźców i nie chcieli być repatriowani, chociaż Związek Radziecki i Polska uważały ich za swoich obywateli, stwarzali dla władz poważny problem. Jednocześnie ci, którzy ubiegali się o status uchodźców, odnosili się podejrzliwie do procedur rejestracyjnych, po części dlatego, że przypominały procedury nazistowskie, a po części ze strachu, iż zebrane w ten sposób informacje mogą zostać wykorzystane przeciwko nim albo przeciwko ich krewnym w kraju⁴.

Najgorsze miało dopiero nadejść. Rosjanie utrzymywali, że wśród ludzi ubiegających się o status uchodźców jest wielu zbrodniarzy wojennych, którzy próbują uniknąć kary, jaka spotkałaby ich nieuchronnie po repatriacji. Należy zatem, argumentowała Moskwa, zastosować proces skrupulatnej kontroli i zadbać o to, żeby ludzie podejrzani o zbrodnie wojenne wrócili do swoich ojczystych krajów. Nie oznaczało to, iż Moskwa zrezygnowała ze swoich roszczeń, aby wszyscy obywatele Związku Radzieckiego i państw Europy Wschodniej wrócili do domów zgodnie z zasadami postanowienia jałtańskiego.

Kiedy latem 1947 roku wygasł mandat UNRRA, zastąpiła je specjalna agencja Narodów Zjednoczonych, Międzynarodowa Organizacja do Spraw Uchodźców (IRO). W odróżnieniu od UNRRA, które odpowiadało głównie za pomoc humanitarną i repatriację, do zadań IRO należało osiedlenie uchodźców w krajach zachodnich. Związek Radziecki stoczył długą bitwę z IRO, odmówił udziału w jej pracach i uparł się, że wszyscy ubiegający się o status uchodźców powinni zostać dokładnie sprawdzeni, aby żaden zbrodniarz wojenny czy kolaborant nie uszedł sprawiedliwości. Pewien brytyjski urzędnik podkreślił, że indywidualne sprawdzenie kilkuset tysięcy uchodźców będzie praktycznie niemożliwe, zważywszy na nieliczny personel IRO i jej ograniczony budżet. Sir George Rendel, brytyjski przedstawiciel w ONZ, wyraził stanowisko swojego rządu, iż ciężar dowodu, że dany uchodźca był kolaborantem lub zbrodniarzem wojennym, spoczywa na kraju, z którego pochodzi. Rendel podejrzewał, i słusznie, iż Rosjanie oskarżają o kolaborację zdecydowaną większość uchodźców, których jedyną zbrodnią był antykomunizm⁵.

Szczególnym przykładem radzieckich praktyk była podjęta przez Moskwę próba napiętnowania wszystkich żołnierzy Legionów Łotewskich jako ochotników do niemieckiej SS, gdyż, jak twierdziła strona

radziecka, nie było żadnej różnicy pomiędzy Legionami Łotewskimi, łotewską SD (służbą bezpieczeństwa) i łotewskimi batalionami policyjnymi. Gdyby dało się udowodnić ten zarzut, żaden żołnierz Legionów Łotewskich nie uniknąłby repatriacji, ponieważ żadnemu nie przysługiwałby status uchodźcy. Choć w Legionach Łotewskich służyła pewna liczba ochotników, przeważającą większość, o czym mówiliśmy w rozdziale trzecim, stanowili poborowi, którzy musieli się zaciągnąć na mocy rozporządzenia Rosenberga z grudnia 1941 roku. Sami poborowi uważali się raczej za antykomunistów niż za na-zistów, natomiast oskarżyciele w Norymberdze, przynajmniej na początku, identyfikowali łotewskie legiony SS z niemiecką SS⁶. Dzisiaj przyjmuje się powszechnie, że łotewska SD i bataliony policyjne współuczestniczyły w zbrodniach wojennych i że niektórzy członkowie tych jednostek zostali przeniesieni do Legionów Łotewskich w 1944 roku, dzięki czemu mogli później zataić swoją przeszłość. Wypada się zatem zgodzić, iż niektórzy żołnierze Legionów Łotewskich powinni zostać sprawdzeni.

Jednakże, jak stwierdził Ezergailis w 1997 roku, aż do tej pory nikt nie udokumentował żadnego aktu okrucieństwa popełnionego przez Legiony. Co więcej, dawni członkowie bałtyckiego korpusu dyplomatycznego na Zachodzie i przedstawiciele Łotewskiego Czerwonego Krzyża zdołali przekonać władze zachodnie, iż łotewscy żołnierze nie byli nazistami. To prawda, że zaliczano ich do Waffen-SS, ale trzeba wprowadzić rozróżnienie pomiędzy tymi jednostkami a niemiecką SS. Harry Rosenfeld, komisarz UNRRA, napisał, iż bałtyckie jednostki Waffen-SS (Legiony Bałtyckie) należy „uważać za odrębne i różniące się pod względem celów, ideologii, działalności i wyszkolenia od niemieckiej SS”⁷. Jacobmeyer zaś zastanawiał się, czy próby oczyszczenia ochotniczych formacji SS z zarzutu ścisłej współpracy z nazistami nie zostały podyktowane „względami politycznymi zimnowojennej proveniencji”. Choć w tym przypuszczeniu jest trochę prawdy, Jacobmeyer

przeoczył fakt, iż żołnierze legionów nie byli ani ochotnikami, ani esesmanami w takim znaczeniu, w jakim na ogół rozumiane jest to pojęcie. Legiony były po prostu liniowymi jednostkami piechoty, które walczyły z Armią Czerwoną wkraczającą na Łotwę⁸.

W tych okolicznościach proces weryfikacji został zapoczątkowany najpierw przez UNRRA, a następnie przez IRO. Zadaniem tych organizacji było ustalenie, komu przysługuje status uchodźcy, a co za tym idzie, pomoc ze strony UNRRA i IRO. Początkowo pracownikom UNRRA brakowało ustalonych kryteriów i procedur weryfikacyjnych, co miało taki skutek, że różne grupy urzędników dochodziły do różnych wniosków. W lipcu 1946 roku wprowadzono ujednoczone kwestionariusze i utworzono biura rewizyjne. Ale kiedy sprawą zajęła się IRO, miała wątpliwości, czy wcześniejsza weryfikacja pozwoliła zidentyfikować prawdziwych uchodźców. Zainicjowała więc kolejną turę weryfikacji. Obie organizacje pracowały w bardzo trudnych warunkach, ponieważ odczuwały dotkliwy brak wykwalifikowanego personelu, który mógłby prowadzić skuteczne przesłuchania. Rezultaty tej działalności były takie, że po pierwsze, nie udało się zidentyfikować wielu łotewskich zbrodniarzy wojennych, którzy dołączyli do weteranów legionowych i pomyślnie przeszli proces denazyfikacji. Ta okoliczność, jak zauważył Ezergailis, „skomplikowała kwestię łotewskich legionistów na następne dziesięciolecie”⁹. Po drugie, powtórna weryfikacja, chociaż nieskuteczna, jeśli chodzi o jej podstawowy cel, miała fatalny wpływ na morale prawdziwych uchodźców, którzy, czemu nikt nie zaprzecza, stanowili przeważającą większość.

Przypomnijmy sobie sytuację, w jakiej znajdowali się prawdziwi uchodźcy. Bałtowie uciekli przed nacierającą Armią Czerwoną, porzucając swoje domy, kariery, majątki, źródła utrzymania i, w wielu przypadkach, rozłączając się z rodzinami i przyjaciółmi. Nie przyświecał im żaden cel poza ucieczką w bezpieczne miejsce. Zwykle wyruszyli w grupach rodzinnych, toteż nerwowy nastrój potęgował niepokój rodziców, którzy ponosili odpowiedzialność za swoje dzieci. Przyjeżdżali do pogrążonych w chaosie powojennych Niemiec, po przezwycięzeniu wielu trudności trafiali do punktów zbornych i obozów dla przesiedleńców i początkowo żyli w bardzo prymitywnych warunkach. Czasami członkowie ich rodzin umierali po drodze. Część z nich walczyła w armii niemieckiej, zwykle jako poborowi, i prawie zawsze raczej przeciwko komunistom niż dla nazistów. Polacy byli albo wyzwolonymi jeńcami wojennymi, którzy przebywali w obozach od

1939 roku, dawnymi robotnikami przymusowymi albo więźniami obozów koncentracyjnych. Byli na wpół

zagłodzeni, osłabieni i wycieńczeni; od deportacji z Polski nie widzieli się z rodzinami. Musieli się zarejestrować, powtórnie zarejestrować i wreszcie poddać zmuśnionej weryfikacji, żeby dowieść, iż przysługuje im status uchodźców.

Proces ten trwał ponad rok i był „źródłem cierpień duchowych”, „okresem terroru”, jak ujął to pewien litewski dziennikarz. „Zmieniona odpowiedź, zapomniana data, zarzut kolaboracji - każdy fakt, którego mogli się uczyć bezimienni i anonimowi urzędnicy, stawał się koszmarem dla przesiedleńców”. Dlaczego? Ponieważ zawsze było możliwe wydanie niekorzystnej decyzji, a to prowadziło do deportacji lub procesu o zbrodnie wojenne. Złożona z pięćdziesięciu siedmiu pytań weryfikacja była prowadzona wyłącznie po angielsku, rosyjsku i niemiecku, mimo nieznamości tych języków wśród przesłuchiwanym uchodźców. Nie dopuszczano żadnych tłumaczy. Szczególnie trudne i stresujące było żądanie, aby uchodźcy podali nazwiska i adresy rodzin w swoich krajach ojczystych, ponieważ przesiedleńcy obawiali się, że te informacje mogą się przedostać do radzieckich i polskich oficerów łącznikowych w obozach i narazić ich bliskich na niebezpieczeństwo. Krążyły pogłoski, że w rozmowach weryfikacyjnych biorą udział radzieccy lub proradziecko nastawieni urzędnicy. Niepokój budziła też ignorancja wielu urzędników w zakresie historii i polityki Europy Środkowej i Wschodniej oraz radzieckich metod. Uchodźcy obawiali się, iż może to doprowadzić urzędników do całkowicie błędnych wniosków. Ta sama ignorancja działała na korzyść kolaborantów i zbrodniarzy wojennych, którzy próbowali zataić swoją przeszłość, co ułatwiał szeroko rozpowszechniony proceder fabrykowania fałszywych dokumentów. Gniew uchodźców z powodu takiego traktowania znajdował ujście w protestach, petycjach, odmowach poddania się weryfikacji i strajkach głodowych. Wielu uchodźców nigdy nie wyzbyło się strachu przed przymusową repatriacją, mimo oficjalnych zapewnień, że im to nie grozi. Ich obawy umocniły się jeszcze na wieść o wznowieniu przez Stalina masowych deportacji z krajów bałtyckich¹⁰.

Jeśli nawet drzwi za nimi były zamknięte, nie zanosilo się na to, aby drzwi przed nimi miały się szybko otworzyć. Kilkuset Polaków zatrudniło się jako górnicy we Francji, Belgii i Holandii, jednak większość uchodźców pozostała w obozach co najmniej przez dwa albo trzy lata, a niektórzy opuścili je dopiero w 1950 lub 1951 roku. Strach przed powrotem do ojczyzny łączył się z niepokojem o przyszłość. Gdzie będą żyć, czy uda im się zdobyć

prace, jaka przyszłość czeka ich dzieci, czy zdołają się przystosować do obcych społeczeństw, czy nauczą się nowych języków? To tylko część pytań, które zaczęły dominować nad ich życiem. Tymczasem musieli mieszkać w obozach i przywyknąć do warunków, w jakich się znaleźli. Nie było to łatwe, ponieważ obozowa rzeczywistość nastęrczała licznych problemów.

Początkowo odpowiedzialność za opiekę nad uchodźcami spadła na SHAEF. Pod koniec wojny władze wojskowe w zachodnich strefach Niemiec musiały zapewnić dach nad głową, wyżywienie, odzież i opiekę zdrowotną co najmniej sześciu milionom uchodźców. Ludzie ci żyli tam, gdzie zdołali znaleźć miejsce - w zabudowaniach gospodarczych, zniszczonych fabrykach, zrujnowanych domach, namiotach i obozach dla jeńców wojennych. Wojsko nie mogło zająć się nimi w odpowiedni sposób, dopóki nie zostali skoncentrowani w punktach zbiorczych. SHAEF zamierzało utworzyć odrębne obozy dla różnych grup narodowościowych, a proces ten ułatwiała to, że osoby tej samej narodowości wykazywały tendencję do trzymania się razem. Pozwoliło to władzom wojskowym rozdzielać żywność i zaopatrzenie w sposób uporządkowany, organizować opiekę medyczną i odpowiednie warunki sanitarne. Osoby chore na tyfus, dyfteryt, dur brzuszny, ospę wietrzną i szkarlatynę mogły być skutecznie izolowane. Apteki zakładane w obozach i szpitale wojskowe zapewniały podstawową opiekę zdrowotną. Błędem byłoby twierdzenie, że we wszystkich obozach i ośrodkach panowały takie same warunki; wiele obozów tworzono w pośpiechu i zaopatrzenie ich w wodę oraz urządzenia sanitarne zabrało trochę czasu. W niektórych brakowało łóżek, koców i sienników, w innych trudno było zdobyć mydło i środki dezynfekcyjne. Mimo to wojska alianckie w stosunkowo krótkim czasie i w bardzo skuteczny sposób uporały się z tym skomplikowanym zadaniem logistycznym. Dotkliwie trudności niektórych przesiedleńców ze znalezieniem miejsca nawet w bardzo prymitywnym obozie ilustruje następująca relacja pewnej Łotyszki:

Kiedy dotarliśmy w okolice Bremy, ktoś nam powiedział o obozie dla uchodźców, okazało się jednak, że jest przeznaczony dla Holendrów. Szczęśliwie komendant obozu, który był Kanadyjczykiem, miał łotewskiego

sekretarza i ten sekretarz powiedział nam, że możemy zostać przez kilka dni, ale później musimy sobie znaleźć jakieś stałe miejsce. Poszliśmy gdzie indziej, ale ktoś nam powiedział, że ten obóz leży w pobliżu obozu rosyjskiego i że odeślą nas z powrotem na Łotwę, jeśli tam zostaniemy. Tak więc znowu wyruszyliśmy nocą. Pojechaliśmy do pobliskiego Minister, ale tam nie było gdzie się zatrzymać. W tamtym obozie byli Polacy, Łotysze i Estończycy. Jeden z Łotyszy wyszedł i powiedział, że moja córka i ja możemy zamieszkać w ich chacie. Powiedział, że nie mają nic, ale możemy zostać. Komendant był Czechem; był niezbyt uprzejmy i niezadowolony, że się zatrzymujemy, ponieważ obóz był pełen. Szukał osób przebywających w obozie nielegalnie, a kiedy wszedł do mojej chaty, kąpałam właśnie swoją czteroletnią córkę. Był bardzo poruszony i spytał, jak się tu znalazłam. Było mu przykro, kiedy zobaczył moją córkę, ponieważ na podłodze leżała słoma, a warunki były bardzo prymitywne. Spytał, kim jest mój mąż, a ja odparłam, że jest pastorem. Komendant powiedział, że znajdzie dla nas jakąś kwaterę. Dostałyśmy pokój i czułyśmy się wyróżnione. W pokoju mieszkało bardzo dużo ludzi, a wiele osób pochodziło z innych części Łotwy i to było przygnębiające¹¹.

Niektórzy ludzie mieszkający w obozach dla przesiedleńców uważali, że panujące tam warunki są gorsze niż w niemieckich obozach pracy. Początkowo władze wojskowe przyjęły założenie, iż uchodźcy zostaną repatriowani, a zatem nie ma potrzeby zakładać stałych punktów zbornych. Kiedy odpowiedzialność za przesiedleńców przejęło UNRRA i stało się jasne, że nie nastąpi szybkie rozwiązanie problemu uchodźców, warunki zaczęły się pod pewnymi względami poprawiać, zwłaszcza po odesłaniu około pięciu milionów przesiedleńców do krajów zachodnich i Związku Radzieckiego w drugiej połowie 1945 roku. Racje żywnościowe były początkowo wystarczające i utrzymywały się na poziomie 2000 do 2500 kalorii dziennie. Żywność, podobnie jak odzież, pochodziła z dobrze zaopatrzonych niemieckich magazynów wojskowych. Ale pierwszej zimy zaczęły występować niedobory żywności, ponieważ jej produkcja spadła w Niemczech poniżej poziomu przedwojennego, i wartość odżywcza dziennych racji została zredukowana do 1850, a później do 1550 kalorii latem 1946 roku i nie przekroczyła tego poziomu podczas ciężkiej zimy 1946-1947 roku. Odbiło się to negatywnie na stanie zdrowia uchodźców i wzrosła liczba przypadków gruźlicy. Do 1947 roku zachorowało na nią trzydzieści procent litewskich dzieci. Łotewskim i estońskim jeńcom wojennym nie wiodło się wiele lepiej.

Osiemnastego listopada [1945 roku] obcięto racje żywnościowe. Było nam później bardzo ciężko, zwłaszcza kiedy spadł śnieg i popsuła się pogoda.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem dostaliśmy papierosy od Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża. Przypadało po 280 papierosów na osobę, ale początkowo dali nam tylko po dziesięć, a w barakach było 120 ludzi. Tej nocy wszyscy leżeli i palili, panowała absolutna cisza, wszyscy palili i dym unosił się w powietrzu, zupełnie jak mgła. Po Bożym Narodzeniu dostaliśmy po jednym kocu na dwóch ludzi. Musieliśmy spać po dwóch, odwróceniem do siebie plecami. Było bardzo zimno. Było jedno wiadro koksu, które wystarczało na dwie godziny. Kilka tygodni po Nowym Roku dostaliśmy koce, po dwa dla każdego, i było jak w raju¹².

W 1947 roku, kiedy liczba uchodźców znacząco spadła w porównaniu z poziomem początkowym, najbardziej prymitywne obozy i ośrodki zostały zamknięte, a powierzchnia przypadająca na jedną osobę wzrosła. Dzięki UNRRA, a później IRO prawie każdy ośrodek miał ambulatoria i pielęgniarki oraz inny personel medyczny, który często dobierano spośród samych przesiedleńców. Pewna estońska lekarka mieszkała w małym miasteczku w Bawarii po ucieczce z Estonii w 1944 roku. Kiedy ten rejon wyzwolili Amerykanie, została przydzielona do szpitala dla przesiedleńców w polskim obozie. Pozostała tam przez cały okres swojego pobytu w Niemczech, dopóki nie wyjechała do Anglii. „Szpital był bardzo kosmopolityczny - wspominała później. - Lekarze pochodzili z różnych krajów, a szef był Węgrem”¹³. Pewna Łotyszka wspominała, jak zdobywała kwalifikacje do pracy w szpitalu.

Najpierw przez sześć miesięcy chodziłam na kurs pierwszej pomocy, a później zaczęłam pracować w szpitalu w obozie. Nie było poważnych przypadków. Czasami przychodzili ludzie po operacjach i potrzebowali opieki. Był też oddział pogotowia. Ponieważ byłam farmaceutką, dostałam pracę administracyjną, bo przynajmniej umiałam wypisywać recepty jak należy. Potem spytałam, czy mogłabym pracować w sztabie wojsk brytyjskich w Münster. Zostałam tam asystentką tłumacza¹⁴.

Koncentracja uchodźców w starych obozach wojskowych, nieużywanych budynkach fabrycznych i dawnych obozach pracy przymusowej ułatwiała sprawowanie nad nimi nadzoru przed repatriacją. Tym, co najbardziej irytowało i przygnębiało uchodźców, był kontrast pomiędzy „wyzwoleniem” spod nazistowskiego ucisku a faktem, iż niektóre obozy przypominały za-

kłady karne, otoczone wysokimi murami lub zasiekami z drutu kolczastego i często pilnowane na zewnątrz przez uzbrojonych strażników. Swobodę poruszania się ograniczała godzina policyjna, a żeby wyjść poza obóz, potrzebna była przepustka. Budziło to tym większe rozgoryczenie, że Niemcy cywile korzystali z pełnej swobody poruszania się. Środki kontroli miały w swoim zamyśle zapobiegać przestępczości i eliminować tarcia pomiędzy uchodźcami a Niemcami. Jak zobaczymy, Niemcy byli tak samo odpowiedzialni za bezprawie jak przesiedleńcy, ale mimo to przestępczość wśród uchodźców istniała i trzeba ją było zwalczać. Niektórzy uchodźcy wspominali jednak później, że w obozach nie znajdowali się pod strażą. „W obozach w ogóle nie byliśmy pilnowani. Dlaczego ktoś miałby nas pilnować? Jeśli chcieliśmy wyjść, mogliśmy to zrobić. Nikt nas nie zatrzymywał. Zostaliśmy w obozie, ponieważ nie mieliśmy gdzie mieszkać, a nie chcieliśmy wracać do Estonii”. Być może przestępczość i zatargi z miejscowymi Niemcami nie występowały w tym obozie i dlatego nie było potrzeby wystawiania wart i wprowadzania restrykcji¹⁵.

Życie codzienne wszędzie wyglądało podobnie, przynajmniej w pierwszych latach. Obozy były przepełnione, brakowało pracy - w latach 1945-1946 bezrobocie wśród przesiedleńców sięgało dziewięćdziesięciu procent - a ponieważ w jednym pokoju mieszkało czasem kilka rodzin, przesiedleńcom dokuczwały całkowity brak prywatności i nieustanny hałas. Życie większości ludzi toczyło się monotennie. Jak wspominał jeden z uchodźców, było to szczególnie uciążliwe dla przedstawicieli wolnych zawodów, którzy przywykli do warunków, w których mogą prowadzić pracę naukową, a przynajmniej myśleć. Co więcej, tylko nieliczni uchodźcy, tacy jak lekarze, mogli wykorzystywać swoje umiejętności i doświadczenie. Potęgowało to wśród uchodźców poczucie zależności i utraty statusu społecznego. W miarę upływu czasu coraz więcej ludzi dostawało pracę, z raportów UNRRA wynikało, że siedemdziesiąt procent przesiedleńców znalazło zatrudnienie, chociaż rzadko w swoim poprzednim zawodzie. Był to przedsmak tego, czego mogli się spodziewać po osiedleniu się w nowych krajach pobytu¹⁶.

Uchodźcy byli zatrudniani w trzech rozległych sektorach, a mianowicie w administracji obozowej, w wojsku oraz w niemieckim przemyśle i rolnictwie. Według danych IRO, spośród 242406 uchodźców zatrudnionych we wrześniu 1947 roku, około 140 tysięcy pracowało w obozach, szpitalach lub w centralnym biurze IRO, 31282 w wojsku poza terenem obozów,

a 32 520 u prywatnych przedsiębiorców, też poza obozami. Ponadto około 28 tysięcy uczęszczało na kursy zawodowe. W obozach uchodźcy pracowali jako strażacy, dozorczy, nauczyciele w obozowych szkołach, pielęgniarki i lekarze. Mogli też być zatrudniani na budowach jako sekretarki i tłumacze oraz w usługach, takich jak szewstwo, krawiectwo i fryzjerstwo. Ci, którzy pracowali dla wojska, byli zatrudniani w różnym charakterze: jako magazynierzy, dozorczy, przy budowie i naprawie dróg i linii kolejowych, jako pomywacze w kuchni lub sprzątacze w obozach wojskowych. W niemieckiej gospodarce przesiedleńcy pomagali przy żniwach, wyrębie lasów, demontowaniu niemieckich fabryk w ramach spłaty reparacji wojennych i budowie nowych zakładów przemysłowych¹⁷. Niektórzy zatrudnieni w niemieckiej gospodarce mogli mieszkać poza obozami. Na przykład pewien Łotysz mieszkał w niemieckiej wiosce, gdzie pracował przy załadunku drewna, które spławiano z gór, na barki rzeczne. Później pracował przy demontażu linii kolejki wąskotorowej, a kiedy skończył, znowu na barkach. „Nie pracowaliśmy dla pieniędzy - wspominał - tylko z nudów. Kiedy człowiek ma dwadzieścia trzy lata i nic do roboty, czuje się bezużyteczny”¹⁸. Inny łotewski uchodźca

opowiedział, jak został zatrudniony:

Przez jakiś czas nic nie robiliśmy, a później Anglicy zorganizowali brygady robocze i zaczęliśmy budować lotnisko w pobliżu Aldenburga. Później powstał warsztat elektryczny i mechaniczny. Miałem podstawowe umiejętności w tej dziedzinie, ponieważ nauczyłem się trochę o traktorach i silnikach, kiedy pracowałem w gospodarstwie rolnym. W warsztacie byli sami Łotysze i stopniowo uczyliśmy się od siebie. Naprawialiśmy pojazdy wojskowe przeznaczone na sprzedaż dla Holendrów. Za szybko umieszczali zlecenie z informacją, jakiej części brakuje i co trzeba zrobić¹⁹.

Uchodźcom, którzy pracowali, płacono bardzo niewiele, a głównym bodźcem były dodatkowe racje żywnościowe. Niektórym płacono papierosami, które mogli później sprzedać na czarnym rynku. Jak wspominała pewna kobieta, „dawali nam dodatkowe jedzenie, a w biurze dostawialiśmy posiłek. To był główny powód, dla którego wróciłam do pracy, ponieważ jedzenie w obozie było bardzo kiepskie”²⁰.

Zarówno UNRRA, jak i władze wojskowe w strefie brytyjskiej próbowały znaleźć pracę dla uchodźców i zachęcały ich, aby sami szukali pracy.

Brytyjscy urzędnicy uważali, że jeśli przesiedleńcy będą mieli zajęcie, odciągnie ich to od działalności politycznej i przyczyni się do umocnienia morale. Mieszkańców obozów zachęcano, aby sami zajmowali się opieką społeczną, wybierali komitety obozowe do pomocy w administrowaniu obozami i wybierali własnych sędziów do nowo utworzonych sądów. Zawsze wyczuleni na punkcie wydatków Brytyjczycy starali się ograniczyć brytyjski personel administracyjny do minimum i zastąpić go, w miarę możliwości, przesiedleńcami²¹.

Uchodźcy nie potrzebowali żadnej zachęty, żeby organizować i wspierać działalność edukacyjną i kulturalną swoich społeczności. To, że znaleźli się „w pół drogi donikąd”, nie oznaczało, że w końcu nie znajdą się gdzieś. A bez względu na to, gdzie się znajdują, ich obowiązkiem było zachować własną kulturę i przekazać ją następnemu pokoleniu w czystej i nieskażonej formie. Co więcej, czuli się za to odpowiedzialni tym bardziej, że następne pokolenie w krajach bałtyckich i w Polsce będzie wychowywane zgodnie z kulturalnymi i edukacyjnymi założeniami ustalonymi w Moskwie, toteż zachowanie rodzimej kultury przyjdzie mu z ogromnym trudem. Dla uchodźców w obozach zachowanie własnej kultury stanowiło tylko jedną część równania, musieli również wyposażyć młodych ludzi w umiejętności i kwalifikacje zawodowe potrzebne do osiągnięcia sukcesu materialnego w Niemczech Zachodnich lub w nowych krajach osiedlenia albo po powrocie do własnych krajów, jeśli i kiedy upadnie komunizm. Edukacja i kultura były częścią dziedzictwa uchodźców, ale kiedy patrzyli na to, co stracili - domy, posady, kariery, rodziny, majątki i oczekiwania - ich smutkowi towarzyszyło niezłomne postanowienie, „historyczna odpowiedzialność”, jak ujął to Kunz, by zachować i przekazać potomnym to bezcenne dziedzictwo. W okresie, gdy wielu uchodźców ogarnęło przygnębienie, energiczna działalność edukacyjna i kulturalna pomagała im odzyskać poczucie własnej godności, wykorzystać ukryte talenty i umocnić zbiorowe morale²².

Działalność kulturalna była namiennym przejawem zdolności jednostek do podejmowania działań twórczych w najbardziej przygnębiającym i nędznym otoczeniu i do utwierdzenia swojej odrębności narodowej w bezosobowym, w znacznym stopniu obojętnym i prawdopodobnie niezrozumiałym świecie. Atutem społeczności uchodźców było utalentowane artystyczne i intelektualne przywództwo. Warto zwrócić uwagę, że, jak wynika z raportów, z Litwy uciekło około siedemdziesięciu pięciu procent

nauczycieli akademickich i nauczycieli szkół średnich oraz osiemdziesiąt procent lekarzy i znaczna liczba pisarzy, malarzy i muzyków. Podobnie, według jednego z badaczy, siedemdziesiąt procent łotewskich pisarzy, artystów i muzyków przedostało się do stref zachodnich. Większość estońskich śpiewaków i muzyków skupiła się w Blombergu, a w Oldenburgu powstał estoński teatr. Niemal cały zespół łotewskiego teatru baletowego uciekł na zachód. Wielu aktorów z łotewskiego Teatru Narodowego znalazło się w obozie dla przesiedleńców w Meerbeck. W Blombergu ryska wytwórnia filmowa zaczęła kręcić kroniki filmowe i filmy. Co zapewne najbardziej znamienne, niemal cały zespół opery lwowskiej przebywał na wakacjach, kiedy w 1944 roku do wschodniej Polski wkroczyły wojska radzieckie, i ostatecznie zdołał dotrzeć

do Niemiec Zachodnich. W obozach dla przesiedleńców znalazł się nieco mniejszy odsetek przedstawicieli polskiej elity artystycznej niż bałtyckiej. Wielu polskich artystów i pisarzy straciło życie podczas okupacji, natomiast inni wrócili z przymusowego wygnania na Zachodzie, by pomóc odbudowywać życie artystyczne swego kraju²³.

Polskie Towarzystwo Opieki Społecznej organizowało przeciętnie pięć koncertów tygodniowo, poczynając od 1947 roku. Wielu uchodźców było świadomych obowiązku zachowania rodzimej kultury i przekazania jej młodszemu pokoleniu. Jak stwierdził Mark Wyman, „przechowanie tych ocalałych fragmentów i budowanie na nich stało się głównym zadaniem wielu uchodźców”²⁴. Była to w końcu kwestia zachowania i umocnienia poczucia tożsamości narodowej wszelkimi dostępnymi środkami wyrazu artystycznego. Odradzały się słynne bałtyckie chóry z ich szerokim repertuarem tradycyjnej muzyki ludowej, a także zespoły wykonujące znane i lubiane tańce ludowe. Wystawiano klasyczne dramaty narodowe i pieczołowicie obchodzono święta narodowe, choć nierzadko musiały one budzić gorzkie refleksje, jak na przykład rocznica odzyskania niepodległości, która znów została utracona. Polscy emigranci zmieniali słowa polskich pieśni patriotycznych, tak aby odzwierciedlały utratę niepodległości: z „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie” z okresu międzywojennego na wersję sprzed 1918 roku: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. Organizowano wystawy malarstwa i rzeźby, aby zachować rodzime tradycje i utrwalić w pamięci ludzi ojczystą kulturę²⁵.

Równie ożywiona była działalność literacka. Do 1950 roku uchodźcy litewscy założyli w Niemczech szesnaście wydawnictw, które wznawiały narodową klasykę, jak również publikowały książki nowych pisarzy. Do 1946 roku polscy przesiedleńcy wydali około trzystu książek, w tym dzieła polskich klasyków. W niektórych obozach ukazywały się gazety, chociaż władze brytyjskie zrywały się na taką działalność z obawy, iż prasa może zniechęcać uchodźców do powrotu do krajów ojczystych i drażnić Rosjan antykomunistyczną propagandą. Z tych samych powodów Brytyjczycy doradzali, aby prośba o utworzenie litewskiej rozgłośni radiowej została odrzucona. Mimo tych restrykcji społeczności polskich i bałtyckich uchodźców zdawały się tworzyć wszechstronne i bogate życie kulturalne, które musiało się przyczyniać do umocnienia ducha i dostarczać poczucia celu w tych demoralizujących dla większości ludzi warunkach. Taki sam efekt wywoływała działalność sportowa. Brytyjczycy, żarliwi zwolennicy idei „w zdrowym ciele zdrowy duch”, gorąco zachęcali do uprawiania wszelkiego rodzaju sportów, chociaż krykiet nigdy się nie przyjął. Ale młodzi mieszkańcy obozów z entuzjazmem zajmowali się piłką nożną, koszykówką, siatkówką, gimnastyką i pływaniem²⁶.

Istotną rolę w obozowym życiu odgrywała również religia. W barakach i wszelkich dostępnych pustych budynkach zakładano kościoły. Księża i protestanci pastorzy sami byli uchodźcami i dzielili trudy i wyrzeczenia swoich parafian. Nie tylko umacniali, poprzez obrzędy religijne i modlitwy, poczucie tożsamości narodowej, lecz za ich pośrednictwem docierały też do obozów dary od organizacji charytatywnych z zagranicy. Mieszkańcy obozów zwracali się ku religii jako źródłu pociechy w swoim oderwaniu od bliskich i przyjaciół oraz utracie ojczyzny. Z myślą o następnym pokoleniu kościoły tworzyły seminaria, by kształcić młodych ludzi do stanu kapłańskiego. Z punktu widzenia zacieklej nacjonalistów wśród uchodźców, Kościół pomagał strzec wyjątkowości kultury narodowej przed niebezpieczeństwami „materializmu, nihilizmu, ateizmu i kosmopolityzmu”²⁷.

Stworzenie w obozach możliwości edukacyjnych można określić tylko jako triumf nad przeciwnościami, chociaż władze okupacyjne i agencje ONZ wspierały tę działalność. Inicjatywa i energia potrzebne do zorganizowania kursów i powołania instytucji wyszły od samych uchodźców. Rodzice rozumieli, że nauka pomoże ich dzieciom przezwyciężyć negatywne skutki życia w obozach. Umieszczenie dzieci w szkołach niemieckich byłoby, jak uważali, równoznaczne z asymilacją i utratą tożsamości narodowej. Szkoły „narodowe”, przeciwnie, umacniałyby świadomość narodową i pomagały w przekazywaniu dziedzictwa kulturalnego²⁸. Większość

dzieci raptownie przerwała edukację i zarówno one, jak i ich rodzice zdawali sobie sprawę, że muszą wrócić do szkoły, aby przygotować się do życia „gdzieś”. Młodzi ludzie byli zainteresowani wyższym wykształceniem lub szkoleniem zawodowym, natomiast wielu starszych chciało zdobyć nowe kwalifikacje,

wiedzieli bowiem, iż nie będą mogli wrócić do dawnych zawodów i zajęć w krajach osiedlenia, między innymi z powodu problemów językowych. Dlatego przesiedleńcy stworzyli trzypoziomowy system kształcenia: szkoły podstawowe i średnie, kursy zawodowe i wyższe studia.

We wszystkich obozach zakładano przedszkola, a w brytyjskiej strefie okupacyjnej powstało trzydzieści estońskich szkół podstawowych i dziewięć średnich. Każda z grup narodowościowych miała zwykle własne szkoły, a zachodnioniemieckie władze oświatowe je uznawały. Szkoły założone przez społeczność litewską wykształciły 12 tysięcy uczniów w ciągu sześciu lat. Nie ma potrzeby dodawać, że w pierwszym okresie występował dotkliwy brak podręczników i innych pomocy, lecz nie umniejszało to entuzjazmu i zapału zarówno nauczycieli, jak i uczniów²⁹. Pewien łotewski chłopiec, który uczęszczał do jednej z takich szkół, wspominał później:

Potem przenieśliśmy się do obozu dla przesiedleńców w pobliżu Bremy, gdzie pozostaliśmy do maja 1947 roku. Chodziłem wówczas do szkoły średniej i prawie udało mi się ją skończyć. Była to łotewska szkoła ogólnokształcąca tego typu, jaki istnieje dzisiaj. Nauczycielami byli głównie Łotysze, lecz pomagało im kilku innych, na przykład nauczyciel języka niemieckiego. W 1947 roku pozostał mi rok do zdania egzaminów. Komendantowi obozu bardzo zależało na rekrutacji ochotników do Zjednoczonego Królestwa. Prowadzono rozmowy ze szkołą, żeby się dowiedzieć, czy moglibyśmy zostać potraktowani tak, jakbyśmy ją ukończyli, ale przepisy na to nie pozwalały. Jednak i tak postanowiliśmy wyjechać³⁰.

Kursy zawodowe zaczęto organizować niedługo po zakończeniu wojny i kontynuowano za kadencji IRO, z którego raportów wynika, że we wrześniu 1947 roku szkolenie zawodowe odbywało 28786 osób. Pierwsza estońska szkoła zawodowa w strefie brytyjskiej, technikum rolnicze, została założona w Perdoel w Szlezewiku-Holsztynie wiosną 1946 roku. Niedługo potem powstała we Flensburgu szkoła nawigacji i inżynierii morskiej, a póź-

niej szkoła rzemieślnicza w Buxtehude. Wszechstronność dostępnych placówek oświatowych ilustruje następująca lista: Szkoła Budowlana, Szkoła Sztuki i Muzyki, Polskie Technikum w Hamburgu, Polska Szkoła Pedagogiczna w Lubece, Bałtyckie Technikum w Geestacht i Zakład Kształcenia Pracowników Opieki Społecznej. W 1947 roku 10689 osób uczęszczało na 401 kursów organizowanych przez zarząd polskich związków zawodowych, największą popularnością cieszyły się kursy obsługi maszyn, nauka jazdy, kursy radiotechniczne, rolnicze oraz kursy krawiectwa i szydełkowania. Przy szkołach i ośrodkach technicznych powstawały różnego rodzaju kluby³¹.

Dla wykwalifikowanych kandydatów dostępna była edukacja uniwersytecka. Władze okupacyjne wymagały od uniwersytetów niemieckich, aby rezerwowały dziesięć procent miejsc dla przesiedleńców. W maju 1946 roku na uniwersytetach niemieckich studiowało po sześciuset przesiedleńców z każdej z trzech stref okupacyjnych.

Byli tam mężczyźni i kobiety, którzy zaczęli studia uniwersyteckie na Łotwie, tak jak ja, mogliśmy więc wstąpić na uniwersytet, jeśli znaliśmy niemiecki i pod warunkiem, że potrafiliśmy wykazać się wiedzą i byliśmy w stanie przedstawić dokumenty z poprzedniej uczelni. Nadal miałem swój indeks ze stopniami z egzaminów, zarówno ustnych, jak i praktycznych. Profesor wezwał mnie i spytał, jaki przedmiot studiowałem i co chciałbym studiować tutaj. Dostałem stypendium, nie musiałem więc płacić za studia. Odbywały się zajęcia laboratoryjne i wykłady. Ponieważ pułkownik armii brytyjskiej, który dowodził moją jednostką, był chemikiem, powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, żebym studiował, gdyż pracę tłumacza wykonywało kilka osób i zawsze był ktoś pod ręką. Pracowałem więc i studiowałem, dopóki w 1948 roku nie wyjechałem z Niemiec do Anglii³².

Jeśli komuś brakowało wymaganej znajomości języka, nie mógł wstąpić na uniwersytet niemiecki; istniało jednak bardzo dobre alternatywne rozwiązanie - tak zwane uniwersytety bałtyckie. Były one zakładane przez nauczycieli akademickich z państw bałtyckich i entuzjastycznie wspierane przez studentów. Na uniwersytecie bałtyckim w Monachium studiowało w 1946 roku 1400 studentów, ale jego status pozostawał „problematyczny” z powodu konfliktów z UNRRA i braku poparcia amerykańskich władz okupacyjnych. W

1947 roku został zamknięty - prawdopodobnie dlatego,

że władze chciały zniechęcać do wszystkiego, co przedłużało pobyt uchodźców w Niemczech. W strefie brytyjskiej powstał uniwersytet bałtycki w Hamburgu, również w 1946 roku. Ze względu na swój doraźny charakter nie mógł nadawać stopni naukowych, nakładano też restrykcje na jego personel i wyposażenie. Wreszcie został przeniesiony z Hamburga do Pinneburga, gdzie przemianowano go na Ośrodek Kształcenia Przesiedleńców, specjalizujący się w kursach przygotowujących studentów do wstąpienia na uniwersytety niemieckie³³. Został zamknięty w 1949 roku. Polski Związek Studentów w Niemczech liczył 360 członków w strefie brytyjskiej, 740 w amerykańskiej i 60 we francuskiej³⁴. Biorąc pod uwagę okoliczności, było to znaczące osiągnięcie edukacyjne, prawdopodobnie jednak dotyczyło znikomej mniejszości młodych uchodźców. Większość dorosłych podejmowała pracę, aby utrzymać rodziny, i zapewne nie widziała wielkiego sensu w zdobywaniu wykształcenia, dopóki nie znajdzie stałego miejsca do życia. To z kolei zależało od możliwości osiedlenia się oferowanych przez kraje zachodnie, które stały się dostępne dopiero w 1947 roku.

Była też ciemna strona obozowego życia, której nie mogła ukryć działalność kulturalna, edukacyjna i religijna. Współczesne relacje z obozów mówią o zjawisku nazywanym „przestępczością wśród przesiedleńców”. Aby je należycie zrozumieć, potrzebny jest odpowiedni kontekst. Byłoby dziwne, gdyby w wielkich zbiorowiskach ludzkich nie znalazł się nikt, kto nie wszedł w konflikt z prawem. Pojawia się wszakże pytanie, jaki był odsetek przestępców w tych społecznościach, charakter popełnianych przestępstw oraz stopień dokładności statystyk i raportów. Należy również brać pod uwagę niezwykle sytuację, w jakiej znajdowali się sami uchodźcy, żyjący w społeczeństwie, które ponosiło zbiorową odpowiedzialność za masowe mordy podczas wojny, tortury oraz wysyłanie do obozów koncentracyjnych i obozów pracy ogromnej liczby ludzi z krajów okupowanych. Byłoby zaskakujące, gdyby niektórzy przesiedleńcy nie próbowali się mścić.

Przestępczość osiągnęła największe nasilenie w ostatniej fazie wojny i w miesiącach bezpośrednio poprzedzających niemiecką kapitulację. W momencie przerwania działań wojennych przesiedleńcy stanowili około jednej czwartej populacji zachodnich Niemiec. Zanim zorganizowano dla nich obozy i punkty zborne, włóczyli się w ciągu dnia po ulicach miast, a nocą spali wszędzie, gdzie udało im się znaleźć miejsce. Nierzadko dawali upust swojej wielkiej nienawiści do Niemców i bez żadnych skrupułów rabowali niemieckie mienie, kradli żywność i zwierzęta hodowlane i napadali na cywilów. Podczas jednej rewizji w litewskim i łotewskim obozie znaleziono 109 świń ukrytych w trzech różnych miejscach. W barakach odkryto również „ogromne ilości” żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa, słoniny i mięsa. Skonfiskowane mięso stanowiło podobno ekwiwalent standardowej tygodniowej racji żywnościowej dla 90900 osób³⁵. Zdarzały się też najcięższe zbrodnie, takie jak podpalenia, gwałty i morderstwa. Z tych właśnie powodów latem 1945 roku alianci repatriowali tyłu przesiedleńców, ilu się dało, w możliwie najkrótszym czasie. Zaczęli również zakładać obozy i wprowadzać godzinę policyjną, a w przypadku najcięższych przestępstw sądy wojskowe wydawały wyroki śmierci. Dzięki tego rodzaju środkom i na skutek znacznego zmniejszenia się liczby przesiedleńców pod koniec 1945 i w 1946 roku wskaźnik przestępczości wśród przesiedleńców znacząco spadł i osiągnął znacznie niższy poziom niż w społeczeństwie niemieckim. Przesiedleńcy nadal jednak wnikali się w operacje czarnorynkowe, handlując papierosami i innymi artykułami deficytowymi na taką skalę, że w listopadzie 1946 roku UNRRA wydało zarządzenie o zwalczaniu nielegalnego handlu³⁶.

Chociaż przestępczość wśród przesiedleńców spadła poniżej poziomu przestępczości w społeczeństwie niemieckim, trudno było wykorzystać stereotyp łamiącego prawo uchodźcy. Często na przykład obciążano uchodźców winą za niewykryte przestępstwa. Według Jacobmeyera, niemieccy urzędnicy utrwalali „wypaczony obraz leniwych przesiedleńców o skłonnościach przestępczych”. Niemieccy policjanci i cywile pogardzali podobno „niższymi rasowo cudzoziemcami” i odnosili się do nich wrogo. Uchodźców oskarżano o kradzieże, akty przemocy, nieobyczajne zachowanie, podpalenia i niszczenie mienia. Najgorszą reputacją cieszyli się Polacy, ale lokalna gazeta z Lubeki przyznała, że opinię wszystkich Polaków zaszar-gali „nieliczni bandyci”. Jak można przypuszczać, władze okupacyjne w poszczególnych strefach słuchały ze współczuciem skarg policji i cywilów. Podejrzenia umocniło oficjalne amerykańskie wydawnictwo wojskowe skierowane

do niemieckiej opinii publicznej, gdzie znalazło się stwierdzenie, że bałtyccy uchodźcy uciekli do Niemiec z sympatii dla nazistów i że to głównie oni są odpowiedzialni za przestępstwa i niepokoje społeczne. Ale podstawa do oskarżeń przeciwko uchodźcom miała jeden bardzo słaby punkt: statystyki dotyczące przestępczości wśród rodzimej ludności niemieckiej opierały się wyłącznie na wyrokach sądów, natomiast statystyki dla przesiedleńców odzwierciedlały liczbę dokonanych aresztowań.

Z oficjalnych dokumentów brytyjskich wynika, że przynajmniej uchodźcy bałtyccy byli znani z odpowiedzialnego zachowania. Przedstawiciel brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Hector McNeil, któremu towarzyszył wysoki urzędnik państwowy, odwiedził w lipcu 1946 roku strefę brytyjską i zameldował, że Bałtowie są „całkowicie zadowolającą społecznością” i byliby „doskonałymi służącymi” dla brytyjskich kobiet. Nie wiadomo, czy Bałtowie, wśród których był znaczny odsetek intelektualistów z klasy średniej, poczuli się zaszczytzeni, czy urażeni tą protekcyjną uwagą. Delegacja brytyjska miała większe zastrzeżenia do polskich uchodźców, którzy stanowili „najbardziej niezdiscyplinowany element” wśród przesiedleńców i znacznie bardziej niż inne grupy byli zaangażowani w działalność czarnorynkową. Dzieje się tak dlatego, podsumowali urzędnicy, że Polacy więcej wycierpieli z rąk Niemców niż jakakolwiek inna grupa³⁷.

Kolejną ciemną stroną życia uchodźców były częste przypadki nerwicy, paranoi i depresji. Większość naszych informacji na temat bałtyckich, polskich i innych uchodźców pochodzi z prac H.B.M. Murphy'ego i Eduarda Bakisa oraz bardziej ogólnego opracowania Edwarda Shilsa. Wszyscy autorzy zgadzają się co do tego, że znaczna liczba przesiedleńców doznała urazów psychicznych z powodu niedawnych przeżyć, obecnej niedoli i obaw o przyszłość. Odsetek cierpiących na nerwicę nie jest dokładnie znany, wydaje się jednak, iż w latach 1945-1950 większość uchodźców, w takim lub innym okresie, była dotknięta jakąś formą choroby nerwowej i depresji. Nie ma się co dziwić, iż osoby, z którymi przeprowadzono wywiady, bardzo niechętnie wypowiadały się na ten temat³⁸.

Badania sugerują, iż wielu uchodźców dręczyło poczucie winy z powodu przeszłości, zwłaszcza dlatego, że zostawili rodziny i przyjaciół, których mogliby uratować, gdyby działali szybciej i bardziej zdecydowanie. Co więcej, uciekając, rzucili podejrzenie na tych, którzy byli z nimi blisko, i prawdopodobnie wystawili ich na niebezpieczeństwo. Nie śmieli do nich pisać z obawy, iż narażą ich na przesłuchanie, a być może uwięzienie lub deportację. Częste weryfikacje wywoływały głęboki niepokój z uwagi na ryzyko nieumyślnego zaszkodzenia krewnym. Te lęki spotęgowały się jeszcze, kiedy do uchodźców dotarła wiadomość, że Rosjanie wznowili masowe deportacje z państw bałtyckich i wschodniej Polski. Było też bardziej powszechne poczucie winy, związane z porzuceniem ojczystego kraju. Juozas Girnius, litewski filozof, napisał, iż owo porzucenie „na zawsze pozostanie wielką winą [...] i ta wina nam ciąży [...] i nadal będzie nam ciążyć, dopóki nie wrócimy do [ojczyzny]”. Uchodźcy czuli się też przygnębieni utratą wszystkiego, co było im drogie: rodziny, przyjaciół, majątku, poczucia własnej godności, szacunku otoczenia, pozycji społecznej, kariery-jednym słowem, wszystkiego, co kształtowało ich tożsamość. Bez tych cech wyróżniających popadali w bolesną anonimowość³⁹.

Jeśli poczucie straty było jedną dominującą cechą w psychologii uchodźców, to drugą był strach. Miał on kilka aspektów. Wielu ludzi doświadczyło podczas wojny strasznych rzeczy. Bali się o własne życie w sytuacjach skrajnego zagrożenia i uważali, iż mieli szczęście, że przeżyli. Wpływ tych wydarzeń na psychikę utrzymywał się długo, prowadząc do nerwicy podobnej do tej, jaka rozwija się u żołnierzy na polu walki. Innym aspektem strachu był głęboki niepokój o przyszłość, jaki odczuwali prawie wszyscy -co się z nimi stanie? Był też niepokój o potencjalnie niebezpieczne konsekwencje ustawicznych weryfikacji i, jak widzieliśmy, strach przed przymusową repatriacją. I, w miarę jak nasilała się zimna wojna, uchodźcy coraz bardziej bali się radzieckiej inwazji na Europę Zachodnią, w wyniku czego znów znaleźliby się pod radzieckim panowaniem i prawie na pewno ponieśli karę jako „zdrajcy” w myśl radzieckiego kodeksu karnego⁴⁰.

Połączenie poczucia straty i strachu prowadziło czasami do czegoś, co Murphy i Stein nazwali „regresją do wieku dziecięcego”, której symptomami były utrata siły woli, poczucie bezradności, gorzkie rozżalenie na los, odkładanie wszystkiego na później, a przede wszystkim apatia. Bakis nazwał ją „apatią przesiedleńców”, a terminu tego używali też sami przesiedleńcy. Często przybierała ona formę, przynajmniej przejściowo, braku zainteresowania światem zewnętrznym i fatalizmu w odniesieniu do przyszłości. W trakcie swojego

pobytu w obozach większość uchodźców zdawała się cierpieć na jeden lub więcej z wymienionych objawów. U młodszych uchodźców występowały one rzadziej, a w każdym razie z mniejszym natężeniem. Ludzie w średnim wieku i z wyższym wykształceniem cierpieli najbardziej, ponieważ stracili więcej i ponieważ wielu z nich ponosiło odpowiedzialność za dzieci i martwiło się o warunki, w jakich będą się wychowywać⁴¹.

Eduard Bakis, który pracował na Uniwersytecie Bałtyckim na Uchodźstwie i obserwował stan psychiczny przesiedleńców, dzieląc z nimi doświadczenia życia obozowego, uważał, iż opisane objawy stawały się bardziej widoczne po dwóch latach spędzonych w obozie. „Niemal wszyscy przejawiali w takim lub innym okresie zachowania, które trzeba zaklasyfikować

jako neurotyczne" - zauważył. Przesłębstwa stawały się bardziej poważne (choć na pozór zachodzi tu sprzeczność), nieobecności w pracy częstsze, zainteresowanie sprawami obozowymi, na przykład wyborami, zanikało i nawet udział w wydarzeniach kulturalnych spadał. Należy również w tym kontekście odnotować, że dwa lata niedożywienia miały nieuchronny wpływ na poziom energii, potęgując skutki depresji i nerwicy⁴².

Ujmując rzecz ogólnie, taki rodzaj egzystencji był możliwy do zniesienia tylko przez krótki okres. Nic dziwnego zatem, iż uchodźcy byli wyczerpani na każdą sposobność do rozpoczęcia życia gdzie indziej, poza zamkniętym i przygnębiającym środowiskiem obozów. Pozostanie w Niemczech nie wydawało się im szczególnie atrakcyjną możliwością, ponieważ czuli, że są poddawani nieoficjalnej dyskryminacji, a za swoją pracę otrzymują niższe wynagrodzenie niż setki tysięcy niemieckich uchodźców z Polski, Czechosłowacji i innych części Europy Wschodniej⁴³.

W tym czasie Niemcy właściwie leżały w gruzach; miasta, miasteczka, transport i wszystko inne było zniszczone. Dla większości z nas głównym problemem było wydostanie się z Niemiec. Życie w barakach razem z pięćdziesięcioma ludźmi, kiedy nie ma się wiele do roboty i trudno się porozumieć, szybko może obrzydnąć. Anglia pierwsza zaczęła przyjmować ludzi i wszyscy się tam rwali⁴⁴.

W miarę jak nasilała się zimna wojna, wielu ludzi rozpaczliwie pragnęło przenieść się możliwie jak najdalej od radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech - po części dlatego właśnie pociągała ich Kanada, Australia i Stany Zjednoczone. Co więcej, politycy w Stanach Zjednoczonych zdawali się w mniejszym stopniu ulegać wpływom komunistów i ich sympatyków niż politycy w wielu krajach zachodnioeuropejskich. Stany Zjednoczone i dominia brytyjskie nie spieszyły się jednak z udzielaniem gościnności uchodźcom z Europy Wschodniej, chociaż ostatecznie otworzyły przed nimi drzwi bardzo szeroko. W konsekwencji najwcześniejsze możliwości urzędzenia sobie życia oferowało kilka krajów zachodnioeuropejskich, zwłaszcza Wielka Brytania.

Byłem w obozie dla przesiedleńców przez dwa lata, do 1947 roku, kiedy wyjechałem do Anglii. Uczyłem się o Anglii na lekcjach historii i geografii i chciałem się przekonać, jak tam jest, zamiast tkwić praktycznie bezczynnie w obozie dla przesiedleńców. Było dla mnie ważne, żeby pozostać w Europie. Udało mi się nawiązać kontakt z bratem, a potem odnalazłem matkę i siostrę. Nie sądzę, żeby tak się stało, gdybym był w Ameryce albo w Kanadzie, a jeśli nawet, to dużo później⁴⁵.

Część brytyjskiego społeczeństwa i zapewne również niektórzy członkowie laburzystowskiego rządu kierowali się altruizmem i współczuciem w swojej decyzji, by przyjąć dziesiątki tysięcy uchodźców. Ale oficjalne uzasadnienie zmiany polityki imigracyjnej kładło nacisk na potrzebę przezwyciężenia dotkliwego powojennego braku siły roboczej. Świadomi potencjalnego sprzeciwu wobec swojej polityki ministrowie przedstawili ją jako nieodłączny element strategii odrodzenia gospodarczego. Przesiedleńcy, Europejscy Ochotnicy Robotnicy (EVW), jak zaczęto ich nazywać, przyjechali do kraju, gdzie społeczeństwo przyjęło ich

niechętnie, obojętnie lub wrogo. Większość Brytyjczyków nie miała pojęcia o przeżyciach i motywach uchodźców lub była szczerze zdumiona ich niechęcią do powrotu i pomocy w odbudowie własnych krajów. Uchodźcy, choć wdzięczni za możliwość opuszczenia obozów, mieli się niebawem przekonać, iż życie i praca w Wielkiej Brytanii stawiają ich przed kolejnym trudnym wyzwaniem, na pozór mniej traumatycznym od dotychczasowych - jednym z wielu, jakim musieli stawiać czoło od wybuchu wojny.

ROZDZIAŁ 10

Ponowne osiedlenie

MNIEJ WIĘCEJ PÓLTORA ROKU po zakończeniu wojny w Europie żołnierze Polskich Sił Zbrojnych pod brytyjskim dowództwem zaczęli przyjeżdżać z kontynentu europejskiego i Bliskiego Wschodu do Wielkiej Brytanii, by dołączyć do 30 tysięcy żołnierzy, którzy już tam byli. Decyzja o skoncentrowaniu wszystkich wojsk polskich w Wielkiej Brytanii stanowiła rezultat długich dyskusji na najwyższych szczeblach rządu brytyjskiego i odzwierciedlała poczucie odpowiedzialności Brytyjczyków za swego bliskiego wojennego sojusznika. Nie była to jednak łatwa decyzja, zważywszy na liczbę i polityczną wrażliwość Polaków. W lipcu 1945 roku, dwa miesiące po zakończeniu działań wojennych w Europie, Polskie Siły Zbrojne, za które rząd brytyjski czuł się odpowiedzialny, liczyły około 210 tysięcy ludzi, z czego 60 tysięcy stacjonowało w Zjednoczonym Królestwie, 110 tysięcy we Włoszech, 11 tysięcy na Bliskim Wschodzie i 30 tysięcy w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Ponadto w Afryce, w Indiach i na Bliskim Wschodzie przebywało około 35 tysięcy polskich cywilów, których większość stanowiły żony, rodzice i dzieci żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych¹. Pod koniec 1946 roku pierwsi uchodźcy bałtyccy przyjechali do Wielkiej Brytanii z obozów dla przesiedleńców w Niemczech i w Austrii. O ich przyjęciu przesądził raczej oportunizm rządu brytyjskiego niż poczucie odpowiedzialności, ponieważ uważano, iż cudzoziemscy robotnicy pomogą przezwyciężyć brak siły roboczej w brytyjskiej gospodarce.

Uchodźcy bardzo mało wiedzieli o Wielkiej Brytanii i prawie nie znali języka angielskiego, toteż dla wielu emigrantów Wielka Brytania nie była wymarzoną krajem osiedlenia. Żołnierze II Korpusu Polskiego we

Włoszech woleliby pozostać w swojej jednostce i pełnić na przykład służbę wartowniczą w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech, czekając na sposobność do wzięcia udziału w wyzwaniu Polski. W ostatecznym rozrachunku nie dano im wyboru i wysłano ich do Wielkiej Brytanii, gdzie mieli rozpocząć życie w cywilu. Przesiedleńcy, którzy przyjechali do Wielkiej Brytanii w latach 1946-1949, szukali pracy i możliwości urządzenia się na nowo. „Zanim przyjechaliśmy do Anglii, nuda życia w Niemczech sprawiała, że czuliśmy się bezużyteczni - wspominał jeden z nowo przybyłych - więc po prostu pojechaliśmy do Anglii, żeby podjąć pracę, wszystko jedno jaką”². Wielu wolałoby wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, Kanady lub Australii, lecz przez pierwsze dwa czy trzy lata po wojnie nie było takich możliwości. Bałtowie nawet nie pomyśleli o powrocie do krajów rządzonych przez komunistów, natomiast około 100 tysięcy polskich żołnierzy pod brytyjskim dowództwem zdecydowało się wrócić - z powodów, o których będzie mowa w rozdziale ostatnim.

Niektórzy polscy żołnierze mieli podczas wojny styczność ze swymi brytyjskimi towarzyszami broni, nauczyli się trochę mówić po angielsku i mniej więcej wiedzieli, jak będzie wyglądało ich życie. Ale większość uchodźców przyjeżdżających do Wielkiej Brytanii miała jedynie mgliste wyobrażenie o tym, co ich czeka. Co prawda wielu żołnierzy I Korpusu Polskiego stacjonowało w Wielkiej Brytanii prawie przez całą wojnę, *zdążyli* więc trochę poznać kraj i ludzi, lecz stanowili oni znikomą mniejszość wśród masy polskich i bałtyckich uchodźców w Wielkiej Brytanii w latach 1946-1947. Informacje, jakimi dysponowali uchodźcy, opierały się zwykle na przestarzałych stereotypach, natomiast rzeczywistość różniła się bardzo *znacząco* od tego wyimaginowanego obrazu. Komentarze w rodzaju tych zamieszczonych poniżej należały do typowych:

Kiedy dotarliśmy do Hull, z początku byłem niezmiernie szczęśliwy. Imperium Brytyjskie było bardzo

potężne i myślałem, że w Anglii nie powinno być biednych ludzi. Ale kiedy przejeżdżaliśmy przez slumsy w Hull piętrowym autobusem, pomyślałem: jak to możliwe w takim imperium? Byłem wstrząśnięty stanem przylegających do siebie domów. Uderzył mnie kontrast pomiędzy imperium, które rządziło połową świata, a warunkami życia biedoty. Myślałem, że będą tam sami dżentelmeni.

Albo:

Na podstawie tego, czego dowiedziałem się w Polsce, myślałem, że Anglia to kraj dżentelmenów, z początku byłem więc rozczarowany, kiedy tam przyjechałem. Byłem jeszcze bardziej rozczarowany, kiedy usłyszałem od Anglików, co się działo przed wojną, jak ludzie szukali pracy, w jakich warunkach żyli.

I na koniec:

Trudno powiedzieć, jakie mieliśmy wyobrażenia na temat Wielkiej Brytanii, zanim tam przyjechalśmy. Opowiadano, że jest to kraj mgły i deszczu i że prawie nie ma tam słońca. Pierwszymi rzeczami, jakie rzuciły mi się w oczy, były piętrowe autobusy i sześć albo osiem metalowych rur na kominie, wydało mi się to zabawne, bo było takie inne³.

Inni zwrócili uwagę na ład i spokój brytyjskiego życia w porównaniu z chaosem i zniszczeniem, jakie oglądali w Europie kontynentalnej. Życie w Wielkiej Brytanii okazało się zupełnie inne od tego, czego doświadczyli wcześniej, bardzo wyspiarskie i, zwłaszcza w niedziele, bardzo nudne. Co prawda niektórzy z uchodźców nie grzęźli w stereotypach. Pewien człowiek przyznał, że nie wiedział nic o Anglii, zanim tam przyjechał, chociaż wiedział, że jest to najbardziej demokratyczny kraj w Europie. Inna sprawa, że on i jego rodzina nie słyszeli niczego złego na temat Anglików, a przyjaciele, którzy dostawali listy z Wielkiej Brytanii, otrzymywali same „dobre” wieści. Dobre w kontekście obozów dla przesiedleńców i osiedli w Afryce, zapewne nawet „lepsze”; jak wspominała pewna Polka, „po prostu zaakceptowałam Anglię taką, jaka jest i byłam bardzo zadowolona, ponieważ żyło mi się lepiej niż dawniej. Byłam bardzo szczęśliwa, ponieważ miałam wszystko”⁴.

Jeśli niektórzy z nowo przybyłych mieli jakieś złudzenia co do Wielkiej Brytanii, brytyjscy gospodarze, z nielicznymi wyjątkami, nie mieli żadnej wiedzy na temat nowych przybyszów. Brytyjczycy wiedzieli bardzo niewiele o ojczystych krajach uchodźców i często nie odróżniali Polaków od Bałtów, co bardzo irytowało jednych i drugich. W obiegu było wiele półprawd, zwłaszcza na temat roli, jaką odegrali Bałtowie w niemieckich siłach zbrojnych, i spisków polskich katolików w celu umocnienia wpływów papieżstwa w Wielkiej Brytanii⁵. Jeśli chodzi o ścisłość, wyczyny II Korpusu Polskiego w kampanii włoskiej oraz udział polskich lotników w bitwie o Anglię

i w późniejszej wojnie powietrznej zostały dobrze nagłośnione, lecz wiedza o reżimach okupacyjnych i deportacjach była, w najlepszym razie, fragmentaryczna. Chęć dowiedzenia się czegoś więcej i zrozumienia utrudniała często sympatia dla Związku Radzieckiego za jego wkład w pokonanie Hitlera. W istocie, kiedy w 1943 roku, po ujawnieniu zbrodni katyńskiej, Związek Radziecki zerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem na uchodźstwie, brytyjska opinia publiczna zaczęła tracić sympatię dla Polaków. W lewicowej prasie brytyjskiej upowszechnił się stereotyp Polaków jako reakcyjnych obszarników i faszystów. Lokalny wydział Związku Drukarzy w Croydon odmówił przyjęcia w swoje szeregi polskiego członka, wyrażając to w pamiętnych słowach: „Nie chcemy tu cholernych polskich hrabiów”⁶.

Rząd laburzystowski, który doszedł do władzy po wyborach powszechnych w lipcu 1945 roku, był w takim samym stopniu jak jego poprzednik wyczulony na potrzebę współpracy ze Stalinem w celu urządzenia bezpiecznego powojennego świata. Przeniesienie uznania dyplomatycznego z Rządu RP w Londynie na Rząd Tymczasowy w Warszawie na początku lipca 1945 roku uświadomiło rządowi brytyjskiemu, jak drażliwa jest Warszawa na punkcie traktowania żołnierzy polskich pod brytyjskim dowództwem lub polskich przesiedleńców w Niemczech. Władza Brytyjczyków nad Polakami stwarzała szerokie pole do nieporozumień, zadrażnień i konfliktów. Londyn chciał doprowadzić do tego, aby ustalenia umowy jałtańskiej dotyczące wolnych wyborów w Polsce doczekały się realizacji, a to wymagało nawiązania dobrych stosunków roboczych z polskim Rządem Tymczasowym. Ale ugiąć się przed żądaniami Warszawy i odesłać

polских żołnierzy z powrotem do Polski, to już z brytyjskiego punktu widzenia byłby o jeden krok za daleko. W obliczu zdecydowanej opozycji ze strony generała Andersa i innych polskich dowódców, która odzwierciedlała stanowisko ich żołnierzy we Włoszech, rząd brytyjski odrzucił żądania Warszawy, dowodząc, iż honor i powszechnie przyjęta praktyka nakazują mu zaofiarować uchodźcom schronienie w Wielkiej Brytanii. Choć jednak Brytyjczycy byli gotowi udzielić Polakom gościny, ze względów dyplomatycznych nie mogli uczynić tego zbyt ostentacyjnie i zadbali, aby polscy żołnierze zostali możliwie szybko zdemobilizowani i włączyli się w cywilne życie.

Uchodźcy, którzy osiedlili się w Wielkiej Brytanii, zdecydowali się na to z bardzo różnych powodów. W najogólniejszym sensie chcieli położyć

kres straszliwym wstrząsom, które zniszczyły ich życie i nadzieje, przyniosły śmierć i cierpienia ich rodzinom i przyjaciółom. Egzystencja w obozach dla przesiedleńców nie otwierała żadnych widoków na niezależność, prywatność czy powrót do życia rodzinnego. Uchodźcy chcieli podjąć pracę, zdobywać wykształcenie i nowe kwalifikacje, w spokoju wychowywać dzieci i czuć się bezpiecznie. Polscy żołnierze pragnęli połączyć się z rodzinami, rozproszonymi w różnych częściach świata. Co prawda wielu uchodźców miało nadzieję, iż z czasem wrócą do krajów ojczystych, stopniowo jednak to marzenie rozwiewało się i godzili się z myślą, że ich przyszłość jest związana z Wielką Brytanią i krajami zachodnimi. Przez wiele lat po przyjeździe uchodźcy byli zaprzątnięci podstawowymi potrzebami życia w obcym kraju: szukaniem pracy, kupnem domów, wychowywaniem dzieci, nauką języka, tworzeniem instytucji społecznych, zakładaniem szkół i kościołów. Ich wiedza o Wielkiej Brytanii poszerzała się przez cały czas, ale była ograniczona głównie do problemów dnia codziennego. Wiele aspektów brytyjskiego życia musiało im się wydawać dziwnych, a nawet niezrozumiałych. Zazwyczaj brakowało im czasu, energii i dostatecznej znajomości języka, by orientować się w toczących się w Wielkiej Brytanii sporach na temat „cudzoziemskiej siły roboczej”. I tak zresztą przedmiot owych sporów wydałby się im niejasny albo tajemniczy. Dlaczego, mogliby zadać sobie pytanie, uchodźcom nie wolno podejmować dowolnej pracy, jaką uda im się znaleźć, dopóki rząd nie udzieli na to zgody? Dlaczego wielu brytyjskich działaczy związkowych odnosi się nieprzychylnie i wrogo do polskich i bałtyckich robotników, którzy w niedawnej przeszłości tyle wycierpieli? Nie chcemy powielać znakomitych prac Keitha Sworda, Sheili Patterson i Diany Kay oraz Roberta Milesa i analizować ewolucji polityki brytyjskiej, aby jednak zrozumieć doświadczenia nowych przybyszów w Wielkiej Brytanii, potrzebny jest krótki zarys sytuacji politycznej i gospodarczej, w jakiej się znaleźli⁷.

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, którzy przez całą wojnę walczyli u boku Brytyjczyków, byłiby zafascynowani toczącą się w brytyjskim rządzie debatą na temat przyszłości polskiej armii, marynarki wojennej i lotnictwa. Nie była to kwestia błaha, pochłaniała mnóstwo rządowego czasu, dotyczyła różnych departamentów, w tym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Skarbu, Ministerstwa Wojny, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Pracy, a wyższy urzędnik w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Alexander Cadogan, określił ją jako „wypełnioną dynamitem”⁸.

Przy podejmowaniu decyzji brano pod uwagę różne czynniki. Pierwszym była sprawa definicji. Za jakie elementy Polskich Sił Zbrojnych rząd brytyjski ponosi odpowiedzialność? Wreszcie zdecydowano, iż ci żołnierze, którzy podczas wojny służyli pod brytyjskim dowództwem, a mianowicie z I i II Korpusu Polskiego oraz innych mniejszych jednostek, mogą się ubiegać o poparcie brytyjskiego rządu, ponieważ podpadają pod ustawę o wojskach sojuszniczych z 1940 roku. Z drugiej strony żołnierze Armii Krajowej przebywający w niemieckich obozach, jeńcy wojenni wzięci do niewoli przez Niemców we wrześniu 1939 roku oraz dawni żołnierze Wehrmach-tu, którzy nie wstąpili dostatecznie wcześniej do jednostek polskich, nie należeli do Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech i w Zjednoczonym Królestwie i nie obejmowały ich żadne akty prawne dotyczące tych sił. Był to jeden z powodów, dla których generał Anders, dowódca II Korpusu Polskiego, musiał powściągnąć swoją ambicję rozbudowy Polskich Sił Zbrojnych bez ograniczeń pod koniec wojny⁹.

Uzyskawszy gwarancję, iż rząd brytyjski przyjmie odpowiedzialność za jednostki, w których służyli, polscy żołnierze mogliby zapytać, dlaczego nie można by utrzymać tych jednostek w czynnej służbie, jak chciał Anders i inni dowódcy. Było wiele powodów, dla których Brytyjczycy nie wyrażali na to zgody. Pierwszym były

koszty: w okresie oszczędności finansowych, kiedy wojska brytyjskie demobilizowały się w szybkim tempie, było polityczną niemożliwością wydawać ogromne sumy na jednostki polskie, które nie miały już racji istnienia. Dlatego właśnie generał Anders nie mógł zrealizować swojej ambicji utrzymywania wojsk w stanie gotowości w oczekiwaniu na dzień, aż władza radziecka osłabnie, a polska armia na uchodźstwie wyzwoli Polskę¹⁰. Wojownicze antykomunistyczne wypowiedzi Andersa w jego sztabie we Włoszech budziły ogromne niezadowolenie w Londynie. Pokazywały, że jego ambicje są, jak ujął to Ernest Bevin, minister spraw zagranicznych w nowym rządzie laburzystowskim, „zasadniczo sprzeczne z celami polityki brytyjskiej” w okresie, kiedy kolejne rządy brytyjskie próbowały dojść do porozumienia ze Stalinem i doprowadzić do realizacji ustaleń jałtańskich dotyczących rozszerzenia polskiego Rządu Tymczasowego i przeprowadzenia wolnych wyborów. Żołnierze II Korpusu Andersa z pewnością nie mogli liczyć na przychylną postawę Brytyjczyków w tej kwestii¹¹.

Następnym powodem uniemożliwiającym utrzymanie Polskich Sił Zbrojnych w służbie czynnej był brak podstaw prawnych, na mocy których rząd brytyjski mógłby sprawować nad nimi kontrolę po wygaśnięciu pod

koniec wojny ustawy o wojskach sojuszniczych. Nie wyobrażano sobie, by parlament uchwalił ustawę pozwalającą na stosowanie w Wielkiej Brytanii polskiego prawa wojskowego. Co więcej, ponieważ Brytyjczycy odmawiali przekazania dowództwa nad armią polską oficerom mianowanym przez Warszawę, nie było żadnej zagranicznej władzy uznawanej przez rząd brytyjski, której wojska polskie mogłyby dochowywać posłuszeństwa. Zachodziła zatem poważna obawa, iż nie uda się utrzymać porządku i dyscypliny, zwłaszcza że polskie jednostki we Włoszech i w Wielkiej Brytanii były znacznie liczniejsze od wojsk brytyjskich. Urzędnicy brytyjscy zwracali uwagę na sytuację w Szkocji, gdzie zarówno podczas wojny, jak i po jej zakończeniu stacjonowało wielu polskich żołnierzy. Tamtejsza opinia publiczna stanowczo się sprzeciwiała obecności jednostek wojskowych, które nie podlegały już brytyjskiemu dowództwu i brytyjskiej dyscyplinie¹².

Wydawało się zatem, iż Londyn jest gotów przyjąć odpowiedzialność za Polaków, ale nie za utrzymanie polskiej armii. Wynikało z tego, że ci Polacy, którzy nie wrócą do Polski, osiedlą się jako cywile w Wielkiej Brytanii lub w jakimś innym kraju, na przykład w Stanach Zjednoczonych, bądź w jednym z brytyjskich dominiów. Brytyjczycy mieli nadzieję, że liczba tych, którzy osiadą w Wielkiej Brytanii, będzie jak najmniejsza. Polacy mogliby zapytać, czy jest to właściwy sposób traktowania sojusznika, który stał u boku Wielkiej Brytanii od wybuchu wojny i wniósł znaczący wkład w wysiłek wojenny. Ich oczekiwania wyraził Winston Churchill w typowym dla siebie górnolotnym przemówieniu, wygłoszonym 27 lutego 1945 roku w Izbie Gmin, kiedy zwrócił się do rządu brytyjskiego, aby nie zapominał o swoim długu wobec polskich żołnierzy, którzy służyli mu „tak mężnie”, i mieli nadzieję, że zaoferuje im się obywatelstwo i swobody Imperium Brytyjskiego. Powiedział między innymi: „Powinniśmy poczytywać to sobie za zaszczyt, że tak wierni i waleczni żołnierze mieszkają pośród nas, jakby byli ludźmi naszej krwi”. Było, jak napisał w lipcu 1945 roku, rzeczą „zasadniczą i niezbędną dla naszego honoru” utrzymać brytyjską odpowiedzialność, w formie, która wymaga jeszcze ustalenia, za polskich wygnańców za granicą.

Rok później jednak, w styczniu 1946 roku, Bevin zaprzeczył, jakoby oświadczenie Churchilla było równoznaczne z gwarancją osiedlenia się na brytyjskim terytorium lub brytyjskiego obywatelstwa. W słowach, które wydawały się przyziemną i mało duszną interpretacją przemówienia Churchilla, podkreślił, iż rząd brytyjski jest gotów współpracować z innymi rządami, „by w odpowiednim czasie udzieliły wszelkiej możliwej pomocy tym,

którzy walczyli u naszego boku podczas wojny i ostatecznie postanowili nie wracać do Polski, i umożliwiły im oraz ich rodzinom rozpoczęcie nowego życia poza własnym krajem”¹³.

Mimo wszystko polityka brytyjska okazała się w końcu bardziej wspaniałomyślna, niż sugerowało to oświadczenie, a Churchill i Bevin mieli ze sobą więcej wspólnego, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. Churchill na przykład żywił nadzieję, iż wielu polskich żołnierzy wróci do Polski z własnej woli, aby uczestniczyć w przyszłym życiu swego kraju, a Bevin podzielał ten pogląd. Żaden z nich nie chciał wywierać nadmiernego nacisku na Polaków, aby wracali, uważając, iż wszelkich informacji na temat sytuacji w Polsce

powinien im udzielić rząd w Warszawie. Miało to umożliwić uchodźcom podjęcie własnej „obiektywnej i niespiesznej” decyzji, „wolnej od strachu i przymusu”¹⁴.

Niemniej rząd laburzystowski w pierwszych miesiącach swego istnienia starał się odwozić tych, którzy odmawiali powrotu, od myśli, że mają zapewnioną przyszłość w Wielkiej Brytanii. W brytyjskich kręgach rządowych poważnie się obawiano, iż demobilizacja w Wielkiej Brytanii ponad stu tysięcy Polaków powiększy problemy mieszkaniowe, rozbudzi ksenofobię, wywoła sprzeciw związków zawodowych i podkopie prawo i porządek. Aby umknąć tych zagrożeń, podejmowano usilne starania, żeby przekonać rządy dominiów brytyjskich do zaoferowania domów polskim żołnierzom i ich rodzinom. Za to brytyjscy szefowie sztabów podzielali pogląd Churchilla w kwestii istotnej roli militarnej odegranej przez Polaków podczas wojny i byli zdania, że wszystkim Polakom, którzy odmawiają powrotu do Polski, trzeba zapewnić możliwie najlepsze warunki. Szefowie sztabów jakby przewidzieli pozorną zmianę stanowiska rządu. W maju 1946 roku, w oświadczeniu przed Izbą Gmin, Bevin przyznał, iż problem polskich uchodźców należy rozważyć przychylnie i opracować plan demobilizacji¹⁵.

Co spowodowało tę zmianę akcentów, jeśli nie polityki? Po pierwsze, stało się jasne, że brytyjski błąd się nie udał. Ponieważ przeważająca większość żołnierzy II Korpusu odmawiała powrotu do Polski, a było przy tym oczywiste, iż nie ma możliwości osiedlenia ich gdzie indziej, Brytyjczycy doszli do przekonania, że istnieje realne niebezpieczeństwo buntu, jeśli podejmie się próbę odesłania ich do Polski siłą. Po drugie, rząd brytyjski uzyskał informacje, iż część żołnierzy, którzy wrócili, została aresztowana i uwięziona. Co więcej, rząd polski zwlekał z dostarczeniem pełnych informacji na temat sytuacji panującej w Polsce, które zdaniem Brytyjczyków powinny być udostępnione polskim żołnierzom. A wreszcie, rząd brytyjski uświadomił sobie, że rozsądne wykorzystanie zdemobilizowanych żołnierzy polskich pomoże przezwyciężyć niedobory siły roboczej. Czy nie jest bezsensowne, zadawano sobie pytanie, utrudniać polskim uchodźcom osiedlenie się w Wielkiej Brytanii w czasie, gdy brakuje rąk do pracy? Dlaczego rekrutuje się przesiedleńców bałtyckich, żeby pokryć te niedobory, a nie polskich żołnierzy? I czy nie byłoby lepiej zatrudniać Polaków niż niemieckich jeńców wojennych, sprowadzanych w tym celu ze Stanów Zjednoczonych i Kanady? Co prawda Polaków, w przeciwieństwie do jeńców wojennych czy Europejskich Ochotniczych Robotników (EVW), nie można by skierować do wyznaczonych dziedzin gospodarki ani zapobiegać ich kontaktom z miejscową ludnością, co zwiększałoby ryzyko zatargów i niepokojów. Nie można by również odesłać ich do domu, tak jak jeńców wojennych, kiedy zapotrzebowanie na siłę roboczą zostanie zaspokojone. Z drugiej strony zatrudnienie ich w deklarowanym celu odbudowy gospodarczej mogłoby zniwelować uprzedzenia i wrogość, jaką budziła w niektórych kręgach polska armia¹⁶.

Najistotniejszym czynnikiem w zmianie opinii rządu była jednak propozycja Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zaakceptowana przez wszystkie zainteresowane departamenty, aby stworzyć nową strukturę wojskową, nieliniowy korpus armii brytyjskiej, który obejmowałby jednostki polskie. Miałyby to działać jako swego rodzaju komora dekompresyjna, coś pośredniego pomiędzy życiem wojskowym a cywilnym, i rozwiązać, jak uważano, większość problemów związanych z Polskimi Siłami Zbrojnymi. Formacja wojskowa pod brytyjskim dowództwem gwarantowałaby porządek i dyscyplinę i dawała pewność, że „masa około 160 tysięcy cudzoziemców nie wymieszają się z ludnością cywilną bez odpowiednich ustaleń w kwestii zamieszkania i zatrudnienia”. Ten pomysł Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nazwano Polskim Korpusem Osiedleńczym (PRC)¹⁷.

Oczywiście polscy żołnierze nie zdawali sobie sprawy z toczących się w rządzie brytyjskim sporów co do osiedlenia Polaków. Ale wynik debaty mieli niebawem otrzymać pocztą w postaci broszury, opisującej szczegółowo PRC i zachęcającej polskich żołnierzy do wstępowania w jego szeregi. Pod presją ze strony Brytyjczyków Anders zgodził się nie sprzeciwiać tej propozycji. Co proponowano Polakom i czy wstąpienie do PRC leżało w ich interesie? Całą rzecz należy umieścić w kontekście. Większość

żołnierzy II Korpusu Polskiego została wywieziona do Związku Radzieckiego w latach 1939-1941. Spędzili dwa lata w radzieckich obozach pracy, a później około pięciu lat w polskiej armii i wzięli udział w kampanii włoskiej. Przez rok od zakończenia wojny mieszkali w obozach wojskowych we Włoszech, czekając na decyzję

co do swojej przyszłości. Niewątpliwie większość chciała wrócić do cywilnego życia, choćby w obcym kraju. Emigracja do Stanów Zjednoczonych, Ameryki Łacińskiej, Australii czy Kanady wciąż była możliwa, nawet gdyby wcześniej wstąpili do PRC. Również powrót do Polski pozostawał otwartą możliwością, gdyby sytuacja tam się poprawiła. Krótko mówiąc, nadal mieli wybór. Czy w istniejących okolicznościach mogli otrzymać korzystniejszą propozycję osiedlenia się? Znikoma mniejszość malkontentów oczywiście tak uważała, ale zdecydowana większość żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych zgodziła się wstąpić do PRC.

Co w tej propozycji wydawało im się atrakcyjne¹⁸? Przede wszystkim wtapiali się stopniowo w brytyjskie społeczeństwo. Członkowie PRC zaciągali się najwyżej na dwa lata, po czym mogli się spodziewać zwolnienia. Gwarantowano im zakwaterowanie w obozach wojskowych i utrzymanie żołdu. Chociaż musieliby się zatrudniać przy różnych projektach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdyby nie mieli innej pracy, wolno im było szukać dla siebie posad cywilnych, zgodnie z sugestiami i za zgodą Ministerstwa Pracy. W razie znalezienia takiej posady zostaliby przeniesieni do rezerwy, ale wciąż podlegaliby wojskowej dyscyplinie i rozkazom. Gdyby znaleźli cywilną pracę, mogliby nadal mieszkać w obozie albo poszukać zakwaterowania w prywatnych domach lub hospicjach w pobliżu miejsca zatrudnienia. Przysługiwałyby im żołd za dwadzieścia jeden dni, odprawa i zasiłek wojenny, ale dopiero po zwolnieniu z korpusu. W odpowiednim czasie ich krewni zostaliby sprowadzeni do Wielkiej Brytanii i zakwaterowani w obozach lub hospicjach, dopóki rodzina nie znalazłaby własnego mieszkania. Udzielano by im lekcji angielskiego i zapewniono ogólne przygotowanie do życia w Wielkiej Brytanii. Ponieważ Brytyjczycy starali się nakłonić jak największą liczbę uchodźców do powrotu do Polski, ci, którzy by się na to zdecydowali, otrzymaliby bezpłatny transport, żołd za pięćdziesiąt sześć dni, odprawę i zasiłek wojenny. Na użytek opinii publicznej podkreślano, że głównym celem PRC jest zapewnienie jego członkom stałej pracy, choć w sposób zorganizowany. Po zwolnieniu z korpusu, co miało się odbywać stopniowo, aby ułatwić asymilację w obcym społeczeństwie, Polacy zostaliby zarejestrowani jako cudzoziemcy z prawem stałego pobytu i mogliby szukać zatrudnienia bez zgody Ministerstwa Pracy oraz ubiegać się o naturalizację w ramach ustalonych procedur. Wstąpienie do PRC, choć atrakcyjne, pociągało za sobą jedną poważną niedogodność. Rząd w Warszawie przypominał obywatelom polskim, że zgodnie z polskim prawem zaciągnięcie się do obcej armii, nawet tymczasowe, powoduje utratę polskiego obywatelstwa. Niektórzy żołnierze polscy nie chcieli się z tym pogodzić dla zasady, i buntowali się przeciwko takiemu rozwiązaniu¹⁹. Większość jednak nie wyrażała poważniejszych zastrzeżeń:

Po raz pierwszy usłyszałem o Polskim Korpusie Osiedleńczym we Włoszech, kiedy przygotowywałem się do wyjazdu do Anglii. Pan Bevin to ogłosił, a my usłyszeliśmy wiadomość przez radio. Nie zastanawiałem się specjalnie nad tym, jak potoczą się sprawy w Wielkiej Brytanii; po prostu zakładałem, że zostanę zdemobilizowany i pójdę do pracy, ale przekonałem się, że to nie takie proste. Było 100 tysięcy ludzi do osiedlenia. Musiał to być proces stopniowy. Pomyślałem więc, że PRC to dobry pomysł. Wysłano mnie do obozu w Norfolk, gdzie podczas wojny mieściła się baza Amerykańskich Sił Powietrznych. W obozie we Włoszech uczyłem się angielskiego i kontynuowałem naukę w PRC. Lekcje udzielał nam miejscowy proboszcz. Przedstawiciele Ministerstwa Pracy odwiedzali obóz, rozmawiali z nami i udzielali nam informacji o zatrudnieniu. Prosto z Norfolk poszedłem do przemysłu włókienniczego²⁰.

„Kwestia polska”, z którą musiał się uporać rząd brytyjski, to armia An-dersa, byli „Sybiracy”, żołnierze Polskich Sił Zbrojnych najbardziej przeciwni powrotowi do Polski. Widać to wyraźnie, kiedy przyjrzymy się danym o repatriacji. Spośród 240154 żołnierzy polskich, którzy służyli pod brytyjskim dowództwem (najwyższa przytaczana liczba to 249 tysięcy), 105 tysięcy zdecydowało się na powrót do Polski do 1949 roku. Około 86 tysięcy z nich zostało repatriowanych ze Zjednoczonego Królestwa, z czego prawie wszyscy do lutego 1947 roku (zaciąg do PRC ogłoszono dopiero jesienią 1946 roku), około 12 tysięcy wróciło z Włoch (głównie nowi rekruci II Korpusu z Niemiec), 500 z Niemiec i 2 tysiące z Bliskiego Wschodu. Ale spośród 114 037, którzy wstąpili do PRC, tylko około 9 tysięcy zdecydowało się wrócić do Polski, głównie dlatego, że w Wielkiej Brytanii nie mogli znaleźć odpowiedniej pracy lub na skutek trudności z przystosowaniem się

do brytyjskiego sposobu życia. Kolejne 12 tysięcy wyemigrowało, ale około 30 tysięcy członków rodzin połączyło się z mężami i ojcami w Zjednoczonym Królestwie. Łącznie około 124 tysięcy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych i członków ich rodzin osiedliło się w Wielkiej Brytanii do czasu, gdy w lipcu 1950 roku ostatni członkowie PRC wtopili się w brytyjskie społeczeństwo. Byli to ci, którzy uważali, iż nie mogą wracać do Polski pod radziecką dominacją - po części dlatego, że stracili wszystko, a po części dlatego, że było to zbyt niebezpieczne. Często przychodziły wieści o nowych falach aresztowań, procesach i wyrokach. Ludzie uciekający z Polski potwierdzali te informacje. A jednak dziesiątki tysięcy wróciło, powodowanych albo potrzebą połączenia się z rodzinami, albo tęsknotą za domem, albo chęcią ucieczki od ograniczeń nałożonych na nich w Wielkiej Brytanii. Ci, którzy wracali do Polski, zwykle mieli tam żony, dzieci lub innych członków rodziny²¹.

W debatach nad przyszłością Polskich Sił Zbrojnych wątek uzupełnienia niedoborów siły roboczej w brytyjskiej gospodarce pojawił się jakby dopiero po namyśle. Natomiast kiedy zastanawiano się nad przyszłością przesiedleńców w brytyjskich strefach Niemiec i Austrii, poszukiwanie rąk do pracy było czynnikiem dominującym. Przez cały 1945 i 1946 rok brak siły roboczej w niektórych gałęziach przemysłu utrudniał powojenne odrodzenie brytyjskiej gospodarki. Rządowy „Economic Survey” na 1947 rok, opublikowany w lutym, stwierdzał, że jeśli narodowe cele gospodarcze mają zostać osiągnięte, potrzeba ogromnych zasobów siły roboczej. Brak rąk do pracy był szczególnie dotkliwy w trzech dziedzinach najważniejszych dla odrodzenia gospodarczego - w górnictwie węglowym, przemyśle włókienniczym i rolnictwie. Wzrost produkcji w tych trzech sektorach, jak argumentowano, pozwoli zmniejszyć import artykułów rolnych, rozwinąć eksport tekstyliów i zaspokoić zapotrzebowanie brytyjskiego przemysłu na węgiel. W 1946 i na początku 1947 roku zdarzały się częste przerwy w dopływie prądu, co też miało ujemny wpływ na najważniejsze gałęzie brytyjskiego przemysłu. Inne sektory, takie jak budownictwo, odlewnictwo żelaza i transport, też potrzebowały rąk do pracy, podobnie jak służba zdrowia. Nie ma potrzeby omawiać szczegółowo przyczyn tych niedoborów. Wystarczy powiedzieć, że wynikały one ze skomplikowanego połączenia czynników, które doprowadziły autorów „Economic Survey” do konkluzji, iż stare argumenty przeciwko zatrudnianiu cudzoziemskiej siły roboczej nie są już przekonujące. Nawet Rada Naczelna Kongresu Zawodowych stwierdziła, iż „żywotne potrzeby kraju wymagają większej liczby pracowników niż obecnie dostępna”. Wobec bezrobocia, które w 1948 roku spadło poniżej dwóch procent, był to oczywisty wniosek. W grudniu 1946 roku niedobory siły roboczej szacowano co najmniej na 630 tysięcy, a prawdopodobnie znacznie więcej²².

Z punktu widzenia rządu najistotniejszą korzyścią płynącą z zatrudnienia cudzoziemskiej siły roboczej było to, że mogła zostać skierowana do wybranych gałęzi przemysłu, gdzie występowały szczególnie dotkliwe niedobory, przede wszystkim do górnictwa, przemysłu włókienniczego, produkcji cegieł, budownictwa (ponad trzy miliony budynków doznały uszkodzeń podczas wojny), a także do rolnictwa i do pracy w charakterze służby domowej. Korzyść ta była szczególnie cenna w czasie, gdy po zakończeniu wojny rząd nie kontrolował już brytyjskiego rynku pracy. Nie przewidywano jednak, iż takim rodzajem kontroli, jaki zamierzano zastosować wobec przesiedleńców - czyli EVW, jak zaczęli ich nazywać Brytyjczycy - da się objąć członków PRC. Z różnych powodów byłoby to niewłaściwe, chociaż Ministerstwo Pracy próbowało kierować polskich żołnierzy do tych gałęzi przemysłu, gdzie najbardziej brakowało rąk do pracy. Mimo to mieli oni swobodę wyboru, ponieważ przyspieszało to ich asymilację i pozwalało zaoszczędzić pieniądze podatników²³.

W październiku 1946 roku pierwsi EVW zaczęli przyjeżdżać do Wielkiej Brytanii z obozów w Niemczech, niedługo po pierwszym kontyngencie polskich żołnierzy z Włoch. Przyjeżdżali w ramach czterech programów, których zabawne nazwy, „Bałtyckie Łabędziałko”, „Dalej na zachód!”, „Morze Północne” i „Błękitny Dunaj”, zostały wymyślone przez jakiś rządowy komitet i dla samych uchodźców mogły niewiele znaczyć. Pierwsza grupa, około tysiąca kobiet, zjawiała się pod szyldem „Bałtyckie Łabędziałko”. Kobiety znalazły zatrudnienie jako salowe w sanatoriach. Na początku 1947 roku rozmiary rekrutacji podniesiono do 5 tysięcy, lecz później plan ten stopił się z „Dalej na zachód!”, szerszym programem rekrutacji do „zasadniczych gałęzi przemysłu”. W pierwszym przypadku wszyscy rekruci byli Bałtami, ponieważ zgadzano się powszechnie, iż są to najbardziej zdyscyplinowani spośród przesiedleńców, i uważano, iż rząd robi już dostatecznie dużo dla Polaków w ramach projektu PRC. Ale później, w lipcu 1947 roku, polscy

przesiedleńcy też zostali objęci programem „Dalej na zachód!”, a po nich Niemcy i Austriacy w programach „Morze Północne” i „Błękitny Dunaj”²⁴.

W 1948 roku przyjechała brytyjska delegacja z Ministerstwa Pracy. Próbowano nas namówić, żebyśmy pojechali do Anglii w ramach programu „Dalej na zachód!”. Powiedzieli, że jedziemy do Anglii pracować w kopalniach, i opowiadali nam o szkoleniu, płacach, wyżywieniu itd. Postanowiłem pojechać do Anglii. Początkowo zamierzałem jechać do Kanady albo do Stanów, ale byłem wstrząśnięty, podobnie jak wielu Polaków, brakiem dyscypliny w amerykańskiej armii. My stawaliśmy na baczność przed kapralem, a Amerykanie nie salutowali nawet oficerom. Leżeli z rękami w kieszeniach. Po prostu nie mogliśmy tego zrozumieć²⁵.

Oficjalnie programy dotyczyły rekrutacji siły roboczej, a nie osiedlania uchodźców. EVW przyjeżdżali na wstępny okres jednego roku, musieli się dobrze sprawować i przyjmować zatrudnienie oferowane im przez Ministerstwo Pracy. Kwestia prawa pobytu lub uzyskania obywatelstwa została potraktowana bardzo mgliście²⁶. W obliczu krytyki rząd mógł zatem twierdzić, że sprowadził cudzoziemskich robotników, aby przezwyciężyć niedobory siły roboczej w poszczególnych gałęziach przemysłu. Pod koniec pierwszego roku wielu EVW było zdziwionych, że nie wolno im poruszać się swobodnie na rynku pracy, lecz wciąż muszą wykonywać polecenia ministerstwa. Zazwyczaj dopiero po trzech latach zatrudnienia nabywali prawo do podjęcia takiej pracy, jaką sobie wybrali. Było oczywiste, że większość EVW przyjechała po to, żeby zostać, a przynajmniej nie wracać do obozów w Niemczech. A po trzech latach spędzonych w Wielkiej Brytanii, jeśli zostali uznani za dobrych pracowników, którzy nie sprawiają kłopotów, nie można ich było odesłać bez indywidualnego nakazu deportacji. W każdym razie wielu z nich pracowało w sektorach, gdzie nadal brakowało siły roboczej. Kolejnym istotnym utrudnieniem była niechęć władz w Niemczech do przyjęcia ich z powrotem oraz zastrzeżenia humanitarne i polityczne przeciwko odsyłaniu ludzi, zwłaszcza kobiet, z powrotem do obozów²⁷. Podsumowując, rząd brytyjski postanowił przedstawić przyjęcie uchodźców jako program rekrutacji siły roboczej, po części dlatego, że gospodarka jej potrzebowała, a po części dlatego, że mógł ustalić takie warunki zatrudnienia, które pozwalały ugłaskać potencjalnych przeciwników programu w związkach zawodowych. Wśród samych EVW panowało przeświadczenie, że kontrakty, które podpisują, są formą niewolnictwa, ponieważ w praktyce status EVW trwał co najmniej trzy lata. Niektórzy urzędnicy w Ministerstwie Pracy podzielali ten punkt widzenia. Krytycy domagali się skrócenia długoterminowego statusu EVW, ponieważ forma segregacji, jaką wprowadzał, utrudniała asymilację i pozbawiała nowych przybyszów możliwości wtopienia się w brytyjskie społeczeństwo. Ich pogląd uzyskał jednak akceptację dopiero wówczas, kiedy trudności ekonomiczne zostały przezwyciężone, a resztki ograniczeń na brytyjskim rynku pracy zniesione ostatecznie w 1949 roku²⁸.

EVW rekrutowani w ramach różnych programów musieli podpisać zobowiązanie, że przyjmą oferowane im zatrudnienie i zmienią pracodawcę tylko za zgodą Ministerstwa Pracy. Większość EVW skierowano do rolnictwa, górnictwa węglowego, produkcji cegieł i do przemysłu włókienniczego.

Przebywałem w obozie w pobliżu Yorku. Zadawaliśmy pytania i powiedziano nam: „Pojeździecie tam i tam” i pojechalismy do Cleckheaton, małego miasteczka na południe od Brighton. Razem z trzema innymi Estończykami zostałem skierowany do zakładów włókienniczych i prządek. Nie mogliśmy dowolnie wybierać. Wysyłano nas tam, gdzie byliśmy potrzebni. W Estonii chodziłem do liceum i mogłem mieć nadzieję, że zdobędę wyższe wykształcenie i dobrą posadę. W Anglii nie mogłem jednak pójść tą drogą²⁹.

Władze brytyjskie potrzebowały siły roboczej, a EVW rozpaczliwie potrzebowali pracy:

Byliśmy w tym obozie [w pobliżu Yorku] tylko około dwóch tygodni. Skorzystałem z pierwszej okazji, zgodziłem się na wszystko. Potrzebowałem pracy i pieniędzy. Nadal chodziliśmy w łachmanach, nie mieliśmy ubrań ani niczego. Całkiem niedawno ożeniłem się w Niemczech. Przyjęliśmy pierwszą dostępną pracę, w zakładach włókienniczych w pobliżu Halifaxu. Moja żona uczyła się prząść na przędzarce, a ja byłem

windziarzem, pracowałem przy dźwigu parowym, nosiłem różne rzeczy. Później dostałem maszynę do szycia³⁰.

Delegacja z Ministerstwa Pracy dokonująca inspekcji niemieckich obozów zameldowała, że kobiety z krajów bałtyckich mają „wyjątkowo dobry charakter” i doskonale nadają się do pracy w szpitalach w Zjednoczonym Królestwie³¹. Jedna z kobiet wspominała:

Przyjechałam do Wielkiej Brytanii z obozu dla przesiedleńców jako salowa, chociaż byłam lekarzem. Czułam, że muszę od czegoś *zacząć*, a potem zobaczę, co będzie. Najpierw pojechałam do Szkocji, do sanatorium jako pokojówka. Ludzie nie mieli pojęcia, skąd pochodzimy. Spodziewali się, że będziemy w łachmanach, zupełnie zagłodzone, a nie byliśmy. Nasze zdjęcia ukazały się w gazetach. Praca i sytuacja nie wydały mi się szczególnie trudne, szpital był bardzo dobry i położony w pięknym miejscu. Trzeba się było przystosować, przyjmować rzeczy takimi, jakimi są, nie było mi więc szczególnie trudno być pokojówką. Nie sądziłam, że mam jakąkolwiek szansę być znowu lekarzem³².

Rząd zgodził się ze związkami zawodowymi, iż żaden cudzoziemski robotnik nie może otrzymać pracy, jeśli istnieje możliwość zatrudnienia odpowiednio wykwalifikowanego pracownika brytyjskiego. Cudzoziemcy musieli być zatrudniani za taką samą płacę i na takich samych warunkach jak robotnicy brytyjscy. W przypadku redukcji zatrudnienia EVW mieli być zwalniani w pierwszej kolejności. Rodziło to ogromne poczucie niepewności wśród nowych pracowników, w praktyce jednak, podczas zastoju gospodarczego w latach 1951-1952, większość zakładów włókienniczych, choć nie wszystkie, zamiast zwalniać nowo zatrudnionych, skracala czas pracy zarówno robotnikom brytyjskim, jak i cudzoziemskim³³. Zostało to dobrze przyjęte przez EVW i liczba ubiegających się o emigrację spadła.

EVW mieszkali w obozach lub w hospicjach i dopóki nie otrzymali pracy, dostawali darmowe posiłki³⁴. Rząd zakładał, iż nowi przybysze przeprowadzą się ostatecznie do mieszkań prywatnych, proces ten postępował jednak znacznie wolniej, niż życzyli sobie urzędnicy. W czerwcu 1951 roku 10 tysięcy EVW nadal mieszkało w hospicjach, korzystając, jak twierdzili krytycy, z subwencjonowanego czynszu. W kręgach rządowych obawiano się coraz bardziej, iż ta utrzymująca się segregacja utrudni asymilację. Ale względna opieszałość w przeprowadzaniu się z hospicjów i obozów była bezpośrednią konsekwencją po pierwsze, ograniczeń w zatrudnieniu, i po drugie, decyzji brytyjskiego rządu, aby rekrutować samych pracowników, a ich rodziny pozostawiać w Niemczech. Dopiero kiedy ten warunek został złagodzony, rodziny mogły się łączyć i zacząć przeprowadzać do osobnych domów³⁵.

Pod koniec pierwszego roku pracy część EVW wystąpiła o zgodę na zmianę zatrudnienia. Jeśli jej nie udzielono, niektórzy i tak przeszli na inne posady, ignorując Ministerstwo Pracy. Aby przezwyciężyć tę tendencję, urzędnicy ministerstwa stali się bardziej elastyczni i pozwalali na zmianę zatrudnienia w obrębie tej samej gałęzi przemysłu lub przeniesienie się do innego sektora, gdzie też brakowało rąk do pracy. Większość przenosiła się z rolnictwa i górnictwa węglowego do przemysłu włókienniczego. Pewien człowiek, który został skierowany na farmę w pobliżu Doncaster, wybrał taką drogę:

Chociaż traktowano mnie tam bardzo dobrze, nie chciałem pracować na farmie. Ale była to pierwsza praca, jaką mi zaproponowano, więc ją przyjąłem. Mieszkałem w obozie, a każdego ranka zabierali nas ciężarówką i rozwozili po różnych farmach. Spędziłem tam około dziewięciu miesięcy. Początkowo nie wolno nam było odchodzić, ale później przepisy się zmieniły i każdy mógł odejść, jeżeli chciał. Najpierw pracowałem dla firmy budowlanej w rejonie Huddersfield³⁶.

Inny mężczyzna przepracował dwa lata na farmie, zanim przeniósł się do przemysłu włókienniczego. Postanowił odejść, chociaż wychował się na wsi w Estonii, z powodu odmiennego klimatu, typu gospodarowania i technik. Pod koniec 1948 roku liczba EVW i członków PRC zatrudnionych w rolnictwie spadła do dziewiętnastu procent, a w górnictwie węglowym do trzydziestu procent w lipcu 1949 roku. Przeniesienia wynikały częściowo z niechęci do pracy w tych dwóch gałęziach gospodarki, lecz kolejnym

czynnikami było to, że kobiety EVW zatrudniano z reguły w zakładach włókienniczych, a ich mężowie i narzeczeni szukali pracy w tym samym przemyśle lub przynajmniej w tej samej okolicy. Ograniczenia dotyczące przenosin dobiegły końca, kiedy 1 stycznia 1951 roku zniesiono oficjalnie wszystkie restrykcje na zatrudnianie EVW, którzy mieszkali w Zjednoczonym Królestwie przez trzy lata³⁷.

Kontakty osobiste były często bardzo ważne przy podejmowaniu decyzji związanych z pracą.

Miałem przyjaciela, który dostał list z Bingley od pana X, który był polskim Żydem i miał tam przędzalnię. Pan X zdobył adresy Polaków, którzy przed wojną pracowali w przemyśle włókienniczym w Łodzi. Przepuszczam, że uzyskał te informacje od rządu. Mój przyjaciel dostał ten list i propozycję pracy. Zabrał mnie tam, a pan X mnie zatrudnił,

choć nie miałem żadnego doświadczenia w branży włókienniczej. Było tam już około piętnastu robotników z Polski, wszyscy byli przed wojną tkaczami lub pracowali w przemyśle włókienniczym. Ci Polacy nie przyjęli mnie szczególnie serdecznie. Pewnie dlatego, że byłem obcy i nigdy wcześniej nie pracowałem we włókiennictwie³⁸.

Szczęście i cechy osobiste również odgrywały rolę w zdobywaniu pracy. Pewien człowiek trafił wraz z grupą innych do nowego hospicjum dla robotników rolnych zakładanego w pobliżu Wetherby:

Poszedłem do biura kierownika, żeby dowiedzieć się o transport. Nagle zauważyłem na jego stole magazyn Brytyjskiego Towarzystwa Filozoficznego i zacząłem czytać. Kiedy wszedł kierownik, przeprosiłem, że czytam bez jego pozwolenia. Powiedział, że nic nie szkodzi, i spytał, czy dużo z tego rozumiałem. Odparłem, że tak, dużo. Powiedział, żebym zaczekał, dopóki nie wróci, i wrócił z dwoma urzędnikami, którzy zakładali obóz. Rozmawiali przez chwilę, potem wyszli, a w końcu spytali mnie, czy chciałbym tam pracować. Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu, i zrobili mnie zastępcą kierownika. Praca bardzo mi się podobała. Kiedy zamknięto obóz, poszedłem do szpitala Harrogate jako sanitariusz, a później wstąpiłem na uniwersytet w Leeds³⁹.

Jak już wspominaliśmy, związki uczuciowe też mogły mieć wpływ na miejsce pracy. Jeden z członków PRC poprosił przyjaciela, żeby pomógł mu zdobyć pracę w Bradford, ponieważ jego dziewczyna z EVW została tam zatrudniona w zakładach włókienniczych. Przyjaciel pojechał razem z nim, żeby pomóc mu w angielskim, a kiedy załatwił pracę w przędzalni w Mills, sam poznał dziewczynę. „Doszedłem do wniosku, że jeśli wrócę do college[^] w Glasgow, prawdopodobnie stracę dziewczynę. Pojechałem więc do Salts i poprosiłem o pracę”. Dostał pracę i ożenił się z dziewczyną⁴⁰.

Pierwszą grupą zatrudnionych w zakładach wełnianych w Halifaksie było osiemnastu Litwinów. W sąsiednim Bradford pomiędzy czerwcem a grudniem 1947 roku zatrudniono w przemyśle wełnianym 1000 cudzoziemskich robotników, w tym 600 kobiet EVW (najbardziej brakowało rąk do pracy w przędzalniach, gdzie zatrudniono większość kobiet), 115 mężczyzn EVW i 250 byłych członków PRC. Do lipca 1951 roku przyjęto do pracy w Bradford około 7 tysięcy cudzoziemskich robotników różnych narodowości, nie tylko w przemyśle włókienniczym. W rejonie Gór Pennińskich ponad dwa razy tyle EVW i byłych członków PRC znalazło zatrudnienie w przemyśle bawełnianym Lancashire i w przemyśle wełnianym Yorkshire⁴¹. Pod koniec okresu rekrutacji w 1950 roku do Wielkiej Brytanii przyjechało około 35 700 polskich i bałtyckich EVW, w tym 14 tysięcy Polaków, 12 tysięcy Łotyszów, 5700 Litwinów i 4 tysiące Estończyków. Stanowili oni niespełną połowę ogólnej liczby EVW zatrudnionych w Wielkiej Brytanii, ponieważ było tam również wielu Ukraińców, Jugosłowian, Węgrów i Czechów. Należy do tego dodać około 14 tysięcy członków rodzin⁴². Około 3800 EVW wróciło do Niemiec (niektórzy po to, by skorzystać z programów emigracyjnych prowadzonych przez IRO), a około 600 zostało deportowanych za poważne przestępstwa. Stosunek mężczyzn do kobiet wśród Bałtów wynosił 4:1, chociaż przyjazd członków rodzin zwiększył liczbę kobiet w tych społecznościach. Początkowo odsetek kobiet zatrudnionych w przemyśle włókienniczym był znacznie wyższy, ale napływ mężczyzn z innych gałęzi gospodarki zmniejszył tę dysproporcję. Procentowy stosunek

kobiet do mężczyzn wzrósł, kiedy program „Dalej na zachód!” został otwarty dla Polaków. Znaczna liczba samotnych mężczyzn z PRC mieszkających w Wielkiej Brytanii była zapewne czynnikiem, który skłaniał polskie kobiety do przyjazdu do Wielkiej Brytanii.

Niedobory siły roboczej w Wielkiej Brytanii dotyczyły głównie robotników niewykwalifikowanych lub na wpół wykwalifikowanych, a EVW rekrutowano właśnie do tego typu pracy. Członkowie PRC byli często zmuszeni, choć nie kierowani, do pracy w charakterze robotników niewykwalifikowanych, ponieważ z powodu sprzeciwu związków zawodowych nie mogli podjąć pracy, do której mieli kwalifikacje, ich kwalifikacje bowiem nie były uznawane lub trudności językowe uniemożliwiały im przekwalifikowanie się. Struktura zatrudnienia 66 tysięcy byłych członków PRC w latach 1947-1950 przedstawiała się następująco: rolnictwo - 8200, murarstwo -9000, produkcja cegieł - 3100, górnictwo węglowe - 7300, budownictwo ogólne - 3500, budownictwo lądowe i wodne - 3000, służba domowa -1300, przemysł spożywczy - 1500, hotele i usługi - 6200, hutnictwo żelaza i stali - 2500, przemysł włókienniczy - 6400, różne - 14 tysięcy. Spośród tych ostatnich najliczniejszą grupę stanowili ludzie, którzy pracowali w różnego rodzaju własnych przedsiębiorstwach⁴³.

Aby odnieść sukces w prowadzeniu własnej firmy, potrzebna była ambicja, energia, chęć dorobienia się, biegłość w angielskim, a czasem

małżeństwo z obywatelem brytyjskim. Poniższy przykład jest tego dobrą ilustracją. Narrator był polskim tkaczem, jego szkocka żona kierowniczką kawiarni:

Znaliśmy dwoje Polaków, którzy mieli kawiarnię i postanowili ją sprzedać. Mojej żonie obrzydła już praca dla kogoś innego, lecz cena za kawiarnię była bardzo wysoka. Ale ci Polacy chcieli, żebyśmy ją kupili, i zaproponowali nam bezprocentową pożyczkę. Nie byliśmy biedni. W naszym domu mieszkało całkiem sporo polskich lokatorów, a także Ukraińców. Za pieniądze ze sprzedaży domu i pożyczkę mogliśmy więc kupić kawiarnię. Z czasem zatrudniliśmy dwa zespoły kelnerek na dwie zmiany, pomywaczkę i osobę do sprzątania kawiarni. Moja żona gotowała, a ja jej pomagałem. W pierwszy weekend na pobliskim placu był jakiś festyn czy cyrk. Dużo ludzi przychodziło kupować jedzenie i napoje, toteż zarobiliśmy 400 funtów. W tym czasie zarabiałem zaledwie 10 funtów tygodniowo. Mogliśmy więc wyremontować kawiarnię. Kiedy sprzedaliśmy kawiarnię, zostałem kierownikiem restauracji z rybami i frytkami (fish and chip) w Leeds. Odkąd zamieszkałem w Wielkiej Brytanii, miałem osiem samochodów, wszystkie nowe, trzy domy, kawiarnię i kilka dobrych posad. Nie osiągnąłbym tego w Polsce. Jeździłem do Polski osiem razy na wakacje. Moi bracia są bardzo biedni. Posyłałem im pieniądze i paczki⁴⁴.

Polskie kawiarnie takie jak ta, a także polskie sklepy, bary, apteki i biura podróży nie tylko oferowały usługi, lecz zapewniały też członkom społeczności możliwość spotykania się poza klubami i szansę rozmowy w ojczystym języku w znanym otoczeniu.

Zaledwie dwadzieścia dziewięć procent zatrudnionych Polaków dostało pracę odpowiadającą ich kwalifikacjom. Istniała jednak duża mobilność i przepływ pracowników pomiędzy różnymi gałęziami gospodarki, ponieważ nowi przybysze szukali podobnej i lepiej płatnej pracy oraz możliwości wykorzystania swoich kwalifikacji. Kiedy pod koniec lat czterdziestych opór związków zawodowych osłabł, takie możliwości wzrosły. Niektórzy ludzie skorzystali z tego, inni, z różnych powodów, nie mogli.

W Niemczech po wojnie uczęszczałem do technikum, gdzie nauczyłem się wszystkiego o mechanice samochodowej itd., ale nie byłem z tego zadowolony, i kiedy ukończyłem naukę, poszedłem na kurs radiowy, który był bardzo ciekawy. Wszyscy myśleli, że kiedy pojedziemy do Anglii, będziemy mieli większe szansę, jeśli będziemy lepiej wykwalifikowani. Znalazłem sobie kilka posad. Najpierw poszedłem do warsztatu samochodowego i zapytałem o pracę, a właściciel powiedział: „Tak, bardzo chętnie”. Ale urząd zatrudnienia się nie zgodził. Potem próbowałem w warsztatach radiotechnicznych, ale nie mogłem dostać pracy z powodu związków zawodowych. Czułem się bardzo rozgoryczony, ponieważ poświęciłem mnóstwo czasu, przygotowując się do życia w cywilu, a nie mogłem zacząć

tak jak chciałem. Podjąłem więc pracę w zakładach włókienniczych. Później pracowałem jako szlifierz, bo to było dobrze płatne zajęcie. Czułem, że mógłbym robić inne rzeczy znacznie lepiej, ale nie udało mi się dostać pracy, ponieważ byłem cudzoziemcem. Gdyby nie wojna, moje losy potoczyłyby się inaczej⁴⁵.

Inni spełnili swoje oczekiwania:

Pojechałem do Brighthouse, żeby zatrudnić się jako mechanik, ponieważ prawie skończyłem naukę zawodu w 1944 roku [w Warszawie] - zostały mi trzy miesiące do egzaminów końcowych. Ale w tym czasie związki zawodowe nie pozwalały zatrudniać cudzoziemców jako mechaników. Podjąłem pracę w zakładach włókienniczych, a później dowiedziałem się, że związki zawodowe mogą wyrazić zgodę na zatrudnienie cudzoziemca, ponieważ brakuje wykwalifikowanych robotników. Pewnego dnia pojechałem do Bradford i poszedłem do Croftsa, żeby się rozejrzeć. Potrafiłem obsługiwać wszystkie maszyny. Nie sprawdzali mnie. Powiedzieli po prostu, że przyjmują mnie na tydzień na próbę i przez ten czas sami się przekonają, i ja się przekonam, czy się nadaję do tej pracy. Przyszedł brygadzysta z plikiem rysunków i powiedział: masz, i tak się to odbyło. Byłem mile zaskoczony i trochę przestraszony. Ale podobało mi się, że wszystko zależy od moich umiejętności, moich zdolności, to się liczyło. Popatrzyłem na rysunki, pomyślałem, że znam się na tym, potrafię to zrobić, i wszystko jest mniej więcej tak samo. Żaden problem. Zostałem u nich przez dwadzieścia siedem lat, dopóki nie zamknęli zakładów. W Polsce chodziłem do dobrej szkoły i myślę, że moi rodzice chcieli, żebym zrobił karierę - na przykład moja ciotka była chirurgiem w warszawskim szpitalu. Ale nigdy nie żałowałem straconych

możliwości. Czułem po prostu ulgę, że mogę robić, co chcę, wychodzić, kiedy chcę, i tak dalej⁴⁶.

Odsetek zatrudnionych w wolnych zawodach i na stanowiskach kierowniczych rósł w następnej dekadzie, lecz swoje aspiracje zawodowe zrealizowali głównie przedstawiciele młodego pokolenia, którzy kontynuowali naukę w Wielkiej Brytanii i zostawali inżynierami, architektami, ekonomistami i lekarzami. Pewna estońska lekarka wspominała, jak udało jej się zdobyć kwalifikacje w Anglii:

Była ustawa parlamentu. Dotyczyła lekarzy, którzy pracowali tutaj podczas wojny. Byli to głównie uchodźcy, Żydzi i Polacy, którzy pracowali, choć nie byli zarejestrowani. Teraz mogli się zarejestrować, jeśli ich kwalifikacje oceni Naczelna Rada Lekarska (GMC). Wystąpiłam więc do GMC o rejestrację. Akademia medyczna, w której studiowałam, była uznawana przez GMC, toteż nie musiałam zdawać żadnych egzaminów. Musiałam za to ciężko pracować nad swoim angielskim. Kiedy pisałam historię choroby, nie mogłam po prostu usiąść i napisać od ręki, lecz musiałam robić notatki i pisać całą noc⁴⁷.

Był to dobry przykład specjalisty, który mógł zrobić użytek ze swoich przedwojennych kwalifikacji. W najlepszej sytuacji znaleźli się pod tym względem lekarze, dentyści, inżynierowie i naukowcy. Trudniej było prawnikom, ale nawet w tej dziedzinie pracowało w 1958 roku sześciu polskich adwokatów, dziesięciu radców prawnych i dwudziestu konsultantów. Do 1960 roku w kadrze naukowej brytyjskich uniwersytetów i innych wyższych uczelni było około pięćdziesięciu Polaków. Architekci też mogli doskonalić swoje kwalifikacje, a możliwości kształcenia zapewniała im od 1942 roku Polska Szkoła Architektury w Liverpoolu. W tym samym czasie wydział medycyny na uniwersytecie w Edynburgu oferował studia medyczne Polakom, a w Glasgow istniało polskie technikum rolnicze⁴⁸.

Komisja do Spraw Edukacji Polaków w Wielkiej Brytanii przy Ministerstwie Edukacji, powołana w 1947 roku, zrobiła w ciągu siedmiu lat swego istnienia bardzo wiele, by zapewnić społeczności polskiej możliwości kształcenia. Jednym z jej głównych celów było ułatwianie polskiej młodzieży nauki w brytyjskich szkołach i dostosowywanie tradycyjnych polskich programów nauczania do brytyjskich wymagań, tak aby uczniowie mogli

zdawać egzaminy końcowe zgodnie z brytyjskimi normami. Komisja przydzielała również zapomogi polskim studentom, rozpoczynającym studia wyższe i techniczne. W latach 1947-1960 zapomogi otrzymało około 10

tysięcy polskich studentów. Około jednej trzeciej polskich studentów kształciło się w placówkach brytyjskich, a reszta na Uniwersytecie Polskim w Londynie. Uniwersytet, założony w 1947 roku, miał trzy wydziały: inżynierii, architektury i ekonomii, kadre nauczycielską stanowili głównie Polacy, a studenci, których w roku akademickim 1948-1949 było 980, zdawali egzaminy magisterskie i doktoranckie na Uniwersytecie Londyńskim. W latach 1947-1954 komisja wyłożyła około dziewięć milionów funtów na polską edukację, płacąc za utrzymanie szkół specjalnych, pokrywając wydatki Uniwersytetu Polskiego i wypłacając zapomogi studentom szkół wyższych i podyplomowych. Zapomogi ułatwiły polskim absolwentom start zawodowy. W tym samym czasie, do połowy 1949 roku, stypendia uniwersyteckie otrzymało około trzydziestu EVW. W grudniu 1949 roku rząd zdecydował również, że EVW, którzy przepracowali osiemnaście miesięcy, mogą zrezygnować z pracy w najważniejszych dziedzinach gospodarki i podjąć naukę, pod warunkiem że zdołają się utrzymać⁴⁹.

Na stypendiach i zapomogach skorzystali głównie ludzie młodzi, nie-obarczeni odpowiedzialnością za rodzinę. Bardziej powszechną drogą zdobywania wykształcenia były studia wieczorowe lub kursy korespondencyjne. Znamy kilka przykładów uchodźców, którzy studiowali przez kilka lat, pracując jednocześnie w pełnym wymiarze godzin, aby utrzymać rodziny. Pewien mężczyzna podjął pracę w zakładach włókienniczych, a później zaczął chodzić na kursy budowy maszyn w szkole wieczorowej. Stało się to trudniejsze, kiedy założył rodzinę, zapisał się więc na kursy korespondencyjne. Kiedy związki zawodowe przestały się sprzeciwiać, znalazł pracę w zakładach maszynowych. Ponieważ był za stary, żeby uzyskać dyplom technika, postanowił zostać kreślarką, ale w tym celu musiał się przenieść z firmy do firmy, aby poszerzać swoją wiedzę. W końcu udowodnił, iż ma dostateczne kwalifikacje, żeby zostać tokarzem. Kończąc korespondencyjne kursy budowy maszyn, projektowania i rysunku technicznego, pracował w różnych fabrykach jako kreślarką z widokami na objęcie stanowiska projektanta maszyn.

Jedną z najlepszych posad dostałem w Associated Weavers, gdzie pracowałem przez siedem lat. Zajmowałem się wszystkim - ogólną mechaniką,

projektowaniem, hydrauliką, pneumatyką, projektowaniem silników -było tam wszystko. Kiedy zamknęli fabrykę, przenieśli się do innej firmy jako projektant⁵⁰.

Jego sukces można porównać z osiągnięciami innego uchodźcy, który, po przepracowaniu kilku lat w przemyśle budowlanym uznał, że życie przemija, a on nie zdobywa wykształcenia ani nie wspina się wyżej w hierarchii społecznej. Zapisał się do szkoły wieczorowej i zdobył kwalifikacje dyplomowanego sekretarza.

Zacząłem pracować dla pewnej spółki jako asystent sekretarza. Uważałem, że powinienem zostać dyplomowanym sekretarzem i poszedłem na Politechnikę w Leeds. Po sześciu latach pracy poprosili mnie, żebym objął dział zakupów i przez następne czternaście lat organizowałem i kupowałem. Jestem dumny z tego, że nie byłem w brytyjskiej szkole nawet przez jeden dzień i osiągnąłem to, co osiągnąłem⁵¹.

Inni obywali się bez kwalifikacji i uczyli się zawodu. Pewien Łotysz pracował na różnych budowach, gdzie zajmował się wszystkim, od kopania rowów melioracyjnych po montaż instalacji elektrycznych, zanim w 1961 roku założył własną firmę, która zatrudniała dwudziestu sześciu ludzi. Miał nie tylko zdolności techniczne, lecz również żyłkę przedsiębiorcy. „Nigdy się nie wstydzilem robić interesów. Jeśli zobaczyłem, że ktoś coś buduje, zatrzymałem się i pytałem, czy mogę wymienić swoją cenę”⁵².

Jeśli awans społeczny stawał się coraz bardziej powszechny wśród pierwszego pokolenia uchodźców, to jednak dominującym doświadczeniem była degradacja zawodowa i deklasacja. W latach 1947-1950 ponad połowa Polaków z kwalifikacjami i doświadczeniem zawodowym była zatrudniona jako niewykwalifikowana siła robocza, a tylko około jednej trzeciej wykonywało pracę odpowiadającą ich kwalifikacjom⁵³. Zasadniczą przyczyną tego zjawiska były trudności językowe i brak kwalifikacji przydatnych w warunkach brytyjskich. Wiara, że pobyt na wygnaniu jest tymczasowy, a powrót do krajów ojczyźtych bliski, też zniechęcała niektórych polskich i bałtyckich uchodźców do podejmowania

poważniejszych starań w celu przystosowania się do brytyjskiego rynku pracy⁵⁴. Sheila Patterson zwróciła uwagę, iż większość starszych Polaków w Croydon uległa „degradacji ekonomicznej i deklasacji”. Ale w Croydon, przeciw-

nie niż w niektórych innych regionach kraju, koniunktura gospodarcza była dostatecznie dobra, aby większość Polaków, którzy tam mieszkali i pracowali, osiągnęła „względny dobrobyt”, nawet jeśli wykonywali pracę poniżej swoich kwalifikacji. A jeszcze lepiej powodziło się inżynierom, naukowcom i robotnikom wykwalifikowanym, którzy zdobyli kwalifikacje przed wojną lub przekwalifikowali się w Wielkiej Brytanii i mogli pracować w swoich zawodach⁵⁵. Ale humaniści i artyści, dla których „nie było odpowiedniej pracy”, by posłużyć się słowami generała Mariana Kukiela, byli boleśnie świadomi tego, co stracili. Artykuł zamieszczony w 1948 roku w jednej z brytyjskich gazet szacował liczebność tej grupy na 20 tysięcy, co może być oceną nieco zawyżoną, ponieważ inne źródła wymieniają liczbę około 10 tysięcy. Składali się na nią urzędnicy państwowi, aktorzy i śpiewacy operowi, muzycy, prawnicy, nauczyciele szkolni i akademicy, dziennikarze, malarze i pisarze. Niektórzy zdołali znaleźć pracę w swojej dziedzinie, znajdowali się jednak w mniejszości. Większość stanowili ludzie powyżej czterdziestu lat, mający często problemy językowe, a brytyjscy pracodawcy traktowali podejrzliwie ich specyficzne kwalifikacje⁵⁶.

Do tych, którzy mieli trudności ze zdobyciem pracy na odpowiednim poziomie, należeli też zawodowi oficerowie bez innych kwalifikacji. Często nie chcieli oni opuszczać PRC i szukać zatrudnienia, ponieważ żołd i dodatki pieniężne były dosyć szczodre. Aby skłonić ich do wkroczenia na rynek pracy, wojsko oferowało im szkolenie zawodowe w różnych dziedzinach, takich jak zegarmistrzostwo, szewstwo, rolnictwo i leśnictwo, krawiectwo, fotografia i elektrotechnika. Niektórzy zakładali niewielkie hotele i pensjonaty, a inni drobne przedsiębiorstwa. Jeszcze inni zostawali windziarzami w domach towarowych, ogrodnikami lub sanitariuszami w szpitalach. Pewien zakład włókienniczy w Bradford zatrudniał trzech dawnych pułkowników, którzy „radzili sobie bardzo dobrze, nie byli przygnębieni ani zawstydzeni”. Niektórzy spośród starszych wiekiem otrzymywali państwowe zapomogi za pośrednictwem Krajowego Biura Pomocy⁵⁷.

Inni, którzy mieli uzdolnienia techniczne, nie mogli dostać odpowiedniej pracy na skutek sprzeciwu związków zawodowych. Było to szczególnie frustrujące, jeśli uchodźcy podejrzewali, że sprzeciw wynika raczej z powodów politycznych niż ekonomicznych. Wyjaśnił to dobrze pewien Polak, który próbował zdobyć pracę w Sheffield:

Pojechałem spotkać się z przyjaciółmi i okazało się, że jest perspektywa dobrej pracy z dobrym wynagrodzeniem. Powiedziano mi jednak, że dostanę posadę, jeśli zostanę przyjęty do związku zawodowego. Zacząłem się rozpytywać i powiedzieli mi, że owszem, przyjmą mnie do związku, jeśli dostanę pracę. Ale dyrekcja nie mogła mnie zatrudnić, jeśli nie należałem do związku zawodowego, bo cała firma by stanęła, a ja w tym czasie jeszcze nie rozumiałem, że taką barierę stawiają przed Polakami zdominowane przez komunistów związki zawodowe. Motyw był polityczny, wcale nie chodziło o zachowanie miejsc pracy dla Brytyjczyków. Bądź co bądź, Azjaci dostawali pracę, Żydzi dostawali pracę, a Polacy nie⁵⁸.

Ten człowiek nie znalazł zatrudnienia, natomiast inny, który stanął przed takim samym problemem, kiedy próbował się zatrudnić jako elektryk, zdołał wybrnąć z impasu, przekonując pracodawcę, aby przyjął go na próbę. Ale to było w przemyśle budowlanym, gdzie istniała mniejsza szansa zdecydowanej akcji związków zawodowych niż na przykład w przemyśle maszynowym czy w drukarstwie⁵⁹.

Nie jest to miejsce na szczegółowe omawianie skomplikowanej kwestii opozycji związków zawodowych wobec zatrudniania cudzoziemskiej siły roboczej po wojnie. Wśród członków związków panował nie do końca nieuzasadniony lęk przed bezrobociem, obniżeniem płac, skróceniem czasu i pogorszeniem warunków pracy. Kongres Związków Zawodowych próbował się zabezpieczyć, wymuszając na rządzie obietnice dotyczące warunków, na jakich można zatrudniać cudzoziemskich robotników. Opozycja wobec zatrudniania cudzoziemskiej siły roboczej była najsilniejsza w tych gałęziach gospodarki, które doświadczyły najbardziej dotkliwej niepewności ekonomicznej w okresie międzywojennym, gdzie

wspomnienia z lat trzydziestych były nadal żywe i gdzie robotnicy nie bardzo wierzyli w laburzystowskie zapewnienia, że w przyszłości pełne zatrudnienie będzie normą. Generalnie najczęściej sprzeciwów wyrażały związki zawodowe robotników rolnych i górników, co nie powinno dziwić, skoro cudzoziemską siłą roboczą kierowano do tych dwóch sektorów. Równie silna opozycja występowała wśród wysoko wykwalifikowanych robotników w przemyśle maszynowym i w innych gałęziach przemysłu, zwłaszcza tam, gdzie związki zawodowe miały lewicowe lub komunistyczne kierownictwo.

Na corocznym zjeździe w 1946 roku Kongres Związków Zawodowych wyraził zgodę, choć przy silnej opozycji, na zatrudnianie cudzoziemskiej siły roboczej, choć na ściśle określonych warunkach. Kilku delegatów stanowczo sprzeciwiało się wnioskowi, między innymi przedstawiciel związku pracowników przemysłu drzewnego. W swoim przemówieniu określił on Polaków jako „tak zwanych uchodźców, którzy nigdy nie mieli w ręku karabinu i nie walczyli z hitlerowskim faszyzmem” i których cechuje zajadły antysemityzm, nienawiść do komunistycznego rządu w Warszawie i wiara w nieuchronną wojnę przeciwko bolszewizmowi. Na zakończenie powiedział, że wszyscy powinni zostać odesłani do Polski. Na drugim biegunie związki takie jak pracowników transportu i pracowników służb komunalnych chętnie przyjmowały cudzoziemskich robotników. Wydaje się, że polscy robotnicy wstępowaliby do związków zawodowych z taką samą ochotą jak Brytyjczycy, gdyby dano im szansę⁶⁰. Pod koniec lat czterdziestych jednak większość związków zawodowych przestała się sprzeciwiać zatrudnianiu wykwalifikowanych cudzoziemskich robotników w swoich sektorach i w ten sposób otworzył się rynek pracy dla Polaków i Bałtów. Mimo to część nowych przybyszów, którym odmówiono możliwości wykonywania wyuczonego zawodu, nie wyzbyła się rozgoryczenia i gniewu. Inni podeszli do tego bardziej filozoficznie:

Nie byliśmy źli na brytyjskie związki zawodowe, ponieważ wszyscy walczyli ze wszystkimi. Bali się nas, ponieważ nigdy nie widzieli obcego ani cudzoziemca, ale stopniowo przywykli do nas i od tej pory byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Wtopiliśmy się, a oni zapomnieli. Nie było problemu⁶¹.

Niezależnie od prawdziwości tego stwierdzenia, w okresie odbudowy gospodarczej w latach 1948-1951 nie wszyscy byli zadowoleni z warunków życia i pracy w Wielkiej Brytanii. Tempo reemigracji zaczęło rosnąć na skutek oddziaływania czynników przyciągających i odpychających. W 1948 roku w Stanach Zjednoczonych uchwalono ustawę o przesiedleńcach, która częściowo znosiła ograniczenia imigracyjne i zezwalała na przyjazd 200 tysięcy osób, a liczba ta wzrosła do 400 tysięcy na mocy drugiej ustawy o przesiedleńcach z 1950 roku. Jednocześnie Ministerstwo Pracy w Wielkiej Brytanii powołało w 1947 roku Centralne Polskie Biuro Osiedleńcze, aby pomóc Polakom, którzy chcieli wyemigrować⁶². Kiedy pod koniec 1951 roku

rozpoczął się krótki okres zastoju gospodarczego, połączonego ze wzrostem bezrobocia, wielu Polaków i Bałtów w Wielkiej Brytanii odczuło silną pokusę osiedlenia się gdzie indziej, w Ameryce Północnej i Australii. „Po prostu chcieli lepiej żyć”, jak wspominał pewien Estończyk. Wojna koreańska i pogłębiające się podziały w Europie uświadomiły również uchodźcom, że perspektywa upadku komunizmu w Związku Radzieckim i w jego wschodnioeuropejskich państwach wasalnych staje się coraz bardziej odległa. Nie było zatem sensu pozostawać w Europie w nadziei na szybki powrót do domu. Wręcz przeciwnie, niektórzy z nowych przybyszów obawiali się radzieckiego pochodu w głąb Europy Zachodniej, który znów wystawiłby ich na niebezpieczeństwo. W konsekwencji oddalenie obu Ameryk i Australii od Europy, jak również obecność dużych społeczności Polaków i Bałtów w Stanach Zjednoczonych, oferowały poczucie bezpieczeństwa, którego nie mogła zapewnić Wielka Brytania. Co więcej, niektórzy mieli już dosyć osławionej brytyjskiej powściągliwości i czuli się urażeni dyskryminacją i złym traktowaniem z powodu akcentu czy nazwiska. „Och, traktowali nas jak ludzi drugiej kategorii - powiedział pewien Polak, który wyemigrował do Kanady. - Brytyjczycy strasznie zadzierają nosa”⁶³.

Mimo to w 1954 roku w Wielkiej Brytanii pozostało co najmniej 119 tysięcy Polaków i trzy czwarte EVW⁶⁴. To właśnie ci ludzie zaczęli zapuszczać korzenie i tworzyć w różnych częściach kraju społeczności z wszelkiego rodzaju instytucjami społecznymi, politycznymi, edukacyjnymi, religijnymi i kulturalnymi. Nowi przybysze w coraz większym stopniu godzili się z myślą, że oni i ich rodziny będą urządzać sobie życie w Wielkiej Brytanii, na dobre i na złe.

ROZDZIAŁ 11

Społeczności

KIEDY POLSCY i BAŁTYCCY UCHODźCY przyjechali do Wielkiej Brytanii, mieli, o czym świadczą ich osobiste relacje, kilka priorytetów. Po latach spędzonych w obozach pracy, obozach wojskowych lub obozach dla przesiedleńców, gdzie niemożliwością było stworzenie sobie normalnego życia rodzinnego i zawodowego i gdzie wszystko wydawało się tymczasowe, niepewne i problematyczne, pragnęli stabilizacji, prywatności, możliwości zarabiania, posiadania majątku i połączenia się z rodzinami. Co więcej, czuli, że mają do spełnienia misję utrzymania narodowej kultury. Nie była to tylko kwestia odtworzenia środowiska rodzinnego, duchowego i emocjonalnego. Musieli zachować i przekazać „czystą” kulturę nowemu pokoleniu, ponieważ, jak uważali, rządy komunistyczne w ich krajach ojczystych zniszczą kulturalne dziedzictwo ich narodów. Dlatego mieli obowiązek przechować to dziedzictwo w stanie nietkniętym w oczekiwaniu na dzień, kiedy będą mogli wrócić.

To wymagało przekazania następnemu pokoleniu wiedzy o języku, historii, literaturze i tradycjach ich krajów ojczystych, wpojenia mu, mówiąc słowami papieża Jana Pawła II, „wielkiego i drogiego dziedzictwa duchowego”. Znajomość owego dziedzictwa miała tę dodatkową korzyść, że przygotowywała młode pokolenie do życia w ojczyźnie po upadku komunizmu. Zarazem jednak rodzice byli realistami i zdawali sobie sprawę, że ich dzieci muszą się również przystosować do życia w Wielkiej Brytanii, która w przewidywalnej przyszłości będzie ich domem. Większość rodziców uważała, że ich dzieci powinny czerpać z obu kultur, inni jednak przyjęli pogląd, że aby odnieść sukces w Wielkiej Brytanii, ich dzieci muszą się

skoncentrować na zdobywaniu najlepszego brytyjskiego wykształcenia, nie rozpraszając się na naukę języka i tradycji kraju ojczystego.

Po przyjeździe do Wielkiej Brytanii uchodźcy zostali zakwaterowani w dawnych obozach wojskowych i hotelach robotniczych. Choć w tych warunkach łatwo im było utrzymać własną kulturę, nie mogli zrealizować wielu innych swoich ambicji. Mogli oczywiście podjąć pracę w pobliżu miejsca zakwaterowania albo, jak w przypadku członków Polskiego Korpusu Osiedleńczego (PRC), szukać pracy gdzieś dalej i mieszkać w wynajętych pokojach. Po trzech latach Europejscy Ochotnicy Robotnicy (EVW) również otrzymali pozwolenie na bardziej swobodny wybór pracy i opuszczenie hospicjów i obozów. Ale bezwzględnym priorytetem dla niemal wszystkich nowych przybyszów było posiadanie własnego domu, gdzie mogliby stworzyć ustabilizowane życie rodzinne i otoczyć się prywatnością, której tak długo im odmawiano. Początkowo niewielu z nich mówiło dobrze po angielsku, a niektórzy w ogóle nie znali tego języka, podobnie jak brytyjskich zwyczajów, przepisów i stylu życia. Przystosowanie się do brytyjskich warunków było zadaniem trudnym, jeśli nie niemożliwym. Co więcej, chociaż uchodźcy pragnęli życia rodzinnego, chcieli być również częścią swoich społeczności. Na szczęście dla nich, rząd brytyjski, kierując ich do pracy w wyznaczonych sektorach gospodarki, pomógł im połączyć oba te cele.

Koncentracja nowych przybyszów w określonych rejonach geograficznych umożliwiła im stworzenie społeczności, w których obrębie mogli nawiązywać kontakty z miejscową ludnością, związkami zawodowymi i stowarzyszeniami pracowniczymi i gdzie ich dzieci mogły uczęszczać do lokalnych szkół i mieszać się z dziećmi innych narodowości. Jednocześnie życie w społecznościach rodaków pozwoliło im zakładać instytucje, w których mogli pielęgnować własną kulturę i przekazywać ją następnemu pokoleniu. Mogli tam mówić ojczystym językiem i być wśród swoich, z dala od presji i napięć nieznanego brytyjskiego świata. Owe społeczności były dla wielu z nich błogosławieństwem. Znikoma mniejszość została jednak zmarginalizowana, odcięta zarówno od brytyjskiego społeczeństwa, jak i od własnych korzeni kulturalnych. Byli to ludzie najbardziej podatni na chorobę umysłową. Pamięć o cierpieniach, jakich *zaznali* pod rządami

stalinowskimi i hitlerowskimi, o aresztowaniach i deportacjach, które zerwały ich związki z domem, prześladowała ich jeszcze długo.

Polityka rządu brytyjskiego, który kierował EVW do wyznaczonych sektorów gospodarki i zachęcał członków PRC, aby podejmowali pracę w tych gałęziach przemysłu, gdzie występował szczególnie dotkliwy brak siły roboczej, sprawiła, że uchodźcy skoncentrowali się w określonych rejonach Wielkiej Brytanii. Dane z 1950 roku pokazują, że 14500 Polaków mieszkało w Lancashire, z czego 3300 w Manchesterze, 13 500 w West Riding w York-shire, w tym około 3000 w Bradford, 5500 w Staffordshire, 4500 w Gloucestershire i taka sama liczba w Warwickshire, z czego 2500 w Birmingham, i około 4000 w różnych regionach Szkocji. Podobna, choć mniejsza, koncentracja występowała wśród uchodźców bałtyckich, zwłaszcza w północnych regionach włókienniczych, raczej jednak w East Midlands niż w West Midlands na południowym zachodzie. Koncentracje były wynikiem uzupełniających się nawzajem czynników: niedoborów siły roboczej na tych obszarach, korzyści związanych z przynależnością do wielkiej społeczności rodaków, możliwości zakładania drobnych przedsiębiorstw, takich jak kawiarnie, bary, biura podróży, apteki, sklepy (w szczególności delikatesy) i zakłady szewskie, zaspokajających potrzeby społeczności uchodźców, a wreszcie większych możliwości nabywania mieszkań w niektórych dużych miastach¹.

W przypadku Polaków największym ośrodkiem koncentracji był Londyn. W okręgu stołecznym mieszkało około 33 tysięcy dawnych obywateli polskich. Znaczny odsetek spośród nich stanowili przedstawiciele klas średnich i inteligencji, których przyciągała do Londynu większa różnorodność dostępnych posad i bogactwo życia kulturalnego. Tam również miały swoją siedzibę polski rząd na uchodźstwie oraz liczne polskie organizacje edukacyjne, charytatywne i kulturalne. Bałtowie też byli podatni na uroki Londynu, lecz ich społeczność nie osiągnęła takich rozmiarów z uwagi na mniejszą liczbę osadników w Wielkiej Brytanii. Czterdzieści lat później spis powszechny z 1991 roku wykazał, że koncentracja obywateli pochodzenia polskiego wciąż się utrzymywała, chociaż ich liczba znacznie spadła w porównaniu z wcześniejszymi danymi. Najmniejszy spadek nastąpił w Londynie, gdzie zamieszkało około 23 tysięcy obywateli polskich, którzy wyemigrowali do Wielkiej Brytanii w latach 1950-1990. Wszystkie te dane przesłaniają fakt, że wielu ludzi polskiego i bałtyckiego pochodzenia urodzonych w Wielkiej Brytanii jest rozproszonych po kraju, a mimo to oni też należą do społeczności polskich i bałtyckich. Na początku lat osiemdziesiątych liczbę przedstawicieli drugiego pokolenia Polaków szacowano na ponad 40 tysięcy².

Stopień koncentracji Polaków i Bałtów i zależał od możliwości zatrudnienia i zakwaterowania. Ponieważ ambicją prawie wszystkich nowych

przybyszów było nabycie na własność domu, skoncentrowane osiedlenie, takie jak opisane powyżej, wymagało dostępności prywatnych domów po przystępnych cenach, pozwalającej nowym przybyszom zamieszkać względnie blisko siebie. Takie warunki nie istniały bezpośrednio po wojnie. W 1945 roku w Wielkiej Brytanii brakowało mieszkań. Podczas wojennych bombardowań około 150 tysięcy domów zostało zniszczonych, a ponad milion poważnie uszkodzonych. Od początku wojny nie budowano nowych domów. W rejonach włókienniczych jednak, które ucierpiały stosunkowo najmniej, występowała nadwyżka mieszkań spowodowana spadkiem liczby ludności. Na przykład populacja Bradford spadła pomiędzy 1931 a 1951 rokiem do 5700 mieszkańców. Domy w rejonie Bradford były czasami zbyt duże i nieodpowiednie dla brytyjskich rodzin, które nie miały służby domowej, natomiast Polacy i Bałtowie byli gotowi je kupić i wynajmować pokoje rodakom. Rząd stawiał sobie za cel uzupełnienie niedoboru mieszkań tak szybko jak to możliwe. Co więcej, pierwszeństwo przydziału nowych domów, takich jak domy komunalne, mieli ludzie znajdujący się już na listach oczekujących. Byli to zwykle obywatele brytyjscy, w tym zdemobilizowani niedawno żołnierze. Polacy i Bałtowie, z którymi przeprowadzano wywiady, często uznawali taką politykę za słuszną. Tak czy inaczej, nowi przybysze nie byli zainteresowani nabywaniem wielkich nowych posiadłości na peryferiach miast, woleli mieszkać bliżej miejsca pracy i swoich rodaków. Co się tyczy kupowania domów, większość nowych przybyszów nie zgromadziła dostatecznych oszczędności, by wkroczyć na rynek mieszkaniowy przed 1950 rokiem. To właśnie w latach pięćdziesiątych proces kupowania domów przez uchodźców zaczął nabierać tempa³.

Ambicja nowych przybyszów, by kupować domy na własność, wynikała zarówno z ich mentalności, jak i z wcześniejszych doświadczeń w Wielkiej Brytanii. Wrodzona skłonność do nabywania własności była

ważnym elementem ich dążeń, co wielu z nich potwierdziło w swoich relacjach.

Myślę, że miało to wiele wspólnego z wiejskim pochodzeniem, posiadaniem ziemi. Przed wojną dziewięćdziesiąt pięć procent [sic!] społeczeństwa polskiego pracowało na roli i miało kawałek ziemi na własność, nawet jeśli pracowali w fabryce albo w biurze. Ale gdzieś tam mieli mały spłacheć ziemi, czasem wspólnie z bratem albo z rodzicami. I być może jeździli pomagać przy żniwach. Każdy chłop chce mieć coś na własność. Stąd to wielkie pragnienie posiadania własnego domu⁴.

Było dla mnie ważne, żeby mieć własny dom, bo tego właśnie chciałem, kiedy mieszkałem w Polsce. Mój ojciec miał dom, a później zaczął uprawiać ziemię, kupił gospodarstwo, kiedy byłem bardzo mały⁵.

Ta ambicja przybrała na sile w rezultacie pierwszych lat życia w Wielkiej Brytanii, spędzonych w obozach, hotelach robotniczych lub wynajętych mieszkaniach. Początkowo obozy, do których wysyłano uchodźców, znajdowały się w odległych rejonach kraju, z dala od ośrodków zatrudnienia. Ministerstwo Pracy zostało upoważnione do zapewnienia im zakwaterowania albo w obozach, albo w hotelach robotniczych, bliżej tych ośrodków. Mimo swoich niedogodności obozy chroniły uchodźców przed „przedwczesnym wkroczeniem w obcość i niepewność życia w głównym nurcie społeczeństwa brytyjskiego” i dawały im czas na przystosowanie się psychicznie. Zapewniały „względą stabilizację”, opiekę zdrowotną i szansę na ułożenie sobie życia rodzinnego⁶. Poza tym jeszcze jedno doświadczenie życia obozowego szybko im obrzydło. Mieszkali w przepelnionych, źle wyposażonych i skąpo umeblowanych barakach z blachy falistej, musieli dzielić się urządzeniami sanitarnymi, dostawali mało urozmaicone jedzenie, cierpieli z powodu braku prywatności i rozłąki z rodzinami, ponieważ żony i dzieci mieszkaly w j ednym obozie, a mężczyźni w drugim, często oddalonym o wiele kilometrów⁷.

W hotelach robotniczych, które zapewniło im Ministerstwo Pracy w rejonach zatrudnienia, cierpieli z powodu tych samych niedogodności, łącznie z odseparowaniem od społeczeństwa. Według Biilbringa, właściciele zakładów włókienniczych w West Riding, choć potrzebowali cudzoziemskich robotników, sprzeciwiali się ich zakwaterowaniu w hospicjach i związanej z tym segregacji, ponieważ uważali, że jeśli cudzoziemcy mają pracować wydajnie razem z robotnikami brytyjskimi, nie powinni się od nich różnić sposobem życia. Jednakże wiemy, że wiele firm przekształcało budynki fabryczne w hotele, aby przewyciężyć niedobory siły roboczej. Sami uchodźcy nie byli zadowoleni z izolacji wynikającej z zakwaterowania w hospicjach, ponieważ na ogół znajdowały się na skraju miast, z czym wiązał się długi dojazd do pracy. W hotelach mężczyźni byli często odseparowani od żon. Niedogodności hoteli doprowadziły do ich szybkiego zamknięcia. Chociaż w 1951 roku otwarto 118 hoteli, mogących pomieścić 16 tysięcy osób, do 1959 roku przetrwały tylko trzy, co pokazuje stopień niezadowolenia z tej formy zakwaterowania i tempo przeprowadzki do prywatnych mieszkań⁸.

Niektórzy z nowych przybyszów pozostali w hotelach do momentu, gdy było ich stać na kupno własnych domów, większość jednak przeniosła się do wynajętych pokoi w pobliżu miejsca pracy, a często do domów innych Polaków i Bałtów. Rodacy zwykle chętniej przyjmowali uchodźców jako lokatorów niż Brytyjczycy, którzy wywieszali na drzwiach zawiadomienia: „Nie przyjmujemy Polaków ani ludzi z Europy Wschodniej!”. Zwykła droga do kupna domu prowadziła przez samowyrzeczenia i systematyczne oszczędzanie. Po złożeniu depozytu opłaty hipoteczne były zwykle wnoszone w pierwszych dniach po przyjęciu lokatorów. Właściciele mieszkali w jednym pokoju i wynajmowali resztę, najczęściej w taki sposób, że w każdym pokoju mieszkała jedna rodzina, co powodowało znaczne przepelnienie. W niektórych domach brakowało łazienek i toalet. Przepelnienie wywołało krytykę ze strony lokalnych gazet w Bradford, skądinąd dobrze usposobionych do nowych przybyszów. W tych okolicznościach trudno się dziwić, że uchodźcy, i tak noszący się z zamiarem nabycia nieruchomości, ponosili wszelkie ofiary, aby uzyskać wolność i niezależność wynikającą z posiadania własnego domu⁹.

Było to dla nas bardzo ważne, żeby mieć własny dom. Domy komunalne i wynajęte mieszkania nigdy nie są własne. Chcieliśmy mieć coś, co należałoby tylko do nas. Nikt by nam nie mówił, co robić, kiedy możemy

korzystać z łazienki i tak dalej - to właśnie jest niezależność. I dzieci też lubią mieć swobodę. We własnym domu można robić, co się chce. Można rozwinąć skrzydła¹⁰.

Niezadowolający stan wielu mieszkań budził głębokie pragnienie, aby zdobyć niezależność związaną z posiadaniem domu na własność. Pewien człowiek przeprowadzał się sześć razy, zanim sam wkroczył na rynek nieruchomości.

Ostatnie z tych mieszkań wynajmowałem u pewnej polskiej rodziny, która właśnie kupiła dom i chciała przyjąć lokatora. Po kupnie domu [właściciel] został bez pieniędzy, kiedy więc przyszedłem porozmawiać o tym w niedzielne popołudnie, jego żona podała mi herbatę w słoiku po dzemie. Potem właściciel poprosił mnie, żebym mu zapłacił za trzy miesiące z góry, ponieważ musi kupić łóżko i koc. No i zapłaciłem¹¹.

Inny uchodźca wydał ostatniego pensa na kupno domu.

Miałem 450 funtów, złożyłem 370 funtów do depozytu, zapłaciłem 50 funtów agentowi od nieruchomości, a za to, co zostało, kupiłem kuchenkę gazową, stół i dwa krzesła i tak zacząłem życie. Przyjaciel dał mi małe pojedyncze łóżko. Zostałem bez grosza i musiałem czekać do piątku na wypłatę. Do tego czasu miałem na swoje utrzymanie zaledwie kilka miedziaków¹².

Spółeczności uchodźców w Stanach Zjednoczonych założyły Towarzystwo Oszczędnościowo-Pożyczkowe, żeby pomagać swoim członkom zdobywać pieniądze na kupno domów. W Wielkiej Brytanii nie istniała żadna tego rodzaju instytucja, toteż Polacy i Bałtowie musieli zwracać się do firm budowlanych o kredyt hipoteczny, tak jak wszyscy. Prawdopodobnie większość uchodźców w miastach kupowała domy tam, gdzie powstały lub miały szansę powstać duże skupiska ich rodaków. Nie oznacza to, że w efekcie tworzyły się etniczne getta, ponieważ koncentracja nie była aż tak wielka. Na przykład w polskich rejonach osiedlenia mieszkali też Ukraińcy, Bałtowie i Włosi. Większość Polaków i Bałtów w Bradford skupiała się w czterech dzielnicach, a mianowicie Manningham, Frizinghall, Great i Little Horton oraz Shipley. Później, kiedy powstał polski kościół, wybudowano go w miejscu łatwo dostępnym z tych ośrodków osadnictwa. Bałtowie, którzy na ogół pracowali w tych samych zakładach włókienniczych i przedsiębiorstwach co Polacy, też skupiali się na tych samych obszarach. Oczywiście zawsze zdarzali się indywidualiści, którzy nie chcieli mieszkać zbyt blisko swoich rodaków, często jednak było to wynikiem egzogamii, popychającej ich w innym kierunku. Później, w drugim pokoleniu, pojawiła się tendencja do szukania lepszych warunków mieszkaniowych na przedmieściach. Prowadziło to do rozproszenia społeczności i osłabienia jej najważniejszych instytucji.

Chociaż poszukiwanie pracy miało istotny wpływ na wybór miejsca zamieszkania, potrzeba przynależności do wspólnoty etnicznej była bardzo silna. Wielu ludzi zmieniało pracę, przenosząc się ze względnie izolowanych obszarów do miejsc, gdzie mogli pozostawać w bliskim kontakcie ze swoimi rodakami. Niekoniecznie działo się tak dlatego, że nowa praca była lepiej płatna. Należąc do społeczności swoich rodaków, uchodźcy mogli przystosowywać się do wymogów brytyjskiego życia z pomocą innych,

wymieniając się informacjami i radami i przebywając w znanym środowisku. Według Rolanda Warrena, społeczność spełnia wiele istotnych funkcji. Sprzyja rozwojowi działalności gospodarczej. Zapewnia możliwość socjalizacji, dzięki czemu jednostki mogą nabywać lub utrzymywać wiedzę, wartości i wzorce zachowań swojej grupy etnicznej. Stwarza warunki do interakcji społecznej i uczestnictwa. Jest nieodzowna przy ustanawianiu mechanizmów społecznego wsparcia, zapewniających pomoc w ciężkich czasach lub w kłopotach¹³. Społeczności Bałtów i Polaków spełniały dla swoich członków wszystkie te funkcje. W większych wspólnotach Estończyków, Łotyszy i Litwinów domy czy kluby były kupowane z dobrowolnych składek członków. Przede wszystkim jednak wspólnoty musiały znaleźć sobie miejsce, zwykle kościół lub salę szkolną, gdzie organizowano wykłady i występy muzyczne. Posiadanie klubów bardzo rozszerzało zakres działalności wspólnot. Tam członkowie mogli się spotykać, obchodzić święta narodowe, nawiązywać znajomości i rozmawiać w ojczystych językach; tam działały chóry i zespoły ludowe, sobotnie szkoły, odbywały się inscenizacje sztuk teatralnych i pokazy filmów o krajach rodzinnych. Z bibliotek zakładanych w klubach można było pożyczać książki w języku ojczystym. Kluby oferowały też pomieszczenia biurowe bałtyckim

towarzystwom dobroczynnym, które zapewniały pomoc osobom starszym, inwalidom, pacjentom szpitali lub zakładów psychiatrycznych i dostarczały środków na wspieranie szkół sobotnich¹⁴.

Estoński klub został kupiony w 1955 roku. Szukaliśmy domu dla wspólnoty na dłuższy czas. Musiał mieć odpowiednią powierzchnię i kawałek terenu dookoła, i ktoś zauważył, że jest taki na sprzedaż. Był w naprawdę żalosnym stanie, ściany prawie się waliły i tak dalej, ale cena była niezła, więc go kupiliśmy. I ludzie pracowali dobrowolnie, żeby go doprowadzić do odpowiedniego stanu, ponieważ mieliśmy mało pieniędzy. To znaczy, musieliśmy zebrać pieniądze sami, więc nie wystarczyło nam na opłacenie robotników. Doprowadzenie go do stanu używalności zajęło prawie rok¹⁵.

Polacy też zakładali kluby, bardzo często pod auspicjami Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (SPK), które przez wiele lat było jedną z dwóch, obok polskiej parafii, głównych polskich organizacji społecznych, kulturalnych i dobroczynnych. SPK powstało w 1945 roku i przejęło rolę odgrywaną przez polskie służby wojskowe podczas wojny. Jego siedziba w Londynie była ośrodkiem federacji o światowym zasięgu. Towarzystwo pomagało Polakom w Wielkiej Brytanii przystosować się do brytyjskiej rzeczywistości, ale jednocześnie zachowywało polską kulturę i tożsamość narodową, tworząc zamknięte społeczności polskie, a tym samym opóźniając proces asymilacji. Była to również organizacja polityczna i propagandowa, która głosiła ideę wolnej i niepodległej Polski, przypominała brytyjskiej opinii publicznej o zbrodni katyńskiej i wywierała nacisk na Moskwę, domagając się powrotu Polaków z syberyjskiego zesłania do ojczyzny¹⁶.

SPK, poprzez liczne kluby zakładane w społecznościach polskich, oferowało swoim członkom szeroki zakres usług i możliwości. Należały do nich wsparcie finansowe dla potrzebujących, pomoc ludziom, którzy chcieli założyć własne przedsiębiorstwa, doradztwo prawne i pomoc w znalezieniu zatrudnienia za pośrednictwem urzędów Ministerstwa Pracy. Szczególnie cenna była jego rola organizacji dobroczynnej, wspierającej osoby starsze, inwalidów wojennych, wdowy i sieroty. Dla drugiego pokolenia SPK prowadziło szkoły sobotnie, organizowało zawody sportowe i stowarzyszenia kulturalne¹⁷. W 1953 roku SPK liczyło 14 600 członków w 197 oddziałach, lecz później ich liczba gwałtownie spadła, stabilizując się w połowie lat siedemdziesiątych na poziomie około 7 tysięcy. Jest oczywiste, że drugie pokolenie było mniej zainteresowane przynależnością do klubów, uznając panującą w nich atmosferę za mało atrakcyjną i skostniałą. Młodzi ludzie woleli szukać rozrywek gdzie indziej. Jak można przypuszczać, w przyszłości SPK nadal będzie tracić na znaczeniu, chyba że uda się znaleźć dla niego nowe funkcje i nowych entuzjastów¹⁸.

Ale w przypadku pokolenia rodziców, oddziały SPK, podobnie jak kluby bałtyckie, oferowały możliwość spotkania przyjaciół, podzielenia się doświadczeniami i zasięgnięcia rady, obchodzenia rocznic i porozmawiania w ojczystym języku w otoczeniu symboli narodowych. Tym, którzy chcieli, a nie wszyscy chcieli, SPK, podobnie jak parafia, zapewniało kulturalny mi-krokosmos, ucieczkę od trudów codziennego życia i ukojenie w tęsknocie za utraconym krajem. A dla tych, którzy zostali zdeklasowani, administracyjna i społeczna praca w klubach stanowiła sposobność, aby zademonstrować swoje talenty i zdolności, które nie znajdowały ujścia w żmudnej niekiedy codziennej pracy.

Polityczny charakter SPK odstręczał część polskich uchodźców, którzy woleli się spotykać w klubie parafialnym, działającym zazwyczaj przy

polskim kościele lub kaplicy. Nie musiał on być alternatywą dla SPK, ponieważ wielu ludzi należało do obu, a ci członkowie SPK, którzy nie należeli do klubu parafialnego, często uczestniczyli w nabożeństwach. W pierwszym pokoleniu polskich księży znalazło się wielu kapłanów sił zbrojnych, którzy dzielili ze swoimi wiernymi udręki deportacji, uwięzienia, służby wojskowej i wygnania. Cieszyli się oni podziwem i szacunkiem. Niektórzy z nowych kapłanów, wykształceni w Lublinie, Paryżu lub Rzymie, nie mieli za sobą tych doświadczeń czasu wojny i było im trudno dotrzeć do weteranów wojennych, którzy nie akceptowali kościelnego założenia, iż ksiądz musi być automatycznie przywódcą wspólnoty. „Ksiądz ma inne pochodzenie i doświadczenia. Pochodzi z Polski i chyba nie rozumie nas, byłych żołnierzy”, wspominał jeden z członków SPK. Mimo to parafia zaczynała odgrywać zasadniczą rolę w życiu polskiej społeczności, w miarę jak spa-

dało znaczenie SPK. Trudno ustalić, jaki procent polskich uchodźców uczęszczał do kościołów i klubów parafialnych. Niektórzy bywali tam regularnie, inni sporadycznie, lecz większość w jakimś okresie swego życia chodziła do kościoła, ponieważ spełniał on funkcję nie tylko religijną, lecz również kulturalną i społeczną. Według Sworda, narastało wśród nich przekonanie, że spoiwość wspólnoty w przyszłości zależy od struktury parafialnej¹⁹.

W kategoriach organizacji kościelnej polskie parafie znajdowały się w bardzo nietypowej sytuacji. Początkowo księża rzymskokatolicki w Wielkiej Brytanii zakładali, że polscy uchodźcy, wychowani niemal bez wyjątku w katolickiej tradycji religijnej, będą uczęszczać do miejscowego kościoła katolickiego i wtopią się w szerszą społeczność. To oznaczało, że językiem mszy i kazań byłby angielski, którego większość nowych przybyszów nie rozumiała. Aby tego uniknąć, ustalono z przedstawicielami kurii papieskiej, że nad wszystkimi Polakami mieszkającymi w obozach i hospicjach utrzymana zostanie jurysdykcja biskupa Polskich Sił Zbrojnych. W miarę jednak jak uchodźcy przeprowadzali się do mieszkań prywatnych, a okres służby w PRC dobiegał końca, takie rozwiązanie przestało być zadowalające. W parafiach zaczęto zatem umieszczać polskich księży, podlegających Polskiej Misji Kościelnej i, poprzez Misję, brytyjskim i polskim hierarchom. W praktyce administracja polskich parafii była w znacznym stopniu niezależna od hierarchii brytyjskiej. Tej decyzji towarzyszyła zgoda papieża na tworzenie „osobistych” parafii, jeśli polska wspólnota była dostatecznie liczna, by uzasadniało to potrzebę istnienia odrębnej parafii.

Polskie parafie zostały zatem nałożone na normalną terytorialną strukturę parafialną. Ta niezależność miała ogromny wpływ na życie polskich wspólnot w Wielkiej Brytanii²⁰.

Przede wszystkim pozwalała polskim wiernym uczestniczyć w mszach odprawianych w języku polskim, śpiewać znane pieśni i spowiadać się po polsku. Umożliwiała też księżom wygłaszanie po polsku kazań, które podtrzymywały morale w trudnych czasach i umacniały narodową tożsamość wspólnoty, co Kościół czynił od stuleci. „Uważam, że wiara jest zasadniczą częścią polskiego dziedzictwa - powiedział jeden z uchodźców - a jeśli wiara zanika, to i dziedzictwo doznaje poważnego uszczerbku”. „Kościół - stwierdził inny - umacniał spoiwość wspólnoty i robi to nadal, i to jest najważniejsze”²¹. Łotysze myśleli podobnie. „Kościół jest ważny dla Łotyszy, ponieważ zajmuje się chrzcinami, narodzinami i śmiercią. Dla wielu przychodzących na ślub czy pogrzeb było ważne, żeby usłyszeć język łotewski, ponieważ przychodzili tam Łotysze w różnym wieku, którzy jako całość rozumieli w pełni tylko łotewski i taki stan rzeczy utrzymywał się przez kilka lat”²².

Niezależnie od swoich funkcji duchowych kościół polski zapewniał parafianom możliwość uczestnictwa w wielu innych wspólnych działaniach. Na szczeblu najbardziej nieformalnym kościół był miejscem, gdzie po mszy członkowie wspólnoty mogli się spotkać i porozmawiać. Ponieważ we wczesnym okresie emigracji do polskiego kościoła uczęszczał bardzo duży odsetek uchodźców, w kościele mogli spotkać się z ludźmi, z którymi nie stykali się w pracy czy w miejscu zamieszkania, wymienić się informacjami o rodzinach i przyjaciółach. Parafia pełniła również bardziej zorganizowane funkcje społeczne. Klub parafialny był ośrodkiem różnego rodzaju działań, czasem pokrywających się z działalnością SPK. Mieściły się tam bary, sale zebrań, biblioteki, czytelnie i sale gry. Można tam było wziąć udział w tańcach ludowych, występie chóru, zawodach szachowych i wielu podobnych imprezach rekreacyjnych i edukacyjnych, łącznie z kursami i wykładami. We wczesnych latach emigracji księża mieli ważne funkcje dodatkowe, występując jako doradcy, tłumacze albo pośrednicy pomiędzy swoimi parafianami a społecznością brytyjską. W ten sposób parafia pomagała Polakom przystosować się do obcego społeczeństwa, lecz zarazem umacniała ich poczucie wspólnej tożsamości²³.

Wydaje się, że drugie i trzecie pokolenie nie jest już tak bardzo związane z parafią jak pierwsze. „Jako rodzice jesteśmy zaniepokojeni, że tak się

dzieje, ale nie mamy wpływu na swoje dzieci, które są już dorosłe”. Wielu Polaków z drugiego pokolenia podkreśla, że chodzą do lokalnych kościołów katolickich, a do kościoła polskiego tylko okazjonalnie. Inni się zniechęcili:

Chodziliśmy do kościoła polskiego, ale zaczęliśmy się buntować. Jako drugie pokolenie nie możemy się

zgodzić z doktryną polskiego katolicyzmu. Wielu z nas zwraca się w stronę Kościoła anglikańskiego. Jest to wygodniejsze, choć nie dostarcza nam takich przeżyć i radości, jakie powinien dawać Kościół. Ksiądz jest głową parafii i to, co powie, czy to w Warszawie, czy w Wielkiej Brytanii, jest prawem. Starsze pokolenie godzi się z tym, ale my nie możemy tego zaakceptować. Na Zachodzie jesteśmy trochę bardziej demokratyczni i mamy prawo kwestionować słowa księdza. Im się to nie podoba. Kościół musi iść z duchem czasu. Ale nadal chodzimy do polskiego kościoła raz w miesiącu. Myślę, że w dawnych czasach chodzenie do kościoła było formą uczestnictwa w zebraniach wspólnoty, po mszy można się było spotkać z przyjaciółmi. W niedziele około tysiąca Polaków spotykało się pomiędzy 10.00 a 12.30. Teraz, kiedy chodzimy do kościoła, mamy szczęście, jeśli spotkamy trzydzieści czy czterdzieści osób²⁴.

Innych okazji do spotkań poza SPK i parafią dostarczały sklepy, bary i kawiarnie:

W naszym mieście był tylko jeden polski bar i żadnej polskiej restauracji. Ludzie spotykali się w polskich sklepach, takich jak delikatesy; robiliśmy tam większość swoich zakupów, ponieważ chcieliśmy kupować polskie jedzenie, ale była to również dobra okazja, żeby spotkać się z innymi Polakami. Było też polskie biuro podróży niedaleko Klubu Kombatantów, sklep jubilerski i apteka przy jednej z głównych ulic miasta. Kiedy moja matka jeszcze żyła i chciałem posłać trochę pieniędzy jej i swojej siostrze w Polsce, szedłem do polskiego aptekarza i wysyłałem pieniądze za jego pośrednictwem. Niektóre banki tego nie robiły, ale jemu się udawało²⁵.

Chociaż lokalne społeczności robiły bardzo wiele dla podtrzymania polskich tradycji i kultury, czasami to nie wystarczało. Uchodźcy chcieli zachować poczucie koleżeństwa, jakiego doświadczyli w wojsku polskim. SPK było

przykładem scentralizowanej organizacji z oddziałami w niemal wszystkich polskich wspólnotach. Polski rząd na uchodźstwie również twierdził, że reprezentuje masy Polaków w Wielkiej Brytanii, ale na skutek wewnętrznych sporów w latach pięćdziesiątych stracił wiarygodność w oczach uchodźców. Chociaż rząd przetrwał aż do upadku komunizmu w Polsce w 1989 roku, był już tylko cieniem dawnego siebie. Kiedy w 1991 roku przestał istnieć, ogromnego znaczenia nabrała organizacja pod nazwą Federacja Polaków w Wielkiej Brytanii, działająca jako agencja koordynacyjna dla około siedemdziesięciu pięciu organizacji społecznych, kulturalnych i dobroczynnych działających w społeczności brytyjsko-polskiej. Nie obejmowała ona organizacji parafialnych, ponieważ Kościół trzymał się z daleka od tego świeckiego ciała. Ogólnie rzecz biorąc jednak, organizacje świeckie i religijne dokonały, jak stwierdził Zubrzycki, „bardzo wiele w kierunku rekonstrukcji społecznego, kulturalnego i duchowego życia wspólnoty wyrosłej w obcym otoczeniu”²⁶.

Rekonstrukcja życia społecznego i kulturalnego polegała nie tylko na zakładaniu lokalnych organizacji wspólnoty, lecz również na tworzeniu stowarzyszeń ludzi tych samych zawodów, którzy stawali przed podobnymi wyzwaniem, kiedy próbowali się odnaleźć w obcym społeczeństwie. Powstały między innymi stowarzyszenia inżynierów, lekarzy, dziennikarzy, pisarzy i artystów. Istniał Związek Polskich Rzemieślników i Robotników w Wielkiej Brytanii, będący częścią Związku Pracowników Muncypalnych, Związek Klubów Sportowych oraz Stowarzyszenie Polskich Studentów i Absolwentów, by posłużyć się tylko trzema przykładami.

Aby zapewnić ramy strukturalne wszystkim tym organizacjom i dać polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii jasny cel, postanowiono wybudować w Londynie siedzibę Polskiego Ośrodka Społecznego i Kulturalnego (POSK). Został on ukończony w 1974 roku dzięki dobrowolnym składkom całej społeczności polskiej. Dwadzieścia lat później Ośrodek skupiał 10 tysięcy członków, a jego sale konferencyjne, galeria sztuki, kawiarnie i restauracje, księgarnia, Polski Uniwersytet na Obczyźnie i Biblioteka Polska, gdzie zgromadzono ponad 100 tysięcy książek, były tłumnie odwiedzane. Jak podkreślił Sword, budynek symbolizował trwałość polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii, co potwierdzał fakt, że czterdzieści procent członków zarządu wywodziło się z drugiego pokolenia²⁷.

Zarówno ten ośrodek, jak i liczne inne organizacje polskie nie mogłyby istnieć, gdyby społeczność polska nie dysponowała środkami łatwego porozumiewania się. Dlatego zasadnicze znaczenie miała prasa w języku

polskim. Największą popularnością cieszył się „Dziennik Polski”, założony w 1940 roku, ale w latach czterdziestych ukazywało się też około dwustu innych tytułów. Do lat sześćdziesiątych ich liczba spadła do 33. W 1951 roku nakład „Dziennika Polskiego” wynosił 31560 egzemplarzy, ale na początku lat dziewięćdziesiątych spadł do około 7 tysięcy egzemplarzy. Nakłady pozostałych dzienników również spadały, w miarę jak przemijało starsze pokolenie, z którego wywodziła się większość czytelników. Z badań przeprowadzonych w dwóch społecznościach polskich wynika, że polskie gazety czytało często lub bardzo często sześćdziesiąt dwa procent starszego pokolenia i tylko trzynastą część procent drugiego pokolenia. Podobne badania dotyczące czytelników polskich książek wykazują zmniejszającą się liczbę ludzi wypożyczających książki w języku polskim. Co się tyczy czytelnictwa książek w ogóle, książki czyta często siedemdziesiąt osiem procent pierwszego pokolenia i zaledwie sześć procent drugiego pokolenia²⁸. „Dziennik Polski” spełniał kilka bardzo ważnych funkcji w społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii. Nagłaśniał i popularyzował społeczną i kulturalną działalność wspólnoty. Służył radą w sprawach zatrudnienia i w kwestiach prawnych, a także informował ludzi o pracy różnych polskich organizacji. Przez kilkadziesiąt lat po wojnie był narzędziem propagandowym uchodźców polskich, utrzymując zdecydowanie antykomunistyczną linię i domagając się przywrócenia polskiej niepodległości. W miarę upływu czasu zamieszczał coraz mniej wiadomości z Polski i coraz więcej relacji

o działalności Polaków w Wielkiej Brytanii. Ponieważ ukazywał się w języku polskim, utrzymywał odrębność społeczności polskiej, utrudniał upowszechnianie się wśród uchodźców języka angielskiego i asymilację. Z drugiej strony, jako że relacjonował obszernie wydarzenia w Wielkiej Brytanii, zdobywana tą drogą wiedza pomagała przystosować się do brytyjskiej rzeczywistości i przygotowywała uchodźców do szerszego uczestnictwa w życiu obcego społeczeństwa²⁹.

Chociaż społeczności bałtyckie nie były tak liczne jak polska i dlatego nie uznawały za celowe zakładania własnych kościołów, tak jak czynili to Polacy, ich pastorzy i księża (Estończycy i Łotysze byli przeważnie luteranami, Litwini - rzymskimi katolikami), którzy zwykle opiekowali się kilkoma rozproszonymi wspólnotami, odprawiali nabożeństwa w miejscowych kościołach protestanckich lub katolickich. Dlatego działalność kulturalna

społeczna koncentrowała się nie wokół parafii czy jakiegoś odpowiednika Stowarzyszenia Kombatantów, lecz w bałtyckich klubach. Z wywiadów wynika, iż większość Bałtów w danym mieście lub miasteczku należała do takich klubów. Bałtowie, podobnie jak Polacy, interesowali się sprawami międzynarodowymi i wiadomościami z krajów ojczystych i gromadzili w swoich klubach zasobne biblioteki dla członków. Zachowali upodobanie do śpiewów i tańców ludowych, narodowych strojów i dawnych zwyczajów. Później zaczęli organizować w Wielkiej Brytanii swoje słynne festiwale pieśni. Działalność ta, sprawiająca wiele radości zarówno uczestnikom, jak i widzom, miała tę dodatkową zaletę, że odbywała się z udziałem drugiego pokolenia, umacniając jego świadomość narodową. Prasa bałtyckich emigrantów pełniła podobne funkcje i wywierała podobny wpływ na społeczności bałtyckie jak prasa polska w odniesieniu do uchodźców polskich³⁰.

Zarówno emigranci polscy, jak i bałtyccy zbierali się razem, aby obchodzić święta narodowe i kościelne. Polacy na przykład obchodzili 3 maja, rocznicę konstytucji 1791 roku, a wszystkie społeczności obchodziły swój dzień odzyskania niepodległości. Wszystkie te święta były zabarwione goryczą w świetle utraty niepodległości i włączenia do radzieckiej strefy wpływów, co uchodźcy zachowali żywo w pamięci. Z okazji tych rocznic organizowano różnego rodzaju imprezy kulturalne, takie jak inscenizacje sztuk teatralnych, występy muzyczne i taneczne. Polacy i Litwini, jako gorliwi katolicy, obchodzili Wielkanoc, Boże Ciało i Zaduszki w uroczysty, uświęcony tradycją sposób. Szczególne znaczenie dla społeczności polskiej miała Wigilia - podczas której podawano tradycyjny posiłek złożony z dwunastu dań, po którym wszyscy udawali się na Pasterkę - ponieważ łączyła pokolenia, umacniała solidarność w obrębie rodziny i wspólnoty oraz poczucie odrębności narodowej. Po latach, już w wieku dorosłym, drugie pokolenie Polaków wspominało magię tego uroczystego

posiłku z ogromną przyjemnością. Zarówno oni, jak i Bałtowie, zachowali szczególne upodobanie do narodowych potraw, które przypominały im dawne czasy. Polskie nazwy - gołąbki, kielbasy, pierogi, sernik, makowiec i szarlotka - przywoływały obraz ojczyzny i stanowiły istotną część poczucia tożsamości³¹.

Wiele ojczystych zwyczajów można przekazać młodemu pokoleniu w domu. Ale większość rodziców nie dysponowała dostatecznymi zdolnościami ani wiedzą, aby uczyć dzieci historii, geografii, kultury i religii, a także języka ojczystego kraju. A jeśli nawet, to często pracowali do późnych godzin i nie znajdowali na to czasu ani energii. Dlatego społeczności polskie i bałtyckie zakładały szkoły sobotnie, do których młode pokolenie, w wieku od pięciu do siedemnastu lat, mogło chodzić w sobotnie poranki.

W niektórych z tych szkół część uczniów mogła uczyć się języka polskiego aż do stopnia zaawansowanego. Generalnie jednak nauczyciele realizowali program nauczania szkół polskich z okresu międzywojennego. Podręczniki były nieustannie poprawiane i aktualizowane. Poza zwyczajnymi lekcjami organizowano też kursy tańca i śpiewu. Starsze dzieci zachęcano, aby wstępowały do harcerstwa lub do klubów młodzieżowych, gdzie mogły doskonalić swoją znajomość języka. Początkowo szkoły zakładano po to, żeby przygotować dzieci do życia w ojczyźnie³². Później, kiedy ta perspektywa stawała się coraz bardziej odległa, ich celem było zachowanie języka, kultury i historii krajów ojczystych. Dyrektor Polskiego Towarzystwa Edukacyjnego za Granicą przyznał, że celem towarzystwa było opóźnianie asymilacji tak długo, jak to możliwe. Światowa Karta Litewska z 1949 roku ujmowała to w sposób mniej defensywny: szkoła, podkreślała, „jest duchowym sercem kultury narodowej” i zapoznając się z tą kulturą, młode pokolenie będzie mogło, by posłużyć się słowami Swarda, sformułować trwałe poczucie własnej tożsamości³³.

We wczesnym okresie w szkołach zatrudniano często dawnych nauczycieli zawodowych, ale później wielu nauczycieli było wychowankami tych szkół. W kategoriach liczby uczniów szkoły mogły się poszczycić znacznymi osiągnięciami. W 1960 roku SPK prowadziło pięćdziesiąt cztery szkoły sobotnie z 3300 uczniami, a poza tym istniało sześćdziesiąt szkół niezależnych od SPK z 3 tysiącami zarejestrowanych uczniów. Piętnaście lat później liczba szkół się zmniejszyła, ale liczba uczniów utrzymała się na mniej więcej tym samym poziomie. Podobno w niektórych społecznościach do szkół uczęszczało około pięćdziesięciu procent dzieci w wieku szkolnym. Lokalna gazeta z Bradford odnotowała, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w szkołach było zarejestrowanych 300 polskich dzieci. W 1975 roku ich liczba spadła do 150, a większość uczęszczała do dwóch szkół w Manningham i Shipley³⁴.

Nie mniej aktywni w organizowaniu szkół byli Estońcy:

Mniej więcej trzydzieści lat temu istniała estońska szkoła, w której zajęcia odbywały się w każdy sobotni poranek przez trzy godziny. Uczęszczał do niej mój syn. Umie pisać i czytać po estońsku tak samo dobrze jak ja i ma całkiem niezłe pojęcie o historii Estonii. Większość dzieci urodzonych w tym mieście chodziła do estońskiej szkoły. Szkoła została zamknięta, ponieważ przychodziło zbyt mało dzieci. Było wiele mie-

szanych małżeństw i dlatego zmniejszyła się liczba potencjalnych uczniów

Mieszane, czyli egzogamiczne małżeństwa wpłynęły nie tylko na frekwencję w szkołach sobotnich, lecz również na inne aspekty wychowania dzieci. Małżeństwa egzogamiczne zdarzały się bardzo często w społeczności polskiej. Czynnikiem determinującym przy zawieraniu związków małżeńskich poza własną grupą narodowościową był niedobór potencjalnych partnerów. W 1951 roku na jedną polską kobietę przypadało trzech mężczyzn. W następnych dekadach ta dysproporcja stopniowo się zmniejszała, częściowo z powodu wysokiego wskaźnika śmiertelności wśród mężczyzn, a częściowo na skutek znacznego wzrostu liczby polskich imigrantek, który to proces rozpoczął się w połowie lat pięćdziesiątych i wynikał między innymi z poszukiwania kandydatek na żony przez samotnych Polaków w Wielkiej Brytanii. Przez krótki okres w latach sześćdziesiątych nastąpił wzrost liczby małżeństw endogamicznych, odzwierciedlający zwiększony napływ polskich kobiet, później jednak powróciła tendencja do zawierania małżeństw mieszanych. Wielu Polaków poślubiło kobiety brytyjskie lub kobiety z innych grup etnicznych, takich jak Włosi. Jak wykazał Her-berg na przykładzie Stanów Zjednoczonych, egzogamia była rzeczą normalną w obrębie tego samego

wyznania religijnego. Polacy woleli zenić się z kobietami z rodzin katolickich albo z Brytyjkami lub z innymi Europejkami. „W mieszanych małżeństwach nie ma takiej harmonii, jaka powinna być - zauważył jeden z respondentów. - Jeśli małżonkowie są tego samego wyznania lub mówią tym samym językiem, można uniknąć wielu nieporozumień”³⁶. Związek małżeński z partnerem brytyjskim ułatwiał oczywiście integrację ze społecznością brytyjską i zapewniał przynależność do brytyjskiej grupy dominującej. Ale osłabiał również poczucie polskości u partnera polskiego, co wywierało ogromny wpływ na dzieci z takiego małżeństwa. Dlatego właśnie rodzice z pierwszego pokolenia grozili dzieciom wydziedziczeniem, jeśli nie poślubią kogoś z własnej grupy etnicznej³⁷. Ale jak twierdzili respondenci, ta groźba rzadko była realizowana, ponieważ rodzice stawiali szczęście dzieci na pierwszym miejscu.

Mój tata chciał, żebym ożenił się z Polką. Mama mówiła, żebym poślubił Włoszkę, bo tak będzie dla mnie lepiej. Jeśli poślubisz angielską dziewczynę, może cię rzucić, powiedziała. Angielskie dziewczyny nie

lubią cudzoziemców, taka dziewczyna będzie wydawać twoje pieniądze, zabierze ci pieniądze i odejdzie. Włoszki tak nie postępują. Poślubiłem włoską dziewczynę. Włoszki bardziej się troszczą o swoje pieniądze³⁸.

Jedną z najistotniejszych konsekwencji wychowywania dzieci w takich warunkach było osłabienie biegłości w posługiwaniu się językiem polskim. Z badań przeprowadzonych przez Wojciechowską w polskich społecznościach Coventry i Ealing wynika, że ponad dziewięćdziesiąt procent przedstawicieli pierwszego pokolenia rozmawiało ze swymi małżonkami wyłącznie po polsku, natomiast nikt spośród drugiego pokolenia nie rozmawiał wyłącznie po polsku z rówieśnikami. W domu dzieci miały skłonność do odpowiadania rodzicom po angielsku, czterdzieści procent mówiło po polsku tylko od czasu do czasu, a dwadzieścia pięć procent nie używało tego języka w ogóle. Wskazuje to na spadek biegłości językowej lub brak ochoty do posługiwania się językiem polskim, nawet w rodzinach, gdzie rodzice rozmawiali wyłącznie po polsku³⁹. Ale w małżeństwach mieszanych, gdy jedno z rodziców nie mówiło po polsku, znajomość polskiego wśród dzieci zmniejszała się dramatycznie, zwłaszcza jeśli matka była Brytyjką. Pewien Polak ożeniony z Angielką wspominał na przykład:

Któregoś lata posiałem swoich dwóch synów do polskiej szkoły. Pracowałem do późna i nie mogłem rozmawiać z nimi po polsku w domu, próbowałem więc nauczyć ich polskiego, posyłając ich do szkoły. Moja żona oczywiście rozmawiała z nimi po angielsku. Ale kilka godzin raz w tygodniu to za mało. Jak pamiętam, to moi polscy przyjaciele przekonali mnie, żebym posłał synów do szkoły. Myślałem, że tak będzie dla nich lepiej. Zaznajomiliby się też trochę ze sprawami polskimi i mielibyśmy ze sobą więcej wspólnego. Opowiadałem im czasem o Polsce, ale nie mogę powiedzieć, żeby byli szczególnie zainteresowani⁴⁰.

Relacja innego Polaka odzwierciedla różnice w wychowaniu jego dwóch córek:

Mam dwie córki, jedną z pierwszą żoną, jedną z drugą. Starsza wie o Polsce więcej ode mnie. Moja żona dużo ją nauczyła, ponieważ była Polką. Mówiła doskonale po polsku, chodziła do szkoły sobotniej, wyjeżdżała do Polski, żeby nauczać angielskiego i uczyć się polskiego. Osiągnęła poziom zaawansowany. Moja druga córka nie mówi po polsku. Nigdy nie chciałem jej do tego nakłaniać. Jej matka jest Angielką. Ale córka nosi moje nazwisko. Jest dumna z tego, że jej ojciec jest Polakiem. Jeśli ludzie komentują to w jakiś sposób, mówi: i co z tego? Zwykle ich zakrzykuje. Ja jej tego nie uczyłem⁴¹.

Inny wspominał:

Wszystkie nasze dzieci założyły rodziny. Najstarszy syn poślubił dziewczynę z Polski, drugi angielską dziewczynę, a trzeci dziewczynę z Walii. Córka wyszła za polskiego chłopca. Wszystkie nasze wnuki są

wychowywane na sposób angielski. W ogóle nie uczą się polskiego, tylko żona najstarszego syna, która jest Polką, uczy swoje dziecko polskiego. Ale najważniejsze, że wszystkie są szczęśliwe⁴².

Oprócz osłabienia biegłości językowej wychowywanie dzieci w małżeństwach mieszanych miało też inne skutki. W rodzinach, w których oboje rodzice byli tej samej narodowości, wzorce przedwojennego wychowania dzieci, jakiego sami doświadczyli w dzieciństwie, przyjmowały się w wysokim stopniu. Oczywiście konieczne były kompromisy, ponieważ dzieci musiały się przystosować do brytyjskiego społeczeństwa. Jak zauważył William McCready, wartości kulturowe przekazywane w rodzinie nie pasowały już do świata zewnętrznego. Dzieci musiały wyprowadzać się od rodziców, żeby dać sobie radę w życiu. „To była smutna satysfakcja - napisał Oscar Han-dlin - patrzeć, jak młodzi robią postępy, wiedząc, że każdy krok oddala ich od domu”⁴³. To była cena, jaką musieli zapłacić uchodźcy za życie w dwóch kulturach.

Uparte zachowywanie własnej kultury i tożsamości narodowej nie wykluczało adaptacji do obcego społeczeństwa. Wielu rodziców, którzy na uchodźstwie zostali zdeklasowani lub wykonywali ciężką pracę fizyczną, rozpaczliwie pragnęło, aby ich dzieci odniosły sukces, i wszelkimi sposobami zachęcało je do pilnej nauki w szkole. Rodzice byli gotowi ponosić wiele ofiar finansowych, żeby zapewnić dzieciom jak najlepsze wykształcenie, i często posyłali je do szkół z internatem. Stosunkowo duży odsetek polskich dzieci w Londynie pobierał naukę dłużej niż dzieci angielskich rodziców. Jak wynika z przeprowadzonej w 1961 roku analizy, obejmującej

dwadzieścia osiem okręgów Londynu, naukę w wieku dwudziestu lub więcej lat kończyło trzydzieści procent chłopców polskich i zaledwie cztery procent angielskich⁴⁴. Niemniej, wielu rodziców godziło się z rzeczywistością, kiedy ich dzieci nie chciały iść na wyższe studia, i przyznawało, że szczęście dzieci jest najważniejsze. Rodzice podkreślali również znaczenie właściwego zachowania, zarówno w szkole, jak i poza nią. Świadczyło ono nie tylko o rodzinie, lecz także o społeczności etnicznej, której, jak twierdzili rodzice, dzieci były ambasadorami. Czasami te wymagania były zbyt wysokie dla dzieci, które widziały, że w porównaniu ze swymi brytyjskimi rówieśnikami są wychowywane bardzo surowo. Większość respondentów twierdzi jednak, że dzieci podporządkowywały się i akceptowały fakt, że odmienne wymagania, jakie się im stawia, wynikają z przynależności do polskiej wspólnoty etnicznej⁴⁵.

Oto jedna z typowych relacji na temat wychowania dziecka:

Byliśmy bardzo surowi dla syna. Musiał robić to, co mu kazaliśmy. Kiedy miał szesnaście lat, chciał robić to, co inni chłopcy, ale mu nie pozwalaliśmy. Powiedział, że kiedy będzie miał osiemnaście lat, wszystko się zmieni, a ja odpowiedziałem, że dopóki mieszka w moim domu i je mój chleb, musi robić to, co mu każę. Kiedyś powiedziałem, że ma być w domu o dziesiątej wieczorem, a jeśli wróci później, niech nie próbuje wchodzić⁴⁶.

Nie należy ulegać błędnemu wrażeniu, że proces przystosowywania się do brytyjskiego stylu życia przebiegał gładko i bez problemów i nie pociągał za sobą ofiar. Wśród emigrantów zdarzały się załamania nerwowe, a nawet samobójstwa, choć nie były to przypadki częste. Nie można jednak zaprzeczyć, że tak się działo. W kontekście budowania społeczności, co stanowiło główny temat tego rozdziału, wydaje się, iż jednym z najważniejszych czynników chroniących przed załamaniem nerwowym była integracja ze wspólnotą emigrantów. Ci, którzy pozostawali na marginesie brytyjskiego życia lub znajdowali się w izolacji od swoich rodaków, byli szczególnie podatni na taką lub inną z najbardziej rozpowszechnionych wśród uchodźców chorób psychicznych, a mianowicie depresję, schizofrenię lub histerię. Statystyki pokazują, że wśród Polaków i Bałtów zdarzało się więcej przypadków hospitalizacji z powodu choroby psychicznej niż w społeczeństwie brytyjskim w ogóle. Na przykład w 1950 roku wskaźnik przyjęć

do szpitali psychiatrycznych dla wszystkich kategorii uchodźców polskich wynosił 4,42 na tysiąc dla mężczyzn i 3,78 dla kobiet. Wśród Łotyszy wskaźnik ten kształtował się na poziomie 1,82 na tysiąc. Dla porównania, w przypadku Brytyjczyków wskaźnik dla obu płci wynosił 0,86 na tysiąc. W Australii wskaźnik przyjęć

pacjentów z krajów bałtyckich był dwa razy wyższy niż w całym społeczeństwie z uwzględnieniem wieku i płci⁴⁷.

Wyjaśnienie tych dysproporcji wymaga odwołania się do traumatycznych doświadczeń uchodźców od początku wojny. Deportacje, uwięzienie, prześladowania i deprywacja ekonomiczna składały się na poczucie straty i bólu z powodu oderwania od ojczyzny, kultury, tożsamości i rodziny. Te uczucia przybrały na sile, kiedy stało się jasne, że upadek rządów komunistycznych w ojczystych krajach uchodźców nie nastąpi szybko. Problemy związane z przystosowaniem się do życia w Wielkiej Brytanii, omówione w tym i w poprzednim rozdziale, wzmagały udręki psychiczne, jakich doświadczali uchodźcy. Utrata statusu i konieczność podjęcia ciężkiej pracy, przekraczającej możliwości fizyczne części uchodźców, potęgowały ich poczucie wyobcowania. Mimo to, chociaż smutek, a nawet rozpacz były w warunkach wygnania nieuniknione, przeważająca większość emigrantów nie cierpiała na kliniczną depresję ani inne choroby umysłowe. Próbowali przystosować się do sytuacji, urządzić ekonomicznie, zakładać rodziny i mieć dzieci, troszczyć się o rodziców, nabywać na własność domy. Niektórym jednak się to nie udawało. Co zatem powodowało przesunięcie punktu ciężkości pomiędzy przystosowaniem się do warunków wygnania z jednej strony a początkiem choroby umysłowej z drugiej?

Na to pytanie odpowiadano zwykle przez odwołanie się do izolacji i alienacji osób dotkniętych chorobą. To oczywiste, że emigranci, przynajmniej na początku, znajdowali się na marginesie brytyjskiego społeczeństwa, ale większość przystosowywała się stopniowo, nawiązując tak zwane relacje wtórne, a mianowicie z innymi robotnikami, związkowcami, członkami partii politycznych i kolegami z pracy. Ale w swoich relacjach emocjonalnych i podstawowych musieli stanowić część znanej społeczności, dzielić jej wartości, tradycje i aspiracje. Było to wielką zasługą polskich i bałtyckich struktur społecznych, które opisaliśmy. Tam ich członkowie mogli rozmawiać w ojczystym języku, dzielić znane doświadczenia, uzyskiwać pomoc od współczujących rodaków i w ogóle czuć się jak w domu. Ale niektórzy z uchodźców zostali wyizolowani ze swoich społeczności lub sami się izolowali, albo dlatego, że nigdy nie opuścili hoteli robotniczych i obozów, albo

dlatego, że mieszkali w okręgach wiejskich lub górniczych, gdzie nie mieli łatwej styczności z innymi uchodźcami. Niektórzy, mimo najlepszych starań, nie osiągnęli wielkiego postępu materialnego, stali się rozgoryczeni i wyalienowani. To właśnie ci nieszczęśnicy, wyizolowani zarówno z brytyjskiego społeczeństwa, jak i z własnych przeszczepionych społeczności, byli najbardziej podatni na chorobę psychiczną, a nawet skłonni do samobójstwa. Wyższy wskaźnik przyjęć do szpitali psychiatrycznych wśród Polaków niż wśród Bałtów może wynikać z faktu, że Polacy, po Żydach, byli grupą najbardziej prześladowaną przez nazistowskich okupantów podczas wojny i traktowaną z największą pogardą jako podludzie. Można również poczynić rozróżnienie pomiędzy Polakami z II Korpusu Polskiego, którzy w znacznym stopniu utrzymali swoje poczucie koleżeństwa z czasów wojny, a polskimi EVW, którzy byli najbardziej podatni na choroby psychiczne⁴⁸.

Z niniejszego rozdziału powinno wynikać jasno, że długofalowe trendy rozwojowe w społecznościach emigrantów utrudniają utrzymanie spo-istości wspólnot etnicznych. Różne wskaźniki, takie jak mniejszy procent przedstawicieli drugiego pokolenia mówiących ojczystym językiem rodziców, spadek frekwencji w polskich klubach i kościołach, mniejsza liczba czytelników prasy w języku polskim, brak wiedzy o kraju ojczystym wśród dzieci emigrantów, geograficzne rozproszenie drugiego i trzeciego pokolenia z dala od dawnych ośrodków koncentracji oraz zanikanie rodzimych kultur - wszystko to każe nam zadać sobie pytanie o zdolność obywateli brytyjskich polskiego, estońskiego, litewskiego i łotewskiego pochodzenia do utrzymania własnych tożsamości i tradycji. Jeśli kultura umiera, czy tożsamość może być zachowana? Czy wynikiem polskiego i bałtyckiego exo-dusu i ponownego osiedlenia będzie całkowite roztopienie się w społeczeństwie brytyjskim? Czy też utrzyma się jakaś forma pluralistycznej integracji, w ramach której polscy i bałtyccy emigranci nadal będą rozpoznawalnymi i widocznymi elementami w etnicznej mozaice, składającej się na wielokulturowość Wielkiej Brytanii w XXI stuleciu?

ROZDZIAŁ 12

Tożsamości

KONIEC ZIMNEJ WOJNY, upadek komunizmu w Europie Wschodniej oraz przywrócenie demokracji w państwach bałtyckich i w Polsce przyniosły ważne pytania o charakter polskich i bałtyckich społeczności uchodźczych w Wielkiej Brytanii. Przez całe dziesięciolecie po drugiej wojnie światowej pierwsze pokolenie owych uchodźców postrzegało siebie jako „walczącą emigrację” wygnańców politycznych obarczonych misją utrzymania własnych języków, kultur i tradycji, dopóki upadek komunizmu nie pozwoli im wrócić do domów. Kiedy komunizm wreszcie runął, uchodźcy mieszkali w Wielkiej Brytanii od czterdziestu lat, zapuścili korzenie i założyli rodziny. Dla większości było już za późno, żeby wyjeżdżać z kraju, gdzie się osiedlili i gdzie mieszkali ich dzieci i wnuki. Co więcej, wizyty w kraju, zarówno przed dojściem do władzy Gorbaczowa, jak i później, uświadomiły im, że ich ojczyzny ogromnie się zmieniły, a oni wyrastali z dala od swoich rodaków.

Po raz pierwszy pojechałem do Polski w 1965 roku, ale wszystko się zmieniło. To była inna Polska niż ta, którą opuściłem. Ludzie się zmienili, zmienił się ich sposób myślenia. Ja sam uważam się za Polaka, ale kiedy jadę z żoną do Polski, czuję się tam jak cudzoziemiec¹.

Bałtowie mieli podobne doświadczenia:

Byłem wstrząśnięty, kiedy wróciłem na Łotwę w 1989 roku, zwłaszcza stanem wsi. Brud i nędza, zrujnowane kościoły, opuszczone gospodarstwa.

Na farmie, gdzie pracowałem, pozostał tylko jeden dom i wałca się szopa na węgiel, resztę drewnianych budynków rozebrano na opał².

I jeszcze jedna relacja:

No cóż, za pierwszym razem było przyjemnie, ponieważ po wielu latach spotkaliśmy krewnych. Ale za drugim razem widzi się więcej. Można zobaczyć, jak zmienił się kraj i ludzie. Przeżyłem ogromny wstrząs, ponieważ kraj był bardzo zaniedbany, a my dużo podróżowaliśmy i mogliśmy się zorientować, jak ludzie rozmawiają i jakie wyrażają opinie i że są to opinie całkowicie różne od naszych³.

Kilka rodzin wróciło, ale przeważająca większość nie. Koniec komunizmu uzmysłowił uchodźcom, gdzie naprawdę chcą żyć, i wypuklił ich mieszaną tożsamość. Pewien człowiek zauważył, iż czuje się Anglikiem w Polsce i Polakiem w Anglii. Niektórzy czuli, że mają więcej wspólnego z innymi „europejskimi” mniejszościami w Wielkiej Brytanii niż z własnymi rodakami w krajach ojczystych⁴.

Była jednak jeszcze inna znacząca konsekwencja zmienionej sytuacji politycznej w Europie Środkowo-Wschodniej, a mianowicie taka, iż uchodźcy nie mogli już myśleć o sobie jako o uciekinierach przed prześladowaniami politycznymi, który to status utrzymywali od przyjazdu do Wielkiej Brytanii. Wcześniej dystansowali się od innych imigrantów przybyłych do Wielkiej Brytanii po roku 1950, głównie z przyczyn ekonomicznych. Zaprzeczali, jakoby socjologiczne uogólnienia na temat ewolucji imigranckich mniejszości w obcym społeczeństwie odnosiły się do nich. Takie stanowisko, które było trudne do utrzymania już w przypadku ich dzieci, stało się od tej pory niemożliwe do obrony. Jeśli zatem upodobnili się do innych mniejszości imigranckich, jaka czekała ich przyszłość?

Nie ma łatwej odpowiedzi na to pytanie, ponieważ wśród teoretyków i badaczy tych zjawisk panuje daleko posunięta niezgoda. Większość badań w tej dziedzinie podejmowano, co nie powinno dziwić, w Stanach Zjednoczonych, „kraj imigrantów”. Istnieje wiele teorii, których autorzy próbowali wyjaśnić doświadczenia imigrantów i przewidzieć, jak mniejszości etniczne będą ewoluować w Stanach Zjednoczonych w ciągu następnych pokoleń. Krótki przegląd prac na ten temat pomoże nam zinterpretować owe doświadczenia w odniesieniu do Polaków i mniejszości bałtyckich w Wielkiej Brytanii i przewidzieć, czy będą zdolne do utrzymania własnych kultur. A jeśli odpowiedź na to pytanie będzie przecząca, czy zdołają utrzymać odrębną tożsamość mimo to? Innymi słowy, czy odrębna tożsamość może istnieć bez wsparcia odrębnej kultury?

Koncepcja asymilacji stanowiła próbę udowodnienia, że pod wpływem amerykańskiego środowiska świadomość narodowa imigrantów słabnie z pokolenia na pokolenie. Nowych przybyszów zachęca się, aby odrzucali zwyczaje, tradycje, język i kulturę przodków i przystosowywali się do „amerykańskiego stylu życia”. Glazer i Moynihan mówili o asymilacji jako „potężnym rozpuszczalniku”, który wypłukuje języki i zwyczaje imigrantów. W efekcie stają się oni niewidzialni i niemożliwi do odróżnienia, z wyjątkiem nazwisk, od reszty społeczeństwa, ponieważ „nie przejawiają już cech, które identyfikują [ich] jako członków obcej grupy”. Chociaż Marcus Lee Hansen utrzymywał, iż w trzecim pokoleniu dochodzi do odrodzenia świadomości etnicznej, większość autorów była skłonna sądzić, że zanik cech wyróżniających następuje wzdłuż linii mniej lub bardziej prostej, z największym spadkiem pomiędzy pierwszym a drugim pokoleniem. Zwolennicy koncepcji asymilacji uważają, iż tendencja do homogenizacji w nowoczesnym społeczeństwie jest „praktycznie nieodparta” pod wpływem środków masowego przekazu, szkoły, mieszanych małżeństw i wszechobecnych reklam⁵.

Kiedy Polacy i Białowie przybyli do Wielkiej Brytanii po drugiej wojnie światowej, rząd brytyjski również miał nadzieję, że ulegną asymilacji. Jego rozumienie tego terminu było jednak nieco inne niż przedstawione tutaj. Zasadniczo ministrowie i urzędnicy liczyli na to, iż nowi przybysze przestaną się wyróżniać, wkraczając skutecznie na rynek pracy, ucząc się języka, przyjmując miejscowe zwyczaje, uczestnicząc w życiu politycznym i obywatelskim. Obawiali się powstania zamkniętych obcych społeczności, które, w ujęciu Królewskiej Komisji do Spraw Obcej Imigracji z 1902 roku, pozostaną „cudzoziemskie pod względem języka i tradycji” i obojętne na brytyjskie zasady i zwyczaje. Z punktu widzenia urzędników brytyjskich asymilacja nastąpiłaby w miarę szybko, gdyby nie było gett ani społecznych protestów przeciwko zatrudnianiu imigrantów czy zajmowaniu przez nich powierzchni mieszkaniowej. Nie musiałaby ona koniecznie oznaczać, wbrew temu, co twierdzili amerykańscy teoretycy asymilacji, absorpcji kulturalnej. O tym, że Brytyjczycy byli świadomi takiej ewentualności, świadczy wypowiedź urzędnika Ministerstwa Pracy z 1949 roku, iż całkowite

wykorzenie uczuć narodowych pociągnęłoby za sobą zniszczenie osobowości i kultury, zanik tradycji i zwyczajów. Generalnie urzędnicy nie wykazywali zainteresowania realizacją takiego programu⁶.

Czy możemy przyjąć, jak czyni to wielu ideologów asymilacji, iż w Stanach Zjednoczonych nastąpiła adaptacja kulturowa grup etnicznych? Adaptacja oznacza, że imigranci przyswoili sobie wiele elementów kultury obcego społeczeństwa, w tym wiedzę, przekonania i wzorce zachowań. Te ostatnie mogą na przykład obejmować nawyki pracy, preferencje konsumpcyjne, sympatie polityczne, upodobania w zakresie ubioru i dekoracji wnętrz, sposoby spędzania wolnego czasu. Jeśli zgodzimy się, że doszło do adaptacji kulturowej, czy możemy pójść dalej i powiedzieć, że nastąpiła również asymilacja? Inaczej mówiąc, czy adaptacja kulturowa jest tożsama z asymilacją? Jeśli przyjmujemy, że asymilacja oznacza osłabienie i ostateczny zanik świadomości narodowej, trzeba na to pytanie odpowiedzieć przecząco.

Założenia teoretyków asymilacji zakwestionowały wydarzenia XX wieku. Pierwsza wojna światowa pokazała, że więzi etniczne są niezwykle silne, nawet w obrębie grupy uważanej za najbardziej zasymilowaną, Amerykanów pochodzenia niemieckiego. Ruch na rzecz amerykanizacji, działający podczas wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu, był próbą przyspieszenia procesu zaniku kultur i tożsamości etnicznych. Zarazem jednak pisarze tacy jak Horace Kallen w swojej książce *Culture and Demo-cracy in the United States*, wydanej w 1924 roku, występowali z twierdzeniem, że społeczeństwo amerykańskie charakteryzuje stan pluralizmu kulturowego i że odrębne kultury i tożsamości utrzymują się

w nieskończoność. Kallen i inni tak zwani pluraliści uważali, iż grupy etniczne są nośnikami starych kultur i tradycji, które opierają się ujednoliceniu. Wynikało z tego, że Stany Zjednoczone nie są państwem narodowym, lecz „państwem politycznym”, które tworzy wiele różnych narodowości, mozaika etniczna spajana w jedną całość przez ideologię Konstytucji i Deklaracji Niepodległości. Poglądy Kallena zakwestionowali z kolei ideolodzy asymilacji, którzy zaprzeczali, jakoby granice pomiędzy grupami etnicznymi były sztywne i nieprzeniknione, i utrzymywali, że kultury grup etnicznych rozmywają się z czasem pod wpływem amerykańskiego środowiska⁷.

Drugim poważnym wyzwaniem dla ideologii asymilacji był ruch na rzecz praw obywatelskich w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Tak zwane odrodzenie narodowe tego okresu ukazało dumę narodową i wyjątkowość różnych kultur i tożsamości. Powrót do wartości narodowych pociągnął za sobą całkowite przewartościowanie historii poszczególnych grup etnicznych i określił ich przyszłą ewolucję. Jedną z najważniejszych analiz tego kresu była książka *Assimilation in American Life* Milтона Gordona, wydana w 1964 roku. Zdaniem autora, różnice kulturowe pomiędzy grupami etnicznymi faktycznie zanikają. Asymilacja dokonuje się w tym sensie, że członkowie grup etnicznych przyjmują wiele cech kulturowych społeczeństwa jako całości. Gordon nazwał to asymilacją kulturową lub behawio-ralną. Istnienia odrębności, co zademonstrowało odrodzenie narodowe, nie można wytłumaczyć tylko przetrwaniem kultur narodowych. Zasadnicze znaczenie ma tendencja do wyboru podstawowych relacji grupowych w obrębie własnej grupy etnicznej. Gordon rozumiał przez to, iż życie rodzinne i towarzyskie człowieka toczy się w koteriach, klubach, instytucjach i środowiskach rodzinnych jego enklawy etnicznej, natomiast relacje wtórne w pracy, w związkach zawodowych, w polityce i tak dalej układają się według norm amerykańskich. Nie jest to, jak stwierdził Gleason, kwestia tego, jak działamy, lecz z kim wchodzimy w interakcje. Tożsamość etniczna miała dla Gordona charakter raczej strukturalny niż kulturowy. Asymilacja kulturowa mogła zatem nastąpić, ale świadomość narodowa pozostała ważna dla relacji podstawowych. Asymilacja strukturalna, jak nazwał ją Gordon, mogłaby nastąpić tylko pod warunkiem, że świadomość narodowa przestałaby być istotnym czynnikiem przy wyborze relacji podstawowych. Najwyraźniej adaptacja kulturowa nie była tożsama z asymilacją⁸.

John Higham zauważył, iż główny problem związany z powyższym modelem polega na tym, że pluralizm strukturalny może utrzymywać bariery społeczne, kiedy kultury etniczne ulegną dezintegracji. „Dla teoretyków asymilacji podstawowym elementem społecznym i źródłem wartości jest jednostka. Tym, co się liczy, jest jej prawo do samookreślenia. Jednostka musi zatem dysponować swobodą oderwania się od swoich przodków [...]. Pluraliści jednak stawiają na pierwszym miejscu trwałość i żywotność grupy”. Krótko mówiąc, integracjoniści oczekują eliminacji granic etnicznych, natomiast pluraliści wierzą w ich utrzymanie. Dla pluralistów najważniejsza jest grupa, dla integracjonistów - jednostka. Integracjoniści, jak stwierdził Higham, uważają, iż odrębności etniczne zanikają względnie łatwo w otwartym społeczeństwie, ale nie tłumaczy to trwałości więzi etnicznych. Pluraliści z kolei wierzą w „sztywność granic etnicznych i trwałość zobowiązań

grupowych”, czego amerykański styl życia nie dopuszczał i nie dopuszcza. Wszystkie grupy tracą ludzi, którzy zawierają małżeństwa mieszane, a ich dzieci nie identyfikują się już tak ściśle z grupami rodzicielskimi. Zdaniem Highama, obie postawy są wątpliwe moralnie. Asymilacja wymaga odrzucenia korzeni, pluralizm ogranicza jednostki bardziej autonomiczne i niezależne, które uważają społeczność etniczną za krępującą i absurdalną. Higham opowiada się za idealną integracją pluralistyczną, „która nie eliminuje granic etnicznych, ale nie utrzymuje ich w stanie nietkniętym”. Wprowadza rozróżnienie pomiędzy granicami a jądrem. Jądra etniczne należy szanować jako „trwałe ośrodki działań społecznych”, ale żadna grupa etniczna nie powinna wspierać szerszej społeczności w dążeniu do umocnienia swoich granic. W tym sensie zarówno asymilacja, jak i spoistość etniczna są postrzegane jako wartościowe cele. Naszym zadaniem nie jest jednak omawianie tego, co powinno się zdarzyć, lecz tego, co się zdarzyło i co prawdopodobnie zdarzy się w przyszłości⁹.

W tym kontekście bardziej użyteczna wydaje się koncepcja potrójnego tygla, sformułowana przez Willa Herberga, który stwierdził, że endogamia w grupach etnicznych słabnie, umacnia się za to endogamia religijna.

Oznacza to, iż małżeństwa mieszane pomiędzy członkami różnych grup etnicznych zawierali zwykle ludzie tego samego wyznania. Mówiąc bardziej wprost, małżeństwa mieszane ograniczały się w większości do jednej z trzech największych grup wyznaniowych w Stanach Zjednoczonych, protestantów, katolików i żydów. Kiedy dokonana się asymilacja, nastąpiła ona, jak dowodzono, w obrębie trzech różnych środowisk religijnych. Nie powinno nas to jednak dziwić, ponieważ, jak już zaobserwowaliśmy, kiedy polscy katolicy w Wielkiej Brytanii zawierali małżeństwa mieszane, wybierali zwykle katolickich partnerów.

Jeszcze bardziej sugestywne przewidywania co do przyszłości zawierała praca Nathana Glazera i Daniela Patricka Moynihana zatytułowana *Bey-ond the Melting Pot*. W tym studium poświęconym pięciu grupom etnicznym w Nowym Jorku autorzy utrzymywali, że amerykańscy potomkowie imigrantów bardzo się oddalili od ludzi ze starego kraju. Prasa w obcych językach przestała się ukazywać, w dawnych wspólnotach sąsiedzkich mieszka tylko niewielka liczba starych ludzi, kultura, tradycje i zwyczaje prawie zanikły. Nie oznacza to jednak, że zniknęły grupy etniczne. W rzeczywistości nastąpiło coś wręcz przeciwnego. W miarę jak grupy „traciły swoje pierwotne atrybuty, odradzały się jako coś nowego, nadal jednak identyfikowalnego jako grupy”. Ludzie uważali się i byli uważani przez innych za członków tych grup i, co najbardziej znamienne, „są związani z innymi członkami grupy nowymi atrybutami, których pierwotni imigranci nie rozpoznaliby jako charakterystycznych dla swojej grupy, ale które mimo to nadal ich wyróżniają [...] w trzecim pokoleniu i dalej”. Są to „nietopliwi członkowie mniejszości”, jak nazwał ich w latach siedemdziesiątych Mi-chael Novak¹⁰.

Te rozważania teoretyczne i obserwacje empiryczne mogą nam pomóc przewidzieć prawdopodobną ewolucję polskich i bałtyckich mniejszości w Wielkiej Brytanii. Jak widzieliśmy, pierwsze pokolenie tych uchodźców dystansowało się od imigrantów ekonomicznych, którzy stanowili przeważającą większość ludzi migrujących do Stanów Zjednoczonych przez ponad pół wieku i którzy zdominowali migrację do Wielkiej Brytanii od lat pięćdziesiątych. Pierwotnym zamiarem polskich i bałtyckich uchodźców nie było osiedlenie się w nowym kraju, lecz powrót do ojczyzny po upadku komunizmu. Jak przekonaliśmy się w poprzednich rozdziałach, zachowywali oni odrębność własnych społeczności, trzymając się uparcie swoich języków i kultur, powołując organizacje i stowarzyszenia, które miały zaspokajać ich potrzeby kulturalne i społeczne, i przekazując swoje wartości, sztukę ludową, historię i tradycje następnemu pokoleniu. Pod względem kulturalnym i społecznym ich wspólnoty były zasadniczo samowystarczalne¹¹. Jeśli chodzi o ścisłość, konieczność znalezienia pracy i wykształcenia dzieci zmuszała ich do otwarcia się na obce społeczeństwo. Niektórzy członkowie zawierali małżeństwa mieszane i ustanawiali relacje podstawowe poza własnymi społecznościami. W miarę upływu czasu coraz większa ich liczba, około 23 tysięcy do 1961 roku i dwa razy tyle dziesięć lat później, przyjmowała brytyjskie obywatelstwo, ale nie dlatego, że uważali się już za całkowicie zasymilowanych. Podróże zagraniczne, zwłaszcza wizyty w krajach ojczystych, były łatwiejsze z brytyjskim paszportem, a niektóre posady były dostępne tylko dla obywateli brytyjskich. Spośród respondentów, których o to pytano, ponad dziewięćdziesiąt procent wymieniło praktyczne lub techniczne powody swojej decyzji¹².

Przyjąłem obywatelstwo, kiedy chciałem się ubezpieczyć, ponieważ nie mogłem wykupić polisy ubezpieczeniowej, jeśli nie miałem obywatelstwa. Tak było po prostu wygodniej¹³.

Albo:

Nie chciałem niczego ukrywać ani zmieniać nazwiska, ponieważ gdybym /mienił nazwisko, sposób zachowania, sposób mówienia, z Polaka stałbym się Anglikiem. W 1954 roku przyjąłem jednak brytyjskie obywatelstwo. Zrobiłem to głównie po to, żeby podróżować. Ożeniłem się z Włoszką, w 1953 roku pojechałem do Włoch i miałem kłopoty z dokumentami podróźnymi. Na każdej granicy chcieli ode mnie zaświadczenia, że pracuję w Anglii i nie zamierzam pozostać w ich kraju¹⁴.

I na koniec:

Kiedy dostaliśmy paszporty, poczuliśmy się wolni, zwłaszcza gdy pojechaliliśmy do Polski. Nasze uczucia były głębsze, a poza tym nie czuliśmy się mniej Polakami przez to, że nie jesteśmy obywatelami polskimi¹⁵.

Stopniowo jednak emigranci uświadamiali sobie, że pod niektórymi istotnymi względami stali się Brytyjczykami - „kiedy wracam do Anglii, czuję, że jestem we własnym kraju”¹⁶ - i świadomość ta pogłębiła się jeszcze po upadku komunizmu, który podkopał ich roszczenia do innego statusu niż pozostałe mniejszości etniczne.

Choć poszczególni przedstawiciele pierwszego pokolenia mogli się czuć bardziej Brytyjczykami, twierdząc jednocześnie, że nie czują się przez to mniej Polakami, Litwinami, Estończykami czy Łotyszami, społeczności jako całość były świadome przemian, jakie w nich zachodzą. Odkryły, iż doświadczenie amerykańskie - osłabienie poczucia odrębności narodowej z pokolenia na pokolenie - stosuje się również do nich. Przedstawiciele drugiego i trzeciego pokolenia rzadziej uczestniczą w narodowych nabożeństwach, rzadziej zawierają małżeństwa w obrębie własnych społeczności etnicznych (z rosnącym prawdopodobieństwem, że polscy lub bałtyccy mężowie bądź żony wtopią się w społeczeństwo brytyjskie) i coraz rzadziej rozmawiają w języku swoich rodziców i dziadków. Odsetek czytelników prasy w języku polskim i polskich książek spadł dramatycznie, co jest częściowo konsekwencją znacznej redukcji liczby dzieci uczęszczających do szkół sobotnich. Kiedy młodzi ludzie dorastają, nie chodzą do narodowych klubów i stowarzyszeń tak często jak ich rodzice, a nawet nie chodzą wcale, i mają coraz mniejsze pojęcie o kulturze i historii ojczystego kraju swoich rodziców.

Ja sam uważam się za Anglika i nigdy nie nawiązuję do swojej polskości. Przeważnie bawiłem się razem z angielskimi dziećmi. W domu rodzice zawsze rozmawiali po polsku, więc oczywiście nauczyłem się polskiego, chociaż nie przywiązywano do tego większego znaczenia. Mówienie po polsku sprawia mi dużą trudność, nie czytam też w tym języku ani nie piszę. Nie chodzę do polskiego kościoła i bardzo rzadko bywam w polskim klubie. Liczba jego członków spada i prawdopodobnie jego dni są policzone. Nie jest mi smutno z tego powodu, ponieważ nigdy nie należałem do polskiej społeczności. Mój dom jest urządzony w stylu angielskim, bardzo nie po polsku. Nie czytam polskich książek i nie zadaję sobie specjalnego trudu, żeby oglądać polskie filmy w telewizji. Moi najbliżsi przyjaciele są dziećmi angielskich rodziców¹⁷.

Ale nawet w obrębie jednej rodziny mogły występować znaczące różnice:

Nasze starsze dziecko nie ma żadnych problemów z przystosowaniem się do swojej polskiej narodowości, ale młodsze buntowało się przeciwko temu. Uważa się za Anglika. Córka urodziła się pierwsza, wychowywała się w podobnych warunkach jak my, ale syn nie radził sobie z językiem. Uważamy, że pokolenie naszej córki będzie ostatnim przed zanglicyzowaniem. Młodsze pokolenie nie będzie znało języka. Kiedyś kierowałem polskim zespołem tanecznym. Nasza córka to uwielbiała, ale syn nie. Nie zamierzam wpajać mu na siłę polskości. Jakie mam do tego prawo, skoro mój ojciec był zaledwie o dwa lata starszy od naszego syna, kiedy wyjechał z Polski? Co wiedział o Polsce? Znał tylko chłopskie życie na wsi¹⁸.

W.W. Isajiw zaproponował serię wyznaczników tożsamości etnicznej, które podzielił na zewnętrzne (dające się zaobserwować wzorce zachowań) i wewnętrzne (postawy i uczucia interpretowane pośrednio). W swoim studium o czterech grupach etnicznych (Włochach, Niemcach, Ukraińcach i Żydach) doszedł do wniosku, że wartość procentowa wyznaczników etnicznych spada znacząco z pokolenia na pokolenie. Wprowadzając średnie wyznaczniki dla wszystkich czterech grup, ustalili, że w pierwszym

pokoleniu utrzymywały się one na poziomie sześćdziesięciu procent, w drugim około czterdziestu pięciu procent, a w trzecim około trzydziestu jeden procent. Co ciekawe, najwyższym wyznacznikiem we wszystkich czterech grupach były potrawy narodowe, a później kolejno posiadanie narodowych przedmiotów, zachowywanie narodowych zwyczajów, utrzymywanie bliskich przyjaźni z ludźmi tej samej narodowości i uczestnictwo w pracach organizacji narodowych. Na końcu listy znajdowała się znajomość języka i

korzystanie z narodowych obiektów rekreacyjnych¹⁹.

Z powyższych ustaleń zdaje się wynikać nieodparty wniosek, iż w miarę upływu czasu tożsamość narodowa może zmieniać swoje znaczenie. Twierdzenia Herdera i Fichtego, że dla tożsamości grupy najważniejszy jest język i kultura, zdominowały myślenie o tożsamości grup narodowościowych i, na zasadzie analogii, imigranckich mniejszości w obcym społeczeństwie. Na przykład Schermerhorn w swojej definicji świadomości narodowej skoncentrował się na grupie o wspólnym pochodzeniu, wspólnej pamięci historycznej i „kulturowym rdzeniu” w postaci jednego lub więcej elementów symbolicznych, w których zawiera się jej tożsamość, takich jak język lub wyznanie religijne²⁰. Prawdopodobnie bez tych kulturowych symboli grupa zanikłaby i roztopiłaby się w społeczeństwie, tracąc swoje cechy wyróżniające. Nie jest to jednak, jak pokazują doświadczenia amerykańskie i inne, rezultat nieuchronny, ponieważ w Stanach Zjednoczonych mniejszości etniczne przetrwały w takiej lub innej formie przynajmniej do czwartego pokolenia, chociaż zatraciły swój język i zależną od niego kulturę.

Aby wyjaśnić ową trwałość, musimy zmodyfikować naszą definicję świadomości narodowej i położyć nacisk na więzi raczej społeczne niż kulturowe, które utrzymują spójność grupy. Jej członkowie postrzegają siebie i są postrzegani przez innych jako ludzie o odrębnej tożsamości, którą pragną zachować albo w formie społeczności narodowych, albo, na niższym poziomie, narodowych stowarzyszeń i układów. Innymi słowy, tożsamość grupy wydaje się odporna na zmiany „obiektywnych” wyznaczników. Dla Gedmintasa najważniejszym aspektem świadomości narodowej jest utrzymanie granic pozwalających zachować tożsamość narodową. Liu-cija Baskauskas rozwinęła to rozumowanie, dowodząc, że to właśnie granice etniczne określają grupę, a nie kultura zamknięta w ich obrębie. Nie powinniśmy jednak całkowicie wykreślać kultury ze scenariusza, ponieważ, jak wykazali Glazer i Moynihan, nowy amalgamat kulturowy, jaki powstaje w wyniku połączenia dziedzictwa grupy i cech otaczającego ją społeczeństwa, może wypełnić próżnię po dawnych elementach kulturowych. To trochę tak jak z nalewaniem młodego wina do starych butelek, bez zwykłych pejoratywnych konotacji. Ale nawet mimo braku znaczących form kulturowych, jeśli utrzymanie granic pozostaje ważne dla członków grupy, grupa istnieje nadal²¹.

W tym miejscu nasuwa się pytanie, jaka przyszłość czeka etniczne mniejszości Polaków, Łotyszy, Litwinów i Estończyków w Wielkiej Brytanii? Czy mają szansę przetrwać jako odrębne całości w takiej lub innej formie w dającej się przewidzieć przyszłości? Jeśli mamy się kierować doświadczeniami amerykańskimi, możemy twierdzić, że przetrwają do czwartego pokolenia, później jednak ich przyszłość jest niejasna. W swoim studium na temat społeczności litewskiej w Binghamton Gedmintas zasugerował, że prędzej czy później świadomość narodowa, która łączy członków, zaniknie, a ich tożsamość zginie. Nie jest to jednak rezultat nieunikniony. Perspektywy grup etnicznych zależą w jakimś stopniu od ich względnych rozmiarów - im większa grupa, tym większe ma szansę na przetrwanie - a także od polityki władz w krajach osiedlenia. Jeśli w przyszłości realizowany będzie program dyskryminacji lub prześladowań, umocni on tożsamość dyskryminowanych grup. W przypadku niektórych grup bardziej wyraziste cechy wyróżniające, takie jak kolor skóry czy rysy twarzy, i będąca ich wynikiem wrogość również umacniały tożsamość takiej grupy. Do kulturalnego odrodzenia Polaków i Bałtów może również doprowadzić wyższy poziom imigracji do Wielkiej Brytanii z Polski i krajów bałtyckich, wynikający z przystąpienia tych państw do Unii Europejskiej w 2004 roku. Zarazem jednak może to doprowadzić do konfliktów pomiędzy przedstawicielami starej i nowej emigracji. Zwiększone możliwości podróżowania pomiędzy krajem osiedlenia a dawnymi krajami ojczystymi też mogą umacniać tożsamość narodową, ale równie dobrze mogą uwydatniać różnice. Istnieją również dowody na to, że wyższy status społeczny sprzyja asymilacji, toteż rosnący poziom zamożności także może się przyczyniać do zaniku świadomości narodowej²².

Można sobie wyobrazić sytuację, że większość cech wyróżniających, czyli wyznaczników tożsamości narodowej, zanikła, ale pozostały nieformalne stowarzyszenia lub związki, niewidoczne dla postronnych obserwatorów, lecz atrakcyjne dla członków z powodów społecznych, towarzyskich bądź rekreacyjnych. Sugerują to dwa opracowania na temat Litwinów w Stanach Zjednoczonych. Pracując nad swoją książką o Litwinach w Los

Angeles, Baskauskas odkryła, że chociaż ulegli oni szybkiej asymilacji i nie ma żadnych widocznych przejawów życia we wspólnocie, takich jak kluby czy związki sąsiedzkie, członkowie zbudowali i utrzymują odrębną, choć nieformalną sieć stowarzyszeń opartych na przyjaźni i samopomocy²³. Gedmintas poczynił podobne spostrzeżenia w odniesieniu do starszej społeczności Binghamton w stanie Nowy Jork i stwierdził, że więzi społeczne wyrażane niegdyś (i nadal, choć w znacznie zredukowanym stopniu) za pośrednictwem formalnych organizacji, były później podtrzymywane środkami nieformalnymi, poprzez małe grupy przyjaciół, przypadkowe spotkania w miejscach publicznych i spotkania w organizacjach, które nie mają charakteru narodowego, co jeden z badaczy nazwał „zakulisową działalnością nieformalnych grup”²⁴. Istnieją również elementy kultury materialnej, odziedziczone po rodzicach i dziadkach, takie jak książki w języku litewskim, obrusy, wyroby z bursztynu, litewskie krucyfiksy i tak dalej. Od czasu do czasu przygotowuje się litewskie potrawy i śpiewa litewskie pieśni. Przy takich okazjach język litewski nie jest używany do celów komunikacyjnych, podobnie jak Amerykanie pochodzenia irlandzkiego nie rozmawiają ze sobą po celtycku, lecz pozostaje ważny ze względów symbolicznych i emocjonalnych, umacniając poczucie wspólnego dziedzictwa i przeszłości. Podobne symboliczne znaczenie można przypisać kościołom narodowym, nawet jeśli udział w nabożeństwach ogranicza się do starszego pokolenia lub jeśli sam kościół w ogóle przestał pełnić swoją funkcję²⁵. Wydaje się zatem prawdopodobne, że rozumienie tego, co to znaczy być Litwinem, Polakiem, Estończykiem czy Łotyszem, zmienia się w miarę upływu czasu i że większość wyznaczników tożsamości narodowej pierwszego, a nawet drugiego pokolenia zanikła. Mimo to poczucie przynależności do którejś z tych grup utrzymuje się mocą tradycji i pochodzenia.

W ostatecznym rozrachunku jesteśmy bardzo dumni ze swojej polskiej kultury, która istniała przez tysiąc lat. Jest piękna, musimy spróbować ją zachować, tak jak powinniśmy zachować własną tożsamość. Czy nasze dzieci ją docenią, to już inna sprawa²⁶.

Albo:

Nie chcę zapomnieć o swoim polskim pochodzeniu. Ono zawsze będzie częścią mnie, a moje dzieci będą oczywiście wiedziały, że jestem Polakiem, ale nie będą znały polskich zwyczajów ani polskiego języka - będą Anglikami²⁷.

Inni pytali, dlaczego mieliby się wyrzekać własnej tożsamości albo ukrywać fakt, że są Łotyszami czy Estończykami. Pewien człowiek porównał się do Szkota w Anglii, który w pracy korzysta z równouprawnienia, a „w innych sytuacjach może wrócić do tego, czym jest”²⁸.

Przywodzi to na myśl definicję „la Patrie”, ojczyzny, Maurice'a Barre-sa jako połączenia „la Terre et les Morts”. W epoce postępującej globalizacji możemy zmieniać kraj, w którym żyjemy, ale nie możemy wypierać się swoich zmarłych. Nie możemy też traktować „zmarłych innych narodów jako własnych przodków”²⁹. Możemy próbować określać swoją tożsamość, wybierać spośród różnych możliwości, ale nie możemy odrzucić swoich genów ani wyzwolić się spod skumulowanego wpływu naszego wychowania. Co więcej, w zimnym świecie racjonalizmu, bezosobowości i homogenizacji możemy zachować ciepło i serdeczność, które biorą się z przynależności do grupy o wspólnym pochodzeniu. Możemy również utrzymywać więzi etniczne, formalne lub nieformalne, ponieważ spełniają one istotną potrzebę, zapewniają nam intymność, zaufanie i poczucie wspólnoty. Polscy i włoscy imigranci w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych potwierdzają, że ich życie rodzinne różniło się od modelu „anglosaskiego” stopniem uwagi poświęcanej dzieciom, bliskości pomiędzy pokoleniami i charakterem stosunków rodzinnych.

Jeśli chodzi o styl życia, postawy, całą stronę zewnętrzną, ludzie powiedzieliby, że jestem takim samym Anglikiem jak każdy. Głębiej jest ogromna różnica. Sposób, w jaki zostaliśmy wychowani, większe znaczenie rodziny w porównaniu ze społeczeństwem angielskim, gdzie młody człowiek kończy siedemnaście lat, dostaje pracę, wyprowadza się i jest niezależny. Nie sądzę, żeby polska rodzina uległa takiej samej dezintegracji jak rodzina angielska, nawet w ciągu jednego czy dwóch pokoleń. Więzy nadal są bardzo silne, a członkowie rodziny mogą się regularnie spotykać³⁰.

Zapewne to dziedzictwo utrzyma się w następnych pokoleniach. Respondenci z Binghamton, pytani, dlaczego uważają się za Litwinów, odpowiadali najczęściej, że ze względu na pochodzenie.

Wracamy do pytania, które postawiliśmy na początku: czy można zachować tożsamość bez kultury? Odpowiedź musi być twierdząca. Kiedy przeminie kilka pokoleń, tym, co pozostanie, będzie zapewne świadomość nieformalnej, niewidzialnej wspólnoty, świadomość narodowa jako idea, ale wypełniona wartościami i postawami zaszczerpienymi w dzieciństwie i w młodości. Jak zauważył Gedmintas, jedyny sposób, aby określić tożsamość, to poprosić kogoś, aby sam się określił, a następnie poprosić kogoś innego, aby to potwierdził. Eastman przytoczył przykład francuskojęzycznego właściciela restauracji w Alzacji, rozmawiającego z gośćmi po niemiecku, który w kategoriach tożsamości narodowej mógł być takim samym Alzaczkiem jak mówiący tylko jednym językiem alzacki rolnik spoza miasta - dopóki obaj podzielali uczucie, że są potomkami tej samej grupy³¹.

Ponieważ historia mniejszości została częściowo opowiedziana ich słowami, zapewne ostatnie słowo też powinno należeć do nich. Przytoczone wypowiedzi odzwierciedlają niejednoznaczność i złożoność kwestii tożsamości.

Przedstawiciel pierwszego pokolenia:

Jeśli przyjmuje się obywatelstwo francuskie, jest się Francuzem. Jeśli przyjmuje się obywatelstwo niemieckie, jest się Niemcem. Ale jeśli przyjmuje się obywatelstwo tego kraju, jest się Brytyjczykiem. Siadamy w pięciu przy stole. Jeden będzie Szkotem, jeden będzie Walijszczykiem, jeden będzie Irlandczykiem, jeden będzie Anglikiem. Kim, do diabła, ja jestem? Cholernym cudzoziemcem! [Śmiech] Brytyjczykiem polskiego pochodzenia. To brzmi głupio. Tak naprawdę jestem Polakiem w Anglii, który poślubił angielską dziewczynę³².

Przedstawiciel drugiego pokolenia:

Jeśli chodzi o mnie, nie wstydzę się swojego nazwiska. Kiedy ktoś mnie pyta: „Jesteś Anglikiem?”, odpowiadam: „Nie, jestem Polakiem”. Nie mogę być Anglikiem z takim nazwiskiem. Jesteśmy w kłopotcie, nie wiemy, kim jesteśmy. Człowiek nie może powiedzieć, że jest Anglikiem, bo nazywa się, dajmy na to, Mazowiecki. Z drugiej strony, byłem w Polsce i kiedy mówiłem, że urodziłem się w Wielkiej Brytanii, nie uważali mnie za Polaka. Nie należy się ani tu, ani tu³³.

Kobieta z drugiego pokolenia:

Ale jeśli ktoś mnie o to zapyta, zwykle mówię, że jestem Polką mieszkającą w Anglii. Kiedy to mówię, nie czuję, że wyrzekam się swojej an-gielskości³⁴.

Przedstawiciel pierwszego pokolenia:

Tutaj, w Anglii, czuję się już jak w domu. Czuję się u siebie. Myślę, że mam mieszaną tożsamość, bo kiedy jestem z Anglikami, czuję, że jestem lepszym obywatelem niż większość Anglików, ale kiedy idę do polskiego klubu, czuję się jak Polak. Mogę z łatwością wchodzić w jedną tożsamość, a potem w drugą³⁵.

Przedstawiciel drugiego pokolenia:

Czasami, kiedy ludzie mówią, że jestem Polakiem, zaskakuje mnie to, ponieważ urodziłem się tutaj, wychowałem się tutaj, bawiłem się z angielskimi dziećmi. Niewiele łączy mnie z Polską. Polskie pochodzenie zawsze będzie częścią mnie, a moje dzieci będą oczywiście wiedziały, że jestem Polakiem, ale nie będą znały polskich zwyczajów ani polskiego języka - będą Anglikami. Teraz jestem chyba bardziej ciekawy historii swojej rodziny, niż kiedy byłem młodszy. Słyszałem opowieści o tym, jak ojciec i matka przyjechali do Anglii, ale nie interesowałem się swoim pochodzeniem, ponieważ uważałem się za Anglika³⁶.

Kobieta z pierwszego pokolenia:

Uważam się za Estonkę. Urodziłam się w Estonii. Nie mam innego paszportu. Urodziłam się w 1928 roku, kiedy [Estonia] była niepodległym państwem, i chcę, żeby tak pozostało. Czemu mam się tego wyrzekać? I

dlatego właśnie nie jestem Brytyjką. Poza tym nie mam nic przeciwko Brytyjczykom³⁷.

Przedstawiciel pierwszego pokolenia:

Było dla mnie ważne, żeby zachować estońską tożsamość, dlatego nie przyjąłem obywatelstwa. To by mnie nie zmieniło, ale chciałem pozostać tym, kim jestem. Nie przebywałem dużo z Anglikami. Tutaj mogę przebywać ze swoimi. Człowiek łączy się do swoich rodaków³⁸.

Przedstawiciel pierwszego pokolenia:

Świadomie nie próbuję udawać Anglika. Przy pierwszej sposobności mówię ludziom, skąd jestem, ale mówię też, że dużo zawdzięczam temu krajowi i tym ludziom. Jeśli człowiek się nie izoluje, musi mieć podwójną tożsamość³⁹.

Minęło już sześćdziesiąt lat od momentu, kiedy Polacy i Bałtowie, zmuszeni do opuszczenia swoich krajów ojczystych, po długiej tułaczce oraz wielu bolesnych i dramatycznych doświadczeniach, przybyli do Wielkiej Brytanii. Opisaliśmy, często ich słowami, ich oderwanie od ojczyzny, exodus i osiedlenie się w Wielkiej Brytanii. Ich pobyt tutaj trwał nieco dłużej niż jedno pokolenie. W miarę upływu lat przyzwyczaili się do tego kraju, przyjęli obywatelstwo, założyli rodziny. Przeważająca większość nie wróciła do starych krajów po upadku komunizmu. Nie tylko przekonali się, że owe kraje bardzo się zmieniły, ale uświadomili sobie również, ze smutkiem, że pomiędzy nimi a ich rodakami powstała przepaść. Ich dzieci i wnuki uważają Wielką Brytanię za swoją ojczyznę. To właśnie dzięki nim coś z Polski i z krajów bałtyckich będzie nadal istnieć w Wielkiej Brytanii. Ten dualizm nie zniknie. Ich obecność tutaj odcisnie swoje piętno, ich dziedzictwo przetrwa w jakiejś formie, ich potomkowie nie zapomną o tej schedzie, a następne pokolenia będą utwierdzać swoją tożsamość jako „obywateli brytyjskich polskiego, litewskiego, łotewskiego lub estońskiego pochodzenia”. Kluczem będzie właśnie owo pochodzenie, a nie kultura czy język. „Można wrócić do tego, czym się jest”, można wrócić do swoich etnicznych korzeni, jak ujął to pewien Łotysz. Ale jak długo jeszcze? To pytanie pozostaje na razie bez odpowiedzi.